



MACIEJ PŁAZA

Robinson
w Bolechowie

Maciej Płaza

ROBINSON W BOLECHOWIE

Spis treści

Motto

Katalog

Osty

Oranżeria

Figiel

Najazd

Harcownicy

Hrabia

Wesele

Reszta

Kamień

Trąd

Stacja

Muzeum

Wyliczanki

Morze

Wał

Ojciec

Warsztat

Matka

Łowca

Zakład

Akt

Komunia

Terapia

Walka

Łuna

Wystawa

Robinson

Bolechów

chyba nie mam tutaj domu

ale patrzę

w czyste ognisko

nieustającego

Grzegorz Kaźmierczak

Katalog

W głąb, przez skrzypiące drzwi w wytrawioną ciemną sień. Klucz ukryty w szczelinie gankowej kolumny, jak dawniej. Durzący oddech korytarza, przestrzelonego smużkami słońca przez rozeschłe futryny. Zawiasy przetarte smarem lub smalcem, bo ciche, cichsze niż tykotanie korników w krokwiach. Kuchnia pokreślona cieniami. Kredens z witrażowymi szybkami, w kredensie filiżanki na nóżkach. Mosiężny kran, kufer zamiast ławy, biały piec z duchówką. Na odymionej ścianie ramka, w ramce szkic ołówkiem, kobieca głowa na tle morza, narysowana dziecięcą, urzeczoną ręką. W powietrzu stara woń kleju skórniego i gipsu. Szyby w oknie oprószone pyłem z lip. Przy zlewie talerzyk z lupinami od gruszki, wciąż wilgotnymi pod palcem. Jeszcze chwila, a bursztynowe światło wytopi się do końca, więc dalej, w głąb, gościnną, choć zdumioną tym najściem po latach.

W pokoju Stefana wieczór już zgęstniał. Za jedynym oknem słońce uwięzło w murze świerków, a resztki, którym udaje się przebić, pełgają po rzędach książek i pustych miejscach na ścianach, gdzie dawniej wisiały obrazy z pałacu. Stefan pewnie nie byłby zachwycony, że jego najulubieńsze płótna, które przynosił sobie wedle uznania, niby do konserwacji, i wymieniał co jakiś czas, wróciły na swoje miejsca. Znad kominka wciąż jednak bije śnieżną bielą jego największy skarb, akwarela z zamaszystą sygnaturą *Jul Fałat 908*. Stefan twierdził, że to prezent od ministra Żygulskiego za zasługi w trzydziestoletniej pracy kustosza, ale nikt sobie tego wręczenia nie przypominał, zresztą kto słyszał, by kustoszy nagradzano pracami z podległych im muzeów, zwłaszcza że obdarowanie tym Fałatem polegało po prostu na przeniesieniu obrazku z pałacu do domu, a Stefan zrobił to sam, późnym wieczorem, tydzień po uroczystości? Łucja nie odniosła tego śniegu, został sobie i pewnie przeżyje wszystkich, jak to śnieg. Zamiast starej wersalki nowe łóżko, na nim zruszona pościel przykryta kocem, na kocu zmięty biały kitel. O ścianę oparty przenośny stół do masażu. Biurko zmienione w toaletkę, zabytkowy czarny remington Stefana wychyla się zza buteleczek, flakoników, kremów, obok smukły laptop. Na uboczu, z dala od książek, albumów, na stoliku z wsuniętą pod szklany blat cenną pamiątką Stefana, brudnopisem listu hrabiego do opatowskiego kreishauptmanna, coś błyska nowością jeszcze inną niż łóżko, kitel i kremy: stos czasopism, schludny, od dawna nieruszany. Numery „Magazynu Sztuki”, „Arteonu”, „Art & Business”, „Przeglądu Aukcyjnego”, widać, że przebrane, tylko te, w których pojawiał się on. Czyli ja. Recenzje, wywiady, relacje z wernisaży.

Obok katalogi wystaw, retrospektyw, albumy, nawet, o dziwo, tamten album, inny niż reszta. I dwie książki krytyczne o jego malarstwie. Młody geniusz. Wyciszony, chytry bóg. Jakim sposobem to wszystko zebrała?

Dalej, w głąb, w resztkę światła. Do drugiego pokoju, o dwóch oknach, z widokiem na wąwóz i Franciszkowe wzgórze, a gdyby dało się rozgarnąć wzrokiem gałęzie i spojrzeć w dół zbocza, to i na krętą nadwiślańską drogę. Stosy podobrazy z lipowego drewna, niektóre zagruntowane w oczekiwaniu na dotyk pędzla, a potem zarzucone, choć właściwie jeszcze nic straconego: deski wycinane przez bolechowskiego stolarza Kornackiego wytrzymają przez lata, suche powietrze w pokojach rządcówki nie wypacza, nie niszczy. W kącie sterta wytłaczanek po jajkach. Szkicowniki, ramy, pudła z pędzlami, kartony pełne słoiczków z pigmentami, na stole pod ścianą szklana paleta, gruba od zaschniętych farb, plam emulsji, bezpiecznie obłożona arkuszami styropianu. Cierpliwy mistrz. Schludny, pyszny bóg. Na zaplamionych ścianach płachty roboczych akwarel, próbki pasteli, powiększone zdjęcia ruin pegeru: wybite okna, komin serowarni, załadunkowe rampy sterzące z trawy. Na tapczanie kraciasta narzuta, gładkie jezioro bez snów. Nad biurkiem szkic ołówkiem, kobieca głowa na poduszce, narysowana wprawną, bezsenną ręką.

Drzwi do pakamery zastawione szafą. Stefan sam ją tu kiedyś zataszczył, napocił się, by nie dało się przekraść tędy do sąsiedniego pokoju i podsłuchać czegokolwiek ani spojrzeć przez wielką dziurkę od klucza. Wiedział, nadgorliwy, omylny stróż, że może się tu rodzić taka ciekawość. Do trzeciego pokoju można więc wejść tylko z korytarza. Trzeba przekręcić chłodną gałkę, pchnąć dębowe drzwi o płycinach rzeźbionych w lilie i już można zanurzyć się w powietrze, które jedynie tam nie pachnie klejem i farbami, tylko jaśminem, gardenią, pieprzem, żelazkiem, kremem, talkiem, podomką, miętowym szamponem, błękitnie żyłkowaną skórą. Słońce wsunęło się już za wieżyczkę pałacu, widoczną tylko z tego pokoju. Ostatni, zbłąkany poblask, którego nie wchłonęły lipy przy alei wjazdowej i bramie, przez chwilę smuży się przez wirowisko kurzu i wskazuje obraz nad łóżkiem, kopię *Kobiety przy oknie* Oda Dobrowolskiego, na którym tęskna postać wygląda ku wzgórzom oblanemu różowym światłem spod wału ciemnych chmur. Za biurkiem, nad szarą elektryczną olimpią, której klawisze stukotały kiedyś kapryśnie przez długie wieczory, szkic ołówkiem, kobieca głowa na tle ganku, narysowana chłopięcą, szybką ręką. Drzwi od szafy skrzypnęły, otwarła się, puzdro pełne perfum. Spomiędzy sukienek, płaszczyków, toczków i szali mignęła odbita w lustrze ręka

przybysza, intruza, potem cofnęła się. Zamrugały oczy, odwróciły się szybko, pobiegły na dalszy obchód pokoju. Parasolka oparta o stary postument od rzeźby, figurki z porcelany w kredensie o witrażowych szybkach, w ramach dziecięce akwarele pełne kołobrzeskich rybaków i kutrów, spaćkane kroplami przyboju, które tryskały wtedy znad falochronu. Pod oknem fotel przykryty jedwabną narzutą, jasnym morzem bez snów. Słońce po raz ostatni musnęło kredens, obraz, toaletkę, wycofało się z pokoju, z kątów sypnął półmrok. Na regale jaśnieją grzbiety czasopism, od dawna nieruszane: numery „Magazynu Sztuki”, „Art & Business”, przebrane, nie wszystkie, na nich wyświechtany maszynopis. Pod maszynopisem zabłąkany szkicownik, w nim postacie, głowy, ręce, buty, Stefana, Franciszka, Urszuli. Franciszka. Zrobiłem krok w stronę okna, w resztkę światła. Pod dywanem ugięła się kłapa od starej piwnicy, brzęknął kredens. Kartkowałem szkicownik. Ręce, jak zawsze ręce, węzłaste, splecione w jedno z dłutem, ciosały kamień, znad kamienia jedno oko, maźnięte na kobaltowo, łypało gdzieś ponad ramieniem rysownika. Musiałem wtedy siedzieć na ziemi, bo patrzył na mnie z góry. Szkicownik wysunął mi się z palców, omsknął, zadrżałem, nie wiem czemu, i obejrzałem się w ciemność, może w progu skrzypnął jego zapomniany krok.

Gdy znalazłem się z powrotem w korytarzu, odetchnąłem łąpczywie. Nie zapaliłem światła, zrobiłem po prostu trzy kroki przez mrok, wyszedłem do sieni, pchnąłem drzwi. Dom wyrzucił mnie łagodnie w wieczorne powietrze. Przez chwilę wpatrywałem się zdziwiony w torbę, którą zostawiłem przy kolumnie, w samochód, który zaparkowałem na podjeździe pod świerkami. W głębi podwórza stało kombi Urszuli. Pomyślałem, że zaczekam na ganku. Przez głowę przebiegły mi słowa Julii, chłodny pocałunek, którym zamknęła mi usta, gdy żegnałem ją rano, że znów popsulem zabawę. To nie potrwa długo, powiedziałem wtedy, ale nie wiedziałem co, które czekanie, która zabawa, potężniejsza od nas, które psucie.

Osty

Pamiętał, jak urodził się po raz drugi, roczny malec, w ciemnej ziemiance, w zaduchu ziemniaków, gangreny i krwi. Z ryku dalekich, ogromnych przestworzy wykluwał się skowyt, zlepiony z gorączkową szamotaniną. Wszystko wokół to zbijało się w gąszcz, to rozbiegało na boki, a gdy ścichał grzmot, wygrzebywało się spod piachu. Urodził się, gdy któregoś razu przestrzeń rozwarła się z hukiem do góry i w bok, do środka buchnął mróz, ludzką płataninę rozwlekło po ziemi, maznęło krzykiem po śniegu. Płakało, nie on, płakało dokoła. Ręka matki zakryła mu oczy.

Gdy trochę podrośł, noce przestały być nocami, zapadał tylko półmrok rozświetlony świecą, a jeśli ojciec uchylił słomianą matę zaciągniętą na okno, czasem kogucią łuną zza lasu. Sypiali w ubraniach, w trójkę, otuleni kocem przez matkę, kołysani jej drżącym nuceniem. Wybudzały go szurnięcia łykowych postoiów, gdy ojciec podbiegał do okna. Palcami unosił wtedy koc, leciutko, nie więcej, niż uniósłby oddechem, i wsłuchiwał się w sygliwe szepty. Niekiedy dla odmiany budziła go cisza. Otwierał oczy i widział, że przez okno wsącza się już sina bladeść. Za uchem słyszał równy oddech matki. Ojciec spał na siedząco, oparty o ścianę, z głową odrzuconą do tyłu, z ręką zaciśniętą na trzonku siekiery.

Mieszkali niedaleko rzeczki. Żeby dotrzeć do gruszy strzegącej podwórza, trzeba było przebiec wzdłuż zakola i nie patrzeć w bok, bo z drugiego brzegu strony śmigwały kamienie. Starsi bracia często stawali na rozstawionych nogach, z garściami polnych krzemieni, krótko ułamanych kijów, nadgniłych gruszek, w których wierciły się osy, i rzucali. Dokoła co dzień trajkotały pomieszane języki. Tak samo jak oni, prócz niektórych we wsi, mówili też ciemni w kaszkietach, którzy przychodzili nocą, niby do swoich i po swoje, ale ojciec bał się ich, bo szeptali gniewnie, pomstliwie. Inaczej mówili inni nocni, w grubych czapach, o łagodnych, ale dzikich oczach. Za jednymi i drugimi szły gruchotania strzałów, tamowane spieszenie ślady krwi, łyśnięcia ognia, wódki i krzyku. Dzieciaki zza rzeczki wrzeszczały po cudzemu, ale ich mowa często brzmiała kojąco. Gdy rozpieśniały się święta, razem z matką znachorką i ojcem, który szczepił grusze i pomagał rodzić się cielętom, bił świnie, misił knury i kielznał konie, których bał się kowal, proszono ich do chałup, mościli się wtedy w przyjaznej cudzości. I była jeszcze jedna mowa, czarna, mimo że zjawiała się w dzień, cmentarna, bo swoimi najazdami przynosiła żalobę, zaklętą w słowach wściekłość maszyn i karabinów.

Nie pojmował tej wielości, jej reguł i następstw, zdawało mu się, że pod każdą mową czai się taki sam skowyt. Bywało, że z czarnego powietrza, zza słomianej maty, zza koca, zza lnianej zapaski matki, wytrącało się i ogarniało go przerażenie. Miało smak odstajej, żelazistej wody. Zachłystywał się wtedy jak pies, ich Bury, którego bracia niedawno odczepili o świcie od wrót stodoły z gwoździami wbitymi w ślepią, a rok przed jego urodzeniem ponoć wył przez cały miesiąc, z łbem nie wyciągniętym nisko, co zwiastowałoby czyjąś powszednią, zwykłą śmierć, lecz zadartym w niebo, znakiem wojny. W takich chwilach matka przywierała mu ustami do czoła i ssała, odwracała się i spluwała, ssała, spluwała, ssała, spluwała, po trzykroć.

Którejś nocy, gdy ojciec tkwił z siekierą przy oknie, a on znów popatrywał spod koca oczyma zlepionymi snem, z zewnątrz dobiegł stłumiony krzyk, obcy, ale nie wrogi. Matka zerwała się z siennika, zaplotła chustkę. Ojciec ściągnął z pieca wór sucharów z chleba, wypiekanych od wielu dni, ze skrzyni wydobyl drugi worek, pękaty i brzęczący, z nożem, łyżką, krucyfiksem ze stołu, z zawiniątkami kaszy i mąki. Matka spędziła jego i braci z siennika, każdemu wcisnęła po glinianym garnku z fasolą, smalcem, mlekiem, porwała z ławy ściśniętą sznurem pierzynę. Wybiegli w czerwcową noc. Wionęło żarem, zza lasu buchnęła luna, nie, nie zza lasu, już zza najbliższego zakrętu, a wraz z luną rozpalili się krzyk. Wtedy może przypomniała mu się ziemianka, bo krzyk był teraz taki sam, mnogi, tyle że nie zduszony ziemią, ale grający wniebogłosy po lesie. Płonęły już chałupy na skraju wsi. W ciemności migotały pochodnie. Zostaw!, wrzasnęła matka, gdy ojciec pobiegł w stronę obory. Krowę wezmę, z czego będziemy żyć? Zostaw!, powtórzyła płomiennym krzykiem i zostawił. Porwały go w górę ręce ojca. Dyszeli tak głośno, chrapliwie, że gdy wreszcie dobiegli do lasu, zagłuszali prawie wszystko, nie krzyki, ich nie dało się zagłuszyć, ale huk ognia, trzask zapadających się chałup, wszystko to zniknęło, było tylko: ryyych-rach, ryyych-rach, ryyych-rach.

Ojciec znał ścieżki w lesie, niejedną raz przy świetle księżyca wracał z sąsiednich wsi po swoich gospodarskich posługach. Ktoś musiał spostrzec, jak znikają za stodołą, ich śladem poniosły się w las porykiwania, wściekłe, zwierzęce, gruchnęły strzały. Potem wchłonęła je noc. Biegli do świtu, aż wtopili się w nadranną mgłę nad bagnami. Ojciec zrzucił go z pleców na mech, wszedł do stawu, muł kłasnął mu pod nogami. Rozgarniał rzęsę i pił zieloną wodę wprost z dłoni. Jego i braci matka poila mlekiem z garneczka. Jej oddech uspokajał się, przepływał w modlitwę.

Gdy wstało słońce, dotarli do miasteczka. Drogą turkotały fury z napiętrzoną

dobytkiem, pouczeplanymi ludźmi, zatrzymywały się przed bramą z drutu kolczastego. Obok truchtały kaszkiety, rozpięte marynarki, karabiny w rękach. Z okopów wychylały się głowy, zęby wideł, ostrza kos i siekier. Żółty żar piekł już, bił w wozy, w pola naokoło, gdy oni w piątkę, ojciec bez postoiów, zdartych i zgubionych w bagnie, dobrnęli do zasieków i matka osunęła się nagle na ziemię. Ktoś krzyknął, żeby pomóc. Marynarki i kaszkiety wciągnęły ich za bramę. Ludzie na furach mieli w oczach łunę.

Zjawili się czarni w długich płaszczach, potem wracali, nieczęsto, ale regularnie. Na ich widok kaszkiety chowały broń za siebie, a po miasteczku zbierano jaja, kury, świeżo uklecone masło. Przyjeżdżały kolejne fury z wiosek, czasem z ludźmi, pierzynami, kozuchami, zdyszane. Czasem ciszej, wolniej, wypełnione ciemnym żniwem. Do bramy szedł wtedy tylko ksiądz i paru ludzi z gałganami na ustach i nosach. On raz zabłąkał się tam, zapatrzył, zobaczył, że żniwo wystaje ponad burtę. Któryś z braci szarpnął go wtedy od tyłu za włosy, strzelił raz, drugi w twarz, wciągnął między chałupy.

Mieszkali z dwiema innymi rodzinami w szopie z nadpalonych desek, zwiezionych z jakiejś wsi. Jedli cebulę, ziemniaki, podpłomyki pieczone na ogniu. Za opłotkami, pod lasem, na bagnach, na polach trzaskały karabiny. Zboże żęto pospiesznie, pod bronią. Ojciec jeździł na żniwa, pomagał w garbarni i gorzelni. Matce znoszono stopy łachów nie do końca spranych z krwi, potem darła je, wypruwała nici, szyła ubrania. Dni były gwarne, ale gwar był nie głośniejszy niż cykanie świerszczy na polach, niż świergot wróbli. Nocami nad lasem stawała płachta ognia. Przybywało ludzi, zabitych i żywych, ściągali pod zasieki co dzień, zwykle o świcie. Widywał ich czasem, tych nowo przybyłych, gdy zbudziła go jakaś bliższa strzelanina lub huk moździerza i zdołał wymknąć się z szopy. Przyczajał się wtedy i patrzył zza płotu, malutki, niemy. Nie mówił nic.

Nie mówił, gdy którejś nocy po żniwach zamiast smaku odstałej, żelazistej wody do głowy uderzyła mu gorączka. Matka kładła mu na skroniach, rękach i stopach plasterki surowego ziemniaka, parzyła wywary, rozcierała ręce. W głowie terkotały mu jej modlitwy. Pojedynczy rozbłysk zapalił się na dalekim niebie i jarzył się, zlany z wszystkich łun, pożóg, bezkrwisty i cichy. Nie zamykał oczu, czekał spokojnie, aż zgaśnie. Po raz trzeci narodził się wtedy, gdy ręce ojca dźwignęły go z siennika, włożyły do skrzyneczki z nadpalonych klepek i wyniosły z szopy. Rozbłysk zlał się ze słońcem. Parę kroków dalej siedziała grupa kaszkietów, czyściła broń, przyglądała mu się nieruchomo. Ktoś podał ojcu butelkę. Tego nie, odezwał się czyjś głos.

Smuga babiego lata, muśnięta wiatrem, odczepiła się od krzaka porzeczeki i spłynęła na jego becik z pozszywanych łachów. Ojciec poił go czymś, trzymał mu głowę w skamieniałych rękach. Bracia bawili się między szopą a chałupą gospodarzy, ciskali kamykami pod ścianę, kłócili się, trzepali po skudlonych włosach. Będzie, powiedział ten sam głos. Nadszedł wieczór, kaszkiety powtykały pistolety za paski, wzięły karabiny i odeszły między płoty. Słońce zatrzymało się na kilka dni. W końcu wysunął rękę spod betów, sięgnął po smuzkę babiego lata, ściągnął ją, zgniótł w słabych palcach.

Do zimy się podzwignął. Gdy po raz pierwszy wyszedł o własnych siłach, bez butów, nikt w szopie ich nie miał, ze stopami zawiniętymi w grube szmaty, przy końcu ulicy ludzie wyładowywali z fury ciała i miękko kładli w śniegu. Przed złożeniem ich na mrozie odzierali je z cieplejszych ubrań. Ojciec powiedział matce, że czarni odjechali z pobliskiego garnizonu. Następnego ranka, przed świtem, zbudziło wszystkich drzenie ziemi. Płaty mchu wypadały spomiędzy cienkich desek szopy i spadały na posłanie. Zerwali się, okutali, ojciec wziął go na rękę, wybiegli na śnieg. Od strony lasu z sinego mrozu wyłaniały się czołgi. Przy bramie, o krok od grupki kaszkietów, stał oficer dowodzący w miasteczku, w wysokich butach i rogatej czapce, obok drugi, od tamtych, w płaszczu i hełmie. Przyglądali się, jak kolumna przejeżdża przez otwarte zasieki. Żołnierze w wystrzępionych szubach zsuwali się ciężko z pancerzy. Spod hełmów i czap patrzyły poczerńiałe twarze, wąskie oczy. Jeden podbiegł chwiejnie, wziął go z rąk ojca, podniósł do góry, zagadał coś. Ojciec pokręcił głową, powiedział: bolnoj. Żołnierz woniał samogonem i cebulą. Sięgnął pod płaszcz, wyjął woreczek koloru brudnego bandaża, rozsypał zębami, niezdarnie wcisnął mu w rękę. Po rękawach rozsypała się kasza. Odpiął kaburę, zakołysał nim, zaśmiał się dziko. Gdy ojciec chwycił żołnierza, ten zachwiał się i wyszarpnął pistolet. Wahnął nim raz, drugi, wypalił nisko, tuż nad dachami i nagimi koronami morw.

Tego dnia mrówczy gwar w miasteczku rozbrzmiał pełniej, ale podbiegły był mrozem. Nocą huczały pojedyncze strzały, niósł się śmiech, wrzaski, co jakiś czas przeszyte kobiecym piskiem. Czołgi odjechały następnego ranka. Kilka dni później ojciec załadował się na sanie z grupką uzbrojonych ludzi i pojechał w las. Wrócili po zmroku, w świetle pochodni. Do nocy rozmawiał z matką przyciszonym głosem. Potem uzbrojone fury wyjeżdżały z miasteczka co parę dni. Wracały niekiedy z workiem mąki, który ktoś zdążył w porę ukryć pod podłogą, niekiedy z naręczem blaszanych kubków, z poduszką, samotną kozą na sznurku, kurą, z psem, który urwał się z łańcucha, uciekł z pożaru i włóczył się po lesie.

Z pierwszym podmuchem wiosny załadowali wszystko, z czym przybyli, oraz garść zimowych ubrań, które matka pozszywała z łachów nie do końca spranych z krwi, i boso, z nogami owiniętymi tylko w szmaty, wraz z paroma rodzinami wyruszyli śladem skośnookich żołnierzy. Myślał, że okrężnie wracają do domu, ale nie, przed wieczorem dotarli do innego, większego miasteczka ze stacją kolejową.

Przy torach kipiało. Gdy przeciskali się przez tłum, on na rękach ojca, bracia drepczący półkroczkami i trzymani ciasno pod ramiona przez matkę, trącały go pyski krów, ciasne pakunki pierzyn, koszyki z kurami, kożuchy, natarte łojem włosy, buchało zewsząd samogonem, machorką, rozglądało się dokoła, spoglądało w niebo. Ktoś wrzasnął mu prosto do ucha: samoloty! Skuliło się wszystko, spełzło głęboko w siebie, zakryło głowy rękoma. Jakiś kożuch runął w śnieg, potem wrzasnął, gdy buchnęła go w bok związana para krowich racic. Ojciec zadarł głowę w niebo, wtulił mu głowę w kołnierz kapoty. Po niebie przeciągała jednak tylko biała cisza. Tłum dźwignął się z kucek, rozprostował, puścił przygięte do ziemi krowie łby. Po chwili gdzieś z dalekiej strony, nie z nieba, tylko z tej zdradzieckiej niskości nad ziemią, wyziernej i czujnej, niedostrzegalnej dla tego, kto ma się stać jej ofiarą, nadbiegły chłoścnięcia, zimne i wściekłe, szzut, szzut, szzut. O trzy, cztery kożuchy dalej ktoś charknął, bluznął w bok krwią, runął. Potem ktoś inny, tuż obok. Koszyk z jajami rozprysnął się, strzelił strzępkami wikliny. Dopiero teraz z przystacyjnych uliczek dobiegły pojedyncze huki i seryjne gruchotania: rat-pat-pat, pat, pat, rat-pat-pat, rat-pat. Rozwrzeszczało się dokoła. Po drugiej stronie tłumy na stację wtaczały się wagony. Ojciec zgiął się wpół, trzymał mu głowę tak nisko, że trącał nią sobie o kolana, i z ręką wygarniętą naprzód brnął między szuby, kosze, czapy. Idziesz?, ryczał. Idę!, odwrzaskiwała matka.

Gdy sunęli gęstą falą, oni i tłum, w stronę otwartych wagonów, strzelanina zdwoiła się, potroiła, zapiekła, potem nagle ucichła. Wagony były pełne, ale ludzie ciągle wtłaczali się za deski, parli w głąb. Ktoś szarpał się z krową, trzy pary rąk dźwigały ją w górę, ryczący łeb chwiał się i łypał na wszystkie strony. Ktoś machał płachtą zapisanych papierów, zaplawał się ze złości, próbował wstrzymywać. Wdarli się. Ojciec wyciągnął go ponad głowy, matka syknęła: płacz! Rycz jak najgłośniej! Ryknął. Jakieś ręce wciągnęły go do środka. Za nim gramolili się bracia. Pociąg odjechał pod wieczór.

Zasnął na stojąco, inaczej się nie dało, w gnojnym zapachu stojącej obok krowy. Zbudził go blask sypiący się przez ściany wagonu. Przed oczyma miał śpiące głowy braci, wzajem oparte

czołami. W wagonie nie było powietrza, tylko dławiący opar. Oddychał słabo. Próbował oprzeć się o spódnicę matki, ale czuł, że nawet szorstki len nie podtrzyma go, zsuwał się w siny fetor między nogami tłumu, bosymi, w onucach, czarno-czerwonych szmatach. Ojciec chwycił go, gdy ciemność trzepotała mu już przed oczyma, wyłuskał spomiędzy kapot, wsadził sobie na ramiona. Chybotał się na tych ramionach, wczepiony w natłuszczone ojcowe włosy, do późnego ranka, gdy dojechali na stację. Wysiedli razem z częścią tłumu, opierzchli, przetrąceni. Matka z głośnym ziajaniem spijała życie z zimnego powietrza. Jeden z braci złamał się w nogach, drewniany pajacyk, wysliznął się jej spod ręki, runął w piach. Ojciec nie zauważał tego przez chwilę, osłonił tylko oczy przed słońcem i patrzył po zgliszczach stacyjnego miasta.

Ludzie, do których dotarli po długim marszu przez pola, ponoć byli ich rodziną. Zamieszkali u tej rodziny w stodole. Co dzień jadali cienki żur na śniadanie, na obiad chleb z kawałkiem twarogu, wieczorem wybierali palcami suchą fasolę z jednej miski. Ojciec i bracia wstawali do pracy przed świtem. Jego po śniadaniu matka prowadziła do obory, odwiązywała krowę, wciskała mu w rękę postronek i pchnięciem posyłała na pastwisko. Gospodarstwo było większe niż ich dawne. Szóstka dzieciaków przygarnęła trzech nowych obojętnie, wujowie i babki za to powarkiwali na matkę: chachło. Na ojca nie, ojca się bali. Czas rozmiękł, strach przed wojną tajał pomału, choć gdy układali się do snu w sianie na zapolu, ojciec kładł obok siebie siekiere, a pod ścianą stawiał widły. Wujowie pełnili warty w chałupie. Na dębim pośrodku wsi wisiał stary, dziurawy gar, obok kłonica ze spalonego wozu. W ten zmyślnie sprawiony dzwonek miano w razie najścia bić na trwogę. Gdy nadeszła pora żniw, kto miał, szedł w pole z zatkniętym za pasek zdobyczym pistoletem.

Minęła kolejna zima, a on wciąż nie mówił. Któregoś wieczoru na przednówku rozjazgotała się awantura. Najstarszy wuj z ojcem wypili butelkę, coś nagle pękło między nimi i targnęli się nawzajem za kołnierze, strzelili głowami. Żmujda, bluznął wuj, parszywa żmujda. Po to wam Bóg ręce dał, żeby chałupę odbudować. Dłużej was żywić nie będę. Następnego ranka matka spakowała dobytek, powkładała jemu i braciom na przyboś świeżo uplecione postoły. Uwierały ich w stopy, nawykłe do chodzenia boso. Ruszali już, gdy rozdzwonił się alarmowy gar. Ojciec pobiegł pod dąb. Kłonica bębniła tak długo, aż zbiegła się prawie cała wioska. Matka wstrzymała jego i braci, może przelekła się tej nieznannej wieści. Pod dębem wybuchł wrzask, potężniał dłuższą chwilę. Trwał jeszcze, gdy przybiegł ojciec i wydyszał niepewnie: wojna się skończyła. Ale która?, spytała matka. Niemcy ubici, odparł ojciec. Wszyscy?, przeszło mu przez

myśl, ale nie odezwał się.

Nie odezwał się też, gdy spakowali się i wyszli na drogę po raz drugi. Było to już pod koniec lata, po kolejnych żniwach pod bronią, wśród szarych płacht deszczu. Szli boso. Dzień wybrał ojciec, czy może raczej wybrał im go jakiś papier, który ojciec przywiózł jednego razu z miasteczka. Ten papier zakończył częste kłótnie o wyjeździe, jakie często toczyli z matką. Wpadali wtedy w krzyk, ręce pokazywały to na zachód, na wschód. Gdy on znów zobaczył stację, skulił się, żelazisty smak uderzył mu do gardła. Cisio, kruniu, cisio, szeptała matka. Już nie będą strzelać. Patrz. Przy peronie stali zieloni żołnierze w rogatych czapkach. On jednak nie wiedział, którzy to, czyi. Gdy po trzech dniach czekania wsiedli do wagonu i matka ułożyła go w kącie na zwiniętej pierzynie, cudem uchronionej przed deszczem, bracia przysiedli w kucki, a ojciec rozwieszał mokre łachy, nie wiedział, na który kierunek padło. Wagon parował owczym łojem, cielną krową, namokłymi kozuchami, samogonem, pieczonymi ziemniakami, cebulą, ludzkimi sfajdaniami po ciemnych kątach, gdy kto nie wytrzymał do postoju, które zresztą nie były rzadkie, pociąg co jakiś czas stawał w polu, po wagonach szły wtedy butelki samogonu w stronę maszyny i po chwili ruszał dalej. Jechali dokądś, nie wiedział dokąd, przez pięć następnych tygodni. Dom nad rzeką szybko przestawał być domem, nie był już miejscem, tylko wnętrzością dawnej, głuchej nocy, tętniącą i dymną. Jazda była wszystkim. Tak sobie myślał, choć nie mówił tego, nie odzywał się. Jazda mieściła w sobie czarniawy popiół miast, wypalone pola z kanciastymi kształtami rozplątanych czołgów, wyszczerzone trupy koni wrośnięte w miedze, zgarbione wraki ciężarówek, a także żniwo, ciemne żniwo, którego nikt jeszcze nie wygarnął z trawy, z ruin, z błota, nie włożył na wóz o wysokich burtach i nie odesłał do miasteczka, by mógł przyjąć je ksiądz z gałganem na ustach i nosie. W opuchłym cielsku jazdy mrowiły się wszy, modlitwy, kłótnie, wrzaski, śpiewy. Z gęstwiny powietrza wytapiał się czasem ból, trącał kogoś, łamał wpół. Którejś nocy zbudził go szloch, niedaleki, zza kilkorga pleców. Rozbłysnął nagle w mroku i płonął do rana, nieukojoyony. Zapalono lampy, ale płacz bił blaskiem mocniejszym niż nafta, podobnym do tego, który kiedyś rozpalał się u nich nad lasami. Rano pociąg stanął na stacji. Kilka par rąk odsunęło drzwi, do środka buchnął ociekły ziąb. Na peron wyniesiono zawiniątko, po nim skuloną, dygoczącą matkę. Jej szloch tlił się jeszcze, rozjaśniał siność poranka. On wyjrzał zza pleców ludzi. Na budynku dostrzegł utraconą w połowie tablicę z nazwą stacji: OMIERZ. Pod ścianą stali dwaj chłopcy ulani z identycznej formy. Nigdy dotąd nie widział bliźniaków, dlatego wydało mu się zwyczajne, że nie mówią do siebie głośno, tylko

obracają się ku sobie, patrzą na usta, wyrzucają z siebie bezdźwięczne słowa i szarpia powietrze zamaszystymi ruchami brudnych rąk. Sapnął parowóz. Jeden z bliźniaków obrócił się i głębokimi oczyma wyłuskał go z tłumu. Palcami zaczął właśnie kreślić jakiś znak.

Jazda mieściła też w sobie długie postoje, po dwa, trzy dni. Tłum z wagonów wylewał się wtedy na tory, palił ogniska, piekł ziemniaki, modlił się, kłócił, śpiewał, szarpał, pił samogon, rozbierał się do naga, kładł na szynach koszule, spódnice, kalesony i kamieniami z nasypu tłukł wszy. Zbierano owoce z zapomnianych jabłoni i śliw rosnących gdzieś przy torach. Czasem wynoszono coś z wagonów, kolejne zawiniątka, większe i mniejsze, i grzebano pod zbitymi z patyków krzyżami. On wciąż nie mówił nic. Matka głaskała go siną ręką, szeptała: kruniu. Bracia nękali ją pytaniami, znużeni, trzęsieni coraz dokuczliwszym nerwem. Ojciec powtarzał obce nazwy, może je wymyślał, opowiadał jakieś przysze historie. Wokół ruin przystacyjnych miasteczek ciemniały lasy, poćcinane czasem wpół mocarną ręką. Po miastach, które ocalały, krzątali się ludzie. Między domami unosiły się tam białe obłoki ulepione z grubych kropel. Któregoś razu przychwycił je baczniejszym wzrokiem i ujrzał, że to pierze. Na podwórzach ludzie pruli pierzyny i wygarniali tę biel ze środka, brodzili w niej, puste poszwy zwijali w toboły i pakowali na fury i ciężarówki. Wsie stały wśród jezior, szaro-czerwone, z kamieni i cegieł, kryte dachówkami zamiast strzech. Raz stanęli w ogromnym mieście o ciężkich murach pobudowanych z sadzy i zgiełku. Na placu za stacją roił się jarmark. Ludzie prędkimi, ostrymi ruchami wyładowywali spod bud ciężarówek błyszczące meble, stopy barwnych ubrań, futer. Na płachtach juty rzuconych wprost na ziemię szklily się naczynia, migotały jakieś złotawe kształty, z koszów wychylały się rzędy butelek. Na skraju placu stał pod ścianą harmonista, chłopak nie starszy od jego braci. Wydało mu się, że słyszy śpiew, że pomiędzy sapnięciami parowozu wiatr donosi jego strzępki do wagonu, rozpoznał w nich nawet jakąś piosenkę, zanucił w myśli, ale gdy wsłuchał się mocniej w drżący głos chłopaka, ten nagle obrócił się w bok, opuścił instrument, skończył, a śpiew nie umilkł, trwał dalej. Musiał więc płynąć skądś indziej, może przyjechał w którymś wagonie, gubił się po kawałeczku na każdej stacji i teraz uleciały jego ostatnie słowa.

Jazda tężała coraz bardziej, zagarniała w siebie mury, obłoki sypiące się z pierzyn, ciężarówki, skorupy wraków, zębate trupy, lufy armat sterczące z błot nad jeziorami, poorane lasy, leje w stokach wzgórz, brnęła w jesień. Na postojach wysiadały tłumy, pociąg pustoszał. Oni też w końcu wysiedli. Gdy wyskoczył bosymi stopami na żuźlowy peron, nie pierwszy raz,

na wcześniejszych postojach wychodził z wagonu, jak każdy, kto miał siłę, przeciwnie, po raz ostatni, wiedział, że ostatni, bo od dwóch dni zapowiadał to ojciec, jazda pognęła dalej sama, wyrwała mu ziemię spod nóg. Zachwiał się i upadł. Niebo sunęło w tył, ku wschodowi, gdzie zza lasu wychylało się chłodne słońce. Brat ukląkł, osłonił go przed tłumem, podparł mu głowę. On wyciągnął rękę, chciał zatrzymać to niewstrzymane sunięcie. Bracia dźwignęli go na nogi, ojciec ze stęknieniem wziął na ręce. Niebo zachybotało się, wymknęło, wypuścił je z rąk. Gdy ruszyli dalej, uznał, że to ruch jest wszystkim, nie jazda, tylko ruch, większy od niej, cichszy, tajny.

Po południu dotarli do wsi. Usiedli przy szczerbach zburzonego mostu na płytkiej, kamienistej rzece. Ojciec długo krążył, zaglądał na podwórza i pytał. Domy stały w zwartych rzędach, murowane i niskie, przyciśnięte stromymi czerwonymi dachami. Znad płotów, z okien łątanych szmatami, spomiędzy krzywych jabłoni, łyptały liczne oczy. Za rzeką, pod lasem, trzasnęły nagle strzały, pach, potem znowu, pach, pach, na koniec grzmotnął wybuch. Z którejś chałupy sypnęło śmiechem, łupnęły drzwi, wybiegły bosc kroki, rozszamotała się pijana gonitwa po obrzeżach wioski. Matka żegnała się z dygotem, oglądała przez ramię. Po drugiej stronie rzeki stał kościół, wysoki, o jasnych ścianach pokreślonych czarnymi belkami. Za kościołem ciągnął się cmentarz, rozryty, skopany, o poobalanych, połamanych nagrobkach. Czyjeś oczy mykały naokoło, zewsząd szemrały przyciszone gadaniny. Ojciec wrócił w końcu z tęgim wieśniakiem w kaszkiecie, z pistoletem w kieszeni marynarki. Podnieśli się, ruszyli za nim. Wieśniak powiódł ich na skraj wsi. Niedaleko lasu stał dom mniejszy niż inne. Gdy się zbliżali, w oknie od drogi mignął jakiś ruch. Obejście było schludne, płot starannie połatany, dokoła grało przyciszone życie, snuły się kury, siedział kot, w obórce sapało coś mokro, pewnie krowa. Wszystkie budynki, nawet stodoła i chlew, były murowane. Wieśniak charknął śmiechem, wyciągnął pistolet, łupnął w drzwi od domku, pchnął je z hukiem. Hanysy!, ryknął, szykujta się do komórki. Nowe gospodarze idą.

Ojciec przeciągnął dłonią po włosach, zrobił krok, potem drugi, niepewnie przestąpił próg, zniknął w środku. Jeden z braci chciał wejść za nim przez uchylone drzwi, ale matka wstrzymała go w miejscu. On obrócił się, popatrzył po podwórzu, po stodole z bosakiem wiszącym na hakach pod dachem, po żółtym warzywnym ogródku za kurnikiem, po tęgim buku przy drodze. U nich na takim buku wisałby świątek. Za stodołą aż po las i dolinę rzeki ciągnęły się pola, bardzo rozległe, ale tylko dwie, najwyżej trzy morgi były żęte i zaorane, obok po niskich wzniesieniach krzewił się szarozółty ugór. Z powiewem wiatru, który nagle zerwał się

zza lasu, uniósł się w górę puszysty tuman. On pomału, żeby się nie spostrzegła, uwolnił rękę z dłoni matki i postąpił parę kroków w stronę płotu. Tuman kłębił się leciutko, tańczył nisko nad pagórkami, sunął w stronę gospodarstwa. Wyciągnął rękę przez sztachety. Wiatr przycichł po chwili, zerwał się znowu, z kolejnym powiewem doniósł bliżej brzeżek tego pylnego obłoku i zamiótł nim po drodze. To był puch bodiaków. Szare pokraki o pękatych łebkach kępami obsadziły pagórki i znosiły teraz niewzruszenie wrześnie zniwa. Kłęb pyłku osiadł mu na wyciągniętej dłoni. Matka zawołała na niego. Obejrzał się. Wieśniak z pistoletem pokrzykiwał w głębi domu. Z sieni wyszła schylona kobiecina z odkrytą głową, łypnęła na matkę bez słowa, zniknęła w oborze. Po chwili wyszedł ojciec i długim spojrzeniem ogarnął wszystko po horyzont, wieś wychylającą się zza garbu drogi, sosnowy las, przecięte rzeką pola, buk za płotem, ugór. Matka schowała twarz w dłoniach. Z domu dobiegł jękliwy krzyk w obcym języku. Przypomniał sobie, że to język czarnych. Raz jeszcze popatrzył za płot. Zbliżał się wieczór, w lesie czaiła się noc, pora łuny. Na niedługą chwilę zastygł wszelki ruch, umilkł wiatr.

Oranżeria

Po latach próbował go rysować, zwykle z pamięci, czasem ze zdjęć, nielicznych, jakie mu zostały po ojcu z parkowej służby, ale rzadziej, zdjęcia opowiadają przecież, jak mawiał, o znikaniu, a hrabia w jego głowie nie znikał, tylko rysował się, właśnie rysował reszteczką sił i zniknąć nie chciał. Słyszał też wciąż jego głos, o zatartej już barwie, ale tonie równie wyraźnym jak sylwetka, łagodnym i złamanym, choć to, co się w nim złamało, kiedyś było silne i dźwięczne. Brał węgiel lub ołówek, najwyżej pastele, oraz zwyczajny papier lub karton i rysował, szybko, prosto, zwykle bez tła, najwyżej z krechę ścieżki u stóp, gałązką bukszpanu nad głową czy kanelami pałacowej kolumnienki przy ramieniu. Zgarbiony hrabia w bryczesach i dżokejskiej czapce, choć już od dawna nie widziano go na koniu, czasem w białym cylindrze i fraku, w baraniej czapie i czarnym płaszczu z kołnierzem z karakułów, czasem z odkrytą łysą głową, zawsze ze srebrnym wąsem wysmuklonym daleko poza końce warg, ściągniętymi w dół kącikami oczu, pajęczyną palców oplecioną na główce laski, wypowiadał z uśmiechem tamte niepojęte słowa z przedostatniego dnia: tyś Stefan. Stefcio z zielenią w palcach. A ja tylko wolny i możny pan pośród śniących. Zapoznałem mirtu i wina i wlokę za sobą wszędy po ziemi swój całun.

Pamiętał, że spojrzał wtedy na swoje ręce, w których miał czapkę, stropiony, że przekrwionym, zapadniętym oczom jaśnie pana nie uszła ich brudność, może były uzienione po robocie w polu, bo jak większość dawnej służby parkowej od czterech lat pracował jako zwykły robotnik rolny, i otworzył usta, by powiedzieć: tak, jaśnie panie, ale hrabia zaśmiał się, tak samo łamliwie i drżąco, jak mówił, potem machnął laską w lewo, w prawo i odszedł bez słowa. Stefanowi przeszło przez głowę, że hrabia może traci rozum, i zadrzał. Po chwili błysnęła mu druga myśl, nieodparta, bo dotykająca tamtej sekretnej sierpniowej roboty sprzed czterech lat, niepotrzebnej tajemnicy, która zlała mu się z postacią hrabiego w jeden kształt, że może to jakieś hasło, choćby i wysłane z półmroku, półrozumu, i powinien teraz przekazać je ojcu, i przepowiadał je sobie, gdy wracał do oficyny. Po chwili minął się z nadchodzącym od pałacowej stajni treuhänderem, do którego hrabia zwracał się Karl, jak do folwarcznego chłopca. Usunął się ze ścieżki, ściągnął czapkę i uklonił się, a gdy treuhänder go minął, niespokojnie podweselony, jak zawsze po objeździe folwarcznych i gospodarskich chałup, opity samogonem, zerknął w bok, czy za zakrętem zdążył już zniknąć hrabia, czy nie obejrzał się przypadkiem, choć

hrabia nigdy nie oglądał się za siebie, to był zwyczaj biedaków, takich jak Stefan i ojciec, przelękłych wojną, nie jak on, możnych, choć nie wolnych już panów, zląkł się więc, czy hrabia nie spostrzegł, że takim samym ściągnięciem czapki, jak przed chwilą jego, przywitał teraz Karla, karła. Ale hrabiego już nie było, odszedł do rządcówki, gdzie mieszkał w pokoju od wejścia, wybranym tak, by z okna nie widzieć pałacu, z którego cztery lata wcześniej wypędził go Karl.

Potem przez lata siadał na parkowej ławce ze szkicownikiem lub arkuszem kartonu, z ołówkami i pastelami w blaszanym pudełku po karmelkach „Glorja”, które kiedyś dał mu w prezencie hrabia, gdy był jeszcze sporo wyższy i musiał się schylić, a nie zadrzeć głowę, by spojrzeć Stefciowi w twarz, i wspominał tamto popołudnie, zastygłe w błysku zwiastującym najgorsze. Postać hrabiego, którą od małego podpatrywał z dala, ilekroć od bramy dobiegł go turkot bryczki czy pyrkotanie samochodu i zdążył wybiec zza parkowych krzewów lub dopaść okna na stryszku oficyny, po latach uchwytywał na rysunkach właśnie w tamtej chwili, gdy ze ściągniętych, szarych ust usłyszał to półrozumne hasło. Gdy wrócił do mieszkania, w którym gnieździł się z rodzicami, siostrami i z wujostwem wysiedlonymi z Poznańskiego, chciał przekazać je ojcu, ale po chwili ktoś zapukał i zawołał, że treuhänder wzywa ojca. Ojciec pobladł, wstał od kolacji, dwóch cienko posmarowanych margaryną kromek czy skibek, jak mówili wujostwo, odstawił kubek gorzkiej zbożówki, zapiął się pod szyję, włożył czapkę i poszedł do pałacu. Gdy wrócił, jak zwykle po takiej wizycie odwracał do ściany jeden policzek i pewno nie miałby ochoty wysłuchiwać hrabiowskich rojeń, więc Stefan zmilczał. Chciał przekazać mu te słowa rano, przed wyjściem do pracy, przy śniadaniu, dwóch skibkach posmarowanych cienko margaryną i kubku gorzkiej zbożówki, ale wtedy z parku dobiegł ich nagle krzyk treuhändera, wścieklejszy niż co dzień, i pobiegli zobaczyć, co się dzieje, i wczorajsze słowa hrabiego stały się nieważne. Jeśli więc były jakimś hasłem, to nie tylko półrozumnym, lecz i daremnym, ale jak myślał Stefan, jednak trafnym, bo choć hrabia nie ocalał, ocalało wspólne dzieło ich trzech, hrabiego, ojca i Stefcia z zielenią na palcach, owoc sekretnych sierpniowych robót.

Stefan i wtedy, i przez wiele następnych lat, ilekroć zamyślił się nad szkicownikiem, doskonale pamiętał tamten sierpień, łagodny, żniwny, gdy jeszcze nie było treuhändera, nie gnieździli się u nich wysiedleni wujostwo i nie jedli chleba z margaryną, gdy szkoła we wsi była po prostu pusta, jak to latem, a nie zajęta przez dwóch tłustych żandarmów ze Śląska, i gdy któregoś wieczoru posłyszał, jak hrabia zmawia się z ojcem na wyładunek skrzyń. Wracał

właśnie z szopy, gdzie schował ojcowe taczki, grabie, motyki, sekatory, i nagle ujrzał, jak hrabia wyłania się z półmroku, drobna, omal niewidoczna szara postać, i kiwa na ojca idącego z pękiem kluczy od bramy. Aleja była ciemna, ojciec był ledwie szurgotem kroków po białym grysie, pobrzękiwaniem kluczy i ognikiem ukradkowego papierosa, ale hrabia chyba na niego czekał, bo bez trudu wyłuskał go ze zmroku, wyszeptał jego imię, pozwolił udać, że nie palił, i kazał przyjść z samego rana.

O świcie ojciec zbudził Stefana i powiedział, że dziś roboty w parku nie będzie. Na dziedzińcu przed stajniami stały kryte ciężarówki. Musiały przyjechać nocą, wieczorem ich jeszcze nie było. Na pakach stały skrzynie, świeżo z tartaku, pachnące sosną i bejcą, okute i z zawiasami, niektóre płaskie, bardzo różnych rozmiarów, i pękate kufry. Stefan wspiął się na pakę, zsuwał je, ojciec odbierał i razem stawiali pod ścianą. Potem hrabia, który stał na uboczu i przyglądał się ich pracy, zawołał do pomocy dwóch stajennych. Wieczorem ojciec powtórzył cicho polecenie hrabięgo, że będą je nosić do pałacu. Stefan chciał spytać, czemu hrabia w tym roku tak wcześnie wyprowadza się na zimę do Warszawy, przecież ledwie co lato przechyliło się na drugą stronę, a to, z czym się przenosił, mieściło się zwykle w dwóch bryczkach, raptem parę, paręnaście kufrów, głównie z książkami, i nie potrzeba było tyle zachodu. Nie odezwał się jednak, bo gdy wnosili pierwszą skrzynię na schody, zobaczył, że szara postać w bryczesach i dżokejskiej czapce stoi przy kolumnie z założonymi na plecach rękoma i odsuwa się, by zrobić im przejście. Chciał się uklonić, ale hrabia nie zwrócił na to uwagi, tylko skinieniem głowy nakazał mu się spieszyć. Wszedł więc do środka głównym wejściem pałacowym, niespełna dwudziestoletni syn parkowego ogrodnika, zagniony i zarazem zaproszony przez jaśnie pana, i coś podeszło mu do gardła, bo to hrabiowskie skinienie zwiastowało coś niespotykanego, nie, nie zwiastowało, raczej potwierdzało zwiastuny docierające nawet tu, do cichego folwarku, jeszcze cichszego pałacu i wioski rozsypanej po stokach pałacowego wzgórza. Wraz z ojcem i stajennymi szedł przez przygaszone korytarze. W holu kamerdyner, żywy zegar o wielkich wskazówkach, odmierzonymi gestami wskazywał, gdzie stawiać. O miejsce nie było łatwo, pod ścianami piętrzyły się już stosy sreber, mebelki zastawione porcelaną i rzeźby, metaliczne lub białawe figury nieludzkie i ludzkie, gdzieniegdzie cudaczne instrumenty muzyczne. Na ścianach wisiały jeszcze, choć Stefan domyślił się, że ich wiszenie też dobiegło końca, obrazy różnej wielkości. Zajmowały większą część powierzchni ścian, od kominkowych gzymsów i oparć zdobnych foteli po wysoki sufit rzeźbiony w głowy i kwiaty. W jednej z wielkich wnęk spływały

z góry bujne, frędzlowane sztandary, obok wisiały szable, tarcze, dawne pistolety, pod ścianami stały zbroje rycerskie i popiersia, na czarniawych portretach cywilni i wojskowi brzuchacze pysznili się orderami, szarfami, perukami, szyszakami. Pałac ponoć nie był duży, ponoć, Stefan nie umiał tego ocenić, nigdy nie widział innego pałacu, nie była to w każdym razie właściwa rezydencja, tylko, mówiono, dawny pałacyk myśliwski. Główny dwór spłonął parę lat przed jego urodzeniem, gdy umieściło się w nim dowództwo austriackiej artylerii i lustrowało Wisłę z kopuły obserwatorium astronomicznego na dachu, lepiej jednak strzelali artylerzyści rosyjscy, a co gorsza, nadleciały nad pałac trzy carskie bombowce, uplecione misternie z cienkich płatów, listew, prętów, blach i lin, pokraczne, ale skuteczne. Hrabia, antykwariusz, miłośnik malarstwa, a także dawnych instrumentów muzycznych, atlasów geograficznych i starych pamiętników, przez wiele lat przymierzał się do odbudowy, miał już nawet plany wyrysowane przez architekta z Krakowa, był jednak zbyt zajęty w Warszawie, zbyt dużo też podróżował po muzeach i kupował dzieła sztuki, pozostał więc w pałacyku. Jednak rozmigotane złotości, kościane biele, lśniące brązy, marmurowe żyłkowania i barwy obrazów, sztandarów, globusów, przygasłe nieco w blasku świec, lecz i tak soczyście rozświetzone, powiększały budynek do wewnątrz.

Ładunek stawiali w jednej z wnęk korytarza, a potem, gdy ją zapelnili, w pustych już pokojach, pełnych jasnych plam po zdjętych obrazach, tarczach, gobelinach, wyniesionych meblach. Skrzynie wyłożone były cynkową blachą, oni mościli je jeszcze szmatami i wkładali oprawne w skórę teki wypełnione arkuszami grubego papieru, pewnie rysunki, atlasy i mapy, wsuwali obrazy, pogodne pejzaże, dziwne porty i kolorowe postacie, ulice wielkiego miasta, pewnie Warszawy, z pałacami i kolumnami wzbijającymi się z pustawych ulic w seledynowe, przyprószone obłokami niebo, pyzatyh świętych, ruiny i zamki nad brzegami jezior, wsie pod strzechami, wiejskie odpusty, procesje i tańce, Zielone Świątki, Zaduszki, Boże Ciało, brązowe góry i pasterzy wśród skał, pochylone cmentarze nad urwiskami, zgarbionych chłopów przy piecu i na przyzbie, chłopskie dzieci bawiące się z psakiem, kotem, ptakiem, krowy pasące się w płytkich rozlewiskach, brodatego kamieniarza rozbijającego młotkiem białą skalę, pastuszków kłęczących o brzasku, wiejskie pogrzeby i wiejskie wesela różniące się tylko barwą nieba i wyrazem twarzy świętowników, kanciaste i ciemne wnętrza kościołów, malownicze, strojne bitwy, do których pozowały chyba ołowiane żołnierzyki, bo nie tak w miejscowych opowieściach wyglądała bitwa, która spaliła dwór, wyjazdy panów myśliwych w czerwonych kubrakach, zupełnie innych niż strój, w którym hrabia ze strzelbą, Stefan pamiętał to jeszcze,

wyruszał promem w stary las na drugim brzegu Wisły, powroty z polowań ze zmęczonymi ogarami na przedzie, portrety jegomościów i dam o twarzach rozświetlonych własnym blaskiem, miasteczka utopione w błotnistej zimie, różowe dziewczuchy śpiewające przy żniwach, wymyślne sceny z Pisma Świętego, proroków, Jezusów nauczających i ukrzyżowanych, chłopczyków z owocami, bose dzieci wśród kałuż na ulicy, Napoleonów, Żydów, Kozaków, konie na trawie, dziewczynki w ogrodach pełnych motyli, narcyzów, georginii, astrów, osty, chabry, brzozy, dęby, górskie sosny, poręby, polany, wędrownego druciarza, dudziarza, małego skrzypka, którego słuchał tylko ptaszek przycupnięty na brzegu wiadra, orkę, siejbę, młockę, kopanie buraków, ziemniaków, zwijanie nici, tkanie, dymne jesienne uliczki, chaty na śniegu, lisy na śniegu, wilki na śniegu w pościgu za saniami, karcznię jarzącą się bladeżółtym oknem wśród wrogiej nocy, modlących się zakonników, rycerzy odzianych w czapy i chylących włócznie w ataku, wszystko to w grubych, złożonych ramach, zwykle na płótnie, czasem na kartonie nakrytym szybą lub na gładkiej desce, malowane grubymi chlapnięciami barwnego tłuszczu, Stefan prawie czuł tę tłustość, dawno zaschłą, ale wciąż lśniąca w przygaszonym blasku, czuł pod palcami, choć ojciec szeptał mu: nie dotykaj, gdy wsuwali to wszystko do skrzyń. Zatrzaszkiwali wieka, zabijali gwoźdźmi, odstawiali skrzynie pod pustą ścianę, otwierali następne. Od barw, mdłego światła, sztywnych postaci, różowych policzków, chłopskich strojów, końskich grzyw brały mdłości. Dopiero o świcie kamerdyner dał znak, by odłożyli młotki, rozprostowali więc plecy i odeszli zmęczeni, a gdy Stefan położył się spać, nurzał się jeszcze w tych malowidłach, nie sposób było przegnać je sprzed oczu, z obolałych rąk. Nim wyszli z pałacu, rozejrzał się ukradkiem, czy nie żegna ich zmęczony wzrok hrabiego, ale nie, nie było go już, pewnie dawno się położył.

Trwało to parę nocy. Zapakowali większość obrazów, a te, co zostały, pozdejmowali ze ścian. Hrabia krążył naokoło, ubrany po nocnemu, w szlafrok i skórzane kapcie, z grubym kajetem w ręku, notował w nim wszystko ołówkiem, nurzał też pędzelek w farbie i malował na bokach skrzyń literowe i liczbowe oznaczenia. Niczego nie tłumaczył, nie odzywał się słowem. Raz spytany o coś przez ojca, odpowiedział krótko, ale tonem miękkim i grzecznym: po cóż wam cokolwiek wiedzieć, i tak wiecie za dużo. Gdy już napełnili obrazami płaskie skrzynie, do tych pękatych ładowali zawinięte w szmaty figury, posążki, statuetki, porcelanę, srebra, kasety z monetami, medalami, medalionami, pistolety i instrumenty w futerałach, globusy, zegary, szachy, papiery, zwinięte sztandary, szarfy, gobeliny. Huk młotków niósł się po coraz pustszym

pałacu. Gdy wszystko było spakowane, zabrali się do wielkiego malowania. Tu nie wystarczyłoby czterech rąk, nawet pomocy stajennych, hrabia posłał więc po robotników z folwarku. Przyszli z dwojaków, rozładowali wapno i farby przywiezione z miasta i przez kilka dni prostokąty na ścianach, które wyłoniły się spod zdjętych obrazów, znikwały pod chlapnięciami pędzli, pospiesznymi, niedbałymi, bo tak kazał hrabia: spieszcie się, drodzy, powtarzał do ojca i Stefana, spieszcie się, ludzie, popędzał fornali, czasu coraz mniej. Gwoździe i haki wyrwali ze ścian, potem wbijali z powrotem, lecz znacznie rzadziej, tylko w co drugi, trzeci punkt, resztę dziur dokładnie zalepiali gipsem, a później wieszali te pozostawione, przebrane obrazy, wstawiali z powrotem meble, szorowali podłogi, zmywali plamki po farbie. Na koniec otwierali okna i wietrzyli późnoletnimi przeciągami, wpuszczali do pokoi wonie stajni, parku, ściernisk, Wisły.

Pałac uskromnił się i oczyścił, wyschludnił i zbiedniał. Skrzynie powynosili z pałacu i staszcyli w dół pałacowego wzgórza, do oranżerii stojącej na niższym wzniesieniu pośrodku parku. Tam też od paru tygodni wrzała pospieszna robota. Stefan spostrzegł ją, ale nie zbadał dokładnie, nie miał kiedy, co dzień od rana do późnej nocy zatrudniony był w pałacu, a resztę czasu przesywał, prac ogrodniczych nie wymagano już od niego i ojca wcale, widział w każdym razie, jak fornale taczkami wywożą ziemię, potem sypią ją na fury i wiozą nad Wisłę. Głęboko, mozolnie wżerali się w oranżeryjne fundamenty. Murarze pospiesznie nosili sterty cegieł, wiadra z zaprawą. Stefan znał oranżerię, razem z ojcem często wchodził do jej strzeliście przeszklonego wnętrza, przypominającego wnętrze kościoła, i pełnił szklarniowe obowiązki przy drzewkach pomarańczowych, filodendronach, paprociach, bluszczach, gardeniach, kliwiach, kaktusach, bugenwillach. Teraz znalazł się w oranżerii pierwszy raz od miesiąca, może dłużej, i gdy zeszli do piwnicy, ujrzał dwa zupełnie nowe pomieszczenia, niewysokie, ledwie ponad głowę, ale przestronne, porządnie sklepione i suche, przewiewne. Murarze kończyli już, co do nich należało. Hrabia krążył z jakimś miastowym, pewnie naczelnym inżynierem tej roboty, i oglądał z nim otwory wentylacyjne pod stropem. Machnięciem ręki przywołał ojca, wręczył mu plan nakreślony ołówkiem na kartce z kajetu i dał znak, by wnosić, wnosili więc wspólnie ze stajennymi. W wyżej sklepionych miejscach stawiali skrzynie z obrazami, w niższych kufry i pękate skrzynki. Hrabia sprawdzał wszystko z listą i planem, sprawdzał numery na bokach skrzyń. Gdy zastawili całą izbę, znów ruszyli murarze i potem, w miarę jak wypełniali drugą, Stefan popatrywał niekiedy w podkradzionych chwilach odpoczynku, jak układają grube,

podwójne rzędy cegieł, a potem tynkują świeży mur. Tynk powlekli dziwną miksturą własnego wyrobu, mieszaną z zaprawą, z korzeniastej i piaszczystej ziemi, z jakichś strzępów, brudu, żaden murarz nie użyłby do swoich robót czegoś takiego. Stefan nie znał tych ludzi, nie byli z wioski ani z folwarku, musieli przyjechać z miasta, nawet nie z Wierzbińca, Sandomierza czy Puław, tylko z samej Warszawy. Nie tylko byli porządnymi murarzami, mieli też biegłość, i to mistrzowską, w tym dziwniejszym, maskowniczym fachu, może wykonywali go od dawna na jakieś zlecenia, a może wyuczyli się ostatnio, może przez kraj szła właśnie fala takich ukrywań, bo gdy skończyli, ściana stała sucha i brudna, rdzawa, wiekowa, nie zdradzała ani jedną plamką świeżości, że spoczęły za nią pałacowe bogactwa. Gdy skrzynie wypełniły drugą izbę, hrabia sprawdził wszystko z katalogiem i mapką i milkliwi maskownicy znów wzięli się za swoje cudowne oszukaństwo. Po południu pracy wtopili tajemną salkę w fundamenty, w ziemię, we wzgórze.

Mistrzowie złudliwego fachu odjechali, sprzątnięto ślady robót, w piwnicy zostało to, co zawsze, czyli korytarz, kotłownia i wysoko sklepione schody prowadzące na dół. Ceglana posadzkę wysypano żwirem, ziemią, lessowym pyłem wydłubanym z warstw wzgórze, gdzieś sypnięto zeschniętą trawą, korzeniami. Wieczorem, gdy wreszcie skończyli te mozoły, Stefan przysiadł na kamiennej ławce i przyglądał się, jak ojciec z czapką w ręku krąży po stoku oranżeryjnego wzgórze i grzecznie nadstawia ucha, by nie uronić słowa z tego, co mówi hrabia rozbiegany w coraz bardziej w złowieszczym pośpiechu, i pilnie wodzi wzrokiem za końcem jego laski, rysującej jakieś znaki, wskazującej ku zachodowi, w stronę przeciwną niż rzeka, kreślącej plan niedostępnych jemu, Stefanowi, przestrzeni i niepojętych, lecz nieuniknionych zdarzeń. Sierpień okrywał bolechowski folwark, pałac, park, zakole rzeki nieznaną mu dotąd głuchotą oczekiwania.

Figiel

Nadeszli z różnych stron, może umówieni. Wyłonili się, obdarci i bosy, zza krzaków, z rowu przy drodze, spod odbudowanego mostu, ktoś zsunął się ze skarpy na drugim brzegu, zawahał się przed susem, potem hyc, hyc, przeskoczył po podwodnych kamieniach i wspiął się na górę, gdzie on siedział właśnie zapatrzony w swoje ręce. Niektórych znał. Chłopaka o żółtych włosach i okrągłej głowie. Innego w szelkach. Małego o trójkątnej, mysiej twarzy. Chudzielca ogłuszonego na jedno ucho i bez dłoni, oberwanej przez minę. Ponoć było ich dwóch, gdy szli w zakazany zakątek lasu między stawami, jedyny dojazd do wsi od starego młyna. Parę lat temu, w wojnę, Rosjanie bronili się tam zażarcie przed kontratakami. Zaminowali wąską groblę, a niemieckie czołgi, które uniknęły min, rozstrzelali z własnych, wkopanych w ziemię. Tablica z trupa czaszką i napisem МИНЫ! stała do tej pory. Ci dwaj trzymali się za ręce, gdy szli brzegiem stawu, i wybuch szarpnął nimi tak cudacznie, że ich dłonie ostały się splecione co do palca, za to oderwane zgodnie od obu rąk, i z tamtego ostała się tylko ta dłoń. Znał też dziewczynkę o szorstkich rudawych włosach. Nie znał ich imion. Nie znał niczyich imion we wsi. Ale znał tych pięcioro, często wciągali go w zabawy na placu przy kościele, gdy wracał ze szkoły bez braci lub gdy ojciec posłał go do sklepu po naftę, zapalki, sól, piwo, smalec. Wyłaniali się zza płotów, spomiędzy śliw, grządek, brzózek, którymi obsadzono zburzony i zaorany niemiecki cmentarz, skrzykiwali się na chwilę, dwie, kwadrans, chowali się, kryli, bawili się w berka, rzucali kamykami do dołków, puszczały go wolno. Wracał potem zgrzany, z huczącą głową, siniakami na rękach i nogach. Teraz było ich więcej, może dziesięcioro, nie umiał policzyć. Niektórych widywał z rzadka, z daleka, na polach. Inni może tymczasem dojechali z jakimś transportem, choć transporty właściwie ustały, ostatni przyszedł niespodzianie cztery miesiące temu, z Bieszczadów. Nie starczyło ziemi dla tych górali, nawet porośniętego bodiakami ugoru, zatrudniono ich więc trzydziestoosobową grupą w pegeerze.

Stanęli w krąg, niepewni, co z nim zrobić.

Będzie krył, powiedziała ruda. Nie, pokręcił głową jednoręki, za dużo nas, nie ma się gdzie chować. Będzie gonił. Nie, odparł mysiaty, my się rozbiegniemy, a on wtedy ucieknie. Niby którędy, spłynie rzeką? Może, kto go wie. Zaśmiali się zgodnie. On też się uśmiechnął. No to w syfa, powiedział inny, wyciągnął z kieszeni szmatę, podniósł kamień, owinął, zawiązał, zakręcił nad głową. Za szeroki teren, kto by za tym łąził, przynosił. Skąd on w ogóle jest?,

zagadnął drugi obcy. Różnie mówią. Sam nie mówi? Nie. Niech no się odezwie, będzie przecie słychać. Kiedy nie chce. Pewnie się boi. Może on z banderów, zmawia się z nimi po nocy. Nie, ponoć z centrali, wtrąciła się ruda, tak mówi jego brat. Kłamie, za późno przyjechali jak na ludzi z centrali. I dlatego są z nich takie obdartusy, golce na sześciu hektarach. Na przednówku jego ojciec do nas na szlachtę przychodzi. No ale jak gada ten jego brat czy ojciec? Z ukraińska? Niby z ukraińska, ale kto ich wie. Ty też gadasz z ukraińska. Cicho być, myśmy spod Zwierzyńca, swoi. A on? Śląsk? Mazury? Litwa? Może to hanys. Hitler. Zdechł pies. E, skąd jesteś? Gadaj. Siedzicie tu już długo, a nikt nie wie. W szkole też nie gada? Ponoć nie. Jak to nie gada? No to pały zbiera? Zbiera. Drugą klasę powtarza.

Gadka kręciła się, mnożyła, śpiewniła. Nie stali już nieruchomo, ręce machały to w górę, to w boki, przebierały nogi. Harce jak zawsze wyradzały się same, z wieczoru, z lata, z potrzaskanej muzyki grającej im w głowach. Pytania cięły powietrze, śmigłe lotki, zderzały się, odlatywały w różne strony. Przechylali się, gięli, podskakiwali, targał nimi od środka jakiś wspólny nerw. Ktoś mierzył starannie, stopa za stopą, szerokość drogi, inny odliczał do siedmiu w przód i w tył, jeszcze ktoś chwycił palcami coś napowietrznego, może nić babiego lata. Pytania smagały boleśnie, podobne do cienkich gałązek, co chłoszczą w biegu przez las. Nagle ktoś powiedział słowo, króciuteńkie, powtórzył. Inny wychwycił je, zastygł, stanął na palcach, wykrzyknął. Bawmy się! Czemu w to? Bo tak! Bo idę do domu. Mysiaty obrócił się i już przebierał czarnymi stopami w stronę wsi. No dobra!, pisnęła ruda. W króla Lula. Bawisz się?, spytała go. Popatrzył po niej, po pozostałych. Cofnął się o krok. Mówiłem, że spłynie rzeką, powiedział jeden z obcych, łapcie go. Óóó, ruda położyła palec na jarzębinowych ustach. Bawisz się? W króla Lula. Bawisz. Nie możesz się nie bawić.

Ucichli, znieruchomieli, niektórzy niechętnie, mysiaty zawrócił. Na dany przez rudą znak każdy schował za plecami pięść, potem wyciągnął, wystawili palce. Ruda zsumowała, przeliczyła wszystkich. Wypadło na jednorękiego. Ten dał znak, by zrobili miejsce. Rozstąpili się o duży krok. Jednoręki uklonił się. Witaj, królu Lulu!, wrzasnęli. Witajcie, dzieci śmieci! Gdzieście byli? W ciemnym lesie, odpowiedzieli, w pustym polu, w dawnym mieście. Coście tam robiły? Król Lul wyciągnął kikut obciążony różową zmarszczką, wodził nim przez chwilę w powietrzu, wycelował w jednego z obcych. Chłopak wystąpił naprzód. Reszta odeszła w tył, rozsiadła się na miedzy, na poboczu, na skarpie. Chłopak skulił się, zgiął, padł na kolana. Machał rękoma w obie strony, potem uniósł pięść, długo trzymał ją drżącą w górze, wreszcie zgiął łokieć, ramię ruszyło

naprzód, pięść spadła łukiem na ziemię. Chłopak skręcił się, głową szarpnął do góry, nogi rozeszły mu się żabio w tył. Burczał coś, łomotał się ręką po żebrach. Drugą zataczał szybkie, żarłoczne kręgi tuż nad ziemią. Wytrajkotał coś niezrozumiale. Spuścił głowę.

On czekał na dalszy ciąg, odpowiedź, objaśnienie. Ale to był koniec. Ktoś zaklaskał. Inny zaszurał nogami po trawie. Jednoręki parsknął śmiechem, pacnął się kikutem w otwartą dłoń. Centrala, powiedział, krakowskie. Chłopak, który przedstawiał scenkę, skinął głową. Olkusz, przyznał. Wszyscy wstali, otoczyli jednorękiego, podeszli na dwa kroki, ruszyli wkoło. Tatuś daje jeść, zanucili, mama daje pić, a ty, królu, idź już, idź! Rozstąpili się. Obalony król odszedł o krok, potem ślepo wycelował za siebie kikutem. Trafił na mysiatego. Obrócił się z powrotem, bez słowa wstąpił w półkrąg. Mysiaty dumnie zadarł głowę, zajął jego miejsce. Witaj, królu Lulu!, zawołali. Witajcie, dzieci śmieci! Gdzieście byli? W ciemnym lesie. W pustym polu. W dawnym mieście. Coście tam robiły? Nowy Lul zakręcił szmacianym berłem nad głową, zamknął oczy, machnął przed siebie. Trafiło na rudą. Dziewczynka uklękła z rękoma wzniesionymi nad głową. Trzęsa się, chlipała cicho. Trwała tak chwilę, w końcu odpadła do tyłu, trafiona niewidzialnym strzałem. Powtórzyła to trzykrotnie. Potem gładko, jednym susem, z pozycji leżącej przeskoczyła w kucki, warknęła cicho, uśmiechnęła się. I znów padła w piach. Trwało to jeszcze chwilę bez zmian, przeszyte drżeniem i bladym uśmiechem. Mazury, powiedział mysiaty. Tyś szwabka. Hitlerka. Ruda pokazała mu język. Znow podnieśli się, otoczyli Lula, obeszli go dokoła. Tatuś daje jeść! Mama daje pić. A ty, królu, idź już, idź!

Lul skłonił się, odwrócił, machnął do tyłu nogą. Czarne paluchy wskazały na jednego z obcych chłopaków. Nowy Lul wyszedł z szeregu. Stanął na poboczu, zapatrzył się gdzieś za rzekę. Witaj, królu Lulu, zanucili. Witajcie, dzieci śmieci, powiedział cicho. Gdzieście byli? W ciemnym lesie!, wrzasnęli. W pustym polu! W dawnym mieście! Lul machnął kikutem, zakręcił nim, wycelował. Trafiło w tego w szelkach. Chłopak zachichotał. Zaczął biegać w tę i z powrotem, to wskakiwał na miedzę, to zeskakiwał, z piętami wzniesionymi, na samych palcach, po jakiejś nieznannej, parzącej ziemi. Oklepywał się po udach. Potem uniósł ręce, zamiatał nimi kosząco, raz jedną, raz drugą. Poburkiwał, bełkotał niewyraźnie. Wreszcie przypadł do ziemi, szeroko rozstawionymi rękoma wparł się w pył, węszył. Przebiegł na czworakach trzy kroki do przodu, dwa w tył, zastygł. Podniósł głowę. Lul przyglądał mu się obojętnie. Centrala, powiedział. Warszawa. Nie, raczej łódzkie. Szelkowy już otwierał usta, by zakrzyknąć coś tryumfalnie, ale Lul wyrzucił z siebie w pośpiechu: nie, skąd! Lubelskie.

Hrubieszów. Chłopak podniósł się bez słowa.

On przyglądał się zabawie. Nie znał jej wcześniej, ale nauczył się szybko, bez wahania powtarzał ruchy, okrzyki, wraz z pozostałymi wybierał i obalał Lulów. Królowie zmieniali się stale, bo odgadywali bez pudła, czasem nie od razu, tylko dopiero za drugą, trzecią próbą, ale szybko, nim ten, kto przedstawiał scenkę, zdążył się sprzeciwić, krzyknąć, że nieprawda, że się myli. Zabawa była przypadkowa, umówiona, przepowiedziana, samoistna, obmyślona, wszystko naraz. On nie odezwał się dotąd ani razu. W końcu palec trafił na niego. Królem był wtedy jeden z obcych, zgarbiony jasnowłosy chłopak w portkach wystrzępionych nad kostkami, sypnięty piegami po nosie. Zawahał się. Patrzyli na niego. Lul dał znak, żeby zrobili mu miejsce. Odstąpili w tył i został sam na pustej drodze.

Czekali. Pomału, ostrożnie osunął się na kolana. Osłonił twarz z jednej strony, zakrył ją rąbkiem koszuli. Odsunął się od czegoś, co biło mu w oczy. Chwycił z ziemi niewidzialny nóż i przeciągnął sobie po szyi, po brzuchu, wbił w oko, runął. Usłyszał czyjeś prychnięcie. Podniósł się, chwycił się to z jednej, to z drugiej strony za szyję, dusił. Usiadł na ziemi zgarbiony, wetknął dłonie pod tyłek, schował głowę między kolanami. Trwał tak chwilę, dwie, trzy, kiwał się na boki, pomału, potem wysupłał ręce, przebierał miarowo palcami po nogawkach, ratatam, ratatam, ratatam. Znieruchomiał. Uniósł głowę, spojrzął po wszystkich.

Lul patrzył na niego nieruchomo, z uniesionym kącikiem ust. Śląsk, prychnął. Reszta skinęła głowami. On pokręcił głową, z wahaniem, potem jeszcze raz, prędzej, wyraźniej, gdy Lul wykrzywił się z niedowierzaniem i powtórzył wrzaskliwie: Śląsk!

Lul splunął. Pokazuj jeszcze raz, powiedział. On odmownie pokręcił głową. Tak trzeba, powiedział ktoś z boku. On oblizal wargi, obejrzał się przez ramię. Zza pagórków wystawał czerwonymi różkami dach domu i komin, zza dachu buk. Jego gospodarstwo, jedyne widoczne z tego miejsca. Byli daleko od wsi. Kiwnął głową. Zastanawiał się przez chwilę. Wreszcie osunął się bokiem na ziemię, zległ bezwładnie. Sięgnął ręką do tyłka. Przesuwał nią potem nad biodrem, bokiem, żebrami, aż po głowę, przewlekał sobie przez ciało jakąś żyłą kolczastego drutu, która rozplątywała go na dwoje. Wyciągnął ją przez usta, wbił w piach zgięte palce, tępe, brudne szpony. Znieruchomiał.

Król popatrzył po widzach i powiedział: Kielce.

Dopiero gdy wstał, potrząsnął głową. Rzeszów. Pokręcił. Braniewo. Dębina. Malice. Po każdym zaprzeczeniu Lul coraz mocniej zaciskał pięści, pienił się, pocił, w końcu tupnął. Skąd

jesteś, gnoju? Przecież i tak wiem. Lepiej powiedz. Powiedz sam.

Będziesz pokazywał, aż król nie zgadnie, usłyszał za plecami głos rudej. Nie obejrzał się na nią. Krzyknęło mu w głowie, że jeśli spuści wzrok z króla, rozpęknie się ostatnia resztecinka porządku, znad lasu buchnie łuna, a z ziemianki nie wyniosą go już ukojne ręce matki. Lul zmarszczył piegowaty nos. Był większy, silniejszy, mógł mieć ze dwanaście lat. W oczach miał niedowierzanie i jasny ogienek rozpacz. Przeszło mu przez myśl, że zawiódł Lula. Nie teraz, znacznie wcześniej, może gdy wysiadł z pociągu, a może już wtedy, gdy dał się ponieść ścieżkami przez leśne bagna. Wreszcie szybkim, niskim ruchem, bez jednego choćby zerknięcia w bok, rzucił się za siebie, prawie tyłem, ku rzece. Runął ze skarpy głową w dół, zsunął się w kamienistą zatoczkę, przeorał bokiem po otoczakach. Nie oglądał się, tylko zgięty bólem, otłuczony, prawie na czworakach pognął samym brzegiem. Bose nogi trzepotały to po wodzie, to po wilgotnej trawie. Dochlupotał się do zakola rzeki, nad którym ścieżka szła już prosto do wielkiego buka. Przemknęło mu przez myśl, że jeśli pobiegli górą, złapią go, gdy tylko wychyli głowę znad skarpy. Ale nie, tak naprawdę wiedział już wtedy, że zostali na miejscu. Gdy wydostał się na górę, obejrzał się tylko raz i upewnił do końca, i myślał o tym potem, póki nie wpadł na podwórze i nie ukrył się na stryszku obory, że król Lul wciąż pilnuje porządku, strzeże swojej władzy u stóp pagórka między wioskami, bo nie ma wyjścia, choć nie ma też złej woli. To on, on wszystko popsuł i sam ukarał się tym, ciemniak, uchylec, zdrajca.

Najazd

Zaczęli szukać wcześniej, niedługo po tym, jak się zjawili, i Stefan, który ukradkiem, zza parkowych drzew, zza rogu, ze stryszku oficyny, obserwował te poszukiwania i łowił słowa krążące między zarządcą, ojcem, stajennymi, kamerdynerem, służbą zwolnioną z pałacu i zmienioną w fornali, zachodził w głowę, skąd wiedzieli, czego szukać. Bo ponoć z grubsza wiedzieli. Mówiono, że od dwóch gości, którzy parę lat wcześniej odwiedzili pałac. Ci zagraniczni goście, profesor z asystentem, objeżdżali cały kraj i zbierali materiały do pracy o prywatnych kolekcjach sztuki. Byli uprzejmi, hrabia przyjął ich po pańsku, oprowadził po pałacu, pysznił się, mienił w blasku swoich obrazów, porcelan i sreber, ale gdy wyjęli kajety i zaczęli katalogować, zaniepokoił się, tknięty może nieomylnym pańskim przecuciem, dziedziczną pamięcią podsycaną codziennym wertowaniem gazet przy śniadaniu i wieczorną lekturą książek, w większości starych, choć w skali czasu odmierzanej przez portrety, tarcze i sztandary stare książki mogą mieć aktualność nieznaną tym, których pamięć mieści się w jednym kufrze, pierzynie, paru blaszanych talerzach, garści modlitw, przyśpiewek, gawęd dziadka o nalocie carskich dwupłatowców, tknięty więc tym pańskim przecuciem, które gdy się pojawi, zwiastuje najgorsze, bo taka jest natura przecucia, hrabia niespodzianie zakończył oprowadzkę i zaprosił gości na koniak, a następnego dnia rano oznajmił, że pilna depesza wzywa go do Warszawy, przeprosił ich i pożegnał. Zrobił to wszystko wytwornie, na koniec zachęcił, by go odwiedzili raz jeszcze, ale nie zaproponował żadnego terminu.

Stefan trochę ich pamiętał, bo byli to jedni z ostatnich gości, jacy odwiedzili majątek. Pałac od lat stawał się miejscem odosobnienia. Hrabia, szeptali służący, ożywił się zimą, którą zresztą z roku na rok coraz bardziej sobie wydłużał, ostatnio już od października do kwietnia, a spędzał ją w swoim warszawskim pałacu przy ulicy Okólnik. W mieście przyjmował gości, składał wizyty, działał w towarzystwach narodowych, katolickich, łowieckich, choć od dawna nie polował, jeździeckich, choć od dawna nie jeździł konno, historycznych, geograficznych, edukacyjnych, muzycznych, przemawiał w Sejmie, ufundował bibliotekę, publikował wspomnienia, spisywał życiorysy przodków pełne prawdziwych, legendarnych i zmyślonych zasług w wojnach napoleońskich, powstaniach, kampaniach, szarżach, sejmikach, konfederacjach. Wiosną wracał, czy raczej przyjeżdżał na wieś, a jesienią wyjeżdżał do Warszawy, dla Stefana jednak te przyjazdy, poprzedzane depeszą, potem prędką krzątanią

w pałacu, stajni, parku i oranżerii, by wszystko w porę wyświecić, wyblyszczyc, na koniec obserwowane zza drzew lub ze stryszku oficyny, zawsze były powrotami. Hrabia przyjeżdżał zszarzały, umęczony zimą, miastem, towarzystwami, pracą, kolacjami, koniakiem, wizytami, polityką, i im bardziej z biegiem lat garbił się, srebrniał i łysiał, tym częściej mówiono, że przybywa wypocząć, ale był to dziwny wypoczynek, gnuśny i skryty, bardziej chyba męczący niż tamte warszawskie zatrudnienia. Stefan zerkał co dzień w pałacowe okna i miał wrażenie, że spogląda w oczy umierającego ptaka, powlekające się szarosiłą błoną. Widywał hrabiego coraz rzadziej, ale, myślał sobie, kiedy już ochłodzi wspomnienie tamtego ranka, gdy z ojcem usłyszeli za oknem wrzask treuhändera, ochłodzi tylko w miarę, do końca chyba nigdy, skoro jeszcze po latach zasiadał ze szpicownikiem na ławkach i rysował z pamięci jego postać powlekającą się tą szarosiłą błoną rezygnacji, zatem jak myślał sobie później, właściwie nigdy nie widywał go często. Przeciwnie, to rzadkość tych widywań na parkowych alejach, przy stajni, na tarasie oranżerii, ich przypadkowość i przelotność, a jeszcze bardziej obecność tej błony, coraz wyraźniej oddzielającej hrabiego od zaniedbanego folwarku, rozzieleniałego parku, lasów za rzeką, może nawet od pałacu o łuszczących się ścianach oraz zbiorów sztuki, sprawiała, że tak zapadały w pamięć. Uśmiechy i odклонienia hrabiego nie wydawały mu się błysnięciami jaśniepańskiej dobroci, przeciwnie, plamkami ciemności na tle żniwnego świata. Przyszło też Stefanowi do głowy, że gdy hrabia, tknięty wspomnieniem wizyty uczonych z zagranicy, wyciągnął sam siebie za kościstą dłoń z narastającego znużenia i przez długie tygodnie ich rękoma, Stefana, ojca, murarzy, stajennych fernali, posyłał pod ziemię swoje kolekcje, sam ściągnął ten rozbój, tę udrękę, ten dopust. Takie właśnie słowa mamrotał niekiedy pod nosem, gdy zjawiał się na ścieżce i nie dostrzegł Stefana pracującego wśród krzewów. Stefanowi wydało się, że hrabia żałuje tamtej tajemnej roboty, bo gdyby nie ona, ten dopust nie spadłby na niego, folwark, wieś i ludzi dokoła.

Tuż po skończeniu tamtej roboty, jeszcze w sierpniu, w majątku stawili się żołnierze, mały oddział kawalerii z paroma niewielkimi działami. Rozstawili się w parku, ale nawet nie wzięli na cel dróg ani dalekiej stacji kolejowej w dole rzeki, może poradziliby na to większy kaliber, ale nie, w ogóle nie mieli zamiaru brać czegokolwiek na cel, tylko czekali na rozkazy. W pierwszych dniach września nad północnym horyzontem przeszedł nalot, niemożliwy, taki wydał się Stefanowi, niemożliwy, może to jednak tylko złudzenie, myślał sobie, obleczone w warkliwy, muszy kształt przeczucie hrabiego. Kilka dni później żołnierze chyba doczekali się

rozkazów, bo o brzasku w pośpiechu odjechali w stronę Warszawy. Stefan obserwował ich odjazd ze stryszku w oficynie, ojciec na dole słuchał radia. Gdy zniknęli, folwark zamarł, niby obracał się jeszcze we wczesnojesiennej krzątaninie, ale odjazd wojska go przetrzącił. W południe hrabia zjawił się w parku, opleciony wokół laski, popatrywał w niebo, dyskutował z zarządcą, krążyli obaj po majątku, szeleścili papierami, planami, pospiesznie coś spisywali. Następnego ranka zjawili się tamci. Do wioski wjechało kilka ciężarówek i motocykli, żołnierze wysypali się na plac, zajęli folwark, rozeszli się po dwojakach, po chałupach gospodarzy, przeszukali wszystko, zwołali zbiórkę. Do parku wjechał samochód terenowy. Niski oficer w czarnym mundurze i dwaj cywile, jeden pękaty i zamaszty, drugi młody, wysiedli przed pałacem. Hrabia w garniturze i wysokich butach, z odkrytą głową i niewidocznym ze stryszku oficyny wyrazem ściągniętych oczu, stanął na ganku, z głową sztywno odchyloną do tyłu. Nie wyciągnął ręki. Gdy oficer zaszalutował, z wahaniem odsunął się na bok i wpuścił ich do środka. Pękaty cywil wszedł za oficerem, młody z ukłonem przepuścił hrabiego. Zamknęły się drzwi.

Oficer odjechał jeszcze tego dnia. Młody okazał się tłumaczem, a kim jest pękaty, wyjaśniło się wieczorem, gdy wezwał zarządcę, ojca i paru innych głównych pracowników majątku do pałacu. Ojciec był tam krótko, wrócił po półgodzinie, pobladły i drżący. Wszystko zostaje z grubsza, jak było, powiedział zdławionym głosem, zarządca dalej będzie zarządcą, ogrodnik ogrodnikiem, a Stefan Stefanem. Stefan wysłuchał go w milczeniu, przyjrzał mu się podejrzliwie, ale nie, ojciec nie był pijany, w tak krótkim czasie nie zdążyłby się upić, zresztą któż miałby go prosić do pałacu na pijaństwo? Oczy płonęły mu suchym ogniem. Odwracał do ściany jedną stroną twarzy, a gdy Stefan zdołał przychwycić ją wzrokiem, ujrzał bordową pręgę. Co będzie robił tamten?, spytał. To treuhänder, powiedział ojciec, nowy właściciel, nie, nie właściciel, właścicielem jest ichniejsze państwo, to jest komisarz. Teraz jemu będziemy się kłaniać, ja i ty, wszyscy, i lepiej rób to nisko. A co z hrabią? Ojciec wzruszył ramionami. Przecie nie pytałem.

Następnego dnia spod pałacu odjechała bryczka hrabiego, samochód zajął treuhänder, więc tylko bryczka, załadowana kuframi jak na jesienny wyjazd do Warszawy, przeturkotała główną aleją, minęła bramę, strzeżoną teraz przez wartownika z karabinem, i zajechała pod rządówkę, potem raz jeszcze, i tym drugim kursem z resztą kufrów przejechał sam hrabia. Zajął pokój po przeciwnej stronie niż pałac. Stefan nie widział tych przejazdów, słyszał je tylko, nie widział też hrabiego aż do połowy października, kiedy znów przyjechał niski oficer, tym razem

w towarzystwie dwóch cywilów. Byli podobni do tamtych sprzed paru lat, grzeczni, w okularach, z teczkami. Stefan omal ich nie przeoczył, bo w folwarku i tak od września trwał ruch, samochodami przyjeżdżali goście, niekiedy pojedynczo, w mundurach, z aktówką lub rulonem pod pachą, niekiedy po parę osób, eleganccy mężczyźni i kobiety, wtedy w pałacu odbywały się przyjęcia, z muzyką z patefonu, rykliwymi śpiewami, strzałami z pistoletu, brzękiem tłuczonych butelek po winach z hrabiowskiej piwnicy. Te hałasy sypały się z okien pałacu i niosły po parku. Stefan zastanawiał się, czy słyhać je w rządówce, i zrozumiał, czemu hrabia wybrał sobie tam pokój od drugiej strony. Nie zdziwiłaby go też wizyta kolejnych gości, dwóch cywilów w okularach, gdyby któregoś wieczoru ojciec nie powiedział: szukają. Gdzie?, spytał Stefan. W pałacu, odszepnął ojciec, wszędzie, w piwnicach, na poddaszu. A tam? Tam nie. Jest z nimi hrabia? Tak. Dopiero teraz Stefan spostrzegł, że ojciec znów odwraca do ściany pręgę na policzku. A treuhänder? To nie jego sprawa. Ale jest tam? Cicho, nie pytaj się tyle. Posłuchaj. Posłuchaj, powtórzył. No? Nie piśnij. Daliśmy przecie słowo. Aha. Nie pisnę. Ale słuchaj. No? Ja za pańskie skarby ginąć nie będę. I ty też. Rozumiesz? Stefan nic nie odpowiedział, skinął tylko głową.

Do zimy cywile w okularach przyjeżdżali jeszcze kilkakrotnie. Z każdym razem byli dłużej i coraz głośniej szukali. Gdy podczas ostatniej wizyty wezwano ojca, przeraził się, że ktoś z fernali, stajennych, może chłopów, co malowali ściany, wygadał się, że on wie, choć każdy z nich mógł przecież wygadać się od początku do końca, wszystkich tak samo wiązała przysięga dana hrabiemu i tak samo zwalniała od niej dyspensa w czarnym mundurze, z trupią czaszką na czapce i pistoletem przy pasie, sądził więc, że ktoś częściowo skorzystał z tej dyspensy i powiedział: to on wie, ogrodnik wie wszystko. Ojciec po raz pierwszy od sierpnia dokładniej obejrzał pałac od środka. Wchodził tam co prawda dość często na wezwania treuhändera, ten jednak urządził sobie biuro w pokoju przy wejściu i ledwie przeszło się dwa kroki pałacowym korytarzem, żołnierz popychał w półotwarte drzwi, rozejrzeć się nie było sposobu, zresztą kto miałby ochotę się rozglądać, skoro zaraz po zdaniu raportu z jakiejś pracy, wysłuchaniu wrzasków treuhändera i zarobieniu pręgi na policzku wylatywało się za drzwi. Teraz po raz pierwszy od sierpnia ojciec wszedł głębiej, do innego biura, większego. Żołnierz przeszturczał go lufą karabinu przez korytarz i kilka sal i ojciec ujrzał, że tamta zdejmicielska robota, przeredzanie hrabiowskiej kolekcji, wciąż trwa, ale już nie po to, by ją ukrywać, przeciwnie, pakowano wszystko do teczek, toreb, waliz, kufrów, skrzynek, worków, nawet kieszeni,

i wywożono, z każdą wizytą eleganckich gości, przejazdem oficerów czy kreishauptmanna, po każdym balu przy muzyce z patefonu. Pałac zachował jeszcze resztkę świeżości po sierpniowym malowaniu, ale pustota rozpełzła się naokoło białym liszajem, upstrzonym gdzieś tam plamami po winie, rozbitym o parkiet kryształem, rozstrzelanym żyrandolem, śladem podeszwy na ścianie. W pokojach niby panował porządek, lecz tylko aby-aby, dźwignięty ze stanu rozsypki i rozgrabienia, brakowało tylko jeszcze, by czyjś dreck leżał w kącie za zasłoną. Zaraz przy wejściu stały spore skrzynie czekające na dopchnięcie, zabicie gwoźdźmi i wtaszczenie do samochodów, wypełnione mniejszymi obrazami, kompletami porcelany, rzeźbami, zegarami, figurkami. Ojciec pamiętał te rzeczy, była to część pozorowanego wystroju pałacu, w przecuciach hrabiego oddanego na złupienie, i rzeczywiście miała zostać złupiona, najwyraźniej oficer lub cywile nie tylko zamierzali obdzielać gości prezentami, lecz także postanowili urządzić po pańsku siedziby własne lub wyższych dostojników, w Wierzbńcu, Opatowie, Sandomierzu, Puławach, Warszawie, Krakowie, Berlinie, gdziekolwiek je mieli.

W dużym pokoju, skąpo już zastawionym meblami i obwieszonym obrazami znacznie skąpiej, niż pamiętał ojciec, treuhänder siedział obok czarnego biurka. W wytwornym fotelu pod ścianą mościł się oficer z cygarem w dłoni, z boku obaj cywile i tłumacz, pośrodku na krześle z bordowym obiciem sztywnił się hrabia. Między oficerem, hrabią i cywilami toczyła się rozmowa po wierzchu malowana wielkopańską i profesorską elegancją, od czasu do czasu rozpękająca się i błyskająca w tych pęknięciach gniewem i wrogością, po chwili zalepiająca się od nowa. Rozmawiano głównie po niemiecku, ojciec wtedy nie rozumiał ani słowa, od czasu do czasu profesor lub oficer przechodzili na inne języki, francuski, włoski, może po to, by zbić z tropu hrabiego, lecz hrabia za każdym razem odpowiadał płynnie, nie zważał, że nastąpiła jakaś zmiana, a co ciekawe, wcale też nie zważał na to tłumacz, z każdego języka bez zająknięcia przekładał wszystko na niemiecki, czasem także, w nielicznych razach, gdy pytanie skierowano do ojca, na polski. Krążyła więc sobie ta uprzejmo-wściekła kilkujęyczna rozmowa, hrabia siedział niewygodnie, pocił się, głos mu się łamał, odpowiadał jednak godnie i dumnie, czasem wpadał w gniew, ciskał nazwiskami, niemieckimi, włoskimi, wskazywał portrety wiszące na ścianach i ojciec domyślił się, że te bure obrazy zostały tu z myślą o takim pokazie, że hrabia wzywa na niemą pomoc swoich powinowatych z niemieckich i włoskich rodów, ponoć naprawdę wysokich, książęcych. W końcu oficer uciszył hrabiego grzecznym gestem i dał znak treuhänderowi, a ten spytał ojca łamaną polszczyzną, usłużnie przełożoną na polski przez

tłumacza: znasz piwnice pałacowe? Ojciec pokręcił głową, a gdy ręka treuhändera zacisnęła się na szpicrucie leżącej na biurku, odparł: nie, Herr Direktor. Ponoć właśnie ty znasz je najlepiej. Nie, Herr Direktor, jestem tylko ogrodnikiem. Znasz więc oranżerię? Tak, Herr Direktor. Pokażesz nam wszystko. Tak, Herr Direktor. W tym momencie hrabia zapragnął chyba wezwać na pomoc także jego, świadka lichszego niż książęta z portretów, bo rzekł po polsku tonem dobitnym i niecierpliwym: ordynacja jest w ruinie. Nie mam nic prócz długów. Macie to czarno na białym w księgach rachunkowych. Większość zbiorów sprzedałem na licytacjach. Co miałem najcenniejsze, rozgrabiliście w Warszawie. Niemal splunął z bezbrzeżną pogardą: zwycięzcy. Tłumacz przeschekał to na niemiecki. Ojciec gorliwie potakiwał każdemu słowu. Na wzmiankę o długach treuhänder zaśmiał się, a gdy hrabia umilkł, rozjazgotał się przez chwilę, powtórzył też słowa, które ojciec już znał, padały z ust treuhändera prawie codziennie, ilekroć wyruszył na obchód folwarku, dopadł kogoś z robotników i znalazł pretekst, choćby w kiepskiej pogodzie, własnej niestrawności czy zgadze, by zamachnąć się szpicrutą. Wrzeszczał wtedy łamaną polszczyzną, że kiedyś nauczy ich pracować, tępych, leniwych robotników, bo jak dotąd widzi dokoła tylko polnische wirtschaft. Gdy teraz zakończył tak samo, hrabia spojrzał na oficera i pokazał na treuhändera gestem mówiącym pewnie: ucisz, odpraw tego prostaka, tego chama.

Oficer bez słowa uciął rozmowę. Wstał, skinął głową dwóm żołnierzom stojącym przy drzwiach, skłonił się chłodno hrabiemu i wyszedł. Żołnierze machnęli lufami karabinów na ojca. Hrabia podniósł się ciężko. Gdy ojciec mijał biurko, treuhänder nawet nie wstał, prawie nie zrobił ruchu, tylko samą chyba myślą, samą chęcią, zastępującą mu gesty rąk, smagnął go szpicrutą przez plecy. Ojciec skłonił się jak zawsze w takich razach i ruszyli. Przeszukali od nowa cały pałac, piwnicę, poddasze, wieżę, stajnie, stodoły z sianem dla koni, nielicznych, hrabia w sierpniu przezornie pozbył się ulubionych wierzchowców, zostawił tylko te najmniej okazałe, potwierdzające upadek majątku, potem przeszperali cały folwark, dwojaki, piwnicę i strych oficyny, rządówkę, nawet pokój hrabiego, do którego wszedł tylko hrabia i oficer, oraz calutką oranżerię, łącznie z piwnicą. Hrabia chodził roznerwiony swoją wielkopańską urazą, która jak myślał Stefan, wysłuchawszy opowieści ojca, łączyła w sobie gniew szczerzy z udawanym, a też na pewno podlana była wyrzutem, że dla spraw może daremnych ściągnął ten rozbój, tę udrękę, ten dopust. Piwnicę, jak wszystkie inne miejsca, żołnierze dokładnie obejrzel, opukiwali mury kolbami, szukali świeżych, rozdrapali nawet maskowanie na pierwszej, zewnętrznej ścianie wymurowanej przez mistrzów z miasta, ale znaleźli pod nim tylko stareńkie cegły, jakież by inne,

oszukańcy nie zbudowali przecież tych murów z nowych cegieł. Stukot kolb brzmiał płytko, bez głębszego echa. Oficer stał nieporuszony i wydawał żołnierzom jakieś polecenia, a tamci, opowiadał potem ojciec, wypełniali je, nim zdążył dokończyć. Nagle na jego gest jedna z kolb grzmotnęła ojca w bok. Osunął się na posadzkę, pod same nogi oficera. Czarny but uniósł się, przesłonił światło lampy. Ojciec przekręcił głowę, wrył usta w pył, zacisnął powieki, a gdy oficer warknął coś raz, drugi, domyślił się, że chce widzieć jego twarz, mieć ją dokładnie pod butem, i obrócił ją z powrotem ku górze. Poczł, że robi mu się mokro w spodniach. Oficer warknął znowu, może zaklął, może coś mu kazał, ale ojciec z czarnym niebem jego buta nad oczyma, którymi i tak prawie nie widział, bo razem ze łzami spływały mu w ceglany pył, nie mógł zrobić nic, skomlił tylko cicho daremną modlitwę. Potem dotarły do niego dwa głosy, które od dłuższej chwili wypełniały piwniczny przedsionek, drżący i błagalny hrabiego oraz cięty i jasny tłumacza, powtarzający w kółko identyczne warknięcia oficera: będziesz nam tu szukał, aż znajdziesz.

Czarne niebo w końcu ustąpiło i przez łzy ojciec ujrzał, że jeden z żołnierzy mierzy w niego z karabinu, a drugi nieznużenie szura ręką po ścianach, węszy w kątach. Cywile zniknęli, pewnie niepostrzeżenie wymknęli się na górę. Po chwili zgiełk ucichł nagle, ucięty chyba jakimś niezauważalnym gestem oficera, bo raczej nie samym krzykiem hrabiego, coraz płaczliwszym, bezradnym, błagającym o litość, i ojciec pomyślał sobie, że to koniec, nie, że koniec nastąpił już wcześniej, że wydałby hrabiego i jego skarby, gdyby tylko nie zakrztusił się pyłem i szlochem, i gdyby ręk, którymi mógł wskazać oszukańczy mur, nie przyciskał do boku, gdzie kolba grzmotnęła go tak mocno, że stracił dech do wypowiedzenia tego jednego słowa, siłę do wykonania tego jednego ruchu.

Harcownicy

Bracia z ojcem od rana siali owies i jęczmień, bronowali, jemu przypadła warta na wzgórzu. Kulił się pod kępą leszczyny, opatulał przed chłościami kwietniowego ziąbu. Nie siadł, kucnął tylko, by nie dotknąć tyłkiem tającej dopiero ziemi. Odliczał tygodnie do końca przednówka, do pierwszych zbiorów. Była pora marnego słońca, błotny czas, myśli lepiły się do kubka gorącego mleka, ukradkowych liźnięć śmietany, krążyły wokół twardych kromek upieczonego przed dziesięciu dniami chleba, pozieleniałych resztek wielkanocnej kiełbasy trzymany do niedzielnego żuru. Wyciągnął z kieszeni ręce, patrzył w nie, żłobione czarno, beczynne. Czekał na wieczór, który miał być długi, wcięty szaro w przestrzeń zajmowaną do niedawna przez noc, ale jemu też trochę jakoś zbędny, skoro dawał wytchnienie nie od polowej roboty, tylko od stróżowania chyłkiem nad drogą.

Spomiędzy siniejącego coraz ciemniej nieba i rozcarniałych, chłodnych pól błysnęła smuga zmięzchu. Słońce znalazło wąską szczelinę pod pokrywą chmur, nad samym skrajem ziemi, rozlało się w niej. Horyzont płonął, przetapiał się z żółci w miedzianą czerwień. On zmrużył oczy, zapatrzył się, zdawało mu się, że też zasłuchał, bo cisza była niemożliwa, to nie do wiary, że ten ogień lał się bezgłośnie, bez huku płomieni, trzasku walącego się lasu. Zastonił uszy dłońmi i wtedy usłyszał to wszystko.

Ocknęło go ojcowe: hejta! gdzieś za pagórem i jeszcze jakiś dźwięk, sam nie wiedział skąd. Wychylił się zza leszczyny. Fura z bronami i przykucniętymi braćmi toczyła się przez koleiny. Wstał, poczekał, aż go zobaczą, i machnął w stronę domu. Ojciec odmachnął mu. On obrócił się wtedy ku drodze i zamarł. Od mostu drogą kolebał się samochód. Zbiegł przez krzaki ze wzgórza, popędził w stronę wozu, machał do ojca, już nie umówionym znakiem, tylko spieszenie, z przestachem, by tylko zobaczyć. Ojciec trzasnął lejcami, koń ruszył kłusem, pociągnął szybciej furę. Bracia podskakiwali przy bronach.

Gdy wpadł na podwórze, matka wyprowadziła już krowę z obory, jeden z braci ciągnął kozę, oboje pędzili hen za gospodarstwo, ojciec biegł z rowerem w stronę stodoły. Łap maszynę do szycia, zawołał do niego, chowaj do piwnicy! Zdyszany wbiegł do domu. Chwycił maszynę, zaczął szurać nią w stronę wyjścia, ale zza okien usłyszał już samochód. Zagryzł wargę, ciągnął maszynę dalej, lecz utknęła na progu. Samochód ucichł, z podwórza dobiegły głosy. Ojciec zdążył wrócić do chałupy i rzucić przez ramię: tyleś, cholero, miał na głowie, by drogi pilnować,

aś mi sekwestраторów dopuścił. Zza pleców ojca ujrzął trzech gładkich w marynarkach, weszli jak po swoje. Znał ich. Ściągali podatki, kontyngenty. Zabierali zboże, mleko, pieniądze. Tacy ponoć chodzili po wioskach przed wojną. Po wojnie przez jakiś czas ich nie było. Od dwóch lat podatki były takie, że drobniejsi chłopci nie dawali już rady. Popatrzył na swoje bezczynne ręce, na stare buty ulepione z błota.

Jeden od razu poszedł do obory. Wywlekli, schowali!, zawołał. Drugi, wielki człowiek grzmot, stanął przy studni, palił papierosa. Wołajcie swoją, niech przyprowdzi krowę z lasu, powiedział trzeci, możecie jeszcze wydoić i nawet zatrzymać udój. Potem zabieramy. Ojciec nie ruszył się z progu. Do zderzaka uwiążesz?, warknął. Do furmanki, padła odpowiedź, ją też zabieramy. I konia. Od pół roku nie płacicie podatków. A z czego mam płacić, skoro z sześciu hektarów każecie oddać prawie trzydzieści kwintali zboża? Jak kto ma choćby dziesięć hektarów, to już kułak, już go gnębiecie, a jak nie kułak, to co, będziecie cisnąć, póki nie zdechnie? Przecież znacie sposób, żeby przeżyć, odparł tamten. Pół wsi już poznało. A wy nie i nie. Do kołchozu się nie zapiszę. Spółdzielnia to nie kołchoz. Stalin umarł miesiąc temu, kołchozy i tak wam nie grożą, a po co wam ta ziemia? Sami mówicie, że mało i marna. W spółdzielni dostaniecie traktor z ośrodka maszynowego, młockarnię, nawozy. Teraz tak trzeba. Razem, dla państwa. A niby co mi państwo dało? Ziemię wam dało. Więcej, niż tamście mieli na wschodzie. Gdyby nie państwo, zwłaszcza nie nasze, tylko tamto drugie, w ogóle nie musiałbym ze wschodu wyjeżdżać. Ta, i do końca życia byście pod strzechą, przy nafcie siedzieli, a srać chodzili za stodołę. Kto wam chałupę murowaną dał, z drewnianą podłogą, z dachówką, kto oborę murowaną, pole? Nikt, po Niemcach zostały. A kto Niemców przepędził? Masz gadane, burknął ojciec. Właśnie na tym wasz wszawy interes stoi, że kto ma gadane, idzie do partii i potem jeździ w krawacie, z białymi rękoma, i gnębi ludzi, a kto ma tyrać, ten tyra i jeszcze po dupie dostaje. Słuchajcie, nie chce mi się na was języka strzępić. Mam glejt, żeby tu, teraz, zabrać wam krowę, konia, furmankę i co tam jeszcze znajdę, więc nie pyskujcie. A jak będziecie pyskować i nadal oddawać mniej zboża, niż trzeba, pójdziecie do obozu. Lub któryś z waszych chłopaków. Pozwolimy wam wybrać, który. Ale wolę po dobroci, bo sam z biedy wyszedłem, biedę znam. Jest tu niedaleko taki, co jeszcze gorzej niż wy się opiera, a to już prawdziwy kułak, napasiony, aż ziarno z sieczką miesza, by tylko nie oddać w kontyngent. Nie udawajcie, że nie znacie, pańszczyznę mu chodźcie odrabiać, myślicie, że nie wiem? No więc jest tak, że będziemy robić nowy podział ziemi między spółdzielnię a pegeerem. I jemu przesuniemy troszkę. Kawaleczek, na górki, żeby miał dalej,

glebę piaszczystą, a dojazd po kamieniach. A wam damy jego łąkę. Tę tutaj, niedaleko, pod lasem, ładną. Prawie pod domem. Po diabła mi łąka, skoro chcesz mi krowę zabrać? Aa, właśnie w tym sęk, że jak się zgodzicie i pomożecie utrzyć tamtemu nochala, to nic wam nie zabiorę. Jeszcze przez pół roku. W spółdzielni pomału odkujecie się na dniówkach. Przynajmniej częściowo. A jak wódkę postawicie, to resztę możemy rozłożyć na raty. Więc jak? Dobrzyśmy tam w partii czy źli?

Ojciec stał dłuższą chwilę bez ruchu. Człowiek grzmot palił spokojnie, wbity w siebie, niemy. Drugi chodził wolnym krokiem po obejściu, przyglądał się kurom, bronom, koniowi. Dużoście od niego dobrego zaznali?, spytał gadany. Wdzięczniście mu za co? Dobrze wam płaci za odrodek? Teraz już takich porządków ma nie być. Nie lepiej pracować na wspólnym niż na cudzym? Tak się nie robi, powiedział ojciec. A w czym jego zasługa, spytał gadany, że ma więcej ziemi? Wcześniej przyjechał, mruknął ojciec, z centrali miał bliżej, może się krócej namyślał, może w urzędzie mu tyle przypisali, nie wiem. Się ułożyło. Aa, czyli wychodzi na to, że miał szczęście, a wy pecha. Może i tak, nie mam czasu się zastanawiać nad szczęściami i pechami. Na moje oko to jednak macie pecha. Długo was jeszcze taki pech będzie dręczyć? Nie wiem. Póki Niemcy nie wrócą i nie odbiorą. Gadany zaśmiał się. Nie wrócą, kochany, nie wrócą. Głupia propaganda. Wasza propaganda. Nie, nie nasza. My prawdę mówimy. Ja tu prawdę mówię jak człowiek. Podaję wam rękę jak biedny biednemu. Znad Buga jestem. Banderowską zarazę poznałem. Nie bójcie się. Musimy się trzymać razem. My, spod strzech. No, jak? Wódeczkę macie? Bo jak nie, ja w teczce mam.

Poszła wódka z teczki i butelka samogonu, pod kiszone ogórki i resztę kiełbasy ze strychu. Ojciec dał mu znak, by wyszedł z domu. Pętał się koło studni. Człowiek grzmot stał przy samochodzie, palił cierpliwie. Drugi pił z gadanym i z ojcem. Gdy zapadła ciemność, od strony lasu nadeszła cichutko matka, zwinięty łańcuch ścisnęła w rękach, żeby nie brzęczał. Kiwnął jej głową, by się nie bała. Co robią?, spytała, gdy już wprowadziła krowę do obory. Pokazał na okno.

Spotkał go parę dni później. Wiedział, że tak się stanie i co się stanie, gdy się stanie. Szukali go, wyczuł to, szli drogą w pięciu, sześciu, rozglądali się. Wracał znad rzeki z wędką, którą zimą wystrugał sobie z leszczyny, porządną, z prawdziwą żyłką. Na jego widok zwolnili kroku. Nie uciekał, nie było po co. Gdyby nie złapali go dziś, to jutro, za tydzień. Pomyślał o braciach. Do domu miał niedaleko, może usłyszeliby jego krzyk, o ile nie byli w polu.

Złowiona płotka zatrzepotała w siatce. Nie wołaj, powiedział tamten, nie warto. Skórę miał jeszcze białą po zimie, piegi rozmiękłe w tej bieli. Przypomniawszy sobie, jak kiedyś bawili się w króla Lula. Otoczyli go.

Do rzeki z nim?, spytał któryś. Hołota, mówili spokojnie. Tępak. Niemowa. Szpieg. Kołchożnik. Pacholek. Ciujstwo. Gnida. Kmiot. Ukrainiec. Przybłęda. Żebrak. Bandera. Przygłup. Rusek. Kutas. Ćwok. Bandera. Lump. Bydlę. Pydoł. Kmiot. Bandera. Świnia. Ćwok. Bandera. Cicho, powiedział dawny Lul. Wpieprzymy mu?, spytał któryś. Wpieprzymy, powiedział inny. Albo wpieprz ty. Twoje prawo. Wpieprz banderze. Zakop go żywcem na tej ich wycyganionej łące. Wrzaski tężały, rozkręcały się kołowrotem, czuł, że zagarniają go, że traci równowagę. Któryś zabrał mu siatkę z rybami, rozmachał się nią nad głową, puścił, poleciała w świeżą trawę. Inny wyrwał wędkę, złamał ją, chwycił go od tyłu i wetknął mu ją w zęby, potem uderzył od dołu pod brodę, aż zęby wbiły mu się w leszczynę, żyłkę i wargę. Splunął krwią. Nie ruszał się z miejsca, nie bronił, czekał. No dalej z nim, mówili. Zdawało mu się, że krążą naokoło niego, ale nie, stali twardo, to tylko strach zataczał mu koła wokół głowy. Dalej, no! Lul milczał. Dalej, twoje prawo mu wpieprzyć. Jego braciszków się spietrałeś? Nic ci nie zrobią, gmyroły. Powyżej gnoju i bruzdy nie podnoszą głów. No dalej, nie będziemy tu stać i gapić się na ćwoka. Banderowca. Kmiota. Cicho, powiedział Lul. Nie wasza sprawa. Właśnie że nasza. Myśmy świadkami. Tchórzysz. Jeden złapał go od tyłu za spodnie, szarpnął w dół. On obrócił się, pierwszy ruch, jaki zrobił do tej pory, chwycił go za rękę, wykręcił. Zabiję go, warknął tamten do Lula, uderzony pies. Jak nie ty, to ja go zabiję. Dalej!, jęknął któryś inny. Wpieprz mu, tchórze! Cicho!, wrzasnął Lul. Zdjął kaszkiet, rzucił w trawę. Odstąpili dwa kroki w tył.

Lul nie odezwał się słowem. Wyższy o głowę, przyglądał mu się z góry. On patrzył w Lulowe oczy. Szukał w nich tego, co miało być za chwilę, za dzień, za rok. Błysków w oczach od ciosów w tył głowy, bulwiastego pulsowania od trzaśnięć w nos, braku tchu od kopnięć w brzuch, słoności krwi na języku, chrzęstu wyrywanych włosów, żmudy bez końca, szarej walki bez zmierzchu, niskiego nieba, słońca bez serca, matki o krok, braci o dwa, ojca o trzy, bosego klepania po pagórkach od rana do rana, nagłej łuny wśród nocy, pieca, w którym pali się gniewem. Ruch był wszystkim, więc ruszył. Lul uśmiechnął się i postąpił naprzód, schylony, uniósł pięści. On szurnął w bok, zamarkował cios z lewej, a gdy Lul się zasłonił, walnął go pod żebra, w sam środek. Lul stęknął. Pozostali zachłysłeni się jękiem. Ktoś rzucił się naprzód, chciał chwycić

zwycięską pięść, ale powstrzymali go. Lul, ciągle jeszcze bez tchu, machnął raz, drugi, na ślepo. Nidoschnięte błoto ciamkało mu pod prawie nowymi butami. Miał znacznie dłuższe ręce, on musiał więc gwałtownie odskoczyć w tył, stracił sporo siły na ten ruch, zachwiał się, ale zdołał wymknąć się poza ich zasięg. Potem uderzył z trudem, zdołał trącić Lula w ramię. Lul zamachnął się głową i trafił, niedokładnie, ale trafił, trzasnął go w skraj ciemienia. Horyzont zakołysał się, ściana lasu wsunęła się na chwilę za pola. Błysnęło słońce. Splunął Lulowi w twarz. Gnida!, krzyknął któryś. Zabij go za to. Obrócił się do niego, zmarszczył nos, obnażył zęby. Lul natarł, chwycił go za kołnierz, grzmotnął nisko, ale ból i wstyd już mąciły mu ruchy. On był gotów na to uderzenie, zdążył w porę napiąć brzuch, zmienić w kamień. Słyszał wyzwiska sypiące się do środka koła, daremne ciosy, nie, nie ciosy, ledwie prztyczki, splunięcia pod wiatr. Bił Lula. Czasem też dostawał, to w głowę, to w pierś, ale walka przewalała się już, ciężka, rozsapana, na jego stronę. Lul zaczynał szlochać. Krwawił z nosa, puchła mu brew. On zrobił w końcu jedną stopą wykrok do przodu, aż za nogi Lula, potem pchnął go całym ciałem, rąbnął głową. Tamten próbował zrobić krok do tyłu, ale potknął się o tę stopę, runął. On rzucił się za nim, jedną ręką przycisnął mu głowę, drugą wbił w zaorany grunt, wyszarpnął garść mokrej ziemi, pacnął mu nią w twarz, roztarł po czole, policzkach, piegach na nosie, jasnych włosach. Dość!, krzyknął któryś. Skończyłeś.

Odskoczył od Lula. Łapczywie chwycił resztki tchu. Przed oczyma łopotał mu mrok, przez długą chwilę wynurzał się z jakiejś ciemnej materii, z podziemnego śluzu. Z trudem przypomniał sobie o walce. Targnął się naprzód, okręcił się dokoła na pięcie z wzniesionym ramieniem, potoczył wzrokiem, gotów bić się dalej, ale nie, reszta stała bez ruchu. Skończył. Skądś, z dali, dobiegło warczenie. Po chwili zorientował się, że to on powarkuje, jednostajnie, bez złości, nie miał pojęcia, jak długo. Lul leżał wtulony w bruzdę, przykryty bladym niebem, płakał. Pomyślał sobie, że starczyłaby jedna łza, by się z nim zbratać, ale oczy odmówiły mu łez, reguły walki odmówiły przegranej, więc nachylił się nad Lulem, poczekał, aż zatrzyma się na nim rozmyty wzrok pokonanego, i zbratał się z nim gniewnym pogrożeniem pięścią.

Hrabia

Gdy tamtego przedostatniego dnia Stefan zamyślił się nad słowami hrabiego i wydały mu się znakiem, że hrabia traci rozum, a przynajmniej osuwa się w rozpacz bez powrotu, co zresztą na jedno wychodziło, w ich drzeniu usłyszał też zapowiedź śmierci, co od czterech lat również wychodziło na jedno. Hrabia wytrącił się nimi z folwarcznego gwaru, który wrzał obok nieustannie, gorączkowo, napędzany szpicrutą treuhändera, nieprzeniknioną obecnością oficera i nieufnymi spojrzeniami żołnierzy, oraz z własnego bezruchu i milczenia, godnych bardziej postaci z obrazów niż możnego, choć nie wolnego już pana. Nie wpuszczano go więcej ani nie wzywano do pałacu. Wypłacano mu lichą pensję równą pensji zarządcy i naciskano, by usunął się z majątku, który i tak już nie należał do niego, by opuścił Bolechów i wyjechał do Warszawy, gdzie łaskawie miano oddać mu kilka pokoi w pałacu, by pozwolił gospodarzyć treuhänderowi, nowocześniej niż dotąd, bez certolenia się z siłą roboczą, wymienną przecież jak kosy, sierpy, motyki czy podwórzowe psy. Hrabia na przekór naleganiom pozostał w majątku, po raz pierwszy od lat spędził w nim zimę, potem drugą, trzecią, wreszcie czwartą, trząśł się i kulił w pokoju rządcówki, ale trwał nieugięty. Kiedyś przyjechał bardzo wytworny cywil i był to ostatni raz, gdy hrabiemu pozwolono odegrać rolę gospodarza. Podjął gościa wykwinłą kolacją, prosiakiem z nie swoich już chlewów, winem z nie dopitych jeszcze, nie rozbitych po ścianach zapasów z nie swoich już piwnic, i do nocy rozmawiali w towarzystwie oficera, ponoć znów w kilku językach, jak kiedyś przy profesorach. Rano gość poprosił oficera na krótką, cichą rozmowę, rozłożył bezradnie ręce i odjechał, żegnany zamaszystym salutem. Był to ponoć jeden z niemieckich baronów, którego portret, czy może portret jego ojca, wisiał w pustawym pałacu. Od tamtej pory naciski, nalegania, apele i prośby ustały. Kłaniano się hrabiemu, rzecz jasna, w tych rzadkich razach, gdy wyszedł z rządcówki i ciężkim krokiem spacerował bez celu po alejach, ale wyczuwało się, że przestał być zawadą, folwark toczył się obok niego, mimo niego. Treuhänder pilnował się tylko, by nie bić fornali w jego obecności. Hrabia skarżył się na niego, najpierw ustnie do oficera, co ten przyjmował z grzeczną troską, czasem nawet posyłał po treuhändera i rugał go, a gdy nic się nie zmieniał i hrabia domyślił się, że to rugania na pokaz, zaczął pisać listy do opatowskiego kreishauptmanna. Po wojnie zarządca opowiedział o tym ojcu Stefana i gdy przejrzeni papiery po hrabim, w biurku znaleźli odpisy tych memoriałów. Wspaniała jaśniepańska kaligrafia była tylko lekko trącona drzeniem ręki, a gdy Stefan po latach

nauczył się niemieckiego, z mozołem i zachwytem odczytywał te tyrady, w których pękaty prostaczek ze szpicrutą stawał się znakiem upadku wspaniałego narodu niemieckiego i zapowiedzią jego klęski. Te listy były ostatnimi błyskami hrabiowskiej woli, a uprzejme odpowiedzi z Opatowa potwierdzały, że nie znaczą nic, są tylko tym, czym są, przelotnymi błyskami w niekończący się trupi dzień.

Dlatego Stefan, choć o wielu tych rzeczach dowiedział się dopiero po latach, widział i słyszał na tyle dużo, by w słowach hrabiego usłyszeć śmierć. Może hrabia dawał znak, że mu grożą, ale chyba nie, sprawiał wrażenie, że taką groźbę przyjąłby z rezygnacją, tą samą, która dławiła go od lat, jeszcze przed najazdem, może od tej nieokreślonej chwili, gdy pogodził się, że umrze bezpotomnie, ostatni ordynat, i nie wynagrodzi mu tego praca w towarzystwach, fundowanie bibliotek ani kolekcjonowanie sztuki, rzeczy tak zajmujące, że dla nich pozwolił poprzedniemu zarządcy pogрузić majątek w długach, dławiła go od lat wraz z przecuciem wychwyconym z zachodniego powietrza, drżenia ziemi, lektur gazet i książek. Stefan przeląkł się, że gdyby hrabiego zabrakło, na straży tamtej sierpniowej roboty zostaliby tylko on, ojciec i paru robotników, a jak mu się zdawało, tylko osoba hrabiego sprawiała, że nikt jeszcze sekretu nie wydał. Pamiętał, co na początku wojny przez długie miesiące działo się w pałacu i parku: grabieże, rozkopywanie pagórków, sponiewieranie ojca w oranżeryjnej piwnicy. Szukania dawno zaprzestano, pałac prawie doszczętnie rozdrapano, cokolwiek miało wartość czy choć wygląd dzieła sztuki, dawno wyjechało w kufrach oficera, jego gości i cywilów w okularach, jednak główne hrabiowskie zbiory unosiły się między istnieniem i nieistnieniem, podejrzaniem, pewnością i zwątpieniem, były i nie były zarazem, i to bycie nie bycie czekało, aż ktoś przechyli je w którąś stronę, raczej bycia, bo jak można udowodnić, że czegoś nie ma?

Ta myśl przycichła, gdy minął treuhändera, a chwilę później ojciec został wezwany do pałacu i wrócił co prawda z pręgą na twarzy, ale nie zająknął się nawet o ukrytych zbiorach. Folwark radził sobie już nieźle, treuhänder wyprowadził go z długów i teraz pozostawiał pręgi na twarzach nie ze złości, że zrujnowano przyzwoity majątek, lecz dla przypomnienia, że z tej ruiny nie wyciągnęła go polnische wirtschaft, ale jego gospodarowanie. Następnego dnia nie był więc wyjątkowo niełaskawy, gdy wyszedł z pałacu, jak zawsze z samego rana, wziął konia i chciał jechać w pole doglądać siania poplonu, już czwartego od tamtego lata, gdy Stefan z ojcem wypełniali piwnicę oranżerii, może najwyżej skołowany od samogonu, którym poprzedniego wieczoru jacyś gospodarze ze wsi opłacili sobie jego pobłażliwość, a może nawet życie, jeśli

odkrył, że potajemnie hodują świniaka, może więc tylko przez to skołowanie wpadł w złość, gdy zobaczył fornala zbyt pomału maszerującego na pole. Humor treuhändera nie miał chyba jednak żadnego znaczenia, bo razem z nim szedł oficer trupia główka, który przyjechał dzień wcześniej, co latem robił dość często, lecz tym razem jakiś poruszony, a do tego nie limuzyną, jak zawsze, tylko niewielką ciężarówką z zupełnie pustą paką. Więc jednak uparł się, że znajdzie, myślał potem Stefan. Musiało to mieć związek z wieściami, które pod koniec zniw zaczęły docierać ze wschodu, ponoć pierwszymi od początku wojny złymi wieściami dla treuhänderów, trupich główek, żandarmów i wartowników.

Tak czy owak gdy rano usłyszeli wrzask treuhändera i wybiegli z ojcem przed oficynę, Stefan przodem, ojciec z garścią zaciśniętą na jego rękawie, gotów w razie czego wciągnąć go za węgiel, za drzewo, a choćby i w rów, ujrzeli scenę niemożliwą, tak zakazaną, że może całe to późniejsze rysowanie hrabiego w niewinnej, ledwie tylko przygiętej starością i rezygnacją pozie służyło temu, by ją zamazać. Na ścieżce między stacją i stawem, niedaleko oranżerii, stał treuhänder i smagał szpicrutą fornala. Chłop składał się wpół, ale Karl chłostał go, szast, chlast, i wrzeszczał nieubłaganie, nurzał go w mieszanym polsko-niemieckim klątewisku. Parę kroków dalej, przy swojej ciężarówce, stał oficer, po czarnemu spokojny. Nagle spomiędzy stajennych zabudowań wybiegł, naprawdę wybiegł, Stefan widział to po raz pierwszy w życiu, rozkuśtykany hrabia. Karl!, wrzasnął pękniętym głosem. Karl! Dopadł go i uniósł laskę. Powtarzał: nie będziesz! i chyba też: mój człowiek, nie twój! Laska rymnęła treuhändera w głowę, zmiotła czapkę, lunęła w twarz, po ramionach, po plecach, wreszcie pękła na pół, odłamany koniec stuknął go jeszcze w bok głowy i przepadł w trawie. Karl kucnął obok zbitego fornala, obaj skulili się, zasłonili twarze, skrwawieni. Oficer przyglądał się temu w milczeniu, z rękoma zatkniętymi za pasek, ale gdy hrabia odskoczył do tyłu i wygrażał jeszcze złamaną laską, powiedział coś spokojnie, dobitnie. Hrabia odkrzyknął wściekle po niemiecku. Oficer pokręcił głową. Patrzył obojętnie na Karla, który podnosił się mozolnie, ocierał krew, wydobywał z siebie szczątki treuhänderskiej godności. Gdy hrabia w końcu zachłysnął się gniewem i zaczął łapczywie chwycić powietrze, wskazał na fornala, powiedział coś. Fornal oderwał ręce od uszu, wstał chwiejnie, ale pospiesznie, stanął na baczność, garbowany słońcem, chłaśnięty czerwienią po twarzy. Oficer odpiął kaburę i wyciągnął pistolet, znów zagadał do hrabiego. Hrabia wciąż się nie ruszał, zeszywniały po swoim wybuchu, jakiego nie przeżył może jeszcze nigdy w życiu, oszołomiony, że właśnie obił treuhändera, zniszczył sobie laskę z główką w kształcie ptaka

nielota, a co najgorsze, tym obiciem być może przekroczył granicę, do której zbliżał się swoim kilkuletnim uporem, i komuś przyjdzie za to zapłacić.

Nie ruszył się nawet wtedy, gdy Karl, który tymczasem opanował się, przyglądał garnitur i otarł krew z oczu, podniósł ze ścieżki upuszczoną szpicrutę i zamierzył się na niego. Oficer ruchem ręki zmienił go w kamień. Potem znów powiedział coś do hrabiego i przyłożył fernalowi pistolet do głowy. Hrabia nie poruszył się. Stefan zadrżał. Ojciec z trudem utrzymał go za pniem wielkiej akacji przesłaniającej wejście do oficyny. Chciał wciągnąć go do środka, bo widział już kiedyś pistolet w ręku trupiej główki, w zeszłym roku, gdy poszła wieść, że w wiosce mogą ukrywać się partyzanci, i wiedział, że takie zdarzenia nie mogą mieć zwykłych świadków, najwyżej takich umyślnie pozostawionych przy życiu, a kto próbuje świadczyć im na własną rękę, nie pożyje długo, bo one zagarniają w odmet, gdyby więc mógł ukradkiem wciągnąć Stefana z powrotem do oficyny, zrobiłby to, ale Stefan spiął się i zaparł, przywarł do żłobionego pnia. Hrabia powiedział coś jeszcze ciszej niż do tej pory, rozmowa i tak była niezrozumiała, po niemiecku, teraz jednak nie było słychać zupełnie nic, zadrgał tylko srebrny wąs, głowa przechyliła się lekko, a także, dostrzegł Stefan, drgnęła ręka zaciśnięta na główce nielota. Ramię hrabiego uniosło się bez słowa, bez krzyku, złamana laska śmignęła w stronę oficera, ale ten nie uchylił się, nie odstąpił do tyłu, rozległo się tylko płaskie tach! i fernal odpadł nagle od lufy pistoletu, głowa majtnęła mu się w bok, nogi złożyły się zygzakiem w trawę. Hrabia stał chwilę, godzinę, pół dnia, wieczność, z laską zastygłą w powietrzu, po czym ręka oficera, kierowana chyba własnym tylko namysłem, wahnęła się w bok i znów rozległo się tach!

Wesele

Ojciec zarzekał się, że na wesele nie pójdzie, choć gdy ustrojona bryczka zatrzymała się przed ich domem, nie odezwał się, przyjął zaprosiny w milczeniu. On widział zza okna, jak uśmiecha się blado, odkłania. Lul w czapie i ludowym stroju, ponoć łowickim, bo stamtąd pochodził, siedział na koźle ze swoją, podobnie rozbarwioną, oboje uśmiechniętymi. Ojciec wspominał niedawno o tej bryczce. Została ponoć po niemieckim wójcie, przez ostatnie lata rozsychała się w garażu ośrodka maszynowego. Gdy miesiąc temu zamknięto spółdzielnię, z marnym plonem, polami na poły zmienionymi w ugory, popsutymi traktorami, rozgrabioną, rozwaloną lenistwem, pijaństwem, i oddawano ludziom poniszczony maszyny, przyjechał ojciec Lula i obejrzał sobie wszystko. Traktor chcesz kupić?, spytał ktoś, pokazał na odrapane lanzy bulldogi i ursusy, kominiaste, na metalowych kołach. Przecie mam, powiedział, nowszy. Z waszego kołchozu tylko tego mi trzeba. Pokazał bryczkę. To panem chcesz być! Panem już jestem. Syna do ślubu powiozę. O! Z wódką już byłeś? Ta, ale gdybym nie poszedł, tamci przysliby do mnie. Panny lgną do niego. Chyba do twojej ziemi. Na jedno wychodzi, odparł.

Wszystkich zaprosili, powiedział ojciec, gdy wrócił do domu. Wszystkich, co zostali?, spytała matka. To już niewielu. Daj już, mruknął ojciec, weź już. Co weź już? Połowa wsi wyjechała do miasta. A tamci tylko ziemię odkupują. Jak przed wojną. Tylko patrzeć, kiedy i nas wykupią. Ja do pegeeru pracować nie pójdę, ciągnęła. Już do miasta wolę. Byś wiedziała, jak się w mieście zachować? A co tu wiedzieć. Niektórzy i chlewiki tam mają, i kury. Roboty w fabrykach dość. Lepiej niż do śmierci robić na tym piachu. Bez chwili wytchnienia. Daleko wszędzie, za lekarza płacić. Ty myślisz, prychnął ojciec, że w mieście raj. Od wsiur by cię wyzywali. Chłopaków od wsioków. Wystarczy, że się w technikum nasłuchają, że mają buty łatanne i brudne paznokcie. Bo tam każdy ze wsi, powiedziała matka, i każdy się wstydzi.

Wyszedł z domu, w przedwieczór trącony wczesnym mrozem. Z daszku nad studnią zgarnął garść pylnego śniegu, roztarł w dłoniach. Nie poczuły chłodu. Ruszył przez podwórze, półkregiem, po szklistej błonce lodu. Pies uniósł uszy, sapnął spokojnie przez zęby. Kot czarniał kuliście za oknem murowanej szopy z chlebowym piecem. Biel była jeszcze nikła, zesłana na chwilę. Za rogiem stodoły zobaczył biegnący ukosem trop lisa. Nad polem krążyły gawrony. Po trzy, po cztery wznosiły się spomiędzy zaoranych brzd, lądowały na niższych konarach buka, chrypiały chwilę, spływały na ciężkich skrzydłach w dół, znikły za płotem, potem zlatywała się

kolejna trójka. Przyglądał się przez chwilę temu następstwu. Nie było nic prócz czerni i bieli, najwyżej burość spranej trawy na stoku najbliższego pagórka. Las stał zdrętwiały. Wyciągnął rękę, dotknął go, musnął brudnymi paznokciami korony sosen. Przesunął brzoścem dłoni po horyzoncie, miarowym ruchem, bez trudu. Bez jednej myśli doszedł do połowy łąki. Obejrzał się. Pomyślał sobie, że wszystko jest przysłonięte przed jego wzrokiem. Ruszył dalej. Spod miedzy zawrócił krzywo, wydeptywał drugi szurany szlak śladów. Spomiędzy pagórków, od wsi, doturlał się rozbłysk weselnego gwaru. Przez chwilę szukał czegoś w kieszeniach. Pomału wrócił na podwórze. Wszedł do domu. Otulił go zapach drożdżowego placka. Otworzył szafę. Któryś z braci zapytał go, dokąd idzie. Pokazał garnitur, spytał wzrokiem. Po kiego tam leziesz? Patrzył dalej. No dobra, bierz. Ojcaś pytał? Nie odpowiedział. Włożył szorstką lnianą koszulę, czarną marynarkę. Przyczesał mokrą dłonią włosy. Niechby cię, usłyszał. Wyszedł, wyklął się z ciepła w czystość mrozu.

Tańczono w gminnej świetlicy, dwa domy od zagrody Lulów. Harmonia, skrzypce, basy i bęben rozświetlały wieczór żółtym światłem. W półmroku między budynkami błyskały koszule, ogniki papierosów, dziamoliły wesole, mętne głosy. Czuł, nie widział, bo nie patrzył na boki, że rozstępują się leciutko, gdy idzie, łypią. Nie skinął nikomu głową, nie odezwał się, wsunął się tylko, ciemny i cichy, w barwną toń wesela. Gdy stanął w progu, potny zaduch uderzył go w twarz. Ktoś zatoczył się spod ściany, czknął, trącił go kieliszkiem. Haust wódki chlusnął mu na dłoń. Popatrzył na nią, potem na drugą. Wytarł w spodnie. Gadano do niego, ale chyba w nieznanej, słyszanej pierwszy raz mowie. W sali dudniła rozogniona polka, na obrzeżach wyłaniały się z niej różne korowody, kapela grała nieczysto, taniec zgrzytał, nie mógł się dobrze obrócić w przegubach smarowanych smalcem i wódką. Zobaczył Lulę. Byli już zrównani wzrostem. Na jego widok Lul zastygł, nie zatrzymał się, tylko zastygł w ruchu, niby kręcił się dalej, ale z ciałem dotkniętym nagłą sztywnością. Raz, drugi stracił go z oczu, potem Lul wykolebał się z tłumu z kolejnym korowodem, rozchełstany, rumiany. Minął go z uśmiechem, wyciągnął rękę, szarpnął wesoło za koszulę. On czekał, aż wróci. Gdy za drugim minięciem usłyszał śpiewne, przeciągnięte w rytm tańca: saaam?, kiwnął głową. Potem skinął w stronę drzwi. Odsunął się, gdy wnoszono na salę półmiski z kiełbasą, i nie stanął ponownie w progu. Przebrnął przez weselny opar do wyjścia i zrobił krok w ciemność, między koszule, papierosy, przetrzęźwiałe gadania. Stał chwilę na ścieżce, aż poczuł na plecach wzrok Lulę, potem wyszedł na drogę. Obejrzał się. Lul leciał do niego chwiejnie.

Czego?, spytał. Myślałem, żeś na wesele przyszedł się weselić, nie zawracać głowę. On popatrzył mu w rozkolebane wódką i tańcem oczy. Ciebie z was wszystkich najmniej się spodziewałem, zionął dalej tamten. Ja bym was wcale nie prosił. Ojciec chciał. Umilkł, czekał, chwilę, dwie, potem przesunął się lekko, przekrzywił głowę, by w blasku padającym z okien świetlicy dostrzec jego oczy. Gdy je zobaczył, zgasł w nim żar wesela, zagarnęła go noc. Zrobił krok do tyłu. Wynocha, powiedział. Bo pogonię i zatłukę jak wściekłego psa. Głos mu pękł, nim on zdążył go dotknąć, nim chwycił za koszulę pod szyją, nim wyciągnął z kieszeni nóż, już wtedy wpadł w dygot. Rękę, którą trzymał Lula, wykręcił mocno łokciem do góry, odepchnął mu twarz w bok. Drugą, zaciśniętą na wyslizganym trzonku, zamachnął się, zrobił nią łuk tak szeroki, że mógłby chybić, ale nie chybił, wbił mu nóż w szyję, w ostatniej chwili zdążył też go puścić i zrobić krok w tył, żeby krew nie chlusnęła na garnitur brata.

Reszta

Stefan wmyślał się w tę egzekucję, rozbijał ją na gesty, których nie rozumiał, słowa, których i tak nie usłyszał, miał więc ich nieskończone mrowie, wymyślał je sobie, tłumaczył z niepojętego na niesłyszany, z niesłyszanego na niemiecki i dopiero z niemieckiego na swój. Podczas tych tłumaczeń gubił mu się jednak wszelki sens. Tego, że po zastrzeleniu fornala i hrabiego oficer bez słowa, wskazawszy tylko otępiątemu treuhänderowi dwa ciała rozrzucone na ziemi, pewnie na znak, że ma się nimi zająć, odszedł do pałacu, wezwał kierowcę swojej ciężarówki, rękoma dwóch robotników załadował resztę mebli i ozdób z pałacu i po prostu odjechał, nie straszył już nikogo, nie groził, nie dopytywał się o niepewne, na poły istniejące, a może istniejące coraz mniej zbiory hrabiego. Tego, że hrabia niby zginął nieugięty, ale jego nieugięcie wiele przy okazji zagarnęło, jak to często bywało, gdy tamci bardzo czegoś chcieli, a by pokazać, jak bardzo, odbezpieczali karabiny lub pistolety, wtedy nieugięcie, zamiast być wyniosłą skałą na skonanej ziemi, okazywało się ruiną, co za chwilę i tak rozpadała się w pył i grzebała tych, co mieli nieszczęście stać obok, hrabia musiał słyszeć o takich przypadkach, zdarzył się przecież i w Bolechowie, gdy szukali partyzantów, mimo to liczył, że jego pańska laska i duma okażą się potężniejsze niż mały pistolecik oficera, zważył to sobie w głowie, choć i tak nikt nigdy miał się nie dowiedzieć, jak się w niej te trzy rzeczy miały wobec siebie: jego własne życie, które dawniej było ważne, ale przez cztery lata wojny znacznie zelżało, miało już tylko wagę zakopanych pod oranżerią zbiorów, hrabia pomału zmieniał się we własny portret, szerniały i spękany, jak te, co zostawił w pałacu na pokaz dla Niemców, życie fornala, które inaczej niż jego było niby tylko punkcikiem, niewidocznym już z sąsiedniej wsi, ale jednak zniwnym punkcikiem na tle ciemnego świata, i w przeciwieństwie do niego miało szansę przetrwać nie tylko oficera trupa główkę, ale też Rosjan i Azjatów w obszarpanych szynelach, którzy, o czym hrabia musiał słyszeć, zaczęli już niewstrzymany marsz na zachód i mieli zmieść nie tylko trupie główki, ale też takich jak on, hrabiów, trzecią rzeczą były natomiast same zbiory, ich waga była jednak zupełnie nieokreślona, nie dawała się wpisać w rachunek przeżycia. Z trupimi główkami ten rachunek nigdy nie dawał się przewidzieć, Stefan upewnił się o tym, gdy oficer zastrzelił fornala i hrabiego oraz pozwolił, by ich zastrzelenie pozostało daremne, może umyślnie, może tym boleśniej chciał ukarać hrabiego za jego opór, pokazując jego oczom, które gdyby były oczyma ptaka, teraz naprawdę powlekłyby się szarosiłą błoną, że wcale nie zależało

mu na jego obrazach i błyskotkach, że była to tylko gra, w której przypadło hrabiemu miejsce zupełnie przegrane, a skoro popsuł ją i grał z nimi według własnych zasad, oni też mu ją popsuli, a potem przypomnieli, pokazali jego powleczonej ptasią błoną oczom, że to właśnie tylko zabawa. I w tę zabawę Stefan się wmyślał, rozbijał ją na kawałeczki, na gesty, których nie rozumiał, posunięcia, których nie widział, miał więc ich nieskończone mrowie, robił to tak długo i uparcie, że gdy parę miesięcy później zza Wisły zaczął dobiegać huk dział, głucho dudnienie obracającego się po kamieniach świata, zdawało mu się, że ją rozumie, i wiedział też, że ta gra trwa wciąż, skoro najcenniejszy fant ciągle jest tam, gdzie jest, i choć wzgardzili nim ludzie trupie główki, czy może raczej przestali w niego wierzyć, nadchodzą inni zabawnicy.

Nie widział tego przyjaciela. Nikt nie został w folwarku, pałacu ani parku, gdy Rosjanie dotarli na drugi brzeg i zaczęli ostrzał. Niemcy ściągnęli jednostkę artylerii i okopali działa w parku, za osłoną akacji, dębów, buków i lip. Bitwa toczyła się kanciasto i dziadek, gdyby żył, nie porównałby jej sobie do tamtej sprzed prawie trzydziestu lat. Rosjan bardziej interesowała stacja kolejowa w Brzeźnie, kawałek w dół rzeki, zwłaszcza że Wisła nie wchodziła tam w rozległe zakole, jak na wysokości pałacowego wzgórza, szła prosta, węższa, z umocnionym brzegiem, uderzyli więc prosto na tę stację. Po niebie nie śmignęły tym razem dwupłatowce, tylko myśliwce jak z pyskami malowanymi w gończe psy, ponoć to one rozsiekaly w pył szyby oranżerii. Ostrzał też był, a jakże, lecz trochę w trójkąt, bo Niemcy z parku walili w Rosjan szturmujących rzekę przy stacji, a Rosjanie z lesistych wzgórz za rzeką walili w park. Po folwarku rozniosła się wieść, że Niemcy zbiorą wszystkich i w razie ataku poprzywiązują do dział i umocnień, ale na bezpośredni atak się nie zanosilo, robotnicy z folwarku i oficyny poukrywali się więc z gospodarzami na polach, w wąwozach i pod ziemią. Gdy po dwóch dniach ostrzał ucichł, Stefan z ojcem, matką, siostrami i wujostwem z Poznańskiego wygrzebali się z ziemianki pod chałupą sołtysa, do której się schowali, przeszli przez wioskę, w której w miejscu trzech chałup i jednej stodoły ziały leje, a w nich gmatwały się belkowo-słomiane rumowiska, i weszli do parku. Po niemieckim oddziale zostały tylko wzmocnione workowanym piachem szańce, gdzieniegdzie z działami roztrzaskanymi jakąś wielką pięścią, porozwalane naokoło skrzynki po amunicji, spalone samochody, jakaś broń popsuta bądź porzucona, strzępowate części ekwipunków większych i mniejszych, odłupane, zdawało się, od jakiegoś olbrzymiego cielska, co powlekło za sobą ślad swojego odwrotu. Stefan wspominał potem, że spojrzenia jego i ojca omiatały najpierw pobojuwisko, trwożnie szukały ostatnich żywych

kawałów tego cielska, mogących się gdzieś jeszcze ukrywać, choćby i ranionych, ale uzbrojonych, a potem rozeszły się w dwie strony. Ojciec wpatrzył się w sylwetę oficyny, wyrosłą niespodziewanie, szybciej, niż powinna, zza kępy buków rozrąbanej na troje i rozwłóczonej po rozritych alejach, jednak całą, całą, jest! Stoi! Bogu dzięki, nie zmiotło!, krzyknął ktoś, może ojciec, może matka, Stefan natomiast wpatrzył się w pałac, też zbyt wcześnie wyłoniony zza rozbitych stajni i rozsieczonej alei lipowej, i radość z ocalenia oficyny tąpnęła w nim nagle, osunęła się w głąb. Podbiegł do zakrętu i ujrzał zgruchotaną do połowy sześciokątną wieżę, strzaskane arkady na dachu, portyk z kolumnami obwalony na schody, wyrwę wielkości ciężarówki w półkolistym murze wokół dziedzińca, wpuszczonym w stromy stok wzgórza, i radość z ocalenia domu utonęła w ciemnej głębi, a po chwili wynurzył się z niej szloch, zadławił go, odebrał mu głos. Gdy pod wieczór od strony wsi rozległ się ryk czołgowych silników i do parku wbiegł tłumek pokrzykujących żołnierzy, Stefan krążył bez celu wśród lejów między zharatany pałacem i oranżerią, z której zostały tylko kościolowate ściany z wysokimi, pustymi już łukami okien oraz rumowisko dachu między nimi, patrzył, jak żołdaci wbiegają do rozprutych budynków, słuchał, jak ten kłęb rozwrzeszczanej siły dmie wśród pustych ścian, a potem wypada tą samą drogą, którą wbiegł, i wymachuje poniszczonymi reszteczkami jaśniepańskich ozdób, którymi wzgardzili najmniej wybredni goście Karla, teraz po prostu Karla, kto by go jeszcze nazywał treuhänderem, zresztą i tak nie było potrzeby go nazywać, bo przepadł bez śladu, tymczasem żołnierze grabili jego treuhänderską siedzibę, choć od wyjazdu trupiej główki żaden łup w niej nie został, taszczyli odymione obrazki, obtłuczone talerze, pogięte srebra niepodobne do niczego, skorupy mandolin, skrzypiec i wiol z dyndającymi splątaniem strun. Nocą chyba strzelali do tych skarbów, tak się zdawało Stefanowi, gdy w końcu powlókł się do oficyny i wmyślił się w tę ruinę, próbował odgrodzić się od kipiącej wokoło radości z wyzwolenia, podbiegłej potężnie strachem przed Rosjanami, drzwi i okna w chałupach i oficynie zaparto krzesłami i szafami, próbował odgrodzić się i od radości, i od strachu, i znaleźć sens tej ruiny, tego rozboju, tej udręki, dopustu, ważył w myślach tamtą bliźniaczą fornalsko-hrabiowską śmierć, na trzeciej szalce kładł oranżeryjny skarb, ale nic mu z tych ważeń nie wychodziło i gdy rano, nie zmrużywszy oka, po zniwach huk i blasków wyszedł do parku, stwierdził, że się nie mylił. Oglądał potem szczątki szczątków hrabiowskiego pałacu, leżące pod drzewami, po alejach, roztrzaskane strzałami z tetetek i seriami z pepesz, pogruchatane butami, i pomyślał sobie, że skoro zna już reguły tej gry, spróbuje w nią zagrać, on sam, nie wspólnie

z ojcem, nie jako hrabiowski sługa, bo jak mówiono, hrabiów i tak miało już nie być, tylko on sam, Stefan, w nieukozonej i daremnej żałobie, lecz i z zielenią w palcach.

Kamień

Szpadłem przyniesionym nocą przez brata wykopał sobie ziemiankę, płytką, aby tylko na siedząco móc rozprostować nogi. Podparł deskami, ściany obłożył słomą. Grunt sypał się piaszczysto, do głębi raził chłodem. Walczył z tym gruntem, wygarniał, drążył. Skarpa nad stawem nie mogła go utrzymać. Wygrzebywał się, odrętwiały od tej piaszczystej wilgoci przedzimia, i ruszał w las. Strzegł się wieśniaków kradnących drewno na opał, wczesnych myśliwych, min tkwiących ponoć tu i ówdzie w ziemi. Po zmroku matka przynosiła mu zawinięty w kołdrę garnek zupy, ale tego ciepła nie starczało. Podchodziła do skarpy z pochyloną głową, otulona chustką, stawiała garnek bez słowa i cofała się, nie odwracała, tylko szła rakiem parę kroków, potem odbiegała z przestraczem. Za trzecim razem wyczołgał się zawczasu, przyczał z boku i zrobił ruch, gdy była już blisko. Zadrżała, omal nie upuściła garnka. Gdy wyciągnął rękę, odskoczyła. Buhyni, mruknęła. Buhyni mi cię podrzuciła, diabelski pomiole. Dwóch synów mam, nie trzech. Uciekła z szurgotem.

Rano umył twarz w stawie. Przed świtem przyszedł brat z butelką samogonu. Co dalej?, spytał. Pokazał mu swoje ubrania, które przybrały już kolor ziemi, miały jej ziarnistość, mineralną woń, las wsączył się w nie na dobre. Brat przyniósł ojcowy kozuch, swoje buty, jego starą czapkę, do tego ćwiartkę chleba, pęto kiełbasy. Wcisnął mu zwitek pieniędzy. To wszystko, co mamy. Skinął głową. Nie mów mi, dokąd się wybierasz. Nie chcę wiedzieć. Byli u nas dwa razy, ale pewnie wrócą. Zwinął brudne ubrania i odszedł bez słowa. On poszedł groblą między stawami. Szedł cały dzień, najpierw lasami, potem skrajami pól, przypadał na miedzach, zimowy zając. Wioski dymiły z kominów nieruchomo, stanęła ziemia. Trwała odwilż, ciągle ta sama, która dzień po weselu rozpuściła wraz ze śniegiem jego ślady. Zamiast butów miał na nogach błotne skiby. Rozgrzewał się samogonem. Pod wieczór dotarł do stacji kolejowej w miasteczku. Paroma szarpnięciami zębów zjadł chleb i kiełbasę. Do zmroku obserwował pociąg towarowy, który stał na bocznicu, przyprzężony do sapiącego parowozu. Gdy zobaczył nadchodzącego maszynistę, zakradł się do wagonu z węglem i przyczał na stopniu. Pociąg ruszył, rozstukotał się, rozkiwał. Mknął na tym stopniu do późnej nocy, w łoskocie i drzeniu, przywiązany paskiem do poręczy, żeby senność nie strąciła go pod koła. Dopił resztkę z butelki. Gdy pociąg stanął, zsunął się i uciekł między budynki, w węglową wilgoć nocy. Przypadkiem trafił na barak robotników kolejowych. Naparł na drzwi z taką siłą, że rygiel z kłódką wydlubał się z płyty

pilśniowej, a on wpadł z hukiem do środka. W twarz buchnęło mu ciepło ostygniętego, ale pachnącego jeszcze ogniem piecyka, obsuszonych kufajek, papierosów, wódki, herbaty, kromek ze smalcem, niegolonych twarzy, ciężkich słów, odrętwiałych myśli, przyniesionego z łóżek niedospania. Zakręciło mu się w głowie. Przez dłuższą chwilę krążył po ciemnym baraku, rozjaśnionym jedynie strzępem światła ze stacyjnej lampy, i rękoma, które nic nie czuły, dotykał przedmiotów, wdychał woń ludzi. Usiadł na krześle, ale wystarczyło mgnienie oka, a zbudził się z czołem opartym o stół, zerwał się więc, zatoczył jeszcze dwa, trzy kręgi z wyciągniętymi w mrok ramionami, potem zdjął buty i przymierzył najlepiej pasujące gumki, mocne, z filcową wyściółką, zamiast kozucha włożył kufajkę. Spakował zdjęte ubrania, zwinął w kłęb, wybiegł z baraku, a gdy skradał się koło węglarek, zamachnął się i cisnął rzeczy przez burtę do środka. Ominął łukiem teren stacji, hen, za ostatnimi rozjazdami, wrócił na szyny. Poszedł przed siebie, jak najdalej od miasta. Nadjeżdżające pociągi ostrzegały go z daleka.

Rano nogi zaczęły mu zwalniać, szarpało nim zimno. Oczy miał czymś zasnuwane, może oślepienie nadmiarem powietrza. Jakaś przytająca zaraza skradała się za nim po obu stronach torów, o parę kroków od jego stóp, wspinała się na płoty, mosty, wzgórza przy nasypie. Gdy się odwracał, widział ją, parchatą narodziłą się na świat. W oknach chałup przy torach pojawiały się czasem twarze, ale musiały być jej częścią, bo nie dziwiły się, patrzyły tylko i nie dawały znaku. Pod wieczór zaszedł pod jakieś gospodarstwo, zakradł się do piwnicy na ziemniaki, wśliznął do środka. W kopcu warzyw wymacał marchew, pietruszkę, cebulę, wydłubywał je, wycierał w spodnie i połykał, nie żuł, przegryzał tylko na pół i połykał wielkie kawałki. Nad kłębem usłyszał wężącego psa. Uniósł ją lekko. W szczelinie pojawił się niewielki, zmarszczony pysk. Warczał najpierw niepewnie, potem coraz głośniejsze, z tego warczenia nie zdążyło jednak wykluczyć się szczeknięcie, bo wcześniej rękoma wpancerzonymi w rękawy kufajki chwycił psa za łeb. Ścisnął mocno, zrobił krok w tył, wciągnął rozszamotaną burą kukłę do piwnicy, cisnął ją głęboko za kopiec, warknął. Pies rozjazgotał się, przypadł do niego, a gdy on podciągnął się do góry, wypchnąwszy głową kłębem, podskoczył i wżarł mu się zębami w gumki. Kopnął go drugą nogą, raz, drugi, prosto w łeb. Wyskoczył sam. Zgięty wpół, pognął ogrodem między pałubami w stronę torów.

Gdzieś w rozwleczonym po horyzont pustkowiu dnia potknął się i runął przed siebie. Grzmotnął kolanami o tłuczeń między podkładami. Ból odebrał mu dech. Liczył do trzech, w kółko, raz, drugi, trzeci. Pomyślał, że odpocznie, osunął się i upadł na bok. Szyna sparzyła go

rdzawym zimnem w policzek. Próbował przypomnieć sobie, co pchnęło go w tę drogę, ale na próżno. Patrzył w sine chmury, splezające na torowisko, szurające po kępach chwastów. Bodiaków. Ostów. Bodiaków. W kieszeni wymacał pieniądze. Zacisnął na nich dłoń jak na trzonku noża. Przyszło mu do głowy, że mógłby za nie kupić ubranie, bilet na pociąg, dotrzeć daleko na wschód. Czuł jednak, że oddziela go odtamtąd przestwór nieprzebytej nocy, słyszał jej ryk. Podniósł się chwiejnie. Zszedł z toru, z nasypu, w rów, brnął nim, póki wzgórze nie rozstały się i nie roztoczyła się przed nim połać pól. Hen, w oddali, między ziemią i niebem stała ciemna nierówność ze sterczącymi w górę patykami. Wyszedł na kruszejącą szosę. Stopy przyjęły z ulgą jej płaskość, twarde opór asfaltu, miał ochotę dotknąć go, poczuć pod palcami. Nie wiedział, jak długo nią szedł. Głód i zimno podpowiadały mu na przekór zmaconemu wzrokowi, że ta daleka nierówność to miasto, patyki to kominy. Gdy dotarł do pierwszych domów, zmacony wzrok wbrew głodowi i zimnu kazał mu popatrzeć po sobie. Był łuską brudu odłupaną od torów, pociągów i stacji. Jeden gumiak miał rozszarpany przez psa. Zgubił czapkę, nie wiedział kiedy. Na kolanach miał dziury od upadku na tłuczeń. Szosą przejechał samochód, potem drugi i ciężarówka z przeciwnej strony, od miasta. Minął pierwsze domy. Zobaczył sklep GS-u, wtoczył się do środka. Zamroczyło go, przez chwilę odruchowo szukał kąta, by usiąść. Nie patrzył w oczy kobiety za kasą, nie widziałby nawet, czy to kobieta, gdyby po tym, jak pokazał na konserwę, chleb i paczkę sportów, pierwsze papierosy, jakie kupił w życiu, nie spytał gestem, co to za miejscowość, a ona nie powiedziała mu po chwili wahania. Nic mu ta nazwa nie mówiła. Daleko to?, chciał spytać. Daleko odkąd?, usłyszałby w odpowiedzi. Wyszedł w deszcz. Niedaleko na uboczu stała kamienica. Usiadł na schodkach, oparł głowę o ścianę. Nie wiedział, jak długo tak siedział, pewnie niedługo, gdy nadjechał garbaty samochód, powolny, przyczajony. Nim milicjanci wysiedli i niespiesznie podeszli do niego, przyglądali mu się, rozmawiali przez chwilę.

Trzy miesiące później, gdy z sześcioma innymi więźniami wysiadł skuty z milicyjnej karetki, przydzielono mu numer, drelich, kurtkę z koca i skierowano go do betonowego baraku z jednym piecem, odnalazł swoje miejsce na trzypiętrowej pryczy, usłyszał, że trafił do rajku. Od ostatniej amnestii nie ma politycznych, nie ma kułaków, charknął ktoś, nie ma już po co taplać nikomu twarzy w gównie. Tak przywykniesz, że za parę lat nie będziesz chciał stąd wyjść. Pierwszej nocy zwinął się w ciasny kłębek, ścisnął w rękach stopy i patrzył w okno pomazane z obu stron rozkwieconym mrozem. Mówili, że ma szczęście, bo może jeszcze spać w czystej

kurtce, a w obozie nie ma pralni. Za to od pół roku działa łaźnia. I tak jest za zimno, by z niej korzystać, ale, zaburczał ktoś inny, do wiosny niedaleko, więc wytrzyma. Po trzech dniach nauczył się spać w drelichach, oblepionych już mialkim, szarobiałym pyłem, w rękawicach, czapce, i nie patrzył więcej w okno, tylko spał, oczadziały błotnym zaduchem kocówek rozwieszonych nad piecem, spoconych ciał na pryczach, własnym zmęczeniem. O czwartej rano, gdy ich budzono, widział, że za pomazaną szybą mającą wieże gadów, kłęby kolczastego drutu wieńczące płot i mur, a kawałek dalej, wycięte czarnym konturem z płaskiego nieba, żurawie nad wyrobiskiem i bryła zakładu przeróbczego.

Na kamieniołom mówiono „łom”. Do łomu było blisko, bo najpierw powstał on, potem obóz, specjalnie dla łomu. Chodzili tam pieszo, konwojowani przez gadów z karabinami i psami. Psy biegały też, zawsze zagonione, w rozsapanym milczeniu, po gładkim pasie ziemi między płotem i murem. Obóz był rozległy, odnowiony, baraki z betonu w miejsce dawnych, drewnianych, okna bez krat. Na jego obrzeżu, właściwie między obozem a miasteczkiem rozsypanym po zboczach gór, stała świeżo zbudowana kamieniarska szkoła zawodowa, kończono ją wyposażać. Droga wiodła po niskich pagórkach, wśród nieużytków przykrytych śniegiem, wśród zasp pokrytych kamiennym pyłem. Dalej, gdy dotarło się do skarpy, u zabłoconych stóp nagle otwierał się łom, kanciasty, popiętrzony, tak ogromny, że wywrotki po przeciwnej stronie wydawały się polnymi chrząszczami. W głąb wyrobiska pętliła się zakolami szeroka grobla z tłuczni i gysu, ubita do niedrażliwej twardości przez ciężarówki, ładowarki i kruszarki. Osobnym szlakiem sunął tor kolejki. Groblą szło się długo, najpierw jednym piętrem, potem drugim, trzecim, aż na dno wyrobiska. Od wody stojącej w zagłębieniach, może zebranej po deszczach, może przebitej na powierzchnię z podziemnych cieków, biła szarozółta wilgoć. Schodzili pomału do wnętrza skały, oślepieni jej surowizną, śledzeni wzrokiem strażników i psów. Skała przeszywała ich pylnym oddechem, a oni rozłupywali ją i wyrwali na powierzchnię, w mokry oddech gleby i nieba.

Stanąwszy na dole, zadzierali głowy ku nachylonym, werżniętym w zbocza ociosom granitu, podobnym do blatów przewróconych stołów. Z upływem tygodni i miesięcy ociosy cofały się, w miarę jak strzałami odpajano kolejne monolity, te rozbijano na mniejsze bloki, a oni, ładowacze kajdaniarze, podczepiali je do chwytaków żurawi bądź rozklinowywali na mniejsze i mniejsze, potem wtaszczali na wagoniki. Żeby nie tracić czasu, nie wracali na obiad do obozu, jedzenie przywożono im furgonetką. Rozdawano blaszane miski, z termosów

nakładano gulasz lub rybę, do tego kaszę, brukiew i kapustę, bigos z chlebem. Trzeba było stanąć w kolejce, ukłonić się, podziękować, odejść, a jeśli jedzenie dojechało ostygłe, porcje okazały się za małe, nieświeże lub z robakami, nie tracić czasu w łomie, tylko poskarżyć się w biurze. Z miskami w rękach siadali na rękawicach i jedli w milczeniu. Siorbali, mlaskali, szczękali, spluwali, burczeli, bekali, klęli. Wtedy czuł chyba najmocniej, i w drodze powrotnej, gdy szurali groblą pod górę, i w marszu wśród rozkołysanych wzgórz, i gdy siadali wieczorem na pryczach, zbyt zmęczeni, by umyć się w zimnej łaźni, napalić w piecu, powiedzieć słowo, i gdy składali głowy w dławiający sen, pochowawszy pod sienniki swoje mydła, lekarstwa, papierosy, wymięte fotografie, i gdy budzili się spierzchłym rankiem, jedli śniadanie, czarny chleb z margaryną, kaszanką i wędzoną rybą, pili gorzką kawę, i kiedy całą grupą mieli dzień wolny, zostawiali w obozie, wydani samym sobie, i rozpętywały się wzajemne nękania, krzywdzenia, wymęczone i daremne, czuł, że tamta zaraza, co wlokła się za nim przez drogę, dotarła i tu, a może była już wcześniej, może tylko trafił w kolejne jej ognisko. Podnosił wzrok znad miski i spoglądał w górę, hen, na wyższe piętro, gdzie mykali wiertacze ze swoimi maszynami. Po wywierceniu szeregu kilkumetrowych otworów nadchodzili strzałowci ze swoimi skrzynkami, wyjmowali naboje z ładunkiem, spłonki i lonty, potem uwijali się z tym, mrówki na skale. Gdy ładunki były założone, brygadzista dawał znak i po łomie niósł się długi jęk syreny. Syreny grały drugi raz, podwójnie, a po trzecim sygnale, krótkim, z otworów strzelały w górę obłoki siniego dymu. Ściana niby stała dalej, z dołu wydawała się nietknięta, ale nie była już ścianą, stała odrąbana. Nim rozwiął się dym, przystępowały do niej maszyny i ludzie z młotami, młotkami, klinami.

Jeden dzień pracy liczył się za dwa. Tak powiedzieli mu jeszcze w sądzie, ale przez długi czas nie myślał o tym, nie umiał podzielić granitowej calizny lat na bloki. Udało mu się to pod koniec następnej zimy, gdy policzył sobie, że minął rok, czyli odłupał już jeden blok i za jednym zamachem, sam nie wiedział kiedy, rozklinował go i podzielił, czyli w tym jednym odłupał od razu dwa. Potem zaczął ważyć te bloki. Zbierał je wszystkie, ten miniony, te jeszcze sprzed łomu i te, co go tu czekały, do nich dokładał garść, tylko garść, więcej nie śmiał, ciemności rozpościerającej się po łomie, niepomiernej, niepodzielnej, i wychodziło mu zawsze, że ta ciemność niewarta jest oddechu i podobnie niewarte są lata, co mijają, zbyt nieważkie w porównaniu z łomem, z tym życiem, z tą śmiercią. Powtarzał sobie tę myśl raz, drugi, schodził po niej, tłuczniowej grobli, do serca kamienia. Stamtąd próbował wracać na górę, nawet nie w pustkę przed sobą, rozległą i ciemną, ani w minione lata, które też z wolna rozlewały się

w ciemność, tyle że mgielną i lepką, przesyta krzywo ściegiem krwi, ale w to, co powinno było trwać mimo wszystko: na pola przekreślone płytką rzeką, porośnięte leszczyną pagóry, pod ucichły las, w wietrzyste słońce marca, błotniste redliny, słodką woń gnoju, skrzywienie fury i końskiej uprzęży, ślepiącą złotość ścierniska. I czuł, że oddziela go odtamtąd nieprzebyty przestwór łomu, słyszał jego huk.

Któregoś dnia, gdy kończyli sortować urobek z odstrzału i przygotowywali następny, jeden z wiertaczy nad ociosem, odmierzający odległość od skraju do linii ładunków, upuścił młot. Narzędzie poleciało w dół, odbiło się trzonkiem od ściany, zakręciło w powietrzu i gruchnęło w kamienie o dwa kroki od niego. Więźniowie zachłysłeni się radośnie, ktoś zagwizdał na palcach, gad krzyknął, żeby zamknąć mordy. On pomału odłożył swój młotek, podniósł upuszczony młot, spojrzął w górę. Wiertacz, wolny robotnik, nie więzień, wychylony przez krawędź, szukał wzrokiem, znalazł, zagadał do strażnika i kiwnął mu w dół, by przyniósł narzędzie. Gad machnął na znak przyzwolenia. Zasuwał, usłyszał za plecami głos gada, który pilnował ich z dołu. Poszedł groblą na górę. Chciał oddać młot i odejść, ale gad dał znak, by nie wracał na dół przed alarmem. Po raz pierwszy widział z bliska przygotowania do strzelania. Stał pod ścianą, odesłany tam ruchem karabinu, i przyglądał się, jak strzałowy, też wolny, nie więzień, wyciąga ze skrzyni stalowe rurki zapalników, cynowe tulejki spłonek, potem wpycha naboje do otworów, nakrywa filcowymi przybitkami, łączy ładunki lontem z czarnego prochu. Wszystko szybko, ale w skupieniu, wprawnymi ruchami, akuratanymi, bez rękawic, uszarzony w pył, niszczyiciel i brat niemej skały. On po sygnale wycofał się wraz z innymi, czekał, aż strzałowy podłączy i podpali lonty.

Tu, na górze, huk strzału był czystszy, ostrzejszy. Gdy odspojony od calizny monolit granitu drgnął, uczył to drgnięcie w sobie. Potem schodził w tę głąb, na zimne dno wyrobiska, które nie było już obce, choć jeszcze nie było jego. Maszyny podzieliły monolit na bloki, potem obsiedli je kajdaniarze. Wybrał sobie nieduży blok, wielkości świniaka. Nachylił się, dotknął go, przez chwilę suwał dłonią, szukał łupliwej powierzchni. Zdało mu się, że jest ciepła, ale nie, to było jego ciepło, bijące z rumowiska, ocalałe w niewiadomy sposób. Przez chwilę patrzył, jak mieni się od minerałów, muskał palcami ziarna skalenia i miki. Narysował ołówkiem linię klinowania, odmierzył i zaznaczył odstępy. Przyłożył grot do pierwszego punktu, paroma uderzeniami młotka wykuł gniazdo. Wstawił klin. Chwycił ciężki kliniak. Pobił raz, drugi, trzeci, lekko, tyle, by zadziałał sam ciężar młota. Gdy kończył wykuwać drugie gniazdo, zdało mu się,

że zwęszył proch. Rozgrzebał ubite podłoże pod blokiem, podważył łomem, podłożył młot, wsunął rękę w powstały odstęp, pomacał. Blok musiał pochodzić z wewnętrznego brzegu monolitu, bo w spodniej płaszczyźnie znajdowała się fajka, reszta otworu pozostała po strzale. W fajce tkwił fragment naboju. Pewnie niedbale włożony lub uszkodzony, może przerdzewiały od złego przechowywania, przerwał się, a jeden kawałek nie wybuchł i został w otworze. Zawahał się. Ej!, warknął gad. Zasuważ. Chciał pokazać mu, że w bloku jest niewypał, ale rozmyślił się. Dał znak więźniom pracującym najbliżej, by się odsunęli. Wykuł trzecie gniazdo. Zagłębione na pół palca, wypadało akurat nad niewypałem. Wiedział, że siła udaru pójdzie w linii wyznaczonej przez klin. Gdy wkładał go, drgnęła mu ręka. Stanął w szerokim rozkroku, zacisnął dłonie na wyslizganym trzonku, uniósł kliniaka nad głowę. Zrobił łuk tak szeroki, że mógłby chybić, ale nie chybił, trafił, nie zrobił też w tył ani pół kroku, mogącego uratować go w razie wybuchu. Klin zagłębił się w gniazdo. Wziął drugi zamach. Nim uderzył, przeszło mu przez myśl, że to uczciwa gra, pierwsza, jaką mu dano. Klin wszedł głębiej. Kolejnych uderzeń nie liczył, były dwa, może trzy, z krótszym wymachem, ale silne, czyste. W końcu blok pękł, trzy kliny poleciały na ziemię. Obok nich leżał szerniasty, pogięty nabój z sypiącym się prochem.

Następnego dnia poszedł do biura, poprosił o papier i widzenie z komendantem. W baraku podał papier sąsiadowi z pryczy, rzucił na koc paczkę sportów. Wytłumaczył, co ma napisać. Nie przyjmą cię, powiedział tamten, ale napisał drukowanymi literami, co trzeba. Schował papierosy pod siennik, a gdy już miał oddać kartkę, nagle cofnął rękę. Byś się kiedy odezwał jak człowiek. On zawahał się, tylko na chwilę, mgnienie, potem chwycił go za szyję, targnął w tył, grzmotnął jego głowę o ramę pryczy. Nachylił się nad nim, wytrzeszczonym, oniemiałym, spojrzał w oczy. Pomału, żeby tylko nie pomiąć, wyjął mu kartkę z palców.

Komendant przyjął go tydzień później. Przeczytał w milczeniu podanie o możliwość skończenia podstawówki i zdawania egzaminu do szkoły kamieniarskiej. Gdy gad popchnął go potem do wyjścia, czuł w kieszeniach kocówki swoje dłonie. Były z granitu. Spociły mu się, na zewnątrz wystawił je na wiatr.

Chciałbym je wtedy zobaczyć, myślałem sobie często, jasnoszare, zimne kryształy wypieczone z magmy, obmyte już z czerni, z błękitnymi przerostami żył, ścięgniemi ze stalowego drutu, posiekane szrankami i pobulwione krwiakami od chybień młotka lub ześlizgów szpicaka, o kciuku z odbitym paznokciem, szczupłe, ale mocarne. Rysowałem je i malowałem wiele razy, ale nie takie, do tamtych chwil nie miałem dostępu. Tyle jeszcze lat musiały czekać na moje

spojrzenie, mogłem tylko wyobrazić je sobie, chwycić ostrożnie, by tylko się nie spostrzegł, i wyciągnąć z opowieści Łucji.

Trąd

Mądry byłeś jak na fornała. Istny filozof.

Nie słyszałem, jak nadeszła mięciutko po trawie i stanęła za ławką. Stefan prychnął, zamknął szkicownik. Wypraszam sobie fornała. Byłem synem pałacowego ogrodnika. Czyli prawie arystokratą, zaśmiała się. Hrabia użyczył ci błękitnej krwi? Za co, westchnął Stefan, za co los mnie pokarał tak złośliwą córką. A ciebie wyrodną matką.

Odchyliłem się, wyciągnąłem ręce. Włosy Łucji mieniły się, słońce rozsypywało się w nich w świetlny kłęb. Objęła moją głowę, przytuliła do brzucha. Przez sukienkę czułem, jak ten kłęb sunie w dół, ogrzewa mnie. Pachniała mydłem, proszkiem do prania, carmenami, miętówką. Lekcje byś może odrobił, szepnęła, za chwilę będzie w parku straszny gwar. Jej palce muskały mnie po policzkach, po uszach. Milutka moja, a ty byś może skończyła wreszcie pierwszy rozdział, zamiast mi tu wnuka nękać bzdurami. Doktorat nie Karl, nie ucieknij, rozbrzmiało mi w uszach wprost z jej wnętrza, przez dłonie. Szkoła to strata czasu, burknął Stefan, nie zrobią tam z niego artysty. Tym bardziej, powiedziały dłonie, twoje szlacheckie gawędy. Ucz go rysować. Przecież uczę. Spójrz tylko.

Podał Łucji mój szkicownik. Rzuciła okiem na rysunek za rysunkiem, na przedmioty i kształty, kule i stożki, ręce, dłonie, palce, główkę Stefanowej laski w kształcie ptaka nielota, deski ławki, gałązkę akacji. Na skreślonej z grubsza postać hrabiego, niepomylnie z niczym świdry wąsów, na łysą głowę, ściągnięte w kącikach oczy, pajęcze palce. Zaśmiała się, poczochnęła mnie po włosach. Twój przybrany pradziadek? Raczej ojciec, burknął Stefan. Wierciłem się. Nie lubiłem ich rozmów, tych trzasków suchego ognia, krzesanych, ilekroć nie zdołali rozminąć się w korytarzu, na ganku, w ciemnej sieni, w kuchni z kredensem o witrażowych szybkach, na alejce, w pałacowym muzeum, i w porę osłonić milczeniem. Ach tak, zaśmiała się Łucja, śpiwnie i mgielnie, zstąpił na mnie we śnie. Ale prędzej w twoim, bo mnie się nie śni, tylko tobie. Nie świntusz przy dziecku!, warknął Stefan. Ladacznico. Ręce muskające moją głowę zacisnęły się mimo woli, sprężył się brzuch pod sukienką. Powiedziała jakieś słowo, którego nie rozumiałem. Rysuj, szepnęła. Odeszła bezszelestnie po trawie, jak przyszła, między drzewa, ścieżką w poprzek alei.

Zastygłem, czekałem, nie wiedziałem na co, może aż reszta iskiek spadnie w trawę, aż Stefanowi zniknie z policzków rumieniec gniewu i wstydu. Sięgnąłem po jego szkicownik,

wypełniony starymi rysunkami hrabiego. Zostaw, powiedział, teraz chodź. Ruszyliśmy aleją. Oddalaliśmy się od świeżo otynkowanego pałacu, oranżerii, oficyny, minęliśmy nawet orzęsione zielono stawy, które kiedyś były dla mnie skrajem świata. Krążyliśmy po parku, aż dotarliśmy na obrzeża, gdzie zza drzew, nad murem, wiślało się pasmo błękitu. Stefan wiódł mnie krętym szlakiem swojego drżenia, czułem je w jego dłoni, szarawej muszli w ciemne cętki, mieszczącej w sobie całą moją rękę. Wszędzie tutaj, odezwał się wreszcie, leżały kawałeczki ostatnich bibelotów, porzrucane, pogubione, postrzelane przez Rosjan, te wesołe, wściekłe, uprzejme, okrutne zwierzęta, leżały sobie daremnie, kosteczki hrabiego, który gubił je jeszcze za życia, i dlatego tak marniał i malał, po śmierci pogubił je zresztą do końca, nigdy nie odnaleziono jego ciała, no a tamte kosteczki oni powyszarpowali z kątów pałacu, poogryzali i wypluli, niektórzy nawet upychali po kieszeniach, a to ręce posążków, a to nóżki zdobnych kieliszków, a to koperty roztrzaskanych zegarków, a to miniatury, akwarelki jakieś, które wypadły trupiej główce spod pachy lub kopnięte niechcący podczas rabowania wpadły gdzieś w kąt, za piec, za kominek, za drzwi, wyżarli to wszystko do końca, zafajdali pałac, wytlukli resztę szyb w oranżerii, obdzielili nas tuszonką, poobmacywali dziewczuchy we wsi, dostali samogonu i pognali za Niemcami na swoich czołgach. Zaraz potem przyjechało nasze wojsko, a trochę później, zimą, trzech cywile. Spytałem ojca, kto to. Powiedział, że rządowi, z Warszawy. Poszedłem. Byli z Muzeum Narodowego, oglądali pałac. Ubrani w garnitury, krążyli między lejami, omijali strzaskane w pół drzewa, niemieckie okopy, z których powyciągaliśmy co poręczniejsze żelastwo, folwarczny kowal kuł potem dla całej wioski narzędzia z porządnej niemieckiej stali, tylko korpusy i lufy dział jeszcze sterczały poskręcane i groziły niebu, krążyli i biadolili, choć w tym biadoleniu pobrzmiwało znużenie, znać, że w Warszawie nie takie oglądali ruiny. Któryś wspomniał, że skoro pałac na Okólniku spłonął, wysadzony umyślnie, bo w jedynej ścianie, która ocalała, ziały nawierty, których w pośpiechu nie zdążono wypełnić dynamitem, niechby choć jednak Bolechów ocalał. Ocalał, powiedziałem, potem powtórzyłem: ocalał, bo nie zwracali na mnie uwagi, a ja im się nawet nie przedstawiłem, nigdy w życiu się nie przedstawiałem, nikt mnie nie pytał o nazwisko, tyle co w szkole i gdy podpisywałem w pałacu umowę o służbę, szedłem więc trzy kroki za nimi i słuchałem, a oni zerkali przez ramię na tego folwarcznego psa, czy aby nie ugryzie, nie, nie ugryźł, pewnie był tylko ogłupiony wojną, musiałem więc powtórzyć: mnóstwo ocalało, pokażę wam, ale chcę się tym zająć, rozumiecie? To wszystko, co mam w życiu. Nie że wam pokażę, a wy, miastowi, podziękujecie i mnie odpędzicie, folwarcznego psa. Powiem wam,

jak zginął, widziałem to, i pokażę, co z niego zostało. A wy pozwolicie mi się tym zająć.

Poszliśmy do oranżerii, mówił Stefan, a tam wejście do piwnicy zasypane gruzem, obwalił się kawałek stropu, miastowi wezwali więc chłopów, chłopci zaprzęgli konie do rozrąbanych ostrołuków, wyciągnęli, resztę wybrali łopatami, aż dokopaliśmy się do muru, teraz prawdziwie poniszczzonego, nieładzącego już, tylko rzetelnie świadczącego, że wcale nie sześć lat, ale całe ery minęły od tamtego sierpnia, gdy wznosili go mistrzowie oszukańcy. Wszystko mogło zostać zasypane przez nalot, mówili, ja powtarzałem tylko: tak, tak, mogło, kopcie, nie gładźcie. Chwyciłem kilof. Rozbiliśmy mur. Ze środka wionęło starym mrokiem, niby nie trupim, ale mającym w sobie jakiś trąd. I wilgocią, której nie powinno było tam być. Pewnie zasypało otwory wentylacyjne, szepnąłem. Skrzynie stały ściemniałe, oprószone ziemią, która podczas nalotu jaków, gdy walił się dach i górne części ścian, sypała się spomiędzy zruszonych cegieł stropu. Nim przebiliśmy się do drugiego pomieszczenia, któryś z miastowych, tęgi, łysawy, zahartowany, dał znak, by wynieść jedną skrzynię do przedsiönka. Nasmarowane zatrzaski odemknęły się z oporem, zdrętwiałe po sześciu latach bezruchu, wyrwaliśmy liźnięte rdzą gwoździe. Chwyciliśmy ramę, wyciągnęliśmy z cynowego wnętrza, odwinęliśmy szmaty, poświeciliśmy. Błysnęły kolory, jakieś podniebne różowości, policzki, białe szatki, puchate korony drzew, spłoszone oczy konia, wszystko poczerniałe, wilgoć jednak wdarła się i zrobiła swoje, ale nie zniszczyła płótna, oczy miastowych rozbłysły mocniej niż lampa, któryś westchnął radośnie, z ulgą. Nie, nie pamiętam, który to był obraz, nie pokażę ci, obejdz sobie cały pałac, oglądaj, zobaczysz go wszędzie, w całej pozostałej setce. Potem wyjmowaliśmy resztę, pomału, nie od razu, najpierw taszczyliśmy skrzynie na górę, nosiliśmy do pałacu, stawialiśmy pod ścianami i dalej po nowe, a gdy zastawiliśmy pół korytarza, poszły w ruch młotki i niósł się potem ich huk po pustych salach, a mną znów targnęło, wżarł się we mnie na dobre ten trąd, co buchnął nam w twarz, gdy rozbiliśmy mur, trąd świetnie zachowany, wentylowany, lekko tylko trącony wilgocią po nalocie, ten nalot to była jedyna rzecz, która mu odrobinę przeszkodziła, poza tym kwitł sobie spokojnie, zarażał przez grubą warstwę drewna, cegieł i ziemi, zabił hrabiego, fornala, omal nie zabił mojego ojca, a teraz pysznił się, niewiniątko, różowy, olejny, płócienny, werniksowany, w złożonych ramach. Miastowi hasali z radości przy tych skrzyniach. Powiedziałem przez łzy: chcę się tym zająć, obiecaliście mi. To moje znaleźne. Byłem najbardziej samotnym człowiekiem na świecie, choć gdybym powiedział tak ojcu, wytrząsałby mnie po twarzy, za siebie, matkę, siostry i wujostwo z Poznańskiego, ja jednak właśnie tak się

czułem, nie że przeżyłem wojnę, tylko że przed laty zamknięto mnie w piwnicy, przesiedziałem w niej życie, nie tylko moje, także parę cudzych, i wyszedłem, bez winy, ale zbrzydzonej sobą, ogłupiony niewiadomym bólem, fircyk we fraczku, co przebrnął przez gnój.

Tęgi łysoń kiwał głową, na pozór wcale nie słuchał moich błagań, tak był zajęty rozpieczętowaniem skarbów, ale potem klepnął mnie w ramię i powiedział: chłopcze, teraz do wszystkiego trzeba ludzi, wielu ludzi, przydasz się. Następnego dnia, nim wyjechali, dwaj oglądać inne majątki, jeden z powrotem do Warszawy, po sztukmistrzów, którzy mieli te obrazy odczyścić, srebra, marmury, zegary, księgi i całą resztę, było tej roboty na wiele miesięcy, łysoń przybił do drzwi pałacu papier z pieczęcią ministerstwa, napisał na nim WŁASNOŚĆ SKARBU PAŃSTWA, WSTĘP WZBRONIONY, postawił na straży milicjanta, a gdy wrócił po paru dniach, pamiętał o mnie. No chodź, Robuś, obejrzymy jeszcze raz te wzniosłe paskudztwa, daremne śliczności schłapanie krwią, dla których, stary koń, poszedłem do gimnazjum, a potem na studia z historii sztuki, bo tylko tak mogłem się wykupić z tamtej niepojętej niesprawiedliwości, przyjrzyj im się dokładnie, to twój elementarz, prawdziwe malarstwo, żaden stary, marudny rysownik amator nie nauczy cię tyle co dawni mistrzowie.

Stacja

Mistrz Gawała przez lata powtarzał, że na starość wróci do Sandomierza, miasta na górkach kawałek wzwyż Wisły. Stamtąd pochodził. Zaraz po wojnie, gdy był jeszcze młody, w Bolechowie dostała mu się gospodarka po stryju, przeniósł się, ale nie gospodarzył, tylko jak ojciec został kamieniarzem. Jakims sposobem uchronił warsztat przed nacjonalizacją. Robota płynęła sama, wystarczyło stanąć i łapać: gminna wieś, kościół parafialny z dużym cmentarzem, pałac w połowie rozbity, oranżeria, z której zostały same mury i piwnica, do tego porządny pegeer na żyznych glebach, rozrastający się, murujący. Surowców w bród: piaskowce z Szydłowca i znad Kamiennej, wapień z Pińczowa i Karsów, marmur kielecki z Morawicy. Warsztat urządził w dawnej stajni. Pola wyprzedził, zostawił tylko łąkę i stary sad na stoku wzgórza, z którego widać było bliźniacze wzgórze pałacowe. Resztę budynków zaniedbał. Odnawiał je z rzadka, trochę dla przyjemności, trochę z przyzwoitości, niby że skoro swoje, to głupio puścić w ruinę, czasem kazał zrobić coś przy nich czeladnikom, dlatego co murowane, po wierzchu nie marniało, choć wewnątrz sypało się w zapomnienie. Z dwóch synów żaden nie poszedł w kamieniarkę, tylko do miasta, i to nie do Wierzbińca czy Sandomierza, lecz do Kielc i Warszawy. W warsztacie po parunastu latach miał sześciu ludzi do pracy, trak do cięcia kamienia, piłę tarczową, szlifierkę przegubową i roboty po pas.

Nikt nie wie, skąd i jak on trafił do Bolechowa. Opowieść Łucji gubiła go w łomie. Odnalazł się dopiero w warsztacie Gawały, dwudziestoparoletni, ze świadectwem ukończenia zawodówki, dyplomem czeladnika, więziennym tatuażem na przedramieniu i nakazem pracy. Przyjechał może pociągiem do Brzeźna i pozostałą drogę pokonał pieszo, może wysiadł z pekaesu na bolechowskim przystanku. W każdym razie musiał przejść wzdłuż parkowego płotu, minąć dawne folwarczne dwojaki, w których mieszkali pracownicy pegeeru, skręcić w liściasty lasek przesłaniający gospodarstwo mistrza przed oczyma wioski i drogą nad wąwozem rozdzielającym oba wzgórza, pałacowe i Gawałowe, dotrzeć pod bramę. Pracował już w kilku warsztatach, ale na pytanie gdzie, nie umiał podać żadnej nazwy. Parę lat później, gdy po robocie pili wódkę, mistrz wyciągnął mapę, wtedy on puknął palcem w cztery miejsca. Schodziły krzywo ku południowemu wschodowi. Bolechów, oparty plecami o Wisłę, wyglądał na koniec tej drogi. Gawała, gdy go przyjmował, ani mrugnął na wieść o obozie, nie oglądał też długo jego papierów, kazał tylko wyprofilować narożnik cokołu w odwrócone symy, oczyścić trak po

piłowaniu marmuru, wygroszkować powierzchnię granitowego formaka i zahartować końcówkę odbijaka do pracy w piaskowcu. On zrobił wszystko, spokojny, czujny bóg, a nim zdążył ostudzić zahartowane dłuto w wodzie i końcówka powlekła się wzorową niebieskawą barwą, Gawała roześmiał się i zmierzwił mu czuprynę.

Póki parę lat później, w siedemdziesiątym czwartym czy piątym, nie zapoznał się z kasjerką z Brzeźna, gdzie zamieszkał na poddaszu w przystacynym domu, nikomu innemu nie pozwolił się dotknąć, przynajmniej nikt tego nie widział. Ale w Bolechowie w ogóle widziano go mało. Do warsztatu przychodził pieszo, wolnym krokiem, z kanapkami i termosem w siatkowej torbie. Po fajrancie nie pił, chyba że z Gawałą, gdy skończyli większą robotę, taką, co wciągała głęboko w wieczór, w noc, w jesień. Nie pojawiał się na stadionie okręgówki, w pegeerowskiej stołówce, do której kamieniarze przychodzili na obiad, na sylwestrowych tańcach w remizie ochotniczej straży, na odpuscie ani dożynkach, w pekaesach do Wierzbina, Sandomierza czy Puław, do kościoła przychodził tylko z robotą. Łowił ryby na łachach wysuniętych najdalej w głąb rzeki. Mijał rok za rokiem, a on nie zmieniał się, trwał, z kamieniem w palcach, kobaltem w oczach. Czasami w niedzielę znikali gdzieś z mistrzem. Gawała przestrzegał swojej nietutejszości, niby mieszkał w wiosce od prawie trzydziestu lat, ale może dlatego, że żył zapatrzony w swój przyszły Sandomierz, może przez to, że mieszkał odgradzony od wioski, wywyższony na wzgórzu, z widokiem na dolinę Wisły, nie na pegeer i pola, choć lubił Bolechów i mościł się w nim, węsato roześmiany, miał w sobie przegrodę, za którą miejscowych nie wpuszczał, coraz niechętniej dawał tam przystęp nawet własnym synom i żonie. Jego wpuścił. Ryb nie łowił, ale dosiadał się do niego nad rzeką. Gdy przyszło wypić, przynosił dwie butelki, a że nie pozwalał nikomu, sobie też, pić w warsztacie, schodzili we dwóch do pustej chałupki stojącej niżej nad wąwozem i wypijali je w godzinę szybkimi kolejkami, haust, nalej, haust, nalej, haust. Potem żegnał go w bramie mierzwiem włosów. Mijał rok za rokiem, a to coś między nimi trwało, bliskie, choć milkliwe, sypnięte po wierzchu Gawałowym śmiechem, z żarem tłącym się w kamieniu.

Nie zmieniło się wiele, gdy poznał Hannę, bez trudu zmieścił ją w sobie obok mistrza, w swoim czasie rozciągniętym w bezkres, w nierozległym widnokręgu zamkniętym klitką na stacji, wzgórzami Bolechowa i zakolem Wisły. Chadzali nad rzekę, widywano ich na promie lub na uboczu miejscowej plaży, u stóp pałacowego wzgórza. Raz zjawili się na odpuscie. Nie zasłaniał tatuażu. Nie było dziewczyny, która by się za nim nie obejrzała, choć miał już wtedy

trzydzieści cztery lata. Był urobiony, ciemny, trwały. Miał dyplom mistrza kamieniarskiego. Zapuścił wąsy. Garnitur zamówił sobie u krawca z Pniowa, kawałek w górę rzeki. Pojechali go odebrać w lutowy mróz, po zakutej w lód Wiśle, pożyczonymi z pegeeru saniami. Gnali opatuleni w kozuchy, wtuleni w siebie na wążutkim koźle. Gawąła się cieszył. Franuś, powtarzał, a ja już myślałem. Zaraz gdy się dowiedział, wypili w chałupce cztery butelki i sprowadził go kulawym szlakiem przez zasy w dół wąwozu, na wał, może dalej, nad rzekę. Ktoś z dwojaków mówił, że z mroku dobiegło potem przeciągłe zachłyśnięcie, ni to płacz radości, ni to skowyt żalu, nie wiadomo czyje. Gawąła świadkował mu na ślubie. Od niego nie zjawiał się nikt, ani rodzice, ani bracia. Nie widział ich wszystkich, od kiedy wygrzebał się z ziemianki. Zamieszkali z Hanną w pokoiku na stacji, z widokiem na Wisłę i parkowe wzgórze.

Niedługo po ich ślubie, na początku lata, remontowano kryptę w bolechowskim kościele. Hrabiowskie trumny spoczywały w niszach zamkniętych płytami z białego marmuru. Dwie płyty pokreślone były jeszcze, trzydzieści lat po wojnie, rysami po ciosach kolb, może łopat, może kilofów. Z łomu w Krzyżatce mistrz Gawąła sprowadził płyty Białej Marianny, delikatnej i chłodnej, przesyconej różowoszarą mgłą. Franciszek przyciął je w kwadrat, wyszlifował, wypolerował, sprofilował z czterech boków w drobne ćwierćwałki, widiowym dłutkiem wykuł w klin napisy: na górze rozdzielone krzyżem litery Ś.P., pośrodku imiona, niżej nazwiska, na dole daty, wszystko antykwą niespotykanego już kroju, który musiał odrysować sobie z pozostałych nisz. Na jednej z tych dwu płyt, ostatniej w szeregu, daty wypisane były prosto, jak wszędzie, za to imię i nazwisko cieńszą kursywą, na poły wtopioną, zdawało się, w marmurową mgłę. Ostatni hrabia, wyjaśnił Gawąła, pusta nisza. Franciszek rozpuszczał potem szelak w spirytusie, powlekał nim wykute napisy, na to kładł warstwę lepkiego mikstionu, dzień później z nieważkich, niewiele grubszych od włosa płatków złota wycinał litery, ujmował je w dwa palce, gładko nalepiał na wyschnięty podkład. Kolejnego dnia późnym rankiem powiózł wózkiem gotowe płyty przez park. Czerwiec płał wszystko w sytej zieleni, nieznużonej jeszcze, nieprzyprószonej siwizną dojrzałego lata. Świat stał w świetle. Krypta była otwarta. Franciszek ustawił sobie wózek przy szczycie schodków, objął płytę, dźwignął ją z drewnianych, owiniętych filcem przekładek. Zszedł na dół. Przy niszach stał kustosz, jak zawsze w szarym garniturze, żywo tłumaczył coś młodej kobiecie znajdującej się obok, w koku na głowie i w sukience do kolan. Ach, powiedział na jego widok, nasz więzienny mistrz. Pokaż no. Kobieta obróciła głowę, musnęli się spojrzeniem, gałęzie dwóch drzew ruszone tchnieniem wiatru. To

była córka kustosza, ponoć dopiero co skończyła studia. Kustosz pchał ją do nauki, w świat, na uniwersytety. Franciszek przykucnął, ukląkł na jedno kolano z marmurem przytulonym do piersi, nie odstawił jednak, tylko ruchem głowy kazał przysunąć drewniane podkładki leżące z boku w nieładzie, może kopnięte przez nich niechcący. Kustosz szurnął stopą po posadzce, podsunął drewnienka. Franciszek ustawił na nich płytę, ciężki obłok białości i różu, oparł górnym skrajem o ścianę. Błysnęły złote litery, mgnienia czerwcowego światła zniesione w cień. W ostatniej chwili, gdy wstawał i wycierał ręce o koszulę, kustoszówna jeszcze raz zerknęła na niego i na jednej z rąk, skrzęcej się mineralnie od krwiazzków, blizn, szram, pod błonką potu i marmurowego pyłku dostrzegła plamkę tej samej barwy, co pisane kursywą nazwisko hrabiego. Obrączka. Franciszek wrócił na górę. Gdy znosił drugą płytę, kłóciła się z ojcem. Nim odszedł, niewidzialny już dla kustosza, podniósł wzrok i pożegnał ją ćwierćskinieniem głowy.

Po niedługim czasie urodziła mu się córka. Dużo później, o kilka lat za późno, żaliła się potem Hanna babom w sklepie i na przystanku, wyprowadzili się ze stacyjnego poddasza. Gawąła wrócił kiedyś ze szpitala, gdzie leżał długich parę tygodni, nie pierwszy raz w ciągu ostatnich lat, i oznajmił w warsztacie, że ma kręgosłup do operacji, zwyrodniałe biodro i zaczątki pylicy. Już pora, panowie, oznajmił. Rozejrzał się po gospodarstwie, poszedł na łąkę, w sad, snuł się niedługą chwilę, wreszcie zawołał Franciszka. Powiedział, że jego synowie już na pewno z miasta nie wrócą, zakład puszczą w najem lub przekształcą w spółdzielnię, wtedy przestanie istnieć bolechowskie kamieniarstwo, znane w nadwiślańskich miejscowościach od Puław po Sandomierz, a ziemię odkupi gmina i przyłączy ją może do pegeeru. Dlatego jeśli on nie weźmie po nim schedy, piętnaście lat wspólnej roboty pójdzie na marne. Wieczorem poszli do chałupki, wypili trzy butelki. Gawąła sprzedał mu gospodarstwo za niecałe sto tysięcy, po cenie nieużytku. Za warsztat policzył jak należy, ale potem woził go swoim nowym polonezem do Sandomierza, pomagał załatwić kredyt, rozłożył mu płatność na raty. Mówił ze śmiechem, że Franuś i tak nie zdoła mu się wypłacić do jego śmierci. I dodał kiedyś, bez skargi ani wyrozumiałości, że gdy opijali sprzedaż w chałupce nad wąwozem i potem, gdy jeździli za kredytem, podpisywali papiery, i gdy mianował go nowym właścicielem warsztatu i oznajmił ludziom, że od teraz pracują dla Franciszka, i w ogóle przez wszystkie poprzednie lata, ten nigdy mu nie podziękował nawet skinieniem głowy.

Dopiero wtedy, gdy przeprowadzili się z brzezińskiej stacji do domu Gawaków, solidnego, z drewnianych bali koloru czarnoziem, z pokoikami na strychu, kuchnią większą niż

całe ich dotychczasowe mieszkanie, z piecami kaflowymi, trawiastym podwórzem, pustymi budynkami gospodarskimi o wypieszczonych kamieniarską ręką ścianach, lecz sypiących się dachach, z dużym warsztatem, bez wystawki nagrobków i pomników przed wejściem, zakład Gawały nie musiał nic wystawiać na pokaz, dopiero wtedy urodziła im się druga córka. Franciszek wyremontował dom, potem poreperował budynki i zaczął gospodarzyć. Sprawił sobie w pegeerze prośną maciorkę, zapełnił kurnik, zmajstrował klatki na króliki, wreszcie kupił krowę. Odnawiał też chałupkę, w której przez lata pijał z mistrzem, chciał zrobić z niej dom dla którejś z córek. Jego warsztat pozostał najlepszy w okolicy, mówiono, że jeszcze lepszy niż za Gawały. On pewnie o tym wiedział, jednak nie od ludzi, bo nadal prawie ich nie widywał, chyba że w warsztacie, tylko od samego kamienia, od własnych rąk.

Muzeum

Po latach wspominała go nieczęsto, niechętnie, nie tykała też zdjęć, nielicznych, jakie zostawiła sobie po nim, z pałacowej służby, tak to nazywał, służby, kto wie, czy z pokory, kokieterii, czy przyzwyczajenia, nielicznych, bo przecież, westchnęła kiedyś, i tak wszystko dokoła jest jego fotografią, grupową i barwną, wywołaną na lśniącym papierze i oprawioną w złożoną ramkę. Gdy tamtego wrześnieowego ranka zostawiła mnie z nim na ławce i odeszła do pałacu, znała każde słowo gawędy, która została mu do opowiedzenia, mnie, sobie, alejkom, ławkom, akacjom i lipom, o tym, skąd się wziął, z jakiej gliny ulepił, w jakim piecu wypalił, na czyich kościach. Ustalił sobie własny początek, mawiała po latach, nikt przecież nawet nie zna daty jego urodzenia. Rosyjski ostrzał zniszczył w wiosce nie tylko trzy chałupy, spłonęła też plebania, w niej księgi parafialne, po wojnie wszyscy podali daty jak należy i proboszcz pozapisywał ich od nowa, przynajmniej żyjących, Stefan jednak od razu oświadczył i powtarzał to do końca życia, że urodził się w wojnę, po wojnie, różnie to określał, zależy, z kim rozmawiał, w trzydziestym dziewiątym, w czterdziestym trzecim, gdy esesman zastrzelił hrabiego, w czterdziestym czwartym, gdy weszli Rosjanie, w czterdziestym dziewiątym, gdy poszedł na studia, aż wreszcie stanął na pięćdziesiątym szóstym, kiedy to Lorentz, tamten łysoń, któremu po wyzwoleniu Stefan pokazał zakopane zbiory, wciągnął pałac z parkiem na listę oddziałów Muzeum Narodowego i powołał go na kustosza. Pamiętasz przecież, mówiła, że nigdy nie obchodziliśmy jego prawdziwych urodzin. Ach, moich też nie, może to rodzinne, ale moich nie obchodzimy z innej przyczyny. Stefan postanowił, że będzie obchodził tylko rocznicę kustoszowania, robił to hucznie, choć w różnych miesiącach, zależy, jaki panował klimat w kraju, czy przyziąbiło, czy zelżało, właściwie nie wiadomo czemu, kogóż by obchodziło, że zaczął pracę po Październiku, no ale taki był, najostrożniejszy człowiek w kraju, zakładnik sztuki, nie polityki, jak powtarzał. A moje, cóż, moje, westchnęła, ja też ich się wyparłam, ale nie dlatego, że kiedyś narodziłam się ponownie, choćbym jak Stefan miała na to parę dat na różne okazje, nie wypaliłam się w ceglany piecu w podziemiach oranżerii, to męski przywilej, opłacony, rzecz jasna, strachem i męką, ale kobieta często płaci nie mniejszą udręką, a zwykle odmawia się jej bohaterstwa, przygody, legendy, ja tylko wyłoniłam się z tej legendy i wyrosłam w niej, drukowanej na lśniącym papierze i oprawionej w złożoną ramkę, i może dlatego, że była potężniejsza ode mnie, jak to legenda, uznałam kiedyś, że mój własny moment początku jest

nieistotny, może odmówiono mi go w rachunku zasług i chwał, może przysłonięto tylko przed moim wzrokiem, a może w ogóle nie trafił mi się, nie nastąpił. Wzięłam się z szarego niepoczątku, mówiła, z czegoś starszego ode mnie i mgła mi z ręki wróżyła, że ta szarość będzie trwać.

Gdy tamtego wrześniego dnia zostawiła nas na ławce i odeszła do pałacu, w parku już zaczynał się ruch, pewnie dlatego Stefan powiódł mnie w przeciwną stronę, by dokończyć gawędę, nim pańskim okiem zacznie doglądać przygotowań, potem miał jeszcze wprowadzić mnie do pałacu i na pokaz dla tych, co będą się już krzątać, oprowadzić mnie po salach i pokazać zbiory, choć znałam je na pamięć. Widziała, jak przez bramę wjeżdża nyska ekipy kinowej i staje pod oficyną, dwaj kiniarze wyciągają projektor i blaszane puszki z taśmami, skądś też, wezwani chyba Stefanową myślą, zjawili się dwaj pegeerowcy przyuczeni do pomocy przy filmach. Skrzywiła się, może wyobraziła sobie, nie, raczej sobie przypomniała, odświętnie przybraną salę na parterze oficyny, szczelnie zaciemnione okna, ściśnięty w zaduchu bolechowski tłum, niezmiennie podzielony na dwie strony, wiejską i pegeerowską, wykąpany w krochmalu, pocie i wódce z poprawin któregoś brygadzysty, zakończonych tuż przed chwilą, rozdziamgotany niedzielnie, głośniejsz z tyłu, gdzie lubili poszturchiwać się i trzepać po głowach pijaczkowie, lenie i niebieskie ptaki, przy drzwiach, gdzie wierciły się dzieciaki gotowe wymknąć się w połowie filmu i z gwarem ruszyć w odświętnie opustoszałą wieś, ciszej z przodu, gdzie siedzieli dziadkowie, emeryci, kierownicy i księgowi, a najpobożniej w pierwszym rzędzie, gdzie sztywnili się proboszcz i dyrektor pegeeru. Potem, wiedziała, rozlegnie się westchnienie, gdy wejdzie Stefan, wszyscy wstaną, sypną oklaskami, on skłoni się z uśmiechem, odczeka chwilę i powita wszystkich na pokazie, tradycyjnym i zarazem wyjątkowym, cóż może być bardziej tradycyjnego niż seans *Chłopów*, który to już raz, skrzywiła się, a wyjątkowym, bo jubileuszowym, czy można innym filmem świętować trzydzieści lat kustoszowania bolechowskiemu muzeum? Łucja śmiała się, gdy oznajmił, że znów zamierza puścić *Chłopów*, a jakże, powiedziała, nigdy za wiele przypominać im, kim są, a też, dodała w myślach, kim jesteś dla nich ty. Żadna drwina nie zmaćci jednak uśmiechu Stefana, gdy będzie witał zebranych, najpierw proboszcza i dyrektora, jego dłużników. Któż jak nie on pomógł załatwić bolechowskiemu pegeerowi fundusze na budowę blokowego osiedla, choć zrobił to tylko po to, by odzyskać oficynę, do niedawna służącą w tym celu, w jakim zbudowano ją przed wiekiem, czyli jako mieszkalnia dla robotników rolnych. Kto jak nie on załatwiał też materiały do remontu kościoła, choć tylko po to, by proboszcz udostępnił mu do zwiedzania wnętrze świątyni

z dwustuletnim pomnikiem nagrobnym matki pierwszego bolechowskiego ordynata, pominiętym przez oficera trupią główkę i jego kolekcjonerów ze względu na ciężar i masywność, i z tej samej przyczyny raz tylko przebronowanym seria z pepeszy przez tych, co kolekcjonerów przepędzili, oraz kryptę z całym rodem hrabiów, prócz tego, który oparł się tym pierwszym i może na swoje szczęście nie doczekał drugich.

Niedzielne światło wrześniło się przez korony parku, zniżone już, rozproszone ledwie postrzegalną rudawą mgiełką, gdy Łucja weszła do pałacu. Zamiast echa własnych obcasów w sklepionych łukowato salach w głowie słyszała chrzęst dostojnych, coraz cięższych kroków Stefana i moje podskakujące drobienie, bo wstaliśmy właśnie z ławki i ruszyliśmy alejką w stronę stawów. Znała te kroki jak własne, Stefana z pamięci, moje z głębi siebie, słyszała je trzecim uchem zwróconym do wewnątrz, wsłuchliwym i czujnym, prawie zawsze wiedziała, gdzie jestem, z której strony nadejdę. Ja też do pewnej chwili myślałem o niej stale, milczącej i dalekiej, mającej dla mnie zupełnie inną uwagę niż ta szturchliwa uwaga, którą widziałem u matek we wsi i w pegeerze, gdy już zacząłem chadzać tam ze szkicownikiem, inną pewnie dlatego, że miała tylko mnie, a ja prócz Stefana tylko ją, byłem zgęstką wytraconą z mgły, moje narodziny zastąpiły jej własne. Pałac wyblyszczono jeszcze mocniej niż zawsze, choć nie na dziś, po pokazie filmu nie miało być żadnego zwiedzania, lecz na jutro, drugi dzień jubileuszu, gdy mieli przyjechać goście z Warszawy, minister kultury, historycy, muzealnicy. Miała być tam też ona, skromna przewodniczka, której jednak wszyscy, wiedziała, złożą honory jako córce kustosza, niedoszła historyczka, przestań, do diabła, złościł się Stefan, przyszła historyczka, zapamiętaj, odłożyłaś karierę tylko na parę lat, z własnego zachcenia, z przypadku, z głupoty, z lekkomyślności, potrafił wyliczyć jednym tchem kilkanaście przyczyn, które ona katalogowała sobie obojętnie, ale nie umiała odnaleźć w sobie żadnej z nich, odłożyłaś na moment i wrócisz do niej, powtarzał przyszłej, nie niedoszłej, historyczce podróży, zakupów i licytacji hrabiego, przygód bolechowskiej kolekcji sztuki, zwłaszcza tej wojennej, która przyprawiła hrabiego o śmierć, a Stefana z syna parkowego ogrodnika dźwignęła do kustoszowania.

Szacownych gości miałem też przywitać ja, choć w oczach Stefana do niedawna byłem ledwie pamiątką zachcenia Łucji, jej głupoty, lekkomyślności, przypadku, kiedyś ja też katalogowałem sobie te wyliczenia, słyszałem je zza drzwi, gdy się kłócili, Łucja daremnie próbowała go zagłuszyć, i tak wszystko słyszałem, Stefan kłócił się donośnie, rozpieklony tym, że omylnie, boczną furtką wtargnąłem na nieskazitelne aleje bolechowskiego parku i w lustrzane

sale, byłem dla niego podrzuconym wilczkiem, karmionym piersią, o zgrozo, przez jego córkę. Zmieniło się to, gdy kiedyś, dziewięcioletni może smyk, nieuczony przez nikogo, po zamknięciu pałacu zasiedziałem się w jednej z sal i tchnięty jakąś zgęstką nastroju, wytrąconą z muzealnego powietrza, odrysowałem lirę z marnej kopii Siemiradzkiego, którą hrabia, wytrawny zbieracz, kupił do kolekcji pewnie od oszusta. Pokazałem ten narysowany instrumencik Stefanowi, a on osłupiał, myślał chyba, że cudownym sposobem wyjąłem go z obrazu. Od tamtej pory pałac stał się moją szkołą, on jej dyrektorem, profesorem, moim wychowawcą, korepetytorem, bardzo się też przy tym niecierpliwił, może odliczał już lata do końca, może czuł, że pomału się dopełniają, i chciał przelać je we mnie po brzegi. Łucja była pewna, że Stefan każe teraz wystroić mnie w garniturek, postawi przed gośćmi, ci będą nachylać się z uśmiechem i ścisnąć mi spoconą rękę, potem ona wręczy mi szkicownik, poprosi, bym coś narysował, i pokaz wypadnie nieźle, bo rysować umiem, a ludzi się nie boję. I gdy przez wybłyszczone sale pałacu szła po zaczątek swojego doktoratu o dziejach bolechowskiej kolekcji sztuki, nad którym ślęczała w biurze, gdy nie było wycieczek, słyszała już, nie tym trzecim uchem, które miała tylko dla mnie, raczej pamięcią, bo wizyt i jubileuszy Stefan urządzał w pałacu sporo, gwar imprezy jutrzejszej, dotąd najuroczystszej, którą chciał uczcić najważniejsze ze swoich przybranych urodzin. Gdy mijaliśmy stawy i zza drzew łyskała Wisła, pasmo ultramaryny rozszarzone surową sjeną, a wiatr ścichał do końca, Łucja wykręcała z biurowej maszyny przełożony kalką maszynopis, wciąż chudziutki, wczoraj dopisała ledwie trzy, cztery pokreślone zdania, potem schowała go do tekturowej teczki i wyszła z pałacu. Gdy przemykała ścieżką, nie alejkami, ciszką, by nie spotkać schodzących się bab, tych wiejskich postrojonych po dawnemu, w spódnice, chustki, zapaski, jak zawsze, gdy przychodziły obejrzeć *Chłopów* czy inne filmy, tych pegeerowskich ubranych ciut miastowo, w sukienki i żakiety, wszystkich jednak sprawiedliwie dźwigających gary bigosu, blachy drożdżowców ze śliwkami i szarlotek z sandomierskich jabłek, wódki nikt nie niósł, czekała na miejscu, kupiona przez Stefana dwa tygodnie wcześniej, tuż przed ostatnią podwyżką cen na alkohol, schłodzona już i gotowa do wniesienia po seansie, gdy więc między platanami, dębami i akacjami pstrokaciły się już te chustki, zapaski i żakiety, Łucja z teczką w ręku podbiegała tylną ścieżką do rządówki, a myśmy ze Stefanem milczeli, zapatrzeni w rozsmużony szarawo wiślany błękit hen za drzewami parkowego wzgórza.

Łucja wbiegła do domu i odetchnęła, ale ulga nie trwała długo, bo z kuchni niespodzianie dobiegł brzęk fajerek, trzaskanie kredensu, buchnął zapach świątecznego obiadu, ziemniaków,

kotletów, buraczków z chrzanem, kompotu z późnych wiśni, słycać też było szurgot kapci i nucenie, znane jej wprawdzie, ale z pałacowych sal, nie stąd, z własnego domu. Łucja stanęła w progu. Po kuchni krzątała się dojarka Borkowa. Oborowe z pegeeru wstawały o wpół do piątej rano, szły do obór i chlewów, obrządzały krowy i świnie, o siódmej, ósmej wracały do swoich mieszkań w dawnych folwarcznych dwojakach i nowych blokach, szykowały dzieciaki do szkoły, odprawiały poranną krzątanie domową, potem te, co wołały, by mąż i dzieci zjadły w domu, a nie w stołówce, gotowały obiad i wczesnym popołudniem wracały do zwierząt. Lecz niektóre, co dawno odchowwały dzieci, nie miały działki czy własnego kurnika lub chlewiku przy bloku, głównie starsze wdowy, jak Borkowa, dorabiały sobie wieczorami jako pałacowe sprzątaczk. Po zamknięciu muzeum pucowały okna i gabloty, polerowały tabliczki przy obrazach, pastowały posadzki, omiatały sufity. Córce kustosa kłaniały się z półuśmiechem.

Łucja zagapiła się w kuchnię wypełnioną ruchem, swoim i cudzym zarazem. Pani Borkowa, spytała, co pani tu robi? Obiad, dziecino, niedzielny, pyszny. Dla małego. I dla was. Tacyście zapracowani nawet w wasze święto. Jego święto, pomyślała Łucja, nie moje. A skoro wasze, dodała Borkowa, przynajmniej obiadem się zajmę. Gdy palce Łucji, muśnięte na opuszkach fioletem kalki, zacisnęły się na teczce, poczułem to, daję słowo, aż ścisnąłem mimo woli rękę Stefana, gdy prowadził mnie pod *Obłok* Ruszczyca, pobrużdżony impastami, pełen nieznannej mi jeszcze mocarnej siły. A kto pani kazał? Łej tam, kazał. Pan Stefan nic mi tu kazać nie musi. Starczy, że spyta. Albo domyślę się sama. Bo to trudno? Przecie powiedział, żeś zajęta, dziecino. Malutki, mówił, poszedł teraz pod jego opiekę, na artystę. A jak się pisze doktoraty, skąd brać czas na gotowanie. I tak teraz będzie? Łucji wydało się, że powiedziała to tylko w myśli, i może tak było, może dojarki, sprzątaczk wrosły w pałac na tyle, że wyczuwały jego wewnętrzny mechanizm i potrzeby lepiej niż ona, słyszały pytania, których nie wypowiedziano, i znały odpowiedzi, bo Borkowa prychnęła: no a jak ma być? Łucja wmyśliła się w ten kuchenny opar, smaczny i przasny, w mgłę tak gęstą, że krępującą ruchy. Pani Borkowa, powiedziała drżąc, po to jestem matką, żeby ugotować synowi obiad. Matką!, zaśmiała się Borkowa. Jeszcze masz czas zostać matką, dziecino. Jestem nią od dziesięciu lat. Łej tam, jesteś. Nie zaczęłaś jeszcze. Matką jest się tu, Borkowa klepnęła się w ciemię, nie tu, majtnęła sobie ręką nisko przy fartuchu. A ja z wyższego nadania robię. Co pani plecie? Oj, dziecino, wobec niego też taka grzeczna? Wobec kogo?, Łucja prychnęła. Z kościoła pani jeszcze nie zdążyła wyjść, z klęczek nie wstała? Z klęczek, łej tam, z klęczek. Szacunek panu kustoszowi należy się od wszystkich, od

ciebie największy, dziecino, boś jego córka. Ale właściwie czemu?, pomyślała Łucja, teraz naprawdę tylko pomyślała, czułem to, wychwyciłem tę myśl, ostrą, skrobiwą, gdyśmy stanęli ze Stefanem przed *Kwiaciarkami* Boznańskiej, jednym z moich ulubionych obrazów, bijącym spod lekko kładzonej farby szczególnym światłem, już wtedy często myślałem o tym świetle, a potem długo próbowałem je naśladować, aż pojąłem, że jest to światło pokory, gdyśmy więc zatrzymali się przed tym namalowanym oknem, otwartym na nieznany mi przedmiejski świat, i namalowanym stołem, pełnym nieznaney mi pokornej roboty, wychwyciłem tę myśl, ciemną, zadziorną. Musiała też wychwycić ją Borkowa, bo kopystką, którą krasila właśnie ziemniaki skwarkami i mlekiem, trzasnęła o brzeg garnka, a potem rozdziamoliła się z wyrzutem, choć nie do Łucji, raczej wobec czegoś, co mieściło je obie, tak przecież dalekie, i było silniejsze niż one: choćby jak się kiedyś świętowało. Moja mamusia pamięta jeszcze. Byś ją spytała, dziecino, jeśli się nie brzydzisz pójść na bloki. Z łóżka już nie wstaje, ale ci opowie. Myśmy już od dawna pegeer, ale ona z bolechowskich gospodarzy. Widziała swoje. Wojnę widziała. Na słowo „wojna” Łucja chciała wyjść, ale Borkowa zatrzymała ją machnięciem kopystki i gadała dalej. Ja już się w nowych porządkach chowałam, ale swoje rozumiem, zwłaszcza od kiedyśmy z mamusią chałupę dzieciom moim oddały i poszły do pegeeru. Teraz my po jednej stronie, oni po drugiej. Tam ksiądz, tu dyrektor. Są święta, zwyczaj, zabawy, ludziom potrzebne, a każdy chce je mieć swoje. Tyle że te dyrektorskie nie nasze, nie z ludzi, tylko z papierów, z gazet, nakazane. A to pochód w pierwszego maja, a to lipcowy festyn, a to dożynki z czerwonymi flagami, kto widział coś takiego, a to przekazują sztandar za współzawodnictwo. I zabawy choinkowe zamiast Bożego Narodzenia. Ty, dziecino, z tej tu swojej willi nawet tego nie widzisz, ale niech ci pan kustosz opowie, przecie bywa na jednych i drugich, tych z flagami i tych z wodą święconą też, i tak właśnie prawdziwemu panu przystoi. Śluby teraz biorą w urzędzie, bez księdza, któż to widział. A pan kustosz wcale nie pyta, czy z księdzem, czy bez, bo i tak przyjdzie, rękę młodym ściśnie, kieliszek wypije, i nie ma w wiosce ani gospodarza, ani pegeerowca, co by go nie zaprosił. A jak kto z pegeeru ma kłopot w życiu, w domu, to co, do dyrektora pójdzie po radę? Na co mu dyrektor. Najwyżej dzień urlopu każe wypisać, po ramieniu poklepie, wódki się napij, powie. A pan kustosz? By tylko ludzie mieli większą śmiałość iść do pałacu po radę, a mało kto ma, to każdego by wysłuchał, rozsądził, rozwodów dwa razy mniej by było i zdrad. Blokiśmy od kogo dostali? Kto nas gości u siebie w oficynie? Kto kuligi urządza? A czasy jakie, aż strach. Żywność drożeje, atom wybuchł na Ukrainie. Święta świętami, zabawy

zabawami, ale idzie o coś więcej, po prostu taki pan musi być. Choćby przybrany. Stare ludzie to wiedzą. Musi, bo inaczej nic nie działa jak trzeba, zwłaszcza jak wszystko takie podzielone, jak teraz, że ludzie tu, władza tam. No, wiesz już, skąd ten szacunek, prócz tego, że od ciebie, dziecino, taki zwykły, córczyny, by się własnemu tatusiowi należał?

Łucja dosłuchała tych słów już z korytarza. Wycofała się na palcach, pchnęła drzwi o płycinach rzeźbionych w lilie, potem zamknęła je za sobą, podparła plecami. Czuła, że brnie przez gęstniejącą mgłę z nitką w ręku, odwija ją z kłębka tkwiącego gdzieś w niedosięglym już mroku, ściska w palcach, może tą nitką jest właśnie teczka z maszynopisem, i ciągnie ją z nadzieją, że odnajdzie drogę przed sobą, lecz kto to widział, by w taki sposób wytyczać sobie drogę przez mrok, raczej tylko wlecze się za sobą to, co było, czuje się w rękach opór, a pod palcami wilgotną śnieź. Rozplakałem się. Cóż to, chłopczyku? Stefan przystanął, bo właśnie wychodziliśmy z pałacu, nachylił się nade mną, a ja oparłem się o kolumnę i przez chwilę nie mogłem złapać tchu. Tymczasem spostrzeżono nas już, krzątanka uznała, że dłużej nie da sobie rady bez Stefana, z oficyny nadchodzili ludzie, pytający, odświętnie zaaferowani. Łucja usłyszała mój płacz. Usłyszała też głos Stefana, który wnikał już w krzątankę, oddawał się jej, i dlatego powiedział do mnie: biegnij do domu, na obiad. Wysmarkał mi nos, uściskał, pogłaskał po głowie i pchnął leciutko, stanął wyprężony na szczycie schodów i czekał, a ja powlokłem się alejką, wciąż targany szlochem, przydławionym, nieukojonym, wiedziałem jednak, że muszę go zdławić przynajmniej póty, póki nie skręcę w ścieżkę do rządówki, ukryć go przed wzrokiem bab niosących blachy z plackami i chłopów w kaszkietach palących papierosy za rogiem oficyny. Wszyscy oni wyciągali ręce, by pogłaskać mnie po głowie, lecz z tym samym półuśmiechem, z jakim kłaniali się Łucji, widać po tylu latach nie przestałem ich jeszcze bawić jako znak jej zachcenia, głupoty, lekkomyślności, kaprysu, inaczej niż Stefana, który zdążył już dostrzec, że jestem człowiekiem, a nie tylko zgęstką daremności i niepotrzeby. Musiałem też ukryć swój szloch przed wzrokiem dyrektora pegeeru, który choć do pałacu mógł dojść pieszo w dziesięć minut, zajechał właśnie przed oficynę swoim dużym fiatem, a na mój widok skłonił się ze służbową serdecznością i uściskał mi dłoń, i przed spojrzeniem proboszcza nadchodzącego statecznie z przeciwnej strony wzgórze. Może domyślałem się, że taki wilczek karmiony tylko przez matkę szczególnie powinien skrywać łzy. A na pewno wiedziała to Łucja, która cisnąwszy maszynopis na biurko, zapaliła papierosa i widziała, jak idę, mały, przyszły bóg, przez gęstniejący tłumek, widziała matczynym trzecim okiem zwróconym do wewnątrz, przechwytnym

i czujnym, była jednak pewna, że sobie poradzę. Tak, na pewno wiedziała, że trzeba ukryć taki szloch przed dyrektorem i proboszczem, bo na pierwszego, choć tyle mu pomógł, Stefan patrzył z wyżyn pałacowego wzgórza, jak to na urzędniczynę po partyjnych kursach, co tamten musiał zauważać, natomiast drugi, choć zawdzięczał Stefanowi równie wiele, nie mógł mu wybaczyć, a raczej sobie, że pewnego razu w stanie wojennym zdradził się przy imieninowym kieliszku wina mszalnego, że ukrywa u siebie dwóch działaczy „Solidarności”, i gdy nazajutrz pod plebanię zajęchała milicyjna nyska, zachodził w głowę, zupełnie daremnie, bo nie wiedziała tego nawet Łucja, nawet oni, których wypuszczono dosłownie tydzień temu na mocy amnestii dla więźniów politycznych, nawet oni nie wiedzieli, czy to nie Stefan ich wydał, choćby po to, by zachować idealną równowagę, o której często mówił, wzorową ostrożność zakładnika sztuki, nie polityki. Może więc znałem już te reguły, przynajmniej domyślałem się ich, może wyrosłem, miejscowy, sprytny bóg, z takich warstw pałacowej i folwarcznej gleby, z takich następstw rośnięcia i kwitnienia, kośby do zmierzchu i jesiennej orki, że umiałem zachować twarz, choćby od początku maźniętą znakiem przypadku i niepotrzeby, wyczuwałem wewnętrzne mechanizmy znacznie lepiej, niż ktoś mógłby sądzić. Gdy wszedłem wreszcie na ścieżkę do rządówki i minąłem kępę cisów pełną nigdy nierozcieplonego mroku, ujrzałem narożne okno, a w nim Łucję z papierosem, patrzącą na mnie z mocną, ciemną uwagą.

Wyliczanki

Zimą widywała go rzadko, częściej same tropy. Nocami słyszała tupot łap po śniegu, czrum, czrum, tlap, tlap, wyraźniej niż kwilenie dobiegające z łóżeczka w kącie, niż jęk starych desek podłogi, gdy Hanna brała zbudzoną Olgę na ręce i lulała ją, cisio, cisio. Wyobrażała sobie, że lis też to słyszy, zastyga w mroku, węszy, strzyże uszami, chwyta ten kwil, wmyśla się w to cisianie, a potem wsuwa się dalej w obszar ciepła, samotnie, pewnie. Którejś nocy kurzyska rozwrzeszczały się nagle. Hanna z Olgą były cisio, za to skrzypnęła podłoga w izbie od podwórza. To on zerwał się z łóżka, szurnął w sieni, pewnie wciągał buty, potem szczękął rygłem, a nim wybiegł na mróz, coś stuknęło, poznała, obuch siekiery trąconej w biegu o drzwi. Rano, gdy okutane w chustki, czapki, szły z Hanną wydoić krowę, stał przy ścianie kurnika, murowanej, z okienkiem pod samym okapem, i obskubywał pióra z rozbitej szybki. A więc lis potrafił tak wnikać w noc, że jej ręką, bo przecież nie swoją łapą, rozbił okno. Aż przystanęła z zachwytu.

Czasem myknął w wąwozie. Nad samym strumieniem, pod lessową skarpą ściętą mrozem w kamień, chadzał po śniegu, leciutko, muskał go tylko łapami. Nagle nieruchomiał. Krętym ruchem wyskakiwał w górę, wrzynał się w zaspę aż po uszy, po chwili wyciągał spod śniegu, zmrożonej ściółki i liści ogłupiałą mysz. Kiedyś dotarła jego tropem, nie, nie jego, wspólnym tropem łowców, aż nad Wisłę, którą mróz przykrył dymną ciszą. Pod skorupą lodu trwał ruch. Ruszało się też nad nią: łabędzie trzepotały się wśród lodowej kaszki, hen, pośrodku nurtu, w szlaku rozerżniętym przez rzeczny lodołamacz, obok dryfowały kaczki i tracze, siwe czaple stały pokulone wśród oszadziałych krzaków, na niższych gałęziach krzywiły się czarno kormorany. Wszystko widziało ją przez mroźną mgłę, stępały ruch na chwilę zastygał, ale gdy odczekała odpowiednio długo, aż biel wniknęła w nią do kości, widywała niekiedy, jak któraś z czapli zniża lot nad cieńszym obszarem kry, sztywno wyciąga w dół nogi i podczas lądowania uderza nimi o lód, a jeśli pękł, zasadza się potem na skraju przerębli i łowi w niej ryby. Raz, gdy czuła, że mróz zaciska się na niej na dobre, że za chwilę już jej nie wypuści, tuż przy brzegu, w przerębli wyrabanej pewnie przez Świerkulę, czarnym skrzętem wysmyknęła się z wody wydra z rybą w pyszczku.

Któregoś razu ujrzała tam i lisa, ale latem, nie zimą. Wpierw był tylko zmarszczką na wodzie, trójkątnym łbem ryjącym fale, potem wynurzył się i wyszedł na brzeg łachy, nie tej

największej, porośniętej wikliną oraz topolami i olchami, tylko pustynnej, ledwie wynurzonej żółtą smugą nad powierzchnię. Obejrzał się, może spostrzegł ją, skuloną na brzegu, ocenił jednak, że jest zbyt daleko, by mu przeszkodzić, i schylony potruchtał naprzód, między kępy traw. Znała to miejsce, parę dni wcześniej przepływali tamtędy puchówką. On stał na rufie i miarowymi sunięciami wiosła popychał łódź ku swoim nocnym łowiskom. Zamierzał zdjąć sieci i oddać Świerkuli do połatania. Nie mogła wtedy napatrzeć się na łachę, gdzie roilo się od gniazdujących ptaków. Rybitwy o czarnych łebkach wyłuskiwały z wody płotki i okonie, wzbijały się niewysokim łukiem i z łupem w żółtych dziobach zlatywały nad gniazda. Wiosło co rusz wbijało się w piaszczyste dno, rzeka była wypita przez suszę, więc następnego ranka, gdy już zaprowadziła krowę na pastwisko za wałem, nie wróciła od razu, jak kazała jej Hanna, rwać koniczynę dla królików i gotować ziemniaki dla świń, tylko spróbowała tam dopłynąć. Rozejrzała się, czy wśród wiklin nie czai się któryś z gospodarskich chłopaków, zawiązała sukienkę na biodrach, przez parędziesiąt kroków nie musiała nawet płynąć, tylko ostrożnym krokiem przeszła po dnie, dalej śmignęła przed siebie szybkimi wymachami rąk i po chwili była na łasze. Wszystko roztrzepotało się na jej widok. Rybitwy stroszyły się w gniazdach, sieweczki przytupywały niespokojnie z boku, po niebie rozsypało się rojowisko mew nadaremno wrzeszczące, że nic tam nie należy do niej. Przebrnęła przez te wrzaski aż na najdalszy skraj łachy. Za wrośniętym mszyscie w piach konarem, wygładzonym do białości, pozostałym po uschniętej przed wielu laty olsze, rozpościerał się sierocy skrawek bezruchu i ciszy, choć powinien był sięgać tam ptasi gwar. Zajrzała za konar. W płytkim dołku leżały trzy jajka, białozółtawe, nakrapiane brunatno. Uklękła na piachu. Bił od nich żar mocniejszy niż od słońca. Gdy później przyglądała się, jak lis zakrada się na łachę, wyobrażała sobie, że nie wdarł się między trawy i gniazda, lecz niespostrzeżony przez ptaki, dotarł do tamtego konara i jak ona przycupnął tylko, nachylił się i wmyślił w nie. One wyczuły go, plamę ciepła, i rozjarzyły się resztką sił, a lis przyjął ten dar.

Parę dni później poszli po naprawione sieci. Świerkula od przedwojnia zbierał len z małego pola, moczył go tygodniami, suszył na słońcu, międlil lnianą słomę na stuletniej międlicy, odrzucał paździerze, z pakuł zwijał nici, te skręcał w sznurki, ze sznurków plótł sieci. Kiedyś, mawiał, kiedyś robiłem, aż wióry leciały. Teraz już mnie tylko do muzeum wstawić, ino może nie tamtego w parku, gdzie mi do pałacu, a pałacowi do mnie. Pamiętała, jak parę lat wcześniej, gdy była jeszcze malutka, on wieczorami, po zamknięciu warsztatu, zabierał ją nad

Wisłę w specjalnie zmajstrowanym zawoju i widziała, jak Świerkula wypływa pychówką za zakole, pod Pniów. W głębokim kanale Wisły, gęsto porośniętym z obu stron wikliną, dobrze widocznym tylko ze środka rzeki, sieciarz miał wbite dwa pale, rozpinął na nich sieci obciążone kamieniami, potem wylawiał pełne ryb. Stary był, słabł, kiedyś poprosił go o pomoc, któreś nocy popłynęli razem, a teraz to już on pływał sam. Przynosił potem Świerkuli kosze ryb, ten wędził je potem na drewnie ze starych wiśni, grusz i śliw ścinanych przez gospodarzy. On nocami nie zabierał jej na rzekę, na tę jedyną rzecz nie pozwoliłaby mu Hanna. Tylko wtedy, w czas łęgów, popłynęli razem zdjąć sieci. Rzeka pachniała mułem, rybami, starym życiem. Łachy pachniały piachem, ptakami, młodą śmiercią.

Gdy poszli po sieci, opowiedziała o lisie łowiącym na łachach, ale Świerkula odparł, że to nic, lis zje tylko, ile musi, ile pozwolą mu ptaki. Gorsza jest norka. Widziałaś ją tam? Skinęła głową. Z ogłowionej wierzby zwęszył ją kiedyś czarny ryjek na końcu małej głowy, nie, nie głowy, była tak malutka, że ten ryjek, wąsiki i koraliki oczu tkwiły raczej na końcu długiej szyi. By ojciec zabrał cię kiedy na łachę. Nie odezwała się, nie przyznałaby się, że już tam była, sama. Byś zobaczyła, co umie zrobić norka. Wtyrboliła się w te strony diabli wiedzą skąd. Jak się dorwie do gniazd, zje też tylko, ile może, po co więcej, ale resztę i tak rozpirzy w jajecznicę, rozdepcze, rozpaćka. Widziałem już takie łowy. Franuś też widział, ę? Nie czekał na odpowiedź: ale nie widział, jak dawniej myśmy takich łowców łowili. Norki nie, takich przydyrdańców wtedy jeszcze nie było. Wtedy to piżmaki chociażby. Bębnymy w wodę wkładali, takie z siatki, i do nich się wszystko łapało, ryba z nierybą, wyciągnąć potem starczyło i patrzeć, jak się szamocze. I za łeb, i nożem, skrobać, patroszyć, skórować. Futro z piżmaka ładne, drogie. Z rybą razem samo w bęben wpadało.

On wziął sieci i poszli. Gospodarski Bolechów leżał na północnym stoku pałacowego wzgórza, przeciwnym niż pegeer. Kiedy szli, ich wzgórze wysuwało się pomału zza parku i oficyny zróżowiałej w zachodzącym słońcu. Ilekroć tak wracali ze wsi ze sprawunków, rzadko, może dwa, trzy razy, już częściej z Hanną, zza płotów, furtek, pni podwórzowych czereśni prowadziły ich na postronkach mnogie bolechowskie oczy. Widziała je, gdy oglądała się za siebie, a oglądała się tym częściej, im wyżej się wspinali, bo wtedy zza chałup, stodół i przydrożnych topól tym mocniej wylaniała się stacja. Pamiętała, jak jeszcze niedawno bawiła się z brzezińskimi dziećmi na placyku przyczernionym sadzą z parowozów, za żywoplotem z bukszpanu oddzielającym ogród kolejowej kamieniczki, pełen słoneczników i rozłożystych

koszteli, od peronu z kocich łbów. Pamiętała pokoik na poddaszu, gdzie gnieździli się w trójkę. Ze swojego łóżka we wnęce za szafą widziała róg okna, w nim dalekie korony parkowych drzew. Pamiętała, że od dawna, może od początku, niknącego jednak, jak to początek, we mgle, w tym ich pokoiku coś pomału wzbierało, rozpychało się, kanciaste, waliło w stół, trzaskało kredensem, łoskotało o zlew, czasem rozpękało się w krzyk. Nazajutrz po takich razach przesiadywała z matką w kasie, za okratowaną szybą. Gdy już zapomniała, że wieczorem cokolwiek się zdarzyło, i chciała wyjść w pachnące kreozotem powietrze, Hanna chwyciła ją za kołnierz sukienki, szeptała: zostań przy mnie. On później przynosił to z powrotem, z Bolechowa, z warsztatu, z głębi nieznanego siebie, obcą żyłą wrosniętą w czysty dotąd kamień. Jej nie tknął nigdy, ale Hannie puchły oczy i gardło od płaczu. Po jakimś czasie stacyjne dzieciaki zaczęły odsuwać się od niej przy zabawie. Bały się może dotknąć tej żyły, szukała jej więc, zaglądała w lustro, w kobaltowe oczy, które miała po nim, rozgarniała żółte włosy, które miała po Hannie, suwała palcami po brzoskwiniowej skórze. Nie mogła tej żyły dostrzec, ale czuła, jak w nią wrasta, naznacza ją.

Gdy sprowadzili się na Gawałowe wzgórze, z początku zgubiła się w rozwleczonej przestrzeni. Łoskot pociągów dobiegał już tylko dalekim echem, nie wprawiał ścian w drżenie wyczuwalne pod dłonią. Powietrze nie miało już węglistego smaku, tylko durzącą świeżość roślin i mleka, a budynki naokoło podwórza woniały słomianą stęchlizną. Ścieżki nie zbiegały się w czarną gwiazdę ze stacją pośrodku, tylko wikłały się w płatawisko z sadem na szczycie wzgórza, łąką na stoku, laskiem od strony wsi, samą wioską pękniętą na skupisko gospodarstw i ogrodzony betonowym płotem pegeer. Minęło ciut czasu, nim wtopiła się w tę powikłaną wielość miejsc i szlaków. Gdy już wydeptała ją sobie, ta zamknęła się wokół niej, liściasta altana z dachem nieba. Stacja jednak uchowała się w niej, była ciemnym ciepłem. I jeszcze długo potem, gdy wymykała się z domu, chadzaliśmy na wał i siadaliśmy twarzą do rzeki, z parkiem za plecami i sylwetą stacji hen po lewej, gdy wyciągałem szkicownik i rysowałem zaciśnięte usta, cieniste wgłębienia policzków, jasne warkocze zaplecione luźno nad uszami, w jej oczach widziałem pyłki kolejowej sadzy. Zaznaczałem je wyraźnie, miększym ołówkiem, bo sama o nich mówiła, widziała je, gdy zamknęła powieki, reszteciki zgubionego, choć niedalekiego domu.

Gdy któregoś dnia pod koniec lata poszła nad Wisłę, pustynna łacha była szara od czajek zbierających się do odlotu. Lis się nie pokazywał. Domyślała się, że przestraszył go pałacowy

jubileusz, pewnie krążył gdzieś swoimi ścieżkami, zbity z tropu gwarem, jaki przez dwa dni bił od strony pałacu, huczny, nieprzyjazny. Dojrzała go dopiero w podmokłym łągu, ciągnącym się od skraju pastwiska, gdzie gospodarze wypasali krowy i coraz nieliczniejsze pociągowe konie, aż pod Pniów. Zarudział przez chwilę za kępami wiązówki i wsunął się za pień wierzby, za płachty traw porozwieszane na gałęziach przez wiosenny wylew. Pobiegła za nim, ale dzień siniał już, słońce dawno zaszło za bolechowskie wzgórza, rudość zgasła bez śladu. Lis wsunął się w lekki sen żurawi, gajówek i zielonych dzięciołów. Może nie był to nawet jego ogon, może to reszta przedwieczornej zorzy gubiła się po kawałeczku na prawym brzegu Wisły, na łachach, na łągu, także na wale, w wąwozie, po wsi, i ona spostrzegła tylko ostatni jej strzęp.

Ze szkoły wracała boczną ścieżką z dala od pegeeru, boiska i sklepu, od parku. Skryte w lasu kwadratowe place i zdziczałe jabłonie wskazywały, gdzie kiedyś stały najbiedniejsze chałupy. Gawałowa chałupka w połowie drogi między ich gospodarstwem a rządówką była ostatnią resztką tej wiejskiej biedzizny. Schodziła czasem tamtędy na dno wąwozu, by lisim szlakiem dotrzeć nad Wisłę. Teraz jednak bliżej niż do lisa miała do domu: świńskich i kurzych koryt, warsztatu wypełnionego wizgiem maszyn i stukotem dłut, Olgi bawiącej się w hałdzie piasku przed magazynem, Hanny, która w biegu zdejmowała uniform, ostatnią resztkę ich stacyjnej biedzizny, i zanurzała ręce w robocie mrowiącej się po najdalszy wieczór. Bliżej niż do lisa miała do jesiennych porządków za domem: kopania ziemniaków, znoszenia ich do komórki i palenia łącin, orki, do której on najmował Świerkulę i jego gniadosza, a może już dziś, najdalej jutro, do obrywania jabłek i gruszek w starym sadzie, który czterema rzędami wspinał się na grzbiet wzgórza.

Gdy tak szła w rozbłyśnięte rdzą wrześniowe popołudnie, zgarbiona pod tornistrem po Gawałowych dzieciach, nie spostrzegła w porę szamotaniny w krzakach. Przy ścieżce leżały tornistry, kurtka, worki z tenisówkami, słyhać było bluzgi, jęki, strzępki płaczu. Chciała się wycofać, ale było za późno, za jej plecami zjawiał się ktoś jeszcze, postawiony na straży, by nikt dorosły nie dojrzał, że znów chłopaki pegeerowskie młócą się z gospodarskimi, a może po to, by kogoś niedorośłego zagarnąć w tę młóckę. Wartownik gwizdnął i wtedy na ten sygnał, przewidziany może na wypadek, gdy zjawia się ktoś samotniejszy i słabszy od wszystkich, bitka skończyła się nagle, bitnicy sprzymierzyli się. Pięści zatrzymały się w pół drogi do nosów, ktoś ukradkiem otarł krew z wargi, wszyscy wciągnęli koszule w spodnie, poprawili miny. Nie znała imion żadnego z nich. Nie znała niczyich imion we wsi. Ale ich samych znała doskonale.

Wiedziała, co za chwilę się stanie, choć działo się to dotąd tylko w szkole, gdzie te zabawy, wtopione w ogólny jazgot, nie wydawały się gorsze niż kamyk pryśnięty na przerwie, strzał z procy, pociągnięcie za warkocz w zatłoczonych drzwiach. Teraz była u stóp swojego wzgórza, na granicy kamieniarskiej prowincji, i czuła, że z tym, co mogą jej zrobić, wdarli się głębiej, na zakazany teren.

Otoczyli ją. Pobiegła bezładnie pyskata śmiechawka: przybłądy. Cygany. Bandzior poszedł w gospodarzy. Udawaniec. Że jak sobie świnię kupi, to się niby z bandziorstwa wytłumaczy. E, pono odsiedział swoje. Odsiedział, akurat. Człowieka zabił. Młodego na weselu. Bo tamten mu babę odebrał. Czegóż takiego się nie odsiedzi. Po diabła tu przyjechał? Wiadomo. Groby nam wykuwać. Dziadkom, babkom. Ojcom. Myśli, że jak odjedzie, to od bandziorstwa ucieknie. Akurat. Nie ucieknie. Wieść przyjedzie pociągiem. Hania ją z pociągu odbierze i do wsi przyniesie. Rybami i świniami się nie wykupi. Takimi jak ta tutaj też nie. Po chwili już nie oni kierowali śmiechawką, tylko śmiechawka nimi, pyskowała sama, śpiewnie, tanecznie: siedzi Franek na kościele, pędzi bimber na niedzielę! Co upędzi, to wypije, przyjdzie do dom, dzieci bije. Baba płacze, lamentuje: jak ten Franek dokazuje! Masz tu, babo, parę groszy, kupisz dzieciom kwartę kaszy. Jak się dzieci nałykają, pójdą za piec, pozdychają! Bujniła się, kwitła wyzywkami, klątwkami, puszczała pąki kuksańców, płożyła się kopniakami w kostkę, rozrastała w kolczasty krzew, łodyga tego krzewu grubiała w pień, gałęzie zagarniały ją w gęstwinę bez wyjścia. Rozwlekli jej jeden warkocz, zszarpali z ramion tornister, ściągnęli szelkę ogrodników. Stała zmieniona w kamień, uniosła tylko ręce i trzymała przed sobą tę cieniutką odgradę, pięści na wysokości oczu, a głowę tak nisko, że szyja niknęła w kołnierzu szkolnego fartucha.

Tak właśnie ich zobaczyłem, gdy wylazłem nieprzytomnie zza zakrętu ścieżki, może zapatrzony w rdzawe liście i krzaki, może przelękły własnym spóźnieniem, za które mogłem zostać ukarany burą od Borkowej lub milczącym zerknięciem Stefana znad okularów, a potem pocieszony muśnięciem ust w policzek od Łucji, może wmyślony w rysunki, które miałem robić po południu, w każdym razie wpadłem prosto w tę zabawę, w której już wszystko było ustalone, dwie strony pogodzone i trzecia na pożarcie.

Spod rozsypanych włosów błysnęło ku mnie jedno oko. I to błysnięcie aż wryło mnie w ziemię, bo mówiło, że wyszedłem z tej samej kłującej zieleni co oni, że jestem jednym z nich. A przecież musiała słyszeć, że nieraz to mnie brali w krąg i wyśpiewywali historie polepione

z tego, co po gospodarskich chałupach i pegeerowskich blokach powtarzano o mnie, Stefanie i Łucji: powiedziałbym wam kazanie, ale mi pies zjadł śniadanie. Powiedziałbym więcej, ale mi baba za piecem brzęczy. Jak tę babę rzną o piec, wyleci z niego malowany chłopiec. A z tego chłopca baran i owca. Z tego barana mleko i śmietana. A z tej śmietany pałac murowany. A z tego pałacu paniusia na kacu. A z tej paniusi najduch niemilusi. A z tego najducha koza, bąk i mucha. Dlatego zawstydziło mnie jej spojrzenie, bo włączało mnie w krąg czepliwych wyśpiewaków. Ktoś pchnął mnie w środek koła, rozstąpili się szerzej, któryś gwizdnął na palcach, aż się skrzywiłem. Nasz paniczyk! Rysowniczek. Malarzyk. Synuś własnego dziadka. Chono. Będzie was dwoje. Pasujecie. Cho, poprawisz jej portki. Wciągniesz fartuszek. Ściągniesz majtki. Wszyscy go znają. Chłopczyk z obrazka. Mamusinek. Pokaż rączki. Nie, wcale nie wszyscy, ja go znam najlepiej. Niby skąd? A stąd. Posłuchajcie, wiem o nim wszystko: szedł pies przez owies, suka przez tatarkę. Szedł pies na piwo, suka na gorzałkę. Suka się upiła, majtki zgubiła. Pies się nie upił, fujary nie zgubił. Suka się posnęła, zad w górę wypięła. Pies się nie pospał i co chciał, to dostał. No i jak? Zgadza się wszystko? Głupiś. Jego mamunia nie pije. Suka pić nie musi. Ale majtki zgubiła. A, to tak. Może by ją tam tego, z Franusiem od Uli, Ulci, Ulusi? Bo psa nie widać koło nich, nie kręci się. Dziaduś tylko. Szary garniturek. Okularek. Żwirek. Świrek. Muchomorek. Kundlosiurek. Słuchajcie, to on, własny dziadek go zrobił. A ją kto? Franuś. Dłutem. Młotem. Razem z knurem, bykiem, kotem. I zaległ pokotem. Bo się zmachał. Ciężkiego siura aż na strych wtachał. Ej no, chono. Nie bądźcie tacy, pocałujcie się. Poruchajcie.

Przygadywania rozpędzały się wokół nas obojga, pętały do ziemi, do drzew, wzajem ze sobą. Zezowałem w Urszulę, wrośniętą w ścieżkę, z pięściami zasłaniającymi pół twarzy. Szukałem jej spojrzenia, znalazłem, ale bez śladu braterstwa, raczej pełne mściwej ulgi, że też dostaję wciry, skoro przylazłem świadkować jej krzywdzie. Widziałem ich czarne paznokcie, skudłacone włosy, niedoczyszczone buty, ślady zostawione przez ziemię, robotę, wykopki, pasek ojca, ścierkę matki, pięść starszego brata. Słyszałem to wszystko w ich rozkrzyczanych głosach, starczyłby byle powód, a przełamałyby się w płacz. Kazali nam chodzić wewnątrz okręgu i powtarzać wyliczanki. Co któreś słowo mieliśmy skręcać o krok do środka, zmierzać ku sobie niby przez labirynt. Ruszyliśmy pomału. Ona milczała. Uciekaj, szepnąłem. Mnie nic nie zrobią, nie ośmielą się. Omijała mnie wzrokiem. Za którymś przybliżeniem zaczęła powtarzać na chybił trafił strzępki wyliczanek. Po raz pierwszy usłyszałem jej głos. Może dopiero uczy się mówić,

pomyślałem, może to pierwsze słowa w jej życiu, szkoda, że ich nie zapamiętałem, choć nic dobrego jej nie dyktowano. Ja też coś mruknąłem, by tylko słyszeli, że mówię. Głośniej!, ryknął któryś. Ona posłusznie podniosła głos, ale skręciła w przeciwną stronę, niż powinna. Ej! Idź, gdzie ci każą. Ona szła dalej własnym pokrętnym szlakiem, złapane w potrzask zwierzę. Jej głos nabierał mocy, rozdźwięczał się. Pomyślałem sobie, że nie pierwsze słowa są ważne, tylko właśnie to, że śpiewała, krzywo, drżąco, ale śpiewała, tak głośno, że chłopaki zaczęli się krzywić. Ej, cicho! Cicho, gnojówo! Usłyszysz cię ktoś. Zamknijcie jej ryj!

Któryś chciał ją chwycić, ale nie usłyszeli w porę kogoś, kto nagle, krokiem równym i pewnym, nadszedł od strony sadu z koszykiem gruszek w ręku. Zadrzałem na jego widok. Chciałem błagać, by powiedziała, że nie jestem z nimi, ale nie musiała nic robić. Nie spojrzał na nią ani na mnie kobaltowymi oczyma, tylko zbliżył się kocio i gdy szelest nie mógł mu już przeszkodzić, cisnął koszyk i chwycił dwóch chłopaków za kołnierze. Rzucił nimi o drzewo. Polecieli bezwładnie, worki spranych kolorów, rąbnęli twarzami o pień, odpadli okropnie zharatani. Trzeciego chwycił za portki, dźwignął w powietrze, wzmocnił chwyt drugą ręką, cisnął w krzaki. Zakryłem rękoma głowę. Słyszałem ciężkie trzepnięcia, Hłufs, Hłufs, pewnie ich kopał. Nie rozległ się nawet najcichszy jęk. Gdy odważyłem się obrócić, chwycił Urszulę za ogrodniczki i szarpnął pod górę. Machnięciem ręki kazał podnieść tornister. Zmiękczałym już, wiklinowym ruchem sięgnął po swój koszyk, a nim odeszli, spojrzał na mnie przelotnie. Długo jeszcze trwałem bez ruchu, plecami do porozbijańców, razem z nimi czekałem, aż na dobre ucichnie jego krok.

Morze

Z podobną uwagą, wspominałem później, przyglądała mi się, gdy wracała ze swoich seminariów doktorskich w Warszawie. Kto wie, czy Stefan skłoniłby ją do powrotu na uniwersytet, po dziewięciu latach od studiów, gdyby nie zobaczył tamtej liry odrysowanej z Siemiradzkiego i nie obwieścił: już pora, teraz jest mój, a ty bierz się do nauk, rób, coś przerwała, co ona przyjęła z drzeniem, poczuła, że serce zatrzymuje się jej od ulgi, nadziei i przestachu, choć nie miała pojęcia, czego każde z tych uczuć dotyczy. Przeglądała moje szkice, które wcisnął jej w rękę, zrobione za jego zachętą, w tajemnicy przed nią, najpierw musiał przecież upewnić się, że przeblysłk, który ujrzał w rysunczku liry, nie był omyłką, że to, co budzi się w moich oczach i ręku, naprawdę żyje, że jednak to odziedziczyłem. Tak mówił, wspominała po latach, że jednak to po nim odziedziczyłeś, mnie się zdawało, że kogoś w tej linii dziedziczenia pominął, ale czy mogłam się temu sprzeciwić, skoro nigdy sam nie włożył mi ołówka do ręki ani nie spojrzał na moje dziecięce gryzmoły, dlatego przestałam gryzmolić, tak jak przestaje większość dzieci. Może od początku wyobrażał mnie sobie jako historyczkę, przewodniczkę i kustoszkę, a nie artystkę, strach pomyśleć, jaką przyszłość przewidziałby dla ciebie, do czegoś się przynajmniej przydał ten pacykarz Siemiradzki. Na wieść o tym, że ma wrócić na uniwersytet, nie odezwała się słowem, nie miała pojęcia, jak odpowiedzieć tej trójcy, uldze, nadziei i przestachowi, tak silnej, że, przyznała po latach ze wstydem, nie umiała spojrzeć na tamte szkice uradowanym okiem Stefana, dostrzegła w nich jedynie to, co liczyło się dla niej samej, barwny punkcik na tle mglistego świata.

Na seminaria wyjeżdżała co półtora miesiąca, co dwa. Szeptala mi na ucho jakieś zakłęcie, obietnicę, całowała na pożegnanie i odjeżdżała autobusem, pachnąca i strojna, z niewielką torbą, do której wkładała gruby brulion, teczkę z kopią maszynopisu, książki i pliki dokumentów ze Stefanowego archiwum. Z pierwszych wyjazdów wracała wieczorem tego samego dnia, z kolejnych nazajutrz, potem po dwóch dniach, z torbą cięższą o spełnienie obietnicy, książkę, zestaw pasteli, album, cokolwiek udało jej się dostać w Domach Centrum, sama natomiast wydawała się oddalona o półkrok i wypełniona onieśmielającym rumieńcem, miastowym, myślałem, pewnie właśnie taki rumieniec przywozi się z Warszawy. Stefan witał ją z gniewem, którego nie pojmowałem, ona mijała go spiesznie i z hukiem zamykała się w pokoju, po chwili uchylała drzwi, mówiła: chodź, i nim zdążyłem się rozplakać, że znów jej nie ma,

biegłem do niej i wtulałem się w ten miastowy rumieniec i zapach maźnięty smużką obcości.

Gdy oglądałem prezenty, mierzyła mnie wzrokiem, po matczynemu stęsknionym, wyczuwałem w nim też jednak coś więcej, i rzeczywiście, przyznała po latach, zdawało się jej wtedy, że patrzy w ciemną toń lustra. Wmyślała się w pąs swojej krwi na moich policzkach, w grafit swoich oczu w moich tęczęwkach okolonych kobaltowym brzeżkiem, w płość włosów nie do końca przetopioną w jej rdzawy brąz, i wyraźniej niż dotąd widziała ostatnie dziesięć lat swojego życia oddane na służbę. Miękką, bo Stefan troszczył się o nas po ojcowsku, ale bez wychnienia, mimo że przecież bolechowskie kobiety, księgowe, kadrowe z pegeeru, nauczycielki, najmowały za parę złotych miejscowe dziewczyny do opieki przy dzieciach, do ponianczenia ich w mieszkaniu, w piaskownicy przy stołówce, do powożenia po parku, służbę pałacową, bo Stefan kazał jej równocześnie wyuczyć się na przewodniczkę i ledwie skończyłem pięć lat, oddał mnie do zerówki, a ją posłał do pracy, i od tej pory pałac i ja rozdzieliliśmy dni Łucji między siebie bez reszty. Służbę bliską, bo przez pierwsze lata nie wyjeżdżała dalej niż do Wierzbienca, Sandomierza i Puław, zresztą i tak były to wyjazdy rodzinne, wartburgiem Stefana, a z trzech rzeczy, z jakich się składały, czyli zwiedzania, jedzenia lodów gałkowych i spacerów nad Wisłą, w Bolechowie brakowało tylko lodów, Stefan obwoził nas, mawiała potem, szlakiem nadwiślańsko-zabytkowo-cukierniczym, służbę samotną, bo znajomości ze studiów szybko wygasły, może nie wygasłyby przyjaźnie, gdyby je nawiązała, ale tak się nie złożyło, pięć lat na uniwersytecie minęło jej na pilnym uczeniu się, by sprostać wymaganiom Stefana, wmyślaniu się w przedwczesną śmierć matki, czasem na randkach w Łazienkach, Ogrodzie Botanicznym, także nad Wisłą, jakżeby inaczej, i w Nieporęcie, randkach, o których nigdy nie dowiedziałem się więcej, choć mogły skrywać wiedzę dla mnie zasadniczą, gdyby więc nawet między wykładami, ślęczeniem w bibliotece i na stacji przy Hożej, w pokoju wynajętym u znajomego historyka, a rzadkimi spacerami po parkach i zegrzyńskich plażach wykluły się jakieś przyjaźnie, a potem przetrwały i zdołały sforsować mur Stefanowego ojcostwa, pewnie byłoby inaczej, ale tak się nie stało, jej służba pozostała więc samotna, ach, mawiała po latach, gdybym nawet chciała zejść ze wzgórza w dół, między bloki, garaże, trzepaki i huśtawki, przyblokowe kurniki, chlewiki i komórki na węgiel, działki i altanki, nie tylko z rzadka zabłąkać się tam wózkami, jak nam się zdarzało, pamiętasz przecież, tak, mówiłem, pegeer wydawał mi się osobnym miasteczkiem, Bolechów mieścił w sobie wszystko: gospodarską wieś, pegeerowskie miasteczko ze szkołą na skraju, nasz pałac na wzgórzu i to drugie wzgórze, Franciszkowe, cztery kąty i wał piąty oparty

o Wisłę, właśnie, mówiła, spacerowaliśmy na tyle często, byś zapamiętał sobie, z czego składa się świat, Stefan jednak nie dopuściłby do towarzyskiego mezaliansu, bym miała zaprzyjaźnić się z kimkolwiek stamtąd, spod naszego wzgórza, nawet gdybym chciała, właśnie, nawet gdybym chciała, gdyby nie półuśmiechy mykające za mną przez dobrych parę lat, choć przecież takich matek na samotnej służbie nie brakowało, jednak tylko moja służba była służbą pałacową, a pałac nadaje samotności zupełnie inny wymiar. Właśnie dlatego, myślałem po latach, gdy dzięki mojemu rysunczkowi liry Stefan puścił ją wreszcie w świat i wracała z niewidzianej od dziesięciu lat Warszawy, po raz pierwszy dostrzegła we mnie kształt tych lat, ich ogrom, ciężar, ucisk.

Z tej służby wywalczyła sobie dotąd, już po wycieczkach nadwiślańskich, tylko jeden wyłom: zaczęliśmy jeździć razem, tylko we dwójkę, do Kołobrzegu. Stefan z początku bronił jej tego. Ja nie jeżdżę na wczasy, mówił, tutaj masz wszystko, czego trzeba do życia, i tobie, i dziecku, ona wtedy krzyczała: wyjeżdżasz gdzieś stale, dają ci paszport na każde skinienie, swoją drogą ciekawe, jakim cudem, jeździsz nawet do Francji, na co on odpowiadał: przecież jeżdżę służbowo, na aukcje, wyposażam muzeum w napoleońskie bibeloty, książki do pracy ci przywożę, to mało? Ach tak, śmiała się, książki pachnące wielkim światem, dziękuję. Masz pilniejsze sprawy, ucinał. Nawet nie próbowała starać się o paszport, podejrzewała, że szepnął komu trzeba, by go jej nie dano, kto wie, jakie miał znajomości i kosztem jakich przysług. Nie wyobrażała sobie zresztą jechać za granicę tylko ze mną, wbrew niemu, mimo że zadbał, by wyuczyła się francuskiego, z Bolechowa do Paryża było dalej niż na księżyc wschodzący nad zawiślańskimi wzgórzami. W końcu powołała się na moje dobro, choć przed lirą Siemiradzkiego, tą zwiastunką odwilży, Stefan rozumiał je po swojemu, i zdołała wyklócić nam morze. Pojechaliśmy tam trzykrotnie i każdy z tych wyjazdów był dla mnie świętem nad świętami. Zawsze pod koniec sierpnia, gdy do muzeum nie przyjeżdżał zupełnie nikt, Łucja pakowała swoją walizkę, moją walizeczkę, Stefan odwoził nas do Brzeźna i wysadzał przed dworcem, nie odprowadzał nawet na peron, zatrzymywał tylko samochód, czekał, aż wysiadziemy, kiwał głową bez słowa i odjeżdżał z pyrkotem.

Na stacji witała nas chmurnym wzrokiem Hanna. Stała zwykle na peronie, w czapce i z lizakiem, bo była już zarazem kasjerką i zawiadowcą, paliła papierosa. Na nasz widok robiła podobny ruch głową do tego, jakim żegnał nas Stefan, z ukosa, choć przecież nie umówili się, nigdy nie zamienili z sobą słowa, nie widywali się bliżej niż przez wąwóz oddzielający nasze

wzgórza. Czasem stały z nią i gawędziły baby z przystacyjnego domu, dawne sąsiadki, wtedy spoglądała na nas zza ich ramion ze wstydem pomieszanym z ulgą, choć Łucja nie wiedziała, czego każde z tych uczuć dotyczy, i wchodziła do kasy, w pośpiechu, byśmy przypadkiem nie zbliżyli się do niej choćby na trzy kroki. Nie słyszałem od niej innych słów niż wymruczana z okienka cena naszych biletów. Na stację wtaczał się parowóz z przyprzężoną czwórką burych piętrowych wagonów i ruszaliśmy rozkołysani do Warszawy i dalej, przez żółkłe miasta i rozprażone pola, pod kłębiastym Ruszczykowym niebem, zaciśnięci nawzajem w swoich spoconych dłoniach.

Jazda rozwlekała się tak długo, że morze wydawało mi się najdalszym miejscem na świecie. Podczas pierwszej podróży nieprzytomnie wgapiałem się w okno, między ramionami ludzi natłoczonych w korytarzach, znad tobołów napiętrzonych wśród siedzeń, i pomyślało mi się, że w pociągu czas stoi, jest zamarłą rzeką, a samochody przed szlabanami stoją nad jej brzegami. Gdy już wysiedliśmy i przeszliśmy kładką nad torami przy kołobrzesckim dworcu, a potem, Łucja z zaciśniętym w dłoni adresem taniej kwatery przy plaży, przemierzyliśmy parę tłocznych bulwarów i wspięliśmy się na promenadę, hen przed nami ponownie ujrzałem ten znieruchomiały czas, tym razem nie jego wąziutką, rzeczną strużkę, tylko całe błękitnoszare cielsko, rozwalone połyskliwie w bezkres. Zostawiliśmy walizki w domku i zbiegliśmy na piach. Łucja zdjęła sobie i mnie sandały, podwiązała sukienkę i brnęliśmy w bladożółtym miększu, im dalej, tym mocniej podbitym wilgocią, aż zadrzałem, gdy w stopy szczytnęła mnie woda. Śmiałem się, oślepiiony słońcem. Zawahałem się. No dalej, powiedziała Łucja. Ruszyłem. Morze cofnęło się. Wrzasnąłem radośnie, postąpiłem krok naprzód, drugi, trzeci. Fala zstępowała w dół, zwijała się w siebie, pieniała strzępkami czerni, poszarpaną rudością wodorostów, odślaniała miarki piaseczek o barwie wrzosu. Łucja nie puszczała mojej ręki. Obejrzałem się i spostrzegłem, że przywiozła z sobą bolechowskie słońce, wsypane we włosy. Stopy miała zanurzone w żółtość plaży. Nagły dreszcz przeszył mnie wzwyż, od nóg po szyję, głowę, ręce. Morze znalazło się we mnie. Słońce zatrzymało się na kilka dni.

Mieszkaliśmy zawsze w tych samych domkach, przesiadywaliśmy też w tym samym rejonie plaży, oddaleni łagodnym zakolem brzegu od latarni i mola, zza którego wysuwały się kutry i okręciki wojenne. Piliśmy oranżadę z woreczków, jedliśmy z papierowych talerzyków racuszki z jagodami. Nadmorski gwar otulał nas, starszawi ludzie ubrani na biało i niebiesko mówili w obcym, twardym języku, słońce i wiatr rozpętywały pogodną awanturę, mewy na

próżno wrzeszczały, że wszystko należy do nich. Raz wdrapaliśmy się na latarnię morską, ale i tak już byliśmy na skraju świata, nie dało się zobaczyć jeszcze więcej morza, zapatrzyłem się więc tylko na ogrodzoną plażę za portem, wojskową, wyjaśniła Łucja, i palczaste szeregi falochronów. Czasem szliśmy w głąb miasteczka, przemierzaliśmy brukowane alejki parku, promenadę, ale szybko zaczynałem tęsknić za morzem i ciągnąłem tam Łucję za rękę.

Chyba przeczuwałem, że nasz ostatni wyjazd, już po jubileuszu Stefana i Urszulowych wyliczankach, będzie inny, czy raczej że ten inny wyjazd będzie ostatni, może coś mi to podpowiedziało w tej samej nieuchwytniej mowie, w której później kazało Stefanowi zastawić drzwi do pakamery. Tuż przed podróżą Łucja wydawała się rozlatana jak nigdy, wzrokiem, myślami, słowami, gestami, choć przecież, głowiłem się, chyba nie dlatego, że pierwszy raz kazała mi wziąć przybory do rysowania. Zapakowaliśmy do mojej walizeczki pęk ołówków, szkicownik, paletkę i pudełko akwarel. Stefan przyuważał pakowanie tych przyborów, mimo że Łucja nie wpuszczała go za próg swojego pokoju, i udobruchał się. Hanna przywitała nas ćwierćśmiechem, wiedziona może niedosiężnym dla nas, a na pewno dla mnie, domysłem. Podróż była po staremu kołyśliwa, tłoczna, w Łucji jednak tężał niepokój, obejmowała mnie tym ciemnym spojrzeniem, warszawskim, jak je nazywałem, jesiennym. Gdy szliśmy z dworca do domku, trzymała mnie blisko, rozglądała się na boki. Następnego dnia wystroiła mnie odświętnie, przeczuwałem, że na spotkanie z ważną, a niedomyślaną dla mnie sprawą, pod pachę wetknęła mi szkicownik i poprowadziła do parku.

Siedzieliśmy niecierpliwie, palce Łucji bębniły o pudełko po karmelkach „Glorja” z moimi ołówkami i pastelami, aż migotały kolorowe paznokcie. Malowała je zawsze do pracy, do Kołobrzegu też, znacznie żywszą czerwienią, teraz pomalowała je jeszcze inaczej, na kolor świeżej cegły zmoczonej deszczem, lakierem przywiezionym kiedyś, przyuważylem to, przez Stefana z dosiężnej tylko dla niego Francji. W końcu spytałem, czy długo będziemy czekać i czy możemy tymczasem iść na racuszki, ale wtedy spostrzegłem, że z uśmiechem spogląda gdzieś nad moim ramieniem. Obejrzałem się. Alejką nadchodził ku nam mężczyzna. Był pewnie w jej wieku, czyli rozmytym dla mnie, smyka, w pół długiej drogi między młodością i starością. Wytrzeszczył się na mnie. Zapamiętałem go najsilniej właśnie z tamtej chwili, kępki włosów znad górnego guzika pomiętej białej koszuli, opaloną rdzawo skórę, która przy jasnobrzoskwiniowej Łucji, osłoniętej przed słońcem długą sukienką i plażowym kapelusikiem, zdawała się wypalona w piecu, ręce podobne do stulonych muszli, w których, myślałem po

latach, bliźniacze zwierzę jej dłoni musiało mieć szczodłą gościnę, ręce, którymi po chwili tak dłużej, że znów chciałem spytać Łucję, czy możemy iść na racuszki, tak pełnej milczenia, że wdarła się między nas chmarna drwina mew, osłonił zapałkę przed wiatrem i zapalił jej carmena. Spojrzał na mnie tylko raz, gdy podchodził do ławki, potem jego oczy omijały mnie już, ale, pojąłem później, ten przeciągły, zdumiony wzrok miał w sobie coś podobnego jak spojrzenie Łucji po jej przyjazdach, może warszawskie, może nie, mogła przywozić je skądkolwiek, z tajnych szlaków, o których, tak jak o jej studenckich randkach, nigdy nie dowiedziałem się więcej. W tych bliźniaczych spojrzeniach, nie, nie bliźniaczych, łączyło je wiele, ale nie bliźniactwo, w tych bliskich spojrzeniach była ciemność tajemnego zbratania się przeciw zawsze większemu, nie, nie zbratania, łączyło je wiele, ale nie braterstwo i siostrzeństwo, była w nich ciemność chłodnej nocy na rozgrzanej skórze, gdy z szybkim jeszcze tętnem staje się w oknie, Łucja otulona kocem, bo przecież było to pewnie okno w lichym, może warszawskim bloku, może kamienicy, gdziekolwiek on mieszkał, a żar dogasał w niej pomału, ale nieuchronnie, jak to żar, i chciała go zatrzymać w słowach: tak, chcę, tak, wyszeptanych prosto w tę noc, z której biło poczucie daremności i niespełnienia, noc, której nie rozjaśnia ani nie rozciepla żółtawa luna miasta, wskazująca tylko złudne drogi przez mrok, potrafi to jedynie ten żar, o ile jeszcze umie się go w sobie skrzesać, stała więc w oknie, za plecami słyszała szelest lichej, nienowej, ale świeżo obłóczonej pościeli, może wodę odkręconą w łazience, może już jego pochrapywanie, a może coś jeszcze innego, skrzypnięcie bosych kroków po parkiecie, może spodziewała się, że za chwilę poczuje jego ręce na swoich ramionach, jej szyję muśnie oddech, i zadrży, bo kiedyś musi wreszcie odpowiedzieć na jego pytania coraz grubiej podszyte niepokojem, odsłonić swój wstyd, przy którym wstyd wilgoci i krzyku jest niczym, choćby spotęgowany latami suchości i milczenia, niczym jest przy nim wstyd kurzych łapek w kącikach oczu, siwych błysków we włosach, piersi pomału tracących krągłość, niczym jest wstyd trzydziestu siedmiu lat, wszystko to nic przy wstydzie więzionej dziedziczki pegeerowskiego folwarku, samotnej córki pałacowego samozwańca, członkini zgromadzenia samotnych matek służek, a z tych wszystkich wstydów, czułem to już w tamtej chwili, gdy Marek, na imię miał Marek, omijał mnie wzrokiem, oboje bez słowa palili papierosy, on z półśmiechem na ustach, trochę jak Hanna na brzezińskim dworcu, Łucja z twarzą bielszą niż jej kapelusik, a ja między nimi, w niebieskich bucikach, kupionych w warszawskim Smyku ponoć, i ze szkicownikiem pod pachą, wyposażony na pokaz, strojny, zdolny bóg, czułem już wtedy, że z tych wstydów największym jest ta matczyzna służba, dotąd

będąca jej największym sekretem. W końcu Łucja złękła się, że żar wyjazdowych nocy może zgasnąć bezpowrotnie, chwyciła mnie nagle pod ramię, zasłoniła się tym swoim największym wstydem i powiedziała drżąc, prawie krzyknęła: to jest Robuś, mój Robuś, nie mówiłam ci, to on, z kolorami w palcach.

Marek milczał przez chwilę z papierosem zatrzymanym w pół drogi do ust, potem niespodzianie wybuchł śmiechem. Poszliśmy przez park. Snuliśmy się po promenadzie, wokół latarni, zeszliliśmy na plażę, zbyt tłoczną, wróciliśmy, wszystko w ciszy, ale pełnej ruchów na obrzeżu mojego widzenia: splatania i rozplatania się palców, ust cofanych znad ucha, niedopalonych papierosów ciskanych z nerwem w bok. No dobra, odezwał się w końcu, pokaż, co umiesz, i wskazał na szkicownik, nie będziesz tego nosił na darmo. Pokazywałem przez następne parę dni. Rysowałem boje, latarnię, falochrony, nabrzeża pieniście lizane falami, mewy w szarych garniturkach, malowałem akwarelami kutry rybackie, te pękate i ospałe misy kolorów obmyte nieźrównanym światłem morza, chwytałem wszystko spragnionymi oczyma, choć później, po latach, nie szukałem już takiej barwności i nie z niej stałem się znany, przeciwnie, wyrósł ze mnie matowy, szarozółty bóg, chwytałem rękoma zapiaszczonymi, tłustymi od racuszków, bo takie ręce miałem, głodne, prędkie, chwytałem bosymi nogami, bo już wtedy uczyłem się, że trzeba sobie wszystko wytupać, że sztuka rodzi się z włóczęgi, obchodzenia świata, wędrowania po niej, choćby był to świat mały, bolechowski, chwytałem uszami, właśnie wtedy pojąłem, że co się rysuje i maluje, trzeba też słyszeć, choćby dzwoniło ciszą, chwytałem ustami otwartymi od śmiechu, może domyślałem się, że gdy na początku jest radość, zostaje długo, tak, powiedziała potem Łucja, gdy szkicowałem jej głowę na poduszce, u twojego początku była radość, tamta kołobrzaska, a jeszcze przed nią tamta, której nie mogłeś znać, bo była moja, przez długi czas o niej nie pamiętałam, ale nie pytaj o nią, nic ci nie powiem, ucięła, wtedy więc chwytałem to wszystko i pokazywałem, co umiem: Łucji, która wieczorami z roztargnieniem oglądała te pracki upstrzone drobnymi rozpryskami kropel, Stefanowi, który po naszym powrocie powiedział rozbawiony i dumny: nie potrzeba ci nawet Lisiego Jaru, tylko zwykły kurorcik, by zostać marynistą, choćby wakacyjnym, i jemu, Markowi, mimo że nie miałem pojęcia, czy naprawdę jest mnie ciekaw, czy zależy mu tylko na tym, Łucji zresztą też, bym się czymś zajął. Bywało, że znikali na chwilę. Przesiadywałem nad szkicownikiem, wtopiony w słoneczny gwar portu, tłumu, miasta, w morze wypełzające spod krawędzi nieba i sięgające moich nóg, a gdy czasem się obróciłem, nie było ich przy mnie. Nie wiedziałem, czy

te chwile trwają długo, czekałem bez lęku, aż wrócą. Zjawiali się wypełnieni rumieńcem.

Raz spytałem, czy mogę narysować ich oboje, ale Łucja pokręciła głową. Spytałem, kto to. Z uczelni, odparła z wahaniem, mieszka tutaj. Chyba rzeczywiście tak było, wydawał się zbratany z Kołobrzegiem, bo gdy raz szliśmy przez port, ja ze szkicownikiem pod jedną pachą, pod drugą z pudełkiem po karmelkach „Glorja”, którego dotąd nie pozwalała mi nosić, żebym gdzieś nie zgubił, nie zniszczył, Marek powiedział: teraz porysujesz moich, po czym wmieszał się między rybaków, którzy właśnie schodzili na ląd, cumowali kutry, chlastali nożami rozbłyszczone połów. Byli podobni do robotników z pegeeru, tyle że zamiast z betonu i czarnej ziemi ulepieni z twardej wody i słońca. Przyprowadził po kolei starego, młodego, znów starszego, mówił im po imieniu, częstował papierosami. Łucja stała z boku, baczyła tylko, gdy siadałem na polerze wyświeconym od cum i schylałem się nad kartką, czy jestem bezpiecznie oddalony od skraju nabrzeża. Spieszyłem się, rybacy byli niecierpliwi, rozśmiewali się, klepali mnie w ramię lub mierzwili włosy i odchodzili, wystarczało mi to jednak, chwyciłem tylko ich kontury, potem z pamięci wypełniłem je akwarelami.

Ostatniego dnia, który musiał być inny, czy raczej tamtego innego dnia, który dlatego musiał być ostatni, Marek zabrał nas w rejs żaglówką, wycyganioną, mówił, z klubu. Siedziałem na dziobie, zagarniałem w siebie słońce powietrze. Łopotał żagiel, linki furkotały na wietrze. Łucja i on skrzyli się od śmiechu, śmiech zlewał się z morzem. Niebo odsuwało się wzwyż, robiło dla nas miejsce. Nie chciało mi się rysować, chyba nie wziąłem nawet szkicownika. Ocknąłem się, gdy Łucja nagle dotknęła mojego ramienia. W ręku miała linkę. Nie spadnij, powiedziała. Przeplotła mi linkę przez szlufki spodenek, zacisnęła, podała jemu, on przywiązał jej koniec do podstawy masztu, dopłótł do niej coś blaszanego, dzwonek, może zwykłą puszkę. Uścisnęła mnie, musnęła wargami moje ucho. Zaśmiałem się. Zostałem sam, otulony niebieskim wiatrem. Czas znowu zniknął, jak w porcie, gdy przesiadywałem nad rysunkami, nie wiem więc, jak długo trwało, nim z powrotem wyszli spod pokładu. Lecz gdy to zrobili, chmurnymi twarzami zasnuli słońce. Łucja odwracała oczy, policzek miała tknięty niby rumieńcem, ale już innym. Żagiel przestał łopotać. Odwróciłem się w stronę morza, ale pchało nas już w stronę lądu, czułem to, nim Marek zdążył chwycić za linki i żaglówka przechylonym łukiem zawróciła do portu.

Do wieczora szamotałem się z tą zmianą. Łucji tak było spieszo, by zejść z łodzi, że zaraz po zacumowaniu niemal zniosła mnie na nabrzeże i pobiegliśmy drobnymi kroczkami

przez port, park, bulwary, niby wzdłuż brzegu, czułem jednak, że już nad morze nie wrócę. Do późna siedzieliśmy przed domkiem. Łucja paliła w milczeniu, ja bawiłem się papierosami, gniotłem w palcach bibułki. W końcu kazała mi się położyć. Zbudziłem się w brzuchu głuchej nocy. Spojrzałem na łóżko obok. Zwykle wypełnione jej oddechem, teraz było puste. Zerwałem się, przetarłem oczy. Suwałem ręką po prześcieradle, po odrzuconej w bok kołdrze. Były spokojnie chłodne. Otworzyłem drzwi. Tak mocno spodziewałem się ujrzeć ją tam, gdzie została wieczorem, z nogami spuszczoneymi na piasek, że w czerni maźniętej zbłąkanym promykiem latarni z promenady w pierwszej chwili zobaczyłem jej kontur. Wyciągnąłem rękę, ale nie było jej tam. Wszedłem w tę pustkę, by się upewnić, rymnąłem na piach. Podniosłem się i pokulałem przed siebie, uśniony ciemnym dygotem. Mijałem plażowe kosze powiązane łańcuchami, zamknięte budki. Na wprost mlaskała wilgoć bez kształtu. Fale szczyrzyły się grzbietami białych zębów. Widziałem ich błyski w przewalającej się czerni i najczarniejszą ze wszystkiego krechę falochronu. Gdy dotknąłem stopami wody i morze wniknęło we mnie, obróciłem się jak kiedyś, ale nie weszło za mną sypkie słońce. Wchodziłem głębiej i z każdym krokiem przybywało mi lat, grubiał głos, którym wołałem o pomoc. Noga omsknęła mi się w bruzdę dna, fala chłósnęła mnie bielą po twarzy. Wyciągnąłem rękę, próbowałem chwycić się oślizzonego falochronu, ale daremnie. Nie wiedzieć czemu nagle ujrzałem wskroś bolechowskie wzgórze, warstwy ziemi przerośnięte kośćmi, popiołem, korzeniami drzew, usłyszałem wplątany w nie ryk. Poczułem, że rodzę się na nowo, z ciemności i żaru, milczenia i tęsknoty, kamienia i słońca. Wrzasnąłem jak nigdy dotąd i potem, bez słów. Hen za plecami usłyszałem krzyk Łucji. Nogi poddały się, nakryła mnie fala. Ręka, trzepotliwa ryba, wciąż szukała falochronu, nadaremno. Coś brnęło ku mnie, dopadło, chwyciło za włosy, pociągnęło w górę. Chciałem powiedzieć: już jestem, ale nie mogłem, nie było we mnie powietrza. Obróciło mnie twarzą w dół, chlusnąłem z ust wodą. Płakało, nie ja, płakało dokoła. Łucja zakryła mi oczy.

Wał

Wykończy nas, mówiła. Oprócz robienia w kamieniu zachciało mu się być chłopem. Jak kto się wychował w gnoju, już mu go spod butów nie odlepisz. I po co ja się w technikum uczyłam. Zawiadowca stacji, co pasie krowę i świniom gotuje. Po co mnie do tego Brzeźna zesłali, na co mi ten wariat niemowa. Co myśmy mu zrobiły, maleńka. Co myśmy.

Mawiała to półszepsem, schylona nad Olgą. Urszula słuchała bez słowa. Rzadziej już chadzała nad Wisłę, za dużo było roboty w obejściu, zbyt mocno wściekła się Hanna, ilekroć spostrzegła, że nie ma jej pod ręką i robota czeka. Miała trzynaście lat i nie wiedziała jeszcze, co ten wiek oznacza. Lis przestał składać wizyty, ale chyba nauczyła się od niego co trzeba. Myślała o tym, ilekroć w gospodarstwie rozpękał się gniew. Działo się to dziwnie i swojsko zarazem, bo nawet dziwność robi się swojska, jeśli trwa od lat. On robił jakiś szorstki gest, nakazywał coś swoim tajemnym językiem, Hanna posłusznie szła robić, ale potem wracała rozdygotana i z krzykiem ciskała mu w twarz tę robotę, swoje zmęczenie, swoje technikum, kolejarski uniform co dzień zrzucany w biegu. On słuchał, patrzył w swoje ręce, może szukał w nich odpowiedzi, unosił jedną twardym ruchem i Hanna milkła nagle, krzyk stulał się w szloch, unosiła go w jakiś kąt i wylewała z siebie, zwykle nad głową Olgi. Przy Urszuli nigdy. Może pamiętała, że gdy parę lat wcześniej mawiała do niej: zostań ze mną i przytrzymywała ją w kasie, nie miała z jej towarzystwa wielkiej pociechy, Urszula stała tylko zapatrzona w odymione stacyjne okno i marzyła, by wyjść w pachnące kreozotem powietrze, szybko więc popychała ją ku drzwiom. Dobraliście się, mówiła. Córcia tatunia.

Bawiły się z Olgą. Szperały po strychu, gdzie wisiały suszące się kiełbasy, płócienne woreczki z nasionami, miętą, rumiankiem, kwiatem lipy, po stryszku obórki zawalonym zwojami starych sznurów, rdzewiejącymi łańcuchami, szczerbatym metalem kamieniarskich pił, zużytych motyk i kos, po zapolach i górcie stodoły, gdzie on wciągnął na pordzewiałym bloczku starą łódź, spoczywała tam wrośnieta w stare siano, jeszcze w oplocie konopnej liny. Biegały po zakątkach sadu, ścieżkach oplatających wzgórze, liściastym lesie kryjącym gospodarstwo przed oczyma patrzącymi od strony wioski, rządówki, wawozu czy drogi, toru i wału. Może lis nie zjawiał się dlatego, że były już we dwie, razem przecież włóczyły się od niedawna, gdy Olga odrosła odrobinę od ziemi, ale co się za tym kryło: widział, że sobie wystarczają, i to go onieśmiało, czy na odwrót, uspokajało?

On co dzień o szóstej rano wypijał kubek gorącego mleka, jadł chleb z salcesonem lub pasztetówką, w sieni wkładał drelich i podbity watoliną bezrękawnik, wychodził w chłód. Po chwili czterej jego ludzie zjeżdżali się rowerami pod bramę. Gdy cichły maszyny i stukotanie dłut, wiadomo było, że zaraz wyciągną kanapki i termosy, siądą w otwartych wrotach, zapalą popularne lub mocne i będą odpoczywać, lub że to już fajrant i za parę chwil, gdy posprzątają, pozamiatają, poczyszczą trak, piłę, szlifierkę, rozjadą się do swoich domów w Bolechowie, Pniowie i Brzeźnie, on zamknie warsztat i magazyn, a nim wróci do domu, obejdzie jeszcze i poukłada gospodarstwo do szarego snu. Czasem zostawiał pracowników samych i szedł coś zrobić na polu czy przy świniach. Przy kurach nie, kury zostawiał Hannie, krowę też. Gdy przyszły sezonowe roboty, wchodził do warsztatu, tylko by upewnić się, że pracuje jak należy, po czym szedł z koszykiem do sadu lub umówiony ze Świerkulą doglądał, jak idą wykopki, orka, bronowanie. Pracował tak jak przy kamieniu, równymi ruchami, pamięcią palców, w każdej robocie odciskał ślad własnego ciała. Urszula przyglądała mu się z bliska, czasem musiał odsuwać ją na bok, by nie smagnął jej bat, którym Świerkula poganiał gniadego, nie zahaczył skraj brony, nie pchnęła skrzynka, nie przygniotła upadająca drabina. Ryby wciąż łowił, ale nie zabierał jej więcej puchówką pod pniowski łęg, sam tylko wychodził po zmroku nad Wisłę i wracał późną nocą. Słyszała te powroty, czekała na nie, zasypiała dopiero, gdy w sieni skrzypnęły drzwi i usłyszała otupywanie gumiaków z błota lub śniegu.

Którejś soboty wziął sobie Olgę na barana. Chwycił ją za stare portki po Gawałowych dzieciakach, trochę jak dwa lata wcześniej Urszulę, gdy porozbijał chłopaków przy ścieżce, dźwignął tą jedną ręką z trawy i wsadził sobie na ramiona. Weszli tak, Urszula dwa kroki za nimi, na podwórze. Postać Hanny myknęła w drzwiach obórki, błysnął wieczorny ruch wideł. Gdy przechodzili koło domu, z sieni zapachniał drożdżowy placek. Raptem widły brzęknęły, ciśnięte o pręty krowiej zagrody. Hanna przyskoczyła do nich. Postaw ją! Chodź ino do mnie, wyciągnęła ręce, chciała zdjąć mu z ramion Olgę, rozhuśtaną śmiechem zdumienia. Urszula cofnęła się do sieni. Dziecko mi rozbijesz!, usłyszała. Nie widziała, jak się szarpią, schowała się w kąt za drzwiami, gdzie stała drapacha, szufla do śniegu, stare gumiaki, siekiera. Buchnął ryk, ale wcześniej usłyszała coś jeszcze, co skojarzyło jej się z ruchem dobrze już znanym, chłasnieniem jego ręką w powietrze. Nigdy dotąd nie widziała, czym ono się kończy, zawsze zdążyła odwrócić wzrok, po nim jednak zawsze następował tylko płacz Hanny, a teraz coś też trzasnęło, niesłychanie, boleśnie, i zamiast w płacz ten trzask wpadł w głuchą ciszę, rozwlókł się

chwiejnym szurnięciem trzewików po murawie. Skrzywiła się. Przycisnęła oko do szpary pod zawiasek. Hanna chwiała się, pomiędzy palców przyciśniętych do nosa płynęła krew. On jednym ruchem ściągnął sobie Olę z ramion, pchnął ku niej, wcisnął jej w spódnicę. Olga rozbeczała się wniebogłosy. Urszula pobiegła do komórki, otworzyła okno, przegramoliła się przez parapet, wyskoczyła w kępę czarnych malw. Przez ogród pobiegła do wąwozu. Zsunęła się w dół, chlupnęła nogą w strumień, bez tchu biegła dalej, pod pałacowe wzgórze, na które nigdy dotąd się nie wdrapywała. Podbiegła parędziesiąt kroków, tyle ile trzeba, by ukryć się za wielkim dębem, najdalszym stróżem parku. Wparła się plecami w pień, tak szeroki, że od wąwozu nikt nie dostrzegłby nawet skrawka jej ramion ani potarganych włosów.

Znieruchomiałem. Leżałem właśnie pod krzakami jeżyn, przebierałem wśród gałązek, wybrałem jedną i chciałem namalować, kolczastą i smukłą, na tle żółknącej trawy. Wcześniej oskubywałem ją z najdojrzalszych owoców, pchałem do ust. Były ciemne, ale kwaśne. Gdy usłyszałem podbiegający od wąwozu krok, brzuścem dłoni zaczęłem o cierń. Kropelka krwi błysnęła w szramce, a gdy musnąłem ją językiem, rozmazała się słono wśród jeżynowych plamek. Wyślepiłem się przez trawę. Schyliła się, aż włosy sypnęły się jej naprzód, z rękoma wspartymi o zgięte kolana. Przemknął mi przez myśl dawny jej widok z oberwaną szelką ogrodniczek i rozwłóczonym warkoczem. Wolniutko podniosłem głowę, obrócony ku rzece. Chlipanie ucichło. Udałem, że dopiero teraz ją spostrzegłem. Gdy ujrzałem wyraz jej twarzy, myślałem, że rzuci się na mnie. Franciszek, pomyślałem, zaklęty w nią, ciemny. Czekał!, zawołałem, bo oderwała się już od pnia dębu, zrobiła krok, by biec dalej.

Nie zatrzymałem jej. Cisnęła we mnie wściekłym wzrokiem i uciekła. Wygramoliłem się spod jeżyn i popędziłem za nią. Szkiełkami osłaniałem głowę, pudełko po karmelkach „Glorja” wcisnąłem pod pachę, grzechot ołówków niósł się po wąwozie. Zsunęliśmy się na dół, gdzie gęstniał chłód, jesienny, nierozprasany przez słabnące już słońce. Buty mlasnęły w strumieniu, tłups tłups, chłaps chłaps. Gałęzie smagały mnie po twarzy, potykałem się o korzenie. Ona najpierw kierowała się do Gawałowej chatki, potem skręciła w stronę rzeki. Biegliśmy napędzeni jakąś wspólną mocą, ja niby goniący, ona uciekająca, gdyby jednak nagle obróciła się i rzuciła na mnie, zawróciłbym i zacząłbym zmykać. Goniłwa była prawie milcząca, sapałem tylko. Gdyśmy wybiegli pomiędzy drzew i pognali przez łąkę w stronę nasypu i wału, zacząłem nawoływać bez słów, różne ej!, hy!, ee!, nie słuchała jednak, równo mknęła dalej. Wdrapała się na drogę, na chwilę zniknęła w rowie, wynurzyła się na torze, tłuczeń zagrzechotał

jej pod podeszwami, potem znów poniósł ją szelest trawy. Gdy dobrnąłem do nasypu, nie miałem tchu, stanąłem. Ona dobiegała już do wału. Usiadłem na szerniałych podkładach i patrzyłem, jak się wdrapuje, czepia się krzaków. Na wale przystanęła, nie obróciła się.

Wzgórza, droga, tor, las na drugim brzegu, smuga Wisły błyskająca pomiędzy wiklin, wydawały się niewzruszone, ale słyszałem i czułem narastający oddech, nie mój, jakiś cudzy, głęboki. Zza wzgórz ryknął pociąg. Wytoczył się po chwili. Zamiast dymiącej beki parowozu ciągnęło go kanciaste zielone pudełko spalinówki. Pomyślałem, że gdyby Łucja czekała teraz na brzezińskim peronie, nie wsiadłaby. Ale nie czekała. Był rok gwałtownych zmian, upalne lato, kraj ogarnęły strajki, Stefan dużo oglądał telewizji, często rozmawiał przez telefon, przy kolacjach przepowiadał koniec i te przepowiednie, a może ten koniec, zalegały mu coraz ciężiej na sercu. Łucja nie wyjechała do Kołobrzegu, wakacje przesiedziała w domu, doglądała go baczniej niż on ją dotychczas. Pociąg znów ryknął, tym razem na mnie. Dźwignąłem się i zsunąłem z nasypu. Po chwili załaskotał za moimi plecami, hamował przed wjazdem do Brzeźna, ona jednak chyba usłyszała grzechot moich kredek, farbek w pudełku, bo obróciła się prosto na mnie. Ty gnoju!, krzyknęła. Schyliła się, śmignęła czymś we mnie, przeleciało koło głowy, może kamień, bryłka ziemi. Wynocha stąd! Ej!, zasłoniłem się. Kupiłaś sobie ten wał? Kupiłam. Naplułam. Osikałam. Wynocha. Taa, poczekaj, już mnie nie ma. Odwróciła się ze wstrętem. Czego mnie śledzisz? Ja cię śledzę? To tyś przyszła na mój teren. Głupi. Łazisz mi naokoło, wyślipiasz się przez drzewa. Głupia, prychnąłem. Przecie rysuję. Jak mam rysować bez patrzenia? Odwal się. Wynocha. Ej, coś ty taka nabzdyczona? Stary dał ci wciry? Coś ty powiedział? Zrobiła krok w moją stronę, zacisnęła pięści. Głos uwiązał mi w gardle. Miotnęła jakimś wściekłymi słowami, zrozumiałem tylko ostatnie, powtórzyła je: silna. Silna. Żeby się obronić przed tą siłą, szarą, polną, błotną, stodołą, trzewikową, obcą mi, cofnąłem się o krok i wyciągnąłem przed siebie szkicownik, tarczę panicyka. Ołówki grzechotnęły w pudełku.

Umiesz chociaż?, spytała. Skinąłem głową. Widziałaś przecież. Musiała widzieć moje prace, od początku roku szkolnego wisały w korytarzach i klasach. Był to pomysł Łucji, wyklócony ze Stefanem. Stefan mówił, że za wcześnie, że jeszcze muszę ćwiczyć, że mnie to zepsuje. Jego nic nie zepsuje, zaśmiała się i tym skończyła rozmowę, choć nie rozumiałem, czy te słowa i śmiech oznaczają wiarę, zwątpienie, czy obojętność. Stefan uległ. Wybrał dwadzieścia moich rysunków i akwarelek, potem wezwał dyrektorkę szkoły, właśnie tak, wezwał do siebie i kazał otworzyć w szkole wystawę. Urszula musiała widzieć te pracki. Uniosłem pytająco brwi.

Tak słabo, że gdybym na chwilę odwrócił wzrok, mógłbym to przeoczyć, skinęła głową. Aleś ty śmieszny, powiedziała. Dobry chłopczyk taki. Siądź, powiedziałem. Jak to siądź?, zjeżyła się. Głupia, powiedziałem, no dobra, ja pierwszy. Patrz, siadam. Niskie słońce obejmowało ją od tyłu za ramiona i głowę. Rozłożyłem blok, wyjąłem ołówki, byłem bezbronny. Usiadła.

Nie namalowałem jej na miejscu, choć miałem w pudełku podręczny komplet akwarel, bałem się, że zaraz ucieknie. Rysowałem ją spiesznie ołówkiem, wrywałem na oślep kartki ze szkicownika i ciskałem na trawę. Wkrótce zaczęła się wiercić, podniosła się bez ostrzeżenia. Złożyłem blok. Pozbierałem szkice, nim zdążyła spojrzeć, zresztą musnęła je tylko obojętnym wzrokiem. Po co ci to?, spytała. A tobie?, odparowałem. Jak to mnie? To tyś mnie chciał rysować. Tyś też chciała. Nie wiadomo, kto bardziej. Ruszyła grzbietem wału. Nie włócz się za mną, prychnęła, bo dostaniesz. Od kogo?, rzuciłem. Byś się lepiej nie dowiedział. Ej!, zawołałem, gdy już zbiegała krowią ścieżką na łąkę. Jeszcze nie skończyłem. Przyjdź jutro!

Nazajutrz nie przyszła, ale co dzień o tej samej porze szedłem nad wąwóz i czekałem. Zrobiłem paręnaście rysunków jeżyn, objadłem gałązki z owoców. Któregoś przedwieczoru zjawiała się w końcu. Zdawało mi się, że chwilę przedtem na ich wzgórzu zadrzał krzyk, może Hanny, może Olgi, jednak przyszła spokojna, choć był to spokój twardy, chłodny. Machnąłem szkicownikiem. Aleś ty śmieszny, powiedziała. Tak musi być, skinąłem głową. Poszliśmy bez słowa na wał. Gdy ją usadzałem, spytała tylko: możesz tak wszystkich naokoło? I co będzie, jak już ich powyrysowujesz? Wzruszyłem ramionami. Będę ich wszystkich miał. Więcej się nie odzywaliśmy, zmieniałem tylko miejsce i rysowałem. Znów nie wytrzymała długo, nagle podniosła się i odeszła bez słowa, ale nie wołałem za nią, tylko następnego popołudnia znów wymknąłem się z domu i poszedłem nad wąwóz. Przychodziła jeszcze trzy razy. Na czwarty raz czekałem parę długich dni, ale nadaremnie. W końcu jesień rozbłysła ostatni raz i zgasła, wklęsa się deszczami, uznałem więc, że to koniec. Którejś niedzieli, rozwieszona białą płachtą nad parkiem, zebrałem szkice, przystawiłem sztalugę do okna, przypiąłem arkusz, zrobiłem podkład wodny i zacząłem malować.

Najpierw zalawowałem papier smagnięciami rzadkich barw, dwie płaszczyzny rozcięte garbatą linią horyzontu, wpierw niebo, potem ziemię, choć ziemia tak naprawdę nie była ziemią, tylko nakrywą żółkłych traw. Kusilo mnie, by niebo pomazać łuną wieczoru, ale gdy siedziałem tam na wale, zachodnie niebo miałem za plecami, a coś podszeptywało mojej drżącej ręce, że za pierwszym razem nie wolno kłamać, zostawiłem je więc tak, jak było, szarzejące od wschodu.

Akwarel zrobiłem jednak kilka i na którejś zalałem niebo wiecznym słońcem, żółcią przetapiającą się w kadmową czerwień, rudziejącą ciemniej nad widnokregiem. Wzgórza za rzeką zmechaciłem szorstką plamą lasu, szmaragdem z ultramaryną, a niżej, nad samą wodą, rozciągnąłem podmokłe pasmo umbrzy. Spomiędzy przedludzkich warstw krajobrazu, tych wzniesień, resztek puszczy, rzecznej doliny, i krzywych wytyczonych już ludzką ręką, wału, nasypu, toru, drogi, ścieżek wiodących do parku, pałacowej wieży sterczącej znad koron, spośród kęp wiklin i zbrązowiałej nawłoci, opuchłych ostów wyłuskałem sylwetkę Urszuli. Wszystko to przygasilem mgławym światłem dojrzałego września, miękczącym i ciepłym kolory, bo przyszło mi do głowy, że postać na obrazie trzeba malować tak, by mogła w nim jak najciszej zamieszkać.

Zawsze gdy rysowałem jakichś ludzi, to oni do mnie gadali, nie ja do nich, pracowała ręka i oko, nie język, teraz jednak było inaczej, to ona milczała, a ja gadałem, z każdym zdaniem śmieiej. Gdy już przy sztaludze kolorowałem jej ramiona i plecy, przypominałem sobie te dopytywania: czemu mnie ciągasz aż tutaj? Milczała. Końcówką trzonka wydrapywałem fałdy rękawów i pytałem dalej: no czemu nie w wąwozie albo na wzgórzach? Milczała. Pocieraniem gąbki i kciuka podrabiałem szorstkość wełnianego sweterka i dręczyłem ją dalej: ej, chociaż przy chałupce mogliśmy, tamtej białej. Milczała. Gdy cieńszym pędzelkiem kolorowałem jej ręce, jedną wspartą o trawę, drugą złożoną na kolanach, muśnięciami czerwieni zaznaczałem szramki na knykciach, spytałem: co właściwie tam robisz? Wtedy drgnęła, obróciła głowę, aż cmoknąłem: ej, nie ruszaj się, przecież cię rysuję. Na którejś akwareli jedną rękę namalowałem uniesioną, muskającą włosy. Z włóczęg po wsi znałem już kolor takich rąk, rumiany od roboty, od płynącej szybko krwi. No co robisz na tej waszej gospodarce? Pasiesz krowę, to wiem. Co jeszcze, karmisz świnię? Sam jesteś świnią. W ogrodzie robię. Sadzę kwiaty. Pielę grządki. Matce pomagam. Na wspomnienie Hanny powróciłem do twarzy i mocno opłukanym pędzlem, prawie całkiem wyciśniętym z farby i dzięki temu utrzymującym w sobie wodnistą burość po dotychczasowym malowaniu, przekreśliłem oczy i policzki skośnym cieniem uniesionej ręki. Zmarszczyłem czoło. Matka goni cię do roboty?, spytałem. Sam się goń, lepiej by ciebie twoja pogoniła. Nie wysiliłaś się, prychnąłem, cała wieś mi tego życzy.

Na kolejnej akwareli jedną rękę namalowałem prawie wbitą w ziemię, ze zbieleńcami palcami wczepionymi w korzenie trawy. Siostrą się zajmuję, mruknęła. Widywałem je razem, jak przemykały ścieżką do szkoły, Urszula na przedzie, mała dyrdała za nią, wyciągniętą ręką

próbowała chwycić ją za palce, te jednak zawsze jej uciekały, spieszyły się, chciały chyba jak najprędzej się rozdzielić, porzucić ten mały kłębuszek pośpiechu, schować się przed nim. Czemu tak?, powtórzyłem pytanie z wału. Muśnięciami bieli i skrobnięciami nożyka kreśliłem smugi we włosach, smużkami jaśniejszej i ciemniejszej sjeny zaplatałem warkocze. Czemu co?, spytała. Czemu nie lubisz siostry? Zacisnęła usta. A co ona, mną jest, że muszę ją lubić? Ty byś lubił? O, toś mnie zastrzeliła. Nie wiem. Może bym kochał. Czemu? Bo mamusia by ci kazała? Dziadek? Zadarłem jej nos nieco wyżej, a potem cisnąłem pędzelek na paletkę, targnięty gniewem, bo wybrzmiały mi w głowie jej następne słowa: hrabi synku. W ogóle czyjś ty synek, co? Gnój ci do tego, odparłem.

Obróciła się w moją stronę, a ja na chwilę spuściłem wzrok. Paniczyk rysowniczek nie uniósł spojrzenia tych czujnych oczu, błękitniejszych, niż sądził, ale błękitem lutowym, nie dał rady brwiom ściągniętym w łuk, ustom gotowym zdzielić kamieniarską klątwą. Patrz na rzekę, powiedziałem, nie na mnie. Zaśmiała się szorstko i na jednej z akwarel namalowałem ten śmiech. Milczeliśmy przez chwilę. Szybkie machanie ołówkiem przywróciło mi rezon. Dobrze ci z nimi? Spodziewałem się, że znów się odwinie lub chociaż zaciśnie w milczeniu, ona jednak nagle się rozgadała: tylko płacz i płacz. Czyj? Matki. A czemu płacze? Przez ojca, niby przez kogo ma płakać? A czemu ten twój ojciec taki? Jaki? No taki. A co mówią, zjeżyła się, niby jaki? Nie wiem, co mówią, mnie nie pytaj. Do wsi chodzę rysować, nie wypytywać. No to powiedz, co mówią w pałacu. Wzruszyłem ramionami. Matka nic. A kustosz? Milczałem. Znów się zaśmiała. Byłaś kiedyś nad morzem?, spytałem. Prychnęła śmiechem. Głupi. Ledwie nad rzekę mogę się wyrwać, a ty mi o morzu. Odwróciła się zupełnie. Jej postać miałem prawie gotową, kończyłem czwartą czy piątą akwarelę. Spójrz na mnie, powiedziałem, ale pożałowałem, bo gdy się obróciła z powrotem, kąciki oczu jej błyszcząły. Zapatrzyła się nad moim ramieniem w stronę Brzeźna.

Tyś po jego stronie?, palnąłem dziwacznie, nie wiem czyimi słowami. By je zagłuszyć, tuż za wałem domalowałem naprędce jarzębinę. Smukły pień zaokrągliłem pociągnięciem opłukanego pędzelka, potem chwyciłem szeroki ławkowiec i nim zdążyła mi odpowiedzieć, różkiem nastroszonego włosa musnąłem czerwien i żółć, prawie na sucho rozmieszałem na paletce i kilkoma pacnięciami o papier obsypałem drzewko pomarańczowymi kiśćmi. Nie obłaskawiłem jej jednak tą rozbarwioną naprędce wesołością. Co ty możesz o tym wiedzieć, powiedziała. A tyś po czyjej stronie, kiedy twoja matka z kustoszem drze koty? Myślałeś, że nie słyhać przez wąwóz? Nie jestem po stronie płakania, tyle ci powiem. Zapamiętaj. Ja nie chcę

beczeć, tylko sobie radzić. Ze wszystkim, nawet z ojcem. Dam mu radę. Każdemu dam. Tobie też. Podniosła się, nawet nie spojrzała na szkice i odeszła, nie, nie odeszła, pobiegła do domu.

Spojrzałem w okno. Franciszkowe wzgórze milczało. Jesień trwała wstrzymana w rozbiegu, zalana bielą cynkową z nieba. Dopiero teraz dobiegły mnie głosy z głębi domu, mojego domu, rozkrzyczana rozmowa Stefana z Łucją i trzeci głos, babski, który powtarzał moje imię, łupał w moje drzwi nie gorzej niż ciężka ręka. Nie miałem pojęcia, że zasunąłem rygiel. Było późne popołudnie. Zadrzałem z zimna. Borkowa pewnie w całym domu napaliła w piecach, prócz mojego. Rozłożyłem akwarele na stole i podpisałem starannie pędzelkiem *R. Paw. 988*, jak Fałat opuściłem jedynekę na początku daty. Nie spieszyłem się, by jej pokazać te portreciki z niczyjej ziemi. Jeszcze wiele dni trzymałem je przypięte do sztalugi i coś mi szeptało, że schwyciłem ją na zawsze.

Ojciec

Zakryła mi też oczy kiedyś, wiele lat później, gdy skończyłem właśnie szkicować jej głowę, właściwie twarz w okolu włosów, delikatnie wyłonioną z ołówkowej mgły. Uniesioną rękę oparła o moje brwi i przez chwilę jej palce nie drżały, inaczej niż moje, a ja zobaczyłem pod nimi jego, może dlatego, że na przekór jej staraniom nasze rozmowy i tak krążyły wokół niego szerokim łukiem, aż czasem z ciemności nocy wyłaniała się ręka w szarym garniturze i zaczepiała nas. Nie rysowałem go od tamtej wiosny w drugim roku gwałtownych zmian, która rozbłysła mi właśnie przed zakrytymi oczyma. Inaczej niż on, nigdy nie robiłem rysunków z pamięci, kto odszedł, zastygał w nich w chwili odejścia lub tuż po niej, zresztą jego i tak, o dziwo, rysowałem bardzo rzadko, onieśmielony tym, że musiałbym dać mu własne portreciki do oceny. Nie musiałem jednak zaglądać do starych szkicowników, by przypomnieć sobie jego sylwetkę, wyprężoną tak mocno, że aż wygięta do tyłu, podobnie jak głos, który, choć stracił siłę, do końca zachował niezbitą władczość i brzękliwy ton, który po latach kojarzył mi się z trąbką z tłumikiem. Nim palce Łucji zsunęły mi się z czoła i spytałem, czy chce jeszcze zapalić, bez słów, wskazałem tylko odłożoną na stolik lufkę, a ona odmownie pokręciła głową, zdążyłem przypomnieć sobie tamto majowe popołudnie, gdy parę dni po tym, jak Stefan zarządził kolejny remont pałacu, a Łucja nie zadała już sobie nawet trudu, by mu się sprzeciwić ani zatrzymać Borkową w progu i przykazać, by nie wzywała kamieniarza, bo żadnych napraw attyk, kolumn, płaskorzeźb ani maswerków nie będzie, a kamieniarz wie to lepiej niż on, skoro nie przychodzi na jego wezwania, i tuż przed tym, jak podjął swoją cichą ranną wyprawę, Stefan spotkał mnie w parku, gdy szedłem ze świeżymi rysunkami, i nachylił się nade mną, tak się poczułem, choć byłem już prawie tak wysoki jak on, i nawet nie rzucił na nie okiem, tylko powiedział, wprawdzie z uśmiechem, ale bladym jak on sam: sługą tylko jestem niewidzialnej sprawy, dyktowanej mnie i paru innym sekretarzom. Po ziemi chodzimy, niewiele rozumiemy, a jaka złoży się całość, nie nam dochodzić, bo nikt z nas jej nie odczyta.

Przez chwilę trzymałem jeszcze blok w rękę, czekałem, aż skinieniem w stronę ławki bądź pałacu da znak, byśmy siedli sobie lub poszli do biura i obejrzeni, co narysowałem. Tak było zawsze, dla moich prac Stefan potrafił wyprosić gości z gabinetu, przerwać rozmowę przez telefon, odprawić Łucję, i teraz, choć spotkałem go przypadkiem, nie spodziewałem się, by miało być inaczej, choć, pomyślałem sobie później, a myślałem później dużo, zwłaszcza o tym dniu

i poprzedzających go wiosennych tygodniach, gdy Stefan domagał się widzenia z kamieniarzem, o zimie i jesieni, gdy zacząłem rysować Urszulę i co rusz wymykałem się nad wąwóz, a potem na długie godziny zamykałem się w pokoju, o ubiegłorocznym lecie, gdyśmy nie pojechali już do Kołobrzegu, bo, mówiła Łucja, Stefan wymagał opieki, a ja ani trochę w ten powód nie uwierzyłem, zatem pomyślałem sobie później, że takie zdarzenia, gdy to, co dotąd znane i proste, krzywi się nagle, choćby odrobinę, często zwiastują koniec, lecz dojrzeć koniec z jego wnętrza jest jeszcze trudniej niż początek. Gdybym nie spotkał Stefana na ścieżce, wszedłbym bez pukania do gabinetu i pokazał mu świeże rysunki, bo wracałem właśnie z włóczęgi po wsi. Wydeptywałem ją sobie od paru lat, od tamtego kamieniarskiego lania przy ścieżce, po którym jak siekierą uciął skończyły się docinki wobec Urszuli, a co ciekawe, wobec mnie też, wioskowe chłopaki przestały mnie zauważać, a ja przestałem się ich bać, choć i przedtem bałem się mało, bo nikt mnie w domu bać się nie nauczył. Chodziłem po wsi swobodnie, z podwórza na podwórze, z bramy do bramy, przez furtki, dziury w płotach, ze szkicownikiem pod pachą, z pudełkiem ołówków, pasteli, akwarel. Wszyscy witali mnie wesoło, jedynie po wierzchu dokwaśniali drwiną. O, malarzyk! Patrz no, krowa, świnia, koza. Widziałeś kiedy z bliska takie cuda? Narysujesz świnie? Patrz no, koń. Wy tam w pałacu umiecie konie rysować? Nóg ile koń ma, wiesz? Ej, Bury, nie szczekaj, to swój, nie poznajesz? Robuś cię narysuje. Obory nie maluj, pierw muszę dach nareperować. Albo przynajmniej nie podpisuj, że to moja, chociaż przecie i tak każdy pozna. Porozwieszają ci te twoje bazgroły w pałacu? E, czekaj no, chcesz mnie rysować w fartuchu, przy wiadrze? Bym się chociaż ubrała. Chustkę żółtą założę, świąteczną. A tam w ogóle, starą babę będziesz malował. Po co. Starego chłopca już lepiej, w kaszkiecie, w koszuli to jeszcze wygląda jak człowiek, ale baba? Patrzcie no, ty bab więcej malujesz niż chłopów. E, chłopcy też są. O, Więcek z widłami. Ale nastroszony. Byś mu się chociaż uczesać pozwolił. A tu na stołeczku Różański. No jak nie, przecie poznaję. Zobacz, Wiechu, to nie Różański? Przy stodole mam stanąć, tu o? Siądę przy oknie może? Z kosą to tak, może być. Godnie. Z osetką, niech będzie, że. Aleś Robutę odmalował. Jaki uśmiechnięty. Nawet na odpuście tak się nie uśmiecha. A nie, tej jabłonki, coś mnie przy niej wiosną rysował, to już nie ma. Choroby ją żarły, usychała, ściałem. Przy gruszy nie chcesz? Staśka byś też namalował. Głupi chłopak, ale dobry. Jak jeszcze raz ci dokuczy, to już ja go prześwięcę. By się też, łachmyta, z takim talentem urodził. By zasuwac nie musiał, do pałacu by poszedł. No i co by niby tam robił, głupia? A siedziałby sobie i pieniążki brał, jak mamunia Robusia. Prawda, Robuś? A tuś wiadro tylko

samo namalował? Pranie na sznurku? Po co ci takie głupoty. No ale ładniutko, kolorowe wszystko, świeci się biało. O, jak ty te liście umiesz, gałązki. Jeżyny jakie. Każdy kolec widać, każda kuleczka się świeci. A ten zabity gawron ci po co? Lepiej już tu, o, staw. Ile krów! Ja tyle nie mam. Chybaś pozbierał z całej wsi. No rysuj, Robuś, rysuj, bo do roboty muszę. Albo przyjdź wieczorem. Światło wtedy gorsze? To zapalę przed chałupą. Nie można tak? No dobra, to dawaj. Rysuj. Maluj. Tylko pokaż potem.

Z gospodarstw do pegeeru, wzdłuż przystanku, kiosku, kapliczki, sklepu, przez bramę w betonowym płocie i parking przed biurem osypany liśćmi z topól, w ryk mleczarni, warkotanie maszyn, w woń błota i kluchów czarnoziemiu odpadłych z traktorowych kół, twarogu z serowni, gnoju za owczarnią. Między ceglane magazyny pasz i nasion, silosy ze zbożem, garaże pełne bizonów, tarpanów, rumunów, spękane podjazdy, samochodowe kanały przed warsztatem, stację paliw z trupa główką na niebieskim zbiorniku. Na pola po horyzont rozbrzdżone kapustą i burakami, maźnięte żółtością pszenicy. W rojną siwiznę kufajek, gumiaków, kaszkietów, inną niż kremowa białość pałacu, w szklany gwar buchający z okien stołówki, inny niż głuchota parkowych alej, w papierosową spiekotę biura, inną niż zapach carmenów w rządówce, w jazgot maszyn do pisania, inny niż kapryśne postukiwanie w pokoju Łucji. Siadywałem na rampach, na schodkach, na progach. Urzędniczki czochrały mnie po głowie, robotnicy podnosili w górę, sadzali na błotnikach, wozili ciągnikami. Chrypieli śmiechem przy moich rysunkach, klepali po ramionach. Wyłuskiwałem ich z szarego dnia, z błękitnego lub żółtego powietrza, z czarnej roboty, białego dymu, zwykle samym ołówkiem, czasem tylko musnąłem akwarelą sinawe policzki, brązowe oczy, bure ręce. Palili przy mnie, klęli, grali w karty, pili wódkę z kieliszków wyciąganych z kieszeni i podawanych w krąg. Dłonie mieli garbowane, tak twarde, że mogliby rozbijać nimi beton. Pegeer, połamany na sto zakrętów, półotwartych przestrzeni, niepotrzebnych zakątków, spęziałych wnętrz, pełen hurtów, plonów, zapasów, w moich szkicownikach wikłał się w siebie, wgłębiał, łomotał i drgał od roboty. Najlepszy był zimą, gdy kolory ścichały, z żywołów zostawały tylko czarnoziem, śnieg, beton i dym. Lubiłem wtedy śnieżne światło, cienie nagich drzew, kontury wtopionych w biel maszyn. Lubiłem zapach brudnej wilgoci, zimny przewiew hal, wiatr mierzący odległości między budynkami.

Ścisnąłem potem pod pachą blok pełen płotów i bram, błotnych kałuż i rozmiękłych niedopałków, gniazd jaskółek pod okapami garaży i niosłem przez pałac, między szeregami ram,

z których patrzyły na mnie Gersony, Gierymskie, Fałaty. Nie zwracałem już uwagi na te płótna, każde znałem na pamięć, wystaliśmy przy nich swoje ze Stefanem, rozpracowaliśmy ich rysunek, kontury, techniki kładzenia farb, rozświetlania, laserunku. W pałacu spotykałem czasem Łucję, krzątała się po salach, spisywała coś, poprawiała, zmieniona w zjawę przez blask padający z lancetowych okien. Gdy byłem mniejszy, jeszcze przed ostatnim wyjazdem do Kołobrzegu, podbiegałem i przemykałem przez jej rozdartione ramiona, całowałem ją w pieprzyk nad górną wargą. Stefan starannie kartkował bloki, wyjmował akwarele z teczek, nadstawiał do okna. Krytykował szczegółowo, kreska po kresce, kreślił długopisem lub miął na znak, że nie ma co się do nich przywiązywać, nieliczne odkładał na osobny stosik, później z uznaniem stukał w nie palcem i osnuwał wokół nich długie gawędy. Robuś, zaczynał. W zasadzie nie podzielałem waszego, czyli twojego i twoich poprzedników, kiwał ręką w stronę sal, zważ, że wymieniam cię jednym tchem z nimi, nie podzielałem waszego zamiłowania do przedmiotów byle jakich, do lichoty świata. Ale niechaj tak będzie, niech wasza sztuka oddaje jej godność. Ja sam świadkowałem lichocie najlichszej z możliwych, znam ją doskonale, od najparszywszej podszewki. Mimo wszystko cieszę się, że wychowałem cię na malarstwie tych, co się jej nie bali, nie chronili się przed nią, jak ci okropni kolorysty i awangardziści, w lichotę przedstawię, w tani ból abstrakcji. Wspaniale, mój mały. Świat jest uwarstwiony, czas też. Dobra ręka, bystre oko i otwarte serce potrafią zstąpić w każdą z warstw, w pył, w zapomnianą przeszłość. Maluj tak dalej, maż te swoje akwarelki. I ćwicz. Rysuj przedmioty. Doskonale chwytny kolory, mógłbyś wprawdzie wpuścić więcej mocniejszych barw, ale domyślałem się, że ta przasniana wieś ci ich nie dostarcza, jeszcze mniej pegeer, może byś zaszedł czasami nad Wisłę, hm? Wiesz, że rzeka potrafi odbijać się w niebie? Idź, przekonasz się. Nie tylko kufajkami żyje artysta. I ćwicz. Nie wnikińsz w naturę przedmiotu, jeśli go nie przedstawisz wiernie, bo w tym, co winniśmy wszystkiemu, najważniejsza jest wierność. Tak jak ludziom. Lojalność. Niech twoje prace będą lojalne. Rozumiesz? Kiwałem głową. Rzeczy są kruche, mówił dalej, przemijające. Siedzisz w miejscu, którego czterdzieści lat temu nie było: kąt pokoju, w którym stoi teraz moje biurko, znikł, zmieciony rosyjskim pociskiem burzącym, pomyśl tylko, strzelali w pałac burzącymi, po cóż innego, jak nie po to, by go zburzyć, przecież nie po to, by przepędzić Niemców, a jeszcze wcześniej mieszkał tu człowiek, sam wiesz kto, nie będę cię już zanudzał, w każdym razie czy miałbyś odwagę w takim miejscu uciekać w puste kształty, formy, kolory? Rzeczy się nie starzeją. Są niewyczerpane, niezawodne. Widzisz ten romb słonecznego światła na ścianie? Czy

wolno ci go zlekceważyć? Nie wolno. Idź już. Zaczekaj, jeszcze coś. Widzę tu nieco więcej wnętrza i pejzaży niż portretów. Nie dziwi mnie to, bo jesteś mężczyzną. Mężczyzna maluje krajobraz, bo to w nim jest najmocniej zakorzeniony, w świecie bezludnym, czasem nieludzkim. Postawiony wobec krajobrazu mężczyzna staje w obliczu siebie samego, swoich potrzeb i pragnień, także swojej przeszłości, dziedzictwa, staje z pokorą wobec losu. Krajobraz jest tłem, na którym próbuje namalować siebie samego. Zaczekaj, Robuś, nie wierć się, jeszcze słówko, to ważne, potem zapomnę ci to wszystko powiedzieć, w końcu nie robię się młodszy, a wątpię, byś mógł to usłyszeć od panny Łucji, którą masz pecha mieć za matkę. Kobiety, malarki, mój drogi, malują natomiast najpiękniejsze portrety. Wiesz dlaczego? Bo nie żyją w przestrzeni, tylko w czasie, a portret przedstawia właśnie nie przestrzeń, lecz czas. Czas, żywioł niewdzięczny, naznacza je i upośledza, narzuca im swoje postanowienia. Muszą się z nim dogadać, a i tak uginają się wobec jego warunków. Twoja matka spletała sobie i mnie, w pewnym sensie tobie też, i czasowi także, dziwny figiel, że zamiast zostać uczoną, ciszką sprowadziła cię na świat i przez to ugrzęzła w tym cudownym, ale prowincjonalnym skarbczyku sztuki. To smutne, bo przecież, jak każda kobieta, tylko w niegościnnym wnętrzu czasu może postrzegać i rozumieć swoje ciało, swoje potrzeby. Czas, mój drogi, jest męską skalą, do której kobiety przykładają siebie. Przeszłość jest tłem, w które mężczyźni rzutują siebie. Portret i krajobraz, dwa spojrzenia. Nie zaniedbuj ani jednego, ani drugiego. Prawdziwy artysta umie nie opowiedzieć się po żadnej ze stron. Miej zrozumienie, nie litość. I trzymaj się z dala od ironii, tej tępej broni słabych i głupich. Idź już.

Odchodziłem wtedy, ale szybko wracałem, zawsze na mnie czekał, dlatego teraz, w to wiosenne popołudnie, stropiłem się, że nawet nie spojrział na moje rysunki. Wcisnąłem blok pod pachę i patrzyłem, jak odchodzi przez rozświetlony park, odchodzi nietypowo, ani do pałacu, ani do oficyny, ani do rządcówki, spacerową aleją wiodącą trochę ku Wiśle, trochę ot tak łukiem wśród drzew, a gdy znikł za kępą bukszpanu, chciałem pójść za nim, po trawie, by nie zdradzić się chrzęstem butów na grysie, i podpatrzeć, dokąd kieruje krok, po swojemu energiczny i spieszny, po cudzemu rozchybotany. Zawahałem się jednak i ciekawość minęła, rozwiła się w kwietnej duchocie maja, stłumiona trochę przez myśl o tym, że po spóźnionym obiedzie pójde nad skraj wąwozu, gdzie może spotkam Urszulę, trochę przez nieuważność przywyknienia, sprawiającą, że zmiana zwykle najpierw wydaje się niewinnym kolebnięciem w bok, po którym wszystko na pewno wróci na dawny tor, a może także, pomyślałem latem, gdy schodziłem

z pustszego już pałacowego wzgórza, by pierwszy raz wdrapać się na jeszcze pustsze kamieniarskie, przez ulgę, że skoro Stefan przestaje interesować się moim rysowaniem, od tej pory będę w nim co prawda samotny, ale i wolny, tak jak wolny byłem w rysowaniu Urszuli, bo ani on, ani Łucja nie widzieli dotąd ani jednego jej portretu. I może głównie ta ciemna ulga sprawiła, że po krótkim wahaniu poszedłem do domu, gdzie nie zastałem Borkowej, wróciła pewnie do karmienia krów, odgrzałem sobie obiad, zerknąłem na zamknięte drzwi pokoju Łucji, wziąłem pudełko farb, paletkę, świeży blok i wymknąłem się na palcach, a to, że nie zapukałem i nie powiedziałem jej o spotkaniu ze Stefanem, tłumaczyłem sobie potem różnie, na przykład że mogłaby wtedy spytać, czemu nie uczę się do egzaminów licealnych, a jeszcze częściej tak, że zza płycin rzeźbionych w lilie dobiegał energiczny stukot klawiszy i nie chciałem przeszkadzać jej w pracy.

Gdy wychodziłem, pomyślałem chyba ostatni raz w życiu, była to myśl tęska, ale i podszyta już lekkim wstydem, choć tego, że się wstydzę, też się powstydziłem, że chciałbym ten stukot usłyszeć z bliższa, czyli wkraść się do ciemnej pakamery, która kiedyś łączyła jej pokój z moim, prześliznąć się między starymi krzesłami, stojakami na płaszcze, miotłami, sztalugami, ramami, szlakiem coraz ciasniejszym już dla mojego ciała, i przycupnąć przy jej drzwiach. Robiłem tak od lat knypiących, od kiedy Stefan zarządził, że zamieszkać sam w pokoju od wąwozu, a Łucja zostanie za liliowymi drzwiami. Wmyślałem się w przestrzeń jej pokoju, słuchałem szelestów, westchnień, nuceń, chrobotu zapałki zapalającej papierosa, przez dziurkę od klucza przychwytywałem ruch podomki, ręki lub włosów. Skończyło się to po ostatnich wakacjach w Kołobrzegu. Stefan powitał nas wtedy po swojemu, czyli zimną nieobecnością, Łucja jak zawsze przed wyjazdem posłała mu telegram, a on jak zawsze w dzień naszego powrotu był zajęty tak pilnymi sprawami, że do późna siedział w pałacowym biurze, tylko Borkowa przyglądała się nam z ukosa, lecz gdy wieczorem zobaczył nas wreszcie, opierzchłych po podróży i ogłuszonych milczeniem, uniósł brwi i powiedział, choć zwykle w takich razach nie odzywał się słowem: ach, toście sobie ładnie. Cokolwiek w nas zobaczył, jaką ćwierćodsłoniętą tajemnicę, głowił się nad nią do następnego ranka, kiedy to narobił rumoru w korytarzu, otworzył z hukiem mój pokój, choć dotąd zawsze żwawo pukał przed wejściem, przepchnął przez próg wielką szafę, skinął, bym mu pomógł, i zastawiliśmy nią drzwi do pakamery. Gdyśmy się mocowali, Łucja wyszła ze swojego pokoju i przyglądała się bez słowa. Po wszystkim Stefan oparł się o ścianę, ciężko dyszał. Spojrzał na Łucję dziwnie bezradny, a ona

chyba dostrzegła, może dzięki swojej kobiecej komitywie z czasem, że na tej szafie jego władza zaczyna się kończyć, bo podeszła niespodzianie i rękawem podomki otarła mu pot z czoła.

Dostrzegła to szybciej niż on, miała czas się przygotować, wmyślić w to kończenie, którego ani on, ani ja nie zauważaliśmy, zapatrzeni każdy w swój krajobraz. Myślałem sobie później, że gdybym w tamten majowy przedwieczór zapukał do niej i powiedział, że Stefan nie chciał obejrzeć moich rysunków, tylko bąknął coś blado, a potem odszedł krzywo w głąb parku, najpierw westchnęłaby tylko, spojrzała w okno, a nim wstałaby i poszła go odszukać, odczekała na tyle, by zaznaczyć swoją przewagę nad nim. Robiła to tym dobitniej, im częściej skarżył się, że go zaniedbuje, a słyszała to często, po raz pierwszy niedługo po tym, jak otarła mu pot z czoła po wniesieniu szafy, na co prychnęła gniewnie, ale nie odezwała się słowem. Ta wzajemność jego skarg i jej niechętnej pomocy utrwaliła się następnego lata, gdy nie wyjechaliśmy już do Kołobrzegu, Łucja doglądała go wtedy jak należy, wozila wartburgiem do lekarzy, do Puław, Sandomierza, nawet do Warszawy, pilnowała, żeby brał leki, siedział w cieniu i nie chodził po sprazonym parku, dawała mu pić, przyglądała się czujnie, ale wszystko z ociąganiem, by poczuł, że ta krzątania to tylko kolejna część, może ostatnia, jej córczynej pałacowej służby.

Z tym samym poczuciem służby, pokornym, ale i odmierzonym, wyliczonym, znosiła jego kwękania, gdy oglądał dziennik telewizyjny, słuchał radia, szeleścił gazetami, prowadził długie rozmowy przez telefon i wróżył koniec, nie sobie, ale krajowi, swojemu światu. Niech strajkują, cedził, niech proszą na salony tego wąsatego knypa ze stoczni, niech oddadzą władzę kufajkom, zresztą co tam kufajkom, kufajki jakoś by sobie poradziły, w ulubionym miejscu rysowniczych ćwiczeń Robusia gospodarzą przecież nieźle, plony zbierają wysokie, mało kradną, mało piją, nie powiem zresztą, czyje to wychowanie, czyj wzór, czyj patronat, mniejsza o to, w każdym razie gdyby kraj mógł być takim większym pegeerem, może warto by oddać im władzę, ale tak nie będzie, moja droga córciu, nie zacieraj rąk, że władza się chyli i niedługo będziesz mogła wyjeżdżać za granicę i tam uprawiać swoje romanse, bo przecież nie pracować naukowo, to mogłabyś i tu, nie będzie też u nas Francji, córciu, pojedź tam za dziesięć lat, a zobaczysz, porównasz sobie, wszyscy będziecie chodzić w werkach nakręcanych przez innych, obrazy kupią za nie swoje miliony prezosi banków, będą wieszać je w swoich gabinetach i gapić się w nie między dłubaniem w zębach a wyciąganiem słomy z butów, kapitalizm rozjedzie was mercedesem, a nie będzie to przyjemniejsze niż rozjechanie wołgą, i w jednym, i w drugim za kierownicą siedzi tępak i cham, z wołgą myśmy tu zresztą oswojeni, któż wie o tym lepiej niż ja,

tylu ministrów nad sobą miałem, a wciąż tutaj jestem, na tej maleńkiej placówce, i strzegę tego, co na szczęście jest dla tych w wołgach nieważne, ale niestety będzie ważne dla tych w mercedesach, bo będą to mogli spieniężyć, spieniężą wszystko, od pegeerów po pałace, spieniężą kulturę, historię, ideały, nawet piękne widoki. Ci w okularach i szarych garniturach się nie zorientują lub sprzedadzą się im, a ci w kufajkach pójdą do nich w niewolę. Niech zresztą dostaną, czego im trzeba, rzecz jasna, bieda w kraju panuje szkaradna, ale zważ, nie, nie zważysz tego, uwierz mi na słowo, że parę lat temu, w stanie wojennym, walkę o chleb ze smalcem i garstkę wolności, swoją drogą cóż za zuchwała mrzonka, ta wolność, no więc tę walkę ludzie wzięli za walkę z szatanem i schronili się pod skrzydłem tych, którym ta walka jest po prostu na rękę, choć twierdzą, że sami ją prowadzą, i z którymi, owszem, trzeba się sprzymierzać, ja sam przecież z proboszczem dobrze żyję, ale właśnie sprzymierzać, nie służyć im, oto zadanie, sprzymierzyć się z kimkolwiek w imię słusznych racji, choćby na nierównych zasadach, a nie tylko bezmyślnie służyć, służyć każdy potrafi. Ja jestem z tych, co służyli, ty, córciu, już z tych, co się sprzymierzili, a Robuś już z tych, którym służą inni. Ci, którym słoma z butów nie wypadła do końca, nazywają to awansem, ale awans głupiego to żaden awans, w jego własnych oczach pewnie tak, ale nie w oczach tych, co na nas tu patrzą, ze ścian pałacu, z obrazów. W świecie trzeba ocalać, ocalać przed głupotą, butą, okrucieństwem, absurdem, ocalać wszystko, co w naszej mocy, w imię ocalenia nawet z diabłem warto by się sprzymierzyć, gdyby tylko chciał z nami gadać, gdyby cokolwiek prócz własnego sumienia i pustej wnęki w krypcie chciało świadkować naszym staraniom. A teraz zbliża się koniec porządku, choćby nikczemnego, koniec stałości, choćby zatęchłej, i mało kto myśli o tym, że pod tą stęchlizną i nikczemnością tkwią stałości głębsze, wmurowane w głąb ludzkich serc, które drżą o życie, drżą przed nocą, drżą przed drzeniem, właśnie te stałości winniśmy ocalać, jak robił to hrabia, o którym może wreszcie napiszesz tę swoją książkę, niestety zbliża się koniec ocalania, bo na miejsce wojska, prostactwa, dewocji i biedy przyjdzie faszyzm, prostactwo, dewocja i pieniądz.

Pusta wnęka w krypcie. Nie wiedzieć czemu z tych gawęd, słuchanych jednym uchem, gdy jadłem kolację lub przygotowywałem sobie papier i ołówki na następny dzień, coraz bardziej rozspanych, ociężałych, podbiegłych rozpaczą, właśnie ona najsilniej utkwiała mi w głowie. Może dlatego, że często wracała, zwykle bez związku z resztą. Pusta wnęka ziała brakiem, a zarazem groźbą, że ten brak się wypełni. Któregoś dnia poszedłem do kościoła, poprosiłem kościelnego o klucz, zszedłem do podziemi. Nad dwuszeregiem marmurowych płyt kryjących

trumny hrabiowskiego rodu, tuż pod żebrami sklepienia tkwiły trzy mniejsze, poświęcone dwóm napoleońskim towarzyszom broni pierwszego ordynata oraz ulubionemu guwernerowi któregoś z późniejszych. Nie mogli leżeć w hrabiowskiej krypcie, spoczęli więc na przykościelnym cmentarzu, ale dla ich zasług wyjęto im serca i pochowano je w małych wnękach obok panów. Wyobraziłem je sobie, nie, nikt nie mógł sobie wyobrazić tych serc, wmyśliłem się w nie tylko, rozpadłe w proch punkciki lojalności na tle świata, co zapamiętał się w zdradzaniu siebie, lojalności nawet wobec tych, co sami zdradzali i umieli tę zdradę wytłumaczyć, bo przecież, opowiadał Stefan, pierwszy ordynat po klęsce Napoleona płynnie przeflancował się na generała w armii carskiej. Jak się modlić, to prędzej tu, na górze!, usłyszałem wołanie kościelnego, wasi tam nie leżą! Lubił mi docinać, bo nie chodziłem do kościoła. Naszym tu nie spieszo, odparłem i oddałem mu klucze.

Przez te długie miesiące, najpierw upalne lato strajków, potem jesień, gdy zmieniał się rząd, zimę, gdy w telewizji mówili o Okrągłym Stole, i wiosnę, gdy sklep, przystanek, słupy, pegeerowską stołówkę, a nawet, ku złości Stefana, zdobny parkowy płot oblepiono plakatami wyborczymi, na których kandydaci pozowali z wąsatym knypem ze stoczni, ten, co go tak nazwał, do swoich pomstowań najpierw z rzadka, potem coraz częściej dorzucał, niby lekkie kaszlnięcia, że na niego już czas, pora na emeryturę. Gotowa jesteś, córciu?, spytał kiedyś. Na co?, chciałem spytać, ale on mówił dalej: przecież komu ja go oddam, jak nie tobie. Tylko nie zmarnuj. Znów chciałem spytać: kogo, mnie czy pałac?, ale Łucja skinęła głową: od zawsze. Tylko nigdy dotąd tego nie zauważyłeś. Wybierasz się dokądś? Świat się wybiera, westchnął Stefan. Damy sobie radę, odparła ona, wtedy ja chciałem spytać: kto, my troje, wy dwoje czy my dwoje?, ale on nie zważał na mnie, sapnął tylko: jeszcze coś, jeszcze coś.

Nie spytałem, co ma na myśli, ale wydało mi się, że rozumiem, gdy wkrótce zaczął obmyślać remonty pałacu. W ciągu parunastu dni zaplanował ich tyle, że dla spamiętania musiałbym chyba zaznaczać je szczerbami na szafie, którą zastawił pakamerę, i znaczyłyby one tyle co te szczerby. Brały się znikąd, bo pałac był w niezłym stanie, Stefan wychwytywał je, miałem wrażenie, z tchnienia wiosny, które zawsze niesie zmianę i żąda, by nikt mu się nie opierał, może też z ruchu, jaki zapanował w kraju, zgrzytliwego, z oporem zardzewiałych przegubów i stężalego smaru, kół wrośniętych w błotną koleinę, ruchu, którego Stefan się bał, ale może chciał go uprzedzić, może uznał, że skoro wnet zmieni się sejm, rząd, minister i jeśli nawet go nie zwolnią, czego się obawiał, to i tak zapanuje chaos, także w Bolechowie, musi zdążyć

zrobić swoje. Łucja najpierw wybijała mu te plany z głowy, ale szybko przestała, spowiła je swoim troskliwo-wzgardliwym milczeniem, a on kreślił je coraz bardziej na oślep: skarżył się na spęknięcia ścian, nadkruszenia, plamy grzyba, których nikt prócz niego nie dostrzegał, na nieszczelne okna, ciekące rury, iskrzącą instalację, rdzewiejący dach, zużyte mocowanie masztu z hrabiowskim herbem na wieżyczce pałacu, na szerniałe parkiety w oficynie, mimo że nie minęło nawet dziesięć lat, od kiedy przejął ją od pegeeru i gruntownie wyremontował.

Sądziłem, choć Łucja odwodziła mnie od tego, mówiła: dajże mu już dziś spokój, że oglądanie moich prac opóźni w jego oczach postępy tej ruiny, nie dawałem mu wytchnienia, a on, gdy wchodziłem do jego gabinetu, rozjaśniał się i ożywał. Te nasze warsztaty z wolna przeradzały się w powinność, może więc po tamtej chwili zaniepokojenia, że pierwszy raz w życiu nie chce oglądać moich szkiców, poczułem jednak ciemną ulgę. Siedziałem potem na skraju wąwozu i nie myślałem o niczym, byłem otwarty i niecierpliw, chyba czekałem na zmianę, może nawet na tę, której nie chciałem, z okrutną ciekawością, którą, tłumaczyłem sobie potem, wszczepił mi sam, gdy zaczął wyobrażać sobie ukojną wnękę w krypcie. Ale w tym jego „jeszcze coś” naprawdę było jeszcze coś. Dwa dni później, w niedzielę, wczesnie otworzyłem oczy. Nie wiedziałem, co mnie zbudziło, może ptaki rozświergolone majowo po parku, w każdym razie gdy zgarnąłem niemrawo sen z oczu, usłyszałem w korytarzu jakąś krzątanię. Stefan wychodził z domu, po cichu, ale nie z cichością, jakiej jego ruchy nabierały od parunastu miesięcy, szurliwą cichością słabnącego serca, tylko ukradkową, spieszną. Zastrzygłem uszami. Sądziłem, że poszedł główną aleją do pałacu, cokolwiek mogło go tam ciągnąć o tak nietypowej porze, jego kroki jednak niespodzianie zaszeleściły tuż pod moim oknem. Zerwałem się. Był to już ten moment maja, gdy zieleń, do niedawna tłumiona przez nocne chłody, nagle wyrывa się na wolność, w ciągu tygodnia powleka wszystko, soczysta jak nigdy później, i skrywa niezliczone rzeczy, które uwolniły się wraz z nią. Spod tej powleczyny myknął tylko strzępek ruchu, rękaw Stefanowej koszuli za zakrętem ścieżki wiodącej do wąwozu. Ubrałem się i wspiąłem na parapet, rozchyliłem okno, ostrożnie, by nie szcęknęło, na bosaka wyskoczyłem na trawę. Pomknąłem między zaroślami. Stefan, ubrany po niedzielnemu, czyli dla niego po codziennemu, w białą koszulę i szare spodnie, tyle że bez marynarki, skrajem wąwozu kierował się w stronę Wisły. Nie znał tych miejsc, tych przejść, granicę swojego pałacowego państwa dawno wykreślił na linii drzew okalających rządówkę od wąwozu i dotąd nie widziałem, by ją przekroczył, by zstąpił po zboczu zrytym dołami po folwarcznych ziemiankach, nad strumień, gdzie kiedyś najbiedniejsze

chłopstwo, niemające nawet przy chałupach studni, schodziło po wodę i skąd ścieżką można było wspiąć się do białej chałupki, a stamtąd do kamieniarskiego gospodarstwa, które zawsze osnuwał w naszym domu gęsty mrok milczenia i ja też w niego wszedłem, gdy nie zająknąłem się ani słowem o spotkaniach z Urszulą. Nim doszliśmy, on w lakierkach, ja na bosaka parędziesiąt metrów za nim, do wylotu wąwozu, gdzie otwierał się widok na tor, drogę i wał, domyśliłem się, choć nie mogłem uwierzyć, dokąd zmierza. Hen w dole przez obsypaną mleczem łąkę szedł od Wisły wolnym krokiem człowiek z wędkami, torbą na ramieniu i siatką ryb. Stefan na jego widok zwolnił, wyprostował się, starał się nadać swojej postawie, chodowi, obecności w tym miejscu, pozór władztwa. Stał na ścieżce tak długo, aż nabrał pewności, że tamten ujrzał wśród zieleni błysk jego koszuli, i widziałem, że ujrzał rzeczywiście, podniósł głowę, a wędki zakołysały mu się w ręku. Stefan wtedy zaczął schodzić w dół, tamten jednak nie zwolnił, nie czekał na niego, tylko dotarł do rozwidlenia ścieżki przy strumieniu i zaczął się wspinać na swoje wzgórze. Najwidoczniej Stefan zwiędział się, że Franciszek co niedziela chadza o świcie na ryby, nie stawia już sieci na pniowskim zakolu, tylko legalnie łowi na wędkę, i wyszedł mu na spotkanie, spóźnił się jednak o włos, nie zdążył wycyrklować, by tamten wspiął się do niego. Rozsapany zawołał go po nazwisku, przekolebał się przez kładkę nad strumieniem, podbiegł za nim, a gdy tamten przystanął i czekał, nie miał już tchu, widziałem to i słyszałem, znałem to zadyszenie, prawie czułem, jak się męczy. Zaczął coś mówić, tamten ruszył dalej, nie chciał słuchać, Stefan wtedy pokuśtykał za nim, rozpuchły od parudziesięciu lat za biurkiem, żaden pan wzgórze, tylko nadarzony przypadkiem pytacz, prosiciel. Patrzyłem na to dziwowisko, póki obaj nie zniknęli za drzewami. Nie miałem szans zbliżyć się do nich niepostrzeżenie, zostałem więc tam, gdzie byłem, w pobliżu jeżynowej gęstwiny.

Wycofałem się do domu, wlałem przez okno. Długo nie wracał. W myślach liczyłem, ile zakrętów ścieżki pokonali razem, jak daleko dotarli, ile i jakich niewyobrażalnych słów mogli zamienić. Gdy w ganku szurnęły kroki, odetchnąłem z ulgą, sam nie wiem czemu, może bałem się, że nie wróci z tej misji. Gdy minęliśmy się przy śniadaniu, nie zająknął się o niczym. Dopiero nazajutrz, gdyśmy siedzieli przy kolacji, a Łucja zapalała papierosa w otwartym oknie, rzucił nagle z ćwierćśmiechem, jaki daje zdobyta nie wiedzieć skąd wiedza: a u kamieniarza rozwód. Baba od niego odchodzi.

Łucja kaszlnęła, jeden raz, potem drugi, by zamaskować ten pierwszy. Zastygłem. Coś poruszyło się we mnie, zimno, boleśnie, nie wiedziałem co. Czemu?, spytałem. Co ci do tego?,

chlasnęła pytaniem jeszcze naglejszym niż ten kaszel. Co, spytać nie wolno?, bąknąłem przez ściśnięte gardło, coś taka? Łucja zdusiła na wpół spalonego papierosa o parapet, cisnęła za okno. Nie odezwała się. Dojadłem nieprzytomnie, coś we mnie rwało się na zewnątrz, w przestrzeń, dokądkolwiek. Łucja trwała sztywna, milczała. Nim zerwałem się z miejsca, by uciec z ochłodłej nagle kuchni, przychwyciłem wzrok Stefana, i dopiero potem, gdy już biegłem nad wąwóz, uczułem, jak ciężko przez tę chwilę spoczywały na mnie jego oczy, rozbłyśnięte spod kapturów powiek i srebrnawych brwi.

Czekałem na Urszulę długo, do zmroku, nie przyszła. Wyślipiałem się na drugą stronę wąwozu, ale prawie wszystko, co mógłbym dostrzec między pniami drzew i kępami krzaków, ceglane ściany, stara furka, wrosnięta w trawę gnijąca burta furmanki i różne inne rupiecie, które jeszcze Gawała powynosił za stodołę, jak zawsze w maju znikło w zieleni. Im mocniej wmyślałem się w gąszcz, tym bardziej zdawało mi się, że coś słyszę, to krzątanie, to krzyki, to warkot starego żuka, którym kamieniarska ekipa jeździła do robót po sąsiednich wsiach. Dzień ścichł do końca, ciemność z ociąganiem nadeszła ze wschodu, podpełzła pod wzgórza, rozświerszczyła się po lasu. Dopiero na drugi wieczór ją ujrzałem, idącą krokiem spieszonym i samotnym, innym niż ten, którym zawsze, choć nigdy przy tym nie podnosiła głowy, dawała znać, że nadchodzi. Gdy ją zawołałem, wzdrygnęła się i pognała dalej. Dopędziłem ją nad strumieniem. Czego?, warknęła. Rany, powiedziałem, obie was coś ugryzło. Jakie obie? Co ugryzło, kogo? Skuliłem się pod jej wściekłym wzrokiem. Moją, powiedziałem. Zła, nie wiem czemu. Ale twoja, słyszałem, jeszcze bardziej. Postąpiła do przodu, uniosła pięść. Zamknij się! Kto ci pozwolił tak gadać? Gdzie słyszałeś? Milczałem przez chwilę. Przed oczy wpychał mi się Stefan toczący się przez wąwóz. Tobie się zdaje, mruknąłem, że skoro nikt z waszych nie wyściubia nosa z lasu, to coś się ukryje. Tu nic się nie ukryje. Co się tam u was dzieje, czemu? To niemożliwe. Czemu niemożliwe?, prychnęła. Się wszyscy zdziwicie. Myślisz, że długo można to znosić? Krzyczała tak głośno, że cofnąłem się o krok. Słowa grzęzły mi w głowie, nie do końca wyklute z huczących myśli. Byłem w Bolechowie odmieńcem, barwnym punkcikiem na tle pegeerowskiego świata, a najbardziej odmienne było to samotne synowanie samotnej matce, smutnej hrabiance z pałacowej wieży. Sądziłem, że nawykłem do tego, że wioskowe przygadywania, z biegiem lat zresztą coraz węższe, odbijają się ode mnie, liche kamyczki, nie mogą mi zrobić krzywdy. Ale krzywda, pojąłem teraz, była we mnie, głęboko, zadana nie wiadomo czyją ręką, i sam też byłem krzywdą zadaną jej, hrabiance. Od czternastu lat

nie mniej niż wiejskie docinki przypominały mi o tym pałacowe przekomarzenia, mimo że Stefan z Łucją starali się ten pogmatwany rachunek krzywdy zakryć przed moim wzrokiem. Obróciłem się w stronę kamieniarskiego wzgórza. Dobiało stamtąd pukotanie dłut, świzgot szlifierki, robota szła niestrudzonym biegiem, jej echo niosło się prostodusznie pod rozkwieconym błękitem, ale mnie się wydało, że nad gospodarstwem rozsnął się bury dym, drzewa naokoło sparszywiały od grzyba, trawa skruszała, śpiew ptaków zamarł w skamieniałych dzióbkach. Krzywda jałowiła ziemię, powlekała żyjących tam ludzi szarosiłą błoną oddzielającą od świata. Gdy znów spojrzałem Urszuli w oczy, dostrzegłem na nich tę błonę. Jesteś skażona, zatruta, pomyślałem. Jesteś jak ja. Ona to zrozumiała, bo nagle odeszła o krok, dwa, trzy, do tyłu, na oślep, obróciła się, zatoczyła na drzewo, oparła o nie bokiem i wybuchła płaczem, jakiego już nigdy później od niej nie słyszałem.

Nie patrzyłem na nią, póki nie umilkła, nie podniosła się, nie wysmarkała nosa, nie otarła policzków i czerwonych oczu. Zostaję, powiedziała. Co? Słyszałeś. Zostaję. Gdzie zostajesz? Tu? Z kim? Z nim, powiedziała. O rany. I z małą? Nie. Mała z matką. Wyjeżdża. O rany. Daleko? Nie. Pod Kielce. Będziemy się widywać. Bawić. Jeździć. Tam będę. Do niej. Pod Kielce. Głos, na chwilę ostudzony, osuszony, znów się rozlatał, słowa poturlały się samopas. O rany. Przez chwilę nic więcej nie mogłem wydusić. Hanna wie? Z wahaniem pokręciła głową. Rany, powtórzyłem, toście sobie ładnie. Próbowałem przedrzeć się do niej przez bury dym, który spełzał już ze wzgórza na dno wąwozu, nad strumień, ale zagarnął jej postać, stojącą ledwie trzy kroki ode mnie, rozplynęła się, sam nie wiedziałem, czy w tym dymie, czy we łzach, które buchnęły mi z oczu, w każdym razie by je ukryć, odwróciłem się, a po chwili nie było jej już, pomału szła ścieżką w stronę Wisły.

Następnego ranka Stefan wyszedł do pracy, nim się zbudziłem. Łucja też wstała wcześniej, pojechała na ostatnie przed wakacjami seminarium. Gdy otworzyłem drzwi pokoju, upadła mi pod nogi karteczka z pouczeniem, bym uważał na Stefana, przypilnował brania leków, a jeśli będzie upał, zawołał go do domu. W południe przyprowadziła go Borkowa. Odgrzała pomidorówkę, ugotowała przyniesione z domu kopytka. Czekałem, aż rozgada się o rozwodzie kamieniarza, ale nawet się nie zająknęła, być może Bolechów jeszcze o niczym nie wiedział. Zjedliśmy, pozmywała i poszła do oborowych robót. Zostaliśmy sami. Rysujesz?, spytał Stefan cicho. Tyknąłem palcem pudełko z lekami. Skinął głową. Kiedy egzaminy? Wzruszyłem ramionami. Na jego twarzy, grubo powleczonej bladością, rozblysnął uśmiech. Przyglądał mi się,

ale omijałem go wzrokiem. Gdy podniósł się ciężko i wyszedł w białe powietrze, mruknąłem tylko: sekretarzu, na co on, gdyby słyszał, mruknąłby może: znajdo, obaj bez złości, każdy spowity we własną tajemnicę, w swój niepoczątek. Poszedłem nad wąwóz, by nadaremnie roztrząsać to, co działo się po drugiej stronie, zakryte przed moim wzrokiem. Myślałem, że przyjdzie Urszula i znów spojrzę jej w zasnute krzywdą oczy, spojrzę ze współczuciem i wstrętem, bo krzywda jest wstrętna, nikt nie wie tego lepiej niż dzieciak i niedorostek, dlatego na całe popołudnie zabrakło mi już współczucia i wstrętu dla niego. Został sam z wnęką, która w końcu zaczęła wypełniać się sercem, poczuł to, gdy siedział za biurkiem i przez dłuższy czas dręczył go niepokój, żadna pierwszozna, od dawna żył w niepokoju, najpierw nie zwrócił więc na to uwagi, a gdy zwrócił, niepokój dławił go już za mostkiem, rozpieął się kłującą bryłą w całej piersi. Chciał zaczerpnąć tchu, by ją rozerwać, lecz oddech urwał się nagle, spróbował raz jeszcze, w gabinecie jednak brakowało powietrza, dławił się coraz mocniej, wstał więc i podbiegł do okna, otworzył je z hukiem, po drodze trącił krzesło, huknęło o parkiet, lecz nie dość głośno, by zwrócić uwagę parkowego ogrodnika, który przycinał właśnie długi żywopłot między oficyną i pałacem, zaczął jednak od dalszej strony i minęło półtorej godziny, nim dotarł z sekatorem do ganku, a nawet wtedy nic go nie zaniepokoiło, to nie on znalazł ciało. Stefan domyślił się, że jeden i drugi huk mu nie pomoże, zresztą postawszy przez chwilę w otwartym oknie, uczył, że w parku też nie ma powietrza, musiały wyssać je roztechłe zapachami kwiaty, krzewy, drzewa, stąd pewnie brała się ta parność, wyjątkowa nawet jak na tę porę roku, na taki rok, pełen niezdrowej gorączki, na taki moment tego roku, zbliżających się wyborów, które miały zachwiać krajem nie mniej, niż chwiały się teraz w jego oczach własny gabinet, rzucił się więc do biurka i drętwiącą ręką chwycił słuchawkę telefonu. Palce tak mu drżały, że nie mógł trafić w otwory na tarczy, wcisnął tylko zielony guzik na obudowie, łączący pałac z rządówką. Gdy potem wmyślałem się w to popołudnie, zdawało mi się, że słyszałem wtedy dzwonek telefonu, doleciał aż nad wąwóz daremnym trelem, może wtopił się w inne trele, może dźwięczał za krótko, bo Stefan nie mógł już ustać na nogach, grzotnął głową o biurko, aż rozciął sobie czoło, chybnął się na wyfroterowany przez Borkową parkiet, chlusnął wymiotami. Ból rozkrzewiał mu się rozżarzonymi paluchami po ciele, sięgał od pleców po gardło, a razem z nim paniczny strach. Stefan szamotał się, do połowy zdał sobie koszulę, rozpiął spodnie, pewnie czuł, że ból wdziera mu się do jelit, ściągnął but i skarpetkę, musiał się drapać, bo łydki miał poharatane paznokciami, może go swędziały, może próbował odzyskać w nich czucie. Rękaw koszuli miał mokry i lepki,

widać otarł pot z czoła w jakiejś niepojętej chwili uspokojenia, może wtedy, gdy pojął, co się dzieje i że żadna pomoc nie dotrze, że nikt go nie zawróci z tej drogi. Prócz tych rzeczy, których, tłumaczył potem lekarz, można było domyślić się ze stanu jego ciała, gdy znalazłem je, któż inny, lecz dopiero pod wieczór, poszedłem do pałacu tylko dlatego, by Łucja, gdy wróci niebawem z Warszawy, bo od dawna nie zostawała na następny dzień, nie spytała mnie: gdzie Stefan?, zatem prócz tego pozostało wiele rzeczy, nad którymi mogłem głowić się bez końca i nic nie wygłowić, na przykład o kim w tej chwili uspokojenia pomyślał: czy o Łucji, kochanej po swojemu, zmarnowanej i marnującej to, co jej dano, może dlatego, że nie spytano jej przy tym o zdanie, czy o mnie, wilczku znalezionym w nadwiślańskich chaszczach, bo przecież nie w jego lśniącym pałacu, wyrosłym na artystę, szkoda, że puszczone samopas tak wcześnie, czy o moim ojcu, na którego serce nie czekała wnęka w żadnej krypcie świata, czy o hrabim, który nachylił się nad nim czterdzieści sześć lat wcześniej i powierzył mu niepojęty sekret odchodzenia, czy o nas wszystkich razem, o łańcuszku jedynactwa, który związał nas silniej, niżbyśmy chcieli. Głowilem się nad tym częściej, niżbym chciał, gdy wracałem myślami do tamtego majowego popołudnia, do wyborów, które odbyły się parę dni potem, i do tamtego wieczoru wiele lat później, gdy palce Łucji, głównie pod wpływem marihuany, a może też dlatego, że wyczuły to wspomnienie, przestały drżeć.

Warsztat

Dotąd inne ręce to wszystko robiły. Gotowały dla świń ziemniaki w parniku, aż buchał smaczną duchotą. Zdejmowały sierp z haka pod okapem stodoły, na łące ścinały koniczynę dla królików, ładowały ją na wózek i zwoziły na podwórze. W spiżarni, dokąd schodziło się z kuchni po granitowych schodkach, wyciętych i wyszlifowanych Gawałową ręką, sięgały do beczki zbitej przez teścia Świerkuli, znanego w okolicy bednarza, napełniały miednicę ziarnem dla kur, a potem, gdy włożyła przyczłapane trzewiki i wyszła z domu, odmykały furtkę kurnika i wśród trzepotliwego gwaru sypały je do korytek. Niosły emaliowane wiadro, odryglowały ciężkie drzwi obory, podstawiały stołek i doiły krowę, potem chwytały wierzbową chabinkę i gnały ją nad Wisłę, do innych bolechowskich krów, a ta chlastała się ogonem po bokach, opędzała się od much i gzów ściętych jeszcze chłodem świtu. Z wieszaka w sieni zdejmowały siatkę o plastikowych uchwytach, brały pieniądze z szuflady kuchennego stołu, leżące tam obok nienakręcanego od lat zegarka, nożyczek i przyborów krawieckich, jednej obrączki ślubnej, scyzoryka o szerniałym trzonku, który on kupił sobie po wyjściu z obozu. Potem drogą przez lasek szła do sklepu po chleb, kaszę, makaron, czasem cukier i sól, a jeśli po południu, także po dwa leżajskie piwa. Więcej nie pił, więcej też nie potrzebowali zakupów, wszystko inne mieli z ogrodu, z sadu, z niewielkiego pola koło łąki, z kurnika, obory, z chlewu. Na świniobicie, ale to dopiero zimą, przyszedł jak zawsze Świerkula z kompletem noży i blaszanym garnuszkiem, i wtedy też inne niż dotąd, bo własne ręce zasłoniły jej uszy, by nie słyszała kwiku. Potem jednak przyglądała się z sieni, jak obaj wypijają z garnuszka świeżą krew.

Inne niż dotąd ręce w południe obierały ziemniaki, wrzucały do garnka kość, gotowały zupę ogórkową, pomidorową, krupnik, niedzielny rosół na świeżo ciachniętej kurze, rzucały na patelnię łyżkę smalcu z kamionkowego gara, smażyły kiełbasę z cebulą. Inne ręce zrywały co trzeci dzień ogórki, ścinały koper, obierały czosnek, wykopywały ciężką motyką chrzan rozliściony dziko przy drodze, parzyły wrzątkiem słoiki, a potem ustawiały szeregi weków z kiszunkami na półkach w spiżarni. Inne ręce niż dotąd zrywały czereśnie i gotowały kompoty, ze śliwek smażyły powidła. Inne niż dotąd szatkowały razem z nim kapustę i kisiły ją w beczce. Inne ręce co sobota zbierały jego kamieniarskie drelichy, sztywne od pyłu, i jej własne znoszone spodnie, spłowiałe kwaciaste sukienki, wrzucały do pralki, po wypraniu wyżymały, aż ramiona omdlewały od kręcenia korbą, a dłonie grubiały od odcisków, potem wynosiły w miednicy mokrą

stertę prania i wieszały na sznurkach między oborą a ogrodem.

Te same ręce co dotąd stawiały przed nim talerz, gdy przychodził z warsztatu i siadał przy stole. Tymi samymi rękoma ścierała sobie z czoła pot i kurz upalnego lata, czasem też opierała się o ścianę, futrynę, studnię, klatkę z królikami, pień śliwy, gdy zmęczenie wirowało jej w głowie, aż bała się, że zemdleje. Inne ręce niż dotąd, jej własne, z drżeniem wyjmowały z torby biustonosz i podpaski, kupione aż w Wierzbińcu, dokąd wybrała się kiedyś pekaesem, by nie przyuwały jej węzowe bolechowskie oczy. Te same oczy co dotąd, jej własne, choć już odmienione, stale widziały mykającą po kątach domu, podwórza, ogrodu, łąki, lasku, postać w żółtej sukience i starych brązowych sandałkach, zszywanych parokrotnie przez tamte inne ręce, których też już nie było, choć je także stale widziała, spieczone zarem roboty, ciągle słyszała ich pełną złości krzątaninę. Dawniej czuła też nieczęsto ich dotyk, gdy upinały jej włosy lub zaplatały warkocz, poprawiały kołnierzyk szkolnego fartuszka lub pogładziły ją szorstko, lecz z uśmiechem, po policzku. Nie miała jednak czasu ani siły szukać tej dziecięcej postaci i tych dorosłych rąk, bo innym niż dotąd ręką, jej własnym, przypadła ich robota. Gdy dostrzegła zgęstkę ich obecności, która nie rozwiała się, jak powinna, tylko trzepotała się sieroco w szopie, kurniku, na strychu, pod klapą studni, do jej oczu, odmienionych, bo dotąd były suche, napływały łzy.

Szła wtedy nad Wisłę, spod zmrużonych powiek wpatrywała się w jej smugę maźniętą srebrzyście wśród wiklin. Spostrzegła też mnie, jak włóczę się po wzgórzach, zwykle jednak zerkała na moje ręce, puste, i szła dalej, a ja nie zaczepiałem jej, odprowadzałem ją tylko wzrokiem, gdy schodziła na łąki, przelaziła przez wał i znikła w nadrzecznych zaroślach. To, co wypędzało mnie z domu, nie pchało mnie ku niej, tylko pod niedosiężne niebo, w milczenie lipcowego dnia. Szukałem miejsc nietkniętych, obojętnych. Do pałacu się nie zbliżałem, wypełnił go jakiś wstyd, do parku też nie wchodziłem, po raz ostatni byłem tam na pogrzebie i chyba od dnia pogrzebu część tego wstydu wkradła się do rządcówki. Czułem go w sobie, dostrzegałem go też u Łucji, co zdarzało się rzadko, bośmy się mijali ukradkiem. Był to wstyd utraty. Pojawił się, gdy zjechały się czarne garnitury, minister, dyrektor Muzeum Narodowego, inni kustosze, profesorowie, malarze, wylągl się ze współczujących spojrzeń, ściszonych głosów, objęć i ściśnieć, całowań Łucji w rękę. Pogrzeb był tłumny, prócz gości z miasta zjawiała się cała wieś włącznie z pegeerem i kościelnym, z czego proboszcz wydawał się dumny, choć nie była to jego zasługa, tylko ponoć, w co nie wątpiłem, wola zmarłego. Ktoś z muzeum w Sandomierzu szepnął

mi do ucha, że gdybym miał problem na egzaminach, o co w takiej chwili nietrudno, to przecież wszystko jasne, rozumiemy się. Gdy wreszcie minął ten dobrotliwy, ale obcy najazd, poczułem, że jesteśmy z Łucją obwstydzeni przed sobą nawzajem. Nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia, bo taki wstyd odbiera mowę. Odbiera też przytomność oczom, każe im błąkać się po ścianach, kątach, drzewach za oknem, i rękoma, dlatego zupełnie przestałem rysować. Porzuciłem gdzieś blok i ołówki, budziłem się tylko o świcie, przecierałem oczy i wymykałem się przez okno, byle nie spotkać Łucji ani siebie, nie zobaczyć nas odbitych w tysiącu znajomych rzeczy, w których jednego odbicia brakowało, byle dalej, precz.

Te same usta co dotąd, lecz już odmienione, spytały mnie wreszcie któregoś razu, gdy natknęła się na mnie przy kępie jeżyn: nie rysujesz? Milczałem, zapatrzony w skośne światło wieczoru, sypiące się przez pięciokątne pajęczyny krzyżaków, w złom gałęzi oplecionych trawą. Lato mieściło nas oboje, mimo wstydu, który, przypomniałem sobie, spowijał ją także. Po raz pierwszy od paru tygodni spojrzałem jej w oczy. Znów błysnęły w nich okruszki sadzy z brzezińskiej stacji. Zdałeś? Skinąłem głową. Gdzie będziesz jeździł do szkoły? Machnąłem ręką w stronę pniowskiego zakola. Do Sandomierza? Yhym. Daleko. Milczałem. To chyba będziesz tam mieszkał? Nie ma, mruknąłem. Bliżej. Liceum. Plastycznego. Głos miałem rdzawy, były to pierwsze słowa, jakie wypowiedziałem od pogrzebu. Znów zerknęła na moje ręce, może szukała w nich przyborów rysowniczych, bo spytała drżącym głosem: rysowałeś po to, żeby się tam dostać? Niespodzianie targnął mną śmiech, wielki i łzawy. Głupia jesteś. Samś głupi, odparła. Zajmij się czymś wreszcie. Nim zniknęła za zakrętem, zawołałem: byłaś już tam u swoich? Nie odpowiedziała, nie obróciła się, nie zwolniła nawet kroku, zdawało mi się tylko, że głowa schowała jej się głębiej między ramiona. Straciłem ją z oczu.

Rysowałeś. To słowo rozżarło mi się w głowie. Czułem, że wstyd utraty zakaził nie tylko ścieżki, pokoje i sale, które wydeptywałem od czternastu lat, ale i wszystko, co w nich robiłem. Wgapiłem się w dolinę Wisły. Hen za drugim brzegiem niebo siniało, wzdymał się wiatr. Po co tam leziesz?, chciałem zawołać, co cię ciągnie w ten mrok? Ona jednak dobrze wiedziała, że burza nie przechodzi przez rzekę. Te same ręce co zawsze głasnęły krowę po pysku, wyciągnęły kołek z ziemi, brzęknęły łańcuchem, szturchnęły ją do domu. Nie było mnie już nad wąwozem, gdy wracała, ale nie zastanawiała się, dokąd polazłem. Po powrocie wydoiła krowę, przydźwigała mleko do spiżarni, nalała do garnka, wstawiła na piec, nakroiła chleba, salcesonu, pasztetówki, ugotowała jajka na twardo, nastawiła w wielkim czajniku wodę na herbatę, zamiotła

podłogę w kuchni, w sieni, stanęła w drzwiach, wmyśliła się w ciszę. Jego nie było, jak to często latem, jeździł z robotą po okolicy, potem rozwoził ludzi do domów, dopiero po zmroku rozlegał się za bramą burkot żuka. Bywało, że gdy wchodził do domu i jadł czekającą na stole kolację, ona szykowała się już do snu, w huku zmęczenia.

Pomału zacząłem kołować, trącony kamieniem ptak, w pobliżu ich gospodarstwa. Najpierw tylko po lasku, wąwozie, aż któregoś dnia zapuściłem się na kamieniarskie wzgórze. Przez łąkę dotarłem na skraj sadu, ciągnącego się poniżej niskiej skarpy. Pokraczne jabłonie wydawały się niezniszczalne. Papierówka rozsypała się dokoła białozłotymi jabłkami. Prawie wszystkie były rozpękłe i muśnięte plamkami zgnilizny. Podniosłem jedno. Rozpadło mi się w ustach na sparciałe kawały. Zza sadu i rozbarwionej kotłowaniny ogródka wychylała się czarna ściana domu, okna opylone do szarości, nadkruszona i omszała czerwień dachu. Stałem ze wstrzymanym tchem i w tym bezruchu unurzyłem się w brzęku trzmieli, ciachanym od strony budynków na równe kawałki przez postukiwanie dłuta. Nie widziałem stąd ani skrawka pałacowego wzgórza, ani czubka hrabiowskiego masztu. Nagle na ścieżce między kwiatami mignęła plama zblakłego rózu: Urszula z koszykiem w ręku. Na mój widok przystanęła. Skąd ty tu?, sapnęła, ale nie czekała na odpowiedź. Te same palce co dotąd, już zwinniejsze, zaczęły przebierać w przejrziałych papierówkach. Podeszedłem, kucnąłem przy niej. Wybieraliśmy co lepsze z rozgęstwionej trawy i wrzucaliśmy do koszyka, odpędzaliśmy osy. Ona dmuchnięciami odgarniała z twarzy strączki zapoconych włosów wysmyknięte spod gumki. Powietrze było słodkie od jabłkowej duchoty. Na koniec sięgnąłem po koszyk, ale rzuciła: nie dasz rady, chwyciła go i pomknęła ścieżką. Gdy ruszyłem za nią, obejrzała się zdziwiona. Może się pośliznęła, może przeważały ją niesione zbyt prędko jabłka, bo nogi uciekły jej w bok, runęła w trawę. Papierówki rozsypały się po ścieżce. Nim dobiegłem, zawahałem się, przez chwilę wpatrywałem się tylko w jej postać, cudacznie gibniętą w bok, z chudą ręką wpartą w trawę, na poły rozsypanym kucykiem, twarzą ku domowi, który czerniał hen przed nami, kuszący, groźny i niemy.

Podniosłaby się sama, ale schyliłem się, chwyciłem ją niezdarnie za rękę nad łokciem. Szarpnęła się, zrobiła krok naprzód, ale ugięła jej się noga. Skręciłaś kostkę, odezwałem się. Akurat, prychnęła. Odejdź. Głupia, powiedziałem. Pozbierałem jabłka, dźwignąłem koszyk, drugą ręką objąłem ją za ramię. Wzdrygnęła się. Za nos chwyciła mnie woń potu, leciutkiej stęchlizny, może od sukienki leżącej za długo w ciemnym kącie, i czegoś jeszcze, nie wiem

czego, czułem to pierwszy raz w życiu. No dalej, stęknąłem. Nie opierała się, pokuśtykaliśmy garbem wzgórze. Gdy doszliśmy do furtki, łuszczącej się płatkami farby w kolorze brudnej ochry, przepuściłem ją, sam zostałem w ogródku, wstawiłem tylko koszyk na podwórze. Rękę aż po pachę miałem umokrzoną od jej potu. Spojrzała na mnie z pytaniem w oczach. Boisz się? Spuściłem wzrok. Łucja, bąknąłem. Że co? Łucja. Nie u niego. Zamówiła. Grobowiec. Aleś ty śmieszny, parsknęła śmiechem, dobry chłopczyk taki. Nie odezwałem się. Myślisz, że jest na was o to zły?, spytała. Ty nie wiesz, co to złość. Chyba wiem, odpowiedziałem. Wiem tyle co ty, tylko inaczej.

Wciągnęła mnie przez furtkę. Z koszykiem w omdlałej ręce poprowadziłem ją przez podwórze, po wydeptanej trawie, na której ścieliła się błonka kamiennego pyłu, tym grubsza, im bliżej drzwi warsztatu, chyba jednak tylko mi się tak zdawało, tym pyłem był stuk dłuta, w miarowych seriach, tuk-tuktuk, tuk-tuktuk, tuktuktuk, tuktuktuk, metaliczny i mineralny. Przebiegłem wzrokiem po otwartych wrotach chlewu, obory, drzwiach szopy, przed którą stał pień z wbitym siekierą, a w środku i pod okapem piętrzyły się sągi równiutko porąbanego drewna, po ogrodzonym siatką kurniku, przyźnie piachu przed warsztatem, krzaku porzeczek przy płocie, starym orzechu wrośniętym w kępę rozchełstanego dziko rabarbaru, krytej studni z lśniącym wiadrem, burym kocie śpiącym na parapecie ganku, odlanych z betonu odpływach spod rynien, smolnych belkach domu, kuchennym oknie rozczzerwienionym pelargoniami, miotle pod ścianą, drzwiach sieni, zza których buchał zapach pieczonej kury. Obejście było wyschludnione troskliwą ręką z zapyziałej dawności. Urszula wyjęła mi koszyk z ręki i wkuśtykała po schodkach do domu. Nie ruszyłem się ani na krok, ona nie dała mi też znaku, bym wszedł. Na chwilę zostałem sam, wpuszczony w zakazane miejsce, zdławiony uściskiem lipcowego południa. Obiad!, zawołała z domu. Stukanie na sekundę zgubiło rytm. Stała w drzwiach. Jest sam?, szepnąłem. Dziś niedziela, odparła, kończy jakąś pilną robotę. Niedziela?, powtórzyłem. Zapomniałem, jak następują po sobie dni. Obiad!, powtórzyła i pomaszerowała w stronę warsztatu. W cienistym wnętrzu ujrzałem bielone ściany, zwałiste kształty maszyn i jego przy wysokim stole z rozległym kamiennym blatem. Na blacie leżał płaski, jasny kształt płyty, wykuwał coś na niej małym dłutem. Gdy Urszula stanęła przed progiem i powiedziała, nie, wrzasnęła: nie słyszałeś?, odłożył narzędzia, wytarł ręce o spodnie i wpatrzony gdzieś w niewiadomą przestrzeń przed sobą wszedł z warsztatu. Wtedy mnie zobaczył.

Na chwilę zastygł w pół ruchu, postąpił dalej parę kroków, stanął przede mną. Kątem oka

dostrzegłem, że Urszula przygląda się nam, może na coś czeka, wreszcie cmoknęła tylko i odmaszerowała do domu. Chciałem coś powiedzieć, ale jakie słowa zmierzają się z kamieniem? W głowie kołatał mi głucho nagrobek, który Łucja zamówiła gdzieś za Wisłą. Schowałem za siebie rękę, moką jeszcze, jak mi się zdawało, od potu Urszuli, przypomniało mi się lanie spuszczone chłopakom przy ścieżce. W tej samej chwili tknęła mnie też ulga, nie wiedziałem, czego dotycząca, może wstydu, co ostatnio mnie dręczył, może z tym, który stał przede mną, łączyło mnie niepojęte jeszcze współnictwo, może obaj, choć różni, nieśliśmy podobną winę. Podniosłem wzrok, ale nie na jego twarz, tylko niżej, na ręce, porzeźbione wrogością ludzi i przyjaźnią oschłej roboty. Nie drgnęły. Przemogłem się, spojrzałem mu w oczy. Były ociosane, szyszczone do gładkości. Błysnęło w nich coś i zgasło, może z chłodnego wnętrza warsztatu, może z odległej wiślanej łachy. Gdy w końcu odszedł i zniknął w sieni, stałem jeszcze chwilę bez ruchu, zupełnie sam w rozświetnionej ciszy.

Matka

Zawalczyłaś wtedy, jak na. O pałac i w ogóle.

Zdawało jej się, że nie dosłyszała, ale ja po prostu nie dokończyłem żadnego z tych zdań, wypsnęły mi się wraz ze wspomnieniem tamtego lata. Chyba jednak wiedziała, co mam na myśli, bo gdy spytała: jak na kogo, na co?, na jej twarzy pojawił się uśmiech. Jak na kogoś w żałobie, powiedziałem. Wtedy, no, po. Wtedy jak Bieroń.

Ach, Bieroń, odparła, no tak, ale on nie miał złych zamiarów, po prostu nikt sobie nie wyobrażał, że sobie dam radę. Chcieli dobrego kustosza, co tam zresztą kustosza, chcieli godnego następcy, tak mi Bieroń powiedział, że chcą, by ktoś godnie zastąpił, no, jego. Zaśmiałam się wtedy: zastąpił? Kto miałby to zrobić i po co? Mianujcie kogoś, proszę bardzo, jak uważasz, bo Bieroń w tej samej rozmowie przeszedł ze mną na ty, aż się rwał, by mnie wycmokać w policzki, mówię mu więc: mianujcie sobie, ale nie łudźcie się, że ktoś go zastąpi, a na pewno nie ty. Tak mu powiedziałaś?, zaśmiałem się. Bieroń, tymczasowy kustosz przysłany przez Muzeum Narodowe, póki, jak zapowiedzieli, nie rozstrzygnie się, co dalej u nas, przez całe lato mieszkał w apartamencie gościnnym na poddaszu oficyny. Zjawiał się we wtorki, wyjeżdżał w soboty. Był pracowity, przesiadywał w pałacowym biurze, krzątał się, jeździł gdzieś, załatwiał sprawy po Stefanie. Długo nie zwracałem na niego uwagi, był dla mnie jednym z garniturów, który przybłąkał się po pogrzebie i czemuś nie wyjechał, jedną z litościwych twarzy, które nienawistnie omijałem wzrokiem. Wiezorami bywał w rządówce, goszczony kolacjami przez Borkową, pił nalewki i jadł placki ze śliwkami, które przynosiła z bolesciwego nawyku, a myśmy dwoje ich nie tykali, w ogóle prawie nie jedliśmy. Nie wchodziłem do kuchni, gdzie przyjmowała go Łucja, czasem tylko słyszałem ich niegłośnie rozmowy. Kiedyś oznajmiła, że znalazł mi stancję w Sandomierzu. Któregoś razu usłyszałem, jak powtórzył tamte słowa o rozstrzygnięciu, a ona zaśmiała się. Kulawy był to śmiech, ledwie sapnięcie przez nos, ale zastygłem z wrażenia, bo pierwszy raz od pogrzebu, nie, gdzie tam, po raz pierwszy od lat słyszałem od niej coś odrobinę podobnego do śmiechu.

No tak, westchnęła po latach, gdy siedzieliśmy na ganku w miodowym świetle wieczoru, myśl o zastąpieniu Stefana rozbawiła mnie, zwłaszcza że Bieroń widział na tym miejscu siebie, a od paru tygodni, nie, nie od samego początku, trzeba przyznać, że taktownie odmierzył czas na żałobę, ale już od tygodni stawał się coraz czulszy, a gdy wycalaował mnie w policzki i splotał

rumieńcem, ja zresztą też, wszystko było jasne. Bieroń, poczciwy Bieroń, myślał, że się wżeni w Bolechów. To byłoby naprawdę w szlacheckim stylu. Ubawiło mnie to i ubodło, no ale bądźmy szczerzy, ordynacja rządzi się pewnymi zasadami, dziedziczenie w linii męskiej, a któż miał dziedziczyć, ja, kobieta, choćby śliczna i zdolna, no właśnie, dla starszych mężczyzn jeszcze śliczna, tu też tkwił szkopał, choć jak na tamte czasy okropnie już stara, w dodatku z dzieckiem, choćby genialnym? Bałam się o przyszłość, nie miałam ochoty wyprowadzać się z domu, który jaki jest, wiadomo, stary, ciemny i zimny, no ale jest, a wtedy przecież był też domem służbowym, teraz już pozwoliliby mi w nim dożyć, nawet gdybyś go nie odkupił, ale w tamtym czasie nie było to oczywiste. Cóż więc było robić, czepiłam się jedyne ratunku i rozmówiłam się z dyrektorem Narodowego. Nie pamiętam, co mu naopowiadałam, chyba że idą inne czasy, feudalizm kończy się na dobre, nawet ten w przebraniu, o Bolechowie nikt nie wie tyle co ja, Stefan nie widziałby na tym miejscu nikogo innego, tu może skłamałam, on nie widziałby na tym miejscu nikogo innego niż on sam, ale dyrektor nie musiał o tym wiedzieć, niech więc, powiedziałam, ostatnią feudalną decyzją związaną z Bolechowem będzie to, że mnie mianuje kustoszka, a zrobię z majątku prawdziwy ośrodek kultury. Czy wzięłaś go też na litość, spytałam, że nie masz gdzie mieszkać i masz dziecko na utrzymaniu? Oczywiście, odparła. Nie spodziewałaś się tego po mnie, prawda?

 Nie spodziewałem się, bo nie rozmawialiśmy od długich tygodni, zresztą i tak nie śniłoby mi się, że cichutki, szpakowaty Bieroń robi Łucji awanse. Dopiero pod koniec lata zaczęło pękać nasze milczenie. Któregoś razu przy niedzielnym obiedzie, może po to, by nie mówić o Stefanie, Borkowa rozglądała się o wieści przedwczorajszej, czyli odejściu kasjerki z Brzeźna od kamieniarza. Nadstawiłem uszu, ale nie wyjawiała nic ciekawego, sypnęła tylko garścią wyrzekań zebraną po pegeerowskich oborach i stołówce, że to szkaradne porzucić córkę, zabrać drugą i wyjechać, wypędzić żonę i zabrać jej jedną córkę, porzucić matkę i zostać przy ojcu. I że ta dzikuska, co została, tyra za troje i żyje w nędzy. No a jak wy tu, kochani, będziecie sobie teraz radzić, chlipnęła, no jak? Spojrzeliśmy z Łucją po sobie i może tym spojrzeniem pierwszy raz od dawna coś sobie powiedzieliśmy, może w nim zawiązała się zmiana. Pani Borkowa, chrząknęła Łucja, ja jestem pani wdzięczna za tych parę lat. Służby, myślałem, że powie: służby, ale dokończyła: pracy. Robuś też, prawda? Skinąłem głową. Ale pora wrócić, ciągnęła, do podstaw. Borkowa wytrzeszczyła się na nią. Ja to już mam tu, Łucja dotknęła sobie czoła, wie pani? I tak zostanie. No i cóż?, bąknęła Borkowa. Nie będzie pani nam więcej gotować. Ani prasować, ani

sprzątać w domu, ani palić w piecach. Łej, idziesz w dyrektory, dziecino, i najmiesz sobie prawdziwą pomoc? Nie, pani Borkowa, nie będzie żadnej pomocy. Może pani dalej sprzątać pałac. I biuro. Ale nie dom. Łucja wstała. Dziękuję pani. Ja pozmywam.

Tak Borkowa zniknęła z rządcówki, choć nie od razu, Łucja musiała jej to jeszcze dwa razy powtórzyć, aż się babina popłakała. Miałem ochotę powiedzieć: cóż ci ona przeszkadza, nawet dodać: kto będzie nam teraz palił w piecach i gotował, przecież żadne z nas tego nie umie, jednak ugryzłem się w język. Nie przyszedł też więcej Bieroń na kolację, nie dlatego, że Łucja za jego plecami wyprosiła sobie stanowisko, bo zrobiła to nieco później, raczej chyba dlatego, że odrzuciła jego zaloty, co pewnie nie było trudne, musiały wyglądać nieśmiało, skoro nawet ich nie zauważyłem, a zauważałem już więcej niż w Kołobrzegu. Zostaliśmy sami i umościliśmy się w tym osamotnieniu, skulone ptaki. Ona wmyślała się w sprawy muzealne, o których miałem blade pojęcie, ja w szkolne, wrześnieowe, w czekający mnie wyjazd do miasta, i nasze sieroctwo przygłuszyło się trochę.

Wciąż nie tykałem ołówka. Raz Łucja zagadnęła mnie o to. Zdawało mi się, że spyta: rysowałeś tylko po to, żeby się tam dostać? Przestałem za to snuć się po wzgórzach, siadałem jedynie na parapecie, z nogami za oknem, i czułem, jak wzbiera we mnie pomruk oczekiwania. Próbowałem dosłuchać się w nim jakichś zapowiedzi, może obietnic, ale usłyszałem tylko, że czas ruszył z miejsca, i wydało mi się to pogroźką. W ostatnich dniach sierpnia wybraliśmy się z Łucją obejrzeć szkołę, ledwie liceum zawodowe, takie jednak sobie wybrałem, żadnych ogólniaków, chciałem rysować, nie ślęczyć na głupich lekcjach. Pojechaliśmy Stefanowym wartburgiem, dyrektorka przyjęła nas herbatą i delicjami, lecz gdy Łucja z nią rozmawiała, a potem rozglądała się po salach warsztatowych, czoło miała zmarszczone w głębokie V, znak rozdrażnienia i wrogości, w takiej chwili dla mnie niepojęty. W milczeniu przeszliśmy się po mieście, jasnym i krętym, wspartym o niebo. Miejsce lodziarni, którą pamiętaliśmy ze szlaku nadwiślańsko-zabytkowo-cukierniczego, zajął kantor walutowy. Poszliśmy obejrzeć stację. Bieroń się spisał. Miałem mieszkać u sędziwego aptekarza, w staromiejskiej kamienicy, która dawniej należała do niego, a po wojnie zostało mu w niej, teraz już wdowcowi, trzypokojowe mieszkanie na poddaszu. Łucja uśmiechnęła się blado, gdy za oknem mojego pokoju ujrzała smugę Wisły, niknącą za garbami Gór Pieprzowych. Powtórzyłem jej, co mówił Stefan, że dawniej w Brzeźnie była przystań, przyływały tam statki pasażerskie i barki z piaskiem z Sandomierza. Przydałby ci się taki statek, powiedziała.

Parę dni później przyjechaliśmy z pościelą, torbą ubrań, sztalugą i kartonem pełnym przyborów rysowniczych, wtaszczyliśmy wszystko na poddasze. Łucja wypła z aptekarzem herbatę, a gdy potem zszedłem ją pożegnać, jej oczy zasnuły się, myślałem, że łzami, ale nie, zdałem sobie wtedy sprawę, że jeszcze nigdy nie widziałem jej płaczącej, był to raczej wstyd utraty, ten sam co po śmierci Stefana, tyle że tym razem została sama na innym brzegu. Uściskała mnie. Na chwilę wtuliłem twarz w jej włosy.

Aptekarz poradził, bym zapamiętał pierwszy sen w nowym miejscu. Co to, spytałem, wróżba? Ech, żart, odparł. W ciemności zbudził mnie chichotliwy krzyk, może pijaka, może wariata, rozwleczony wśród bruków. Ranek nie wsączył mi się do pokoju przez drzewa, tylko błysnął słońcem odbitym od okien. Dokoła biły dzwony. Złocista mgiełka osnuwająca drugi brzeg Wisły nastrojała do uroczystego milczenia. Zaniósłem je w sobie do szkoły. Nie rozbił go nawet wiejski chłopak, który pędził z przystanku w stronę pobliskiego technikum. Chrupał jabłko, a gdy mijał mnie na pustej ulicy, zaśmiał się do tego złotego poranka. W szkole też nie rozpięchło się od razu, byliśmy go pełni, niewypierzeni, z mieścin, wiosek, Bolechowów, choć zarazem wytrąceni z nich, malarzyki, rysowniczki, z rękoma lewymi do prawdziwej roboty, tą lewizną przestraszeni, ale i odważni, skoro trafiliśmy do takiej szkoły, a niektórzy, inaczej niż ja, musieli o to się naszarpać. Przez pierwsze dni obmacywaliśmy się żartami po speszonych twarzach, umkliwych oczach, potarganych włosach. Wieczorami, zamknięty w pokoju, rozgadywałem się w myślach o wszystkim, co robiłem i widziałem, o mieście pełnym usnionej krzątanimy, o tym, jak na warsztatach po raz pierwszy od egzaminów siadłem nad kartką i niepewnie narysowały mi się strzeliste wieże, potem ręce, nie wiem czyje. Zdawało mi się, że opowiadam o tym Łucji, ale czułem, że Łucja to wie, pozostawały dwie inne osoby, nie mogłem rozstrzygnąć, o którą chodzi, i milkłem.

Wracałem autobusem w piątek wieczorem, muśnięty innością miasta, szkoły, rozmów, zajęć, na miejscu zastawałem inność rządcówki, parku, pałacu, oranżerii, oficyny, wkluwałem się z jednej w drugą. Bolechów był jeszcze malutzy niż dotąd, ściemniały. Oddalałem się niby tylko o parędziesiąt kilometrów w górę Wisły, jednak dalej niż szerokość pakamery czy nawet okołoparkowych ścieżek, niby tylko o pięć dni, ale było to dłużej niż parę godzin włączenia się po wzgórzach. Śmierć Stefana wydawała mi się teraz początkiem tego wyjazdu, rozpiętego na całe przyszłe życie. Jego rzeczy przypominały mi się z dawnych dziejów, nie moich, i dziwiłem się tylko, czemu ich widok mnie dławi. Dławił mnie park z oranżerią, gdzie kiedyś pokazywał

mi, które akacje, dęby czy lipy sadił hrabia i jego przodkowie, stały nawet jeszcze drzewa sadzone ręką pierwszego ordynata, dławiał pałac, gdzie zresztą nie bywałem, czasem tylko przeszedłem obok, dławiała rządcówka, pełna mebli, obrazów, które przez dziesięciolecia wyszukiwał w antykwariatach, ozdób nie nowszych niż sprzed wojny, dobranych ze staroświeckim gustem. Na widok Łucji dziwiłem się, że została tam, gdzie wszystko miało zatrzymać się i spłowieć, bo kto widział, by miejsce opuszczone mogło dalej żyć. Pomału nauczyliśmy się palić w piecu, przesiadywaliśmy w kuchni w sobotnie wieczory, przemogłem się nawet i zacząłem wchodzić z rzadka do pokoju Stefana, gdzie stał telewizor, choć długo widywałem go tylko w przemyku uchylonych drzwi. Czas wytrawiał pomału jego upartą obecność, dom jednak wciąż puścił i zimniał. Z ulgą uciekałem do miasta, powroty mnie gnębiły. Przy pożegnaniach oczy Łucji mówiły mi rzeczy dotąd niesłyszane. Próbowwała mnie schwycić na progu tego oddalania. Gdy przyjechałem kiedyś jesienią nieprzetopioną jeszcze z pajęczej srebrzystości w rdzę października, zamiast w domu zastałem ją w pałacu. Bieroń przed odejściem zatrudnił nową przewodniczkę, Łucja oprowadzała ją właśnie po muzeum. Słuchałem, jak recytuje z pamięci fragmenty swojego maszynopisu, skazanego na wieczne niedokończenie. Znałem te słowa, przewodnicki ton, od maleńkości słuchałem jej oprowadzań, ale teraz zabrzmiały mi obco, i powstydzilem się tej obcości, a zarazem swojsko, i ścisnęła mnie ta swojskość w gardle. Łucja spostrzegła mnie, podbiegła, chwyciła, wyższego o głowę, obróciła, mała dziewczynka, której oddano lalkę, i zawołała do przewodniczki: a to Robuś, mój Robuś, z ołówkami i pędzlami w palcach.

Wyrwałem się, strząsnąłem jej rękę. Następnego ranka wcześniej wymknąłem się w zimną rosę. Nogi poniosły mnie na skraj wąwozu. Nie czekałem długo. Gdy zobaczyłem, jak Urszula wraca znad rzeki, w gumiakach, drelichowych portkach, kufajce z podwiniętymi rękawami i wystającym spod niej niebieskim fartuchu, aż jęknęła mi grdyka przy przełknięciu śliny. Nim wspięła się na górę, zdążyłem otrzeć łzy, które sypnęły mi się po policzkach.

Dawno cię nie widziałam. Sam nie wiem, czy usłyszałem to naprawdę, czy powiedział mi to tylko jej wzrok, pełen dumy przełamanej żalem. Szkoła, powiedziałem. Kiwnęła głową. Przyglądałem się jej żółtym włosom upiętym w nieporządny kucyk, twarzy, na której spod opalenizny przebijała szarość jesiennego zmęczenia, palcom ściskającym kijek do poganiania krowy. Rozeszliśmy się bez słowa.

Którejś niedzieli w najciemniejszej porze roku, gdy kolory zdążyły spełznąć, a drzewa

zmieniły się w szkielety, przed śniegami, które niosą złudę światła, Łucja powiedziała nagle przy śniadaniu: przyprowadź mi ją. Zakrzusilem się. Przyprowadź mi ją, powtórzyła. Kogo? Kamieniarzównę. A co to, krowa, bym miał ją przyprowadzić? Chodzisz do niej przecież. Idź i każ jej do mnie przyjść. O rany, mruknąłem, tyś naprawdę odziedziczyła jego wielkopańskie zwyczaje. Łucja gwałtownie zmarszczyła brwi. Przyprowadź ją, powtórzyła. Ale po co? Bo on ją zmarnuje. Prychnąłem śmiechem. Kto tam dałby jej radę. Ona nie da się zmarnować. To jeszcze dziecko, odparła. A ty chcesz ją ratować? Chcę jej pomóc wyjść na ludzi. To mądra dziewczyna. Skąd to wiesz, widziałaś ją kiedyś z bliska? Widuję. I pytałam. Pytałaś? Kogo? Rozmawiałam w szkole. W szkole?, krzyknąłem. Byłaś w szkole rozmawiać o niej? Łucja pacnęła w stół: przestań! Dość już się w życiu nasłuchiwałam wypytywań. Nie muszę się z niczego tłumaczyć. Tobie ani nikomu. Przyprowadź mi ją. Znajdź sposób. Przez chwilę siedziałem bez ruchu. Teraz? Kiedy chcesz, ale niech przyjdzie wieczorem. Ale ja wyjeżdżam już po południu. Wiem, pamiętam.

Poza krótkim wybuchem złości mówiła to wszystko spokojnie, może ciut chłodno, ale to był jej zwykły chłód, powszedni. Można by pomyśleć, że każe mi sprowadzić Borkową lub inną babę do sprzątania i prania. Wyszedłem w skostniałe powietrze, ale nie rozjaśniło mi się w głowie. Stalowe niebo tkwiło wbite w garbaty zawiślański horyzont. Żółkłe trawy nie drgnęły, drzewa stały bezbronne, czekały na bliskie uderzenie mrozu. Minęła godzina, nim odważyłem się ruszyć na drugą stronę wąwozu. Przeszeleściłem po zeschniętych liściach przez lasek, przez łąkę dotarłem nad skarpe. Siedziałem tam chwilę, stukąłem piętami w lessową ścianę. Stok wzgórze przecinały starte przez czas miedze, poznaczone gdzieniegdzie kołkami, z których zwisały zardzewiałe druty. Sad był przestrelony słabym powiewem, na nagich jabłoniach nie zostało ani jedno przemarznięte jabłko. Dom czerniał za ogródkiem schludnie okopcowanym na zimę, pełnym sterczących pałub. W oknie paliło się światło niedające ciepła. Zeskoczyłem ze skarpy, zszedłem ścieżką. Furtka była zamknięta. Załomotałem w nią lekko. Rozglądałem się po znieruchomiałym podwórzu. Puchaty kot przycupnięty na wale studni przyglądał mi się bez zaciekawienia. Tylko szopa na drewno była otwarta, obok leżał świeżo ścięty pień drzewa, gruby na metr, o słojach przerośniętych warstwami próchna, opasany grubym łańcuchem. Zastukałem znowu. Zaskrzypiały drzwi. Wstrzymałem oddech. Po szuraniu roboczych trzewików domyśliłem się, że to ona. Gdy stanęła przed furtką, wydukałem: Łucja każe. Prosi. Żebyś przyszła. Jej ręka zatrzymała się w pół drogi do rygla. Niby gdzie? Do nas.

Żartujesz sobie? Po kiego? Czego ode mnie chce? Milczałem, szukałem słów. Chce ci dawać korepetycje. Zaśmiała się, aż echo poniosło się po podwórzu. Z czego? Wzruszyłem ramionami. Sama ci powie. A co ja głupia jakaś jestem, by sobie w szkole bez korepetycji poradzić? Jesteś w ósmej klasie. Ona mówi, że to ważne. Chce cię, zająknąłem się, chce cię stąd, no, wyrwać stąd, choć na godzinę dziennie. Mówi, że inaczej nie dasz sobie rady. Nie dlatego, że jesteś głupia. Gdybyś była, nie zawracałaby sobie tobą głowy. Wielka pani, prychnęła. Skinąłem głową. Myśmy już tacy. Wielcy państwo.

Chciałem jeszcze powiedzieć coś od siebie, może spytać, nie wiedziałem o co. W domu spakowałem się co prędzej, wyszedłem na autobus godzinę przed czasem. I tak nie przyjdzie, powiedziałem Łucji na odjezdne, ale nie byłem tego pewien. Nie wiem, czy tamtej niedzieli przyszła na wezwanie, może nie, może tak, w każdym razie przez parę tygodni nic się nie działo, Łucja nie pytała o nią, nie wracała do tamtej rozmowy, a mnie ukłucie w piersi nie pozwalało o to zagadnąć. Lecz gdy przyjechałem kiedyś, już w styczniu, dobiegły mnie z kuchni dwa głosy, rzecz od dawna w rządcówce niesłyszana.

Siedziały przy stole zarzuconym książkami i zeszytami, do polskiego, historii, geografii, w ciepłe trzaskającego pieca, ukryte przed postęпами mroku. Gdy podniosły na mnie wzrok, nie miałem pojęcia, ani wtedy, ani przez dwadzieścia następnych lat, co powiedzieć. Po twarzy Łucji przemknął uśmiech, a może tylko cień kosmyka włosów, który Urszula odsunęła sobie ze skroni. Stałem przez chwilę w progu i gapiłem się na ten widok, wreszcie poszedłem do siebie bez słowa. W pokoju było zimno. Rzuciłem teczkę w kąt, kucnąłem przy piecu, zacząłem wygarniać popiół. Dopiero gdy usłyszałem, że Urszula wyszła, poszedłem do kuchni. Łucja uściskała mnie, cmoknęła w policzek. Miałem wrażenie, że dopiero teraz wszedłem do domu. Przytuliłem ją bez słowa. Gdy jadłem odgrzewany obiad, powiedziała: myślałam, że się lubicie, a ja odpowiedziałem po długim milczeniu, które ani myślała przerywać: lubię ją rysować.

W mieście nie umiałem wyrzucić jej z głowy. Teraz wieczorami rozgadywałem się już do niej. O tym, jak to wieczorem poszliśmy chłopacko-dziewczyńską grupą na zamarzniętą Wisłę, mleczną tafłę lodu pokrytą malutkimi wydmami śniegu, szliśmy wśród tych wydm w esowatym szyku, rzucaliśmy długie cienie w morelowym blasku latarni dopełzającym hen ze staromiejskich wzgórz, w pewnej chwili ktoś wyjął butlę wina i ciągnęliśmy kolejno po łyku, a mnie bardziej niż ten pierwszy łyk w życiu smakowało zatrzymane na szyjce ciepło ust, które piły przede mną, dziewczyny z Sandomierza o krótkich węglistych włosach. O tym, jak nauczyciele mówili mi, że

gdyby nie program szkoły, mógłbym za rok zdawać do akademii. O tym, że kiedyś pojedę za granicę, odkupię bolechowski pałac i zamieszkać w nim zupełnie sam. A najczęściej powtarzałem, że jeśli spróbuje tknąć moje rzeczy w rządcówce, jej noga więcej u nas nie postanie, bo zagrożę: albo ona, albo ja, a Łucja słucha mnie we wszystkim. W domu mijałem ją w milczeniu, po jej wyjściu miałem ochotę pobiec za nią i wygarnąć jej którąś z ćwiczonych przemów, ale nie ruszałem się z miejsca, Łucji trzaskałem drzwiami przed nosem, potem zatulałem się w żalu. W dniach wyjazdu zostawiałem łyżę na czapce Łucji, gdy ścisnąłem ją przed autobusem. Myślałem, że lubisz tam jeździć, powiedziała kiedyś zdziwiona, na co odburknąłem, gdy już popędzał mnie kierowca: byś wiedziała.

Któregoś razu wyszedłem przed dom odśnieżyć chodnik zasypany w roziskrzoną noc. Łucja nękała mnie o to od rana, ale wyszedłem dopiero przed zmierzchem, gdy obie siedziały razem w kuchni, przy książce, filiżance herbaty i placku, który co sobota przynosiła do pałacu Borkowa. Zasapałem się, co chwila odpoczywałem oparty o szufłę. Gdy śnieg powlókł się już sinością wieczoru, nagle usłyszałem skrzypienie czyichś butów, głucho i ciężkie, od strony wąwozu. Zastygłem. Przez chwilę bałem się obrócić. Kroki ucichły. Przełknąłem ślinę, a nim spojrzałem za siebie, nasunąłem czapkę po same brwi.

Stał w kozuchu, w futrzanej czapce z nausznikami, z rękoma jeszcze rozłożonymi na boki, jak pewnie trzymał je przez cały marsz, by nie stracić równowagi w zaspach. Spojrzał na mnie dopiero wtedy, gdy omiótł wzrokiem dom, ganek, ciemne okno w pokoju Stefana, strugę światła lejącą się z kuchni. Do kogo?, chciałem spytać, ale ugryzłem się w język, zresztą uprzedził mnie pytajnym skinieniem w stronę wejścia. Odstawiłem szufłę, cofnąłem się do ganku, nie otupałem nawet butów ze śniegu, tylko pchnąłem drzwi, wbiegłem do kuchni. Obie poderwały głowy nad książek. Wyciągnąłem rękę do Urszuli, a gdy zerwała się i chwyciła mnie za rozgrzane mrozem palce, pociągnąłem ją do mojego pokoju. Pchnąłem ją w ciemność, a nim zamknąłem drzwi, zdążyłem zobaczyć, jak Łucja podchodzi do wyjścia, w progu zastyga bez ruchu, cofa się o krok, ale po półchwili odrzuca głowę do tyłu, może z zaskoczenia, może ze strachu, może ze wstrętu, może z rozczarowania, może z żalu, nigdy nie dowiedziałem się, co ten gest mógł znaczyć. Więcej nie widziałem, bo wyszła w półmrok ganku i zatrzasnęła za sobą drzwi. Gdy usiłowałem dosłuchać się jej słów, bo mówiła coś donośnym głosem, tłumionym jednak przez dębowe płyciny, poczułem, że wciąż trzymam Urszulę za rękę.

Wróciła po chwili nie długiej, nie krótkiej, dręczącej. Spodziewałem się, że ujrzę go za jej

plecami, ale nie, weszła sama. Bił od niej żar, jakiego nigdy dotąd nie widziałem. To przez mróz, pomyślałem. Wyszliśmy z pokoju. Urszula odsunęła się pod ścianę, wkulona w siebie z przestrachem, też mi dotąd nieznanym. To przez ten dom, pomyślałem, obcy. Powiedz mu, odezwała się Łucja, prócz tego, co sama umiesz mu powiedzieć, na przykład że nie jesteś jego własnością, powiedz, że nie ma prawa niczego żądać, nigdzie, bo jest dłużnikiem. Powiedz, że nim jeszcze raz postawi tu nogę, niech najpierw spłaci, zerknęła na mnie, niech spłaci dom. Bo dłużnikiem jest nawet u siebie. Dług ma wszędzie. U wszystkich. Na zawsze. Przypomnij mu to ode mnie, jeśli znów zapomni. Możesz tu przychodzić, kiedy zechcę. I kiedy zechcesz. To on ma cię słuchać, nie ty jego. Potem, gdy zostaliśmy sami, głosem nieostygłym do końca fuknęła: a z prośbami i propozycjami naprawdę trafił pod zły adres i w złą chwilę. Ty też się go boisz, jak cała wieś? Trzeba było przepędzić go szuflą, nic by ci nie zrobił. Wcześniej jednak, ledwie umilkła, Urszula wzruszyła ramionami, a gdy Łucja ją objęła, oddała uścisk i mruknęła: wiem, że to on ma mnie słuchać. On też wie. Dam sobie radę.

O tym najściu nie zająknęliśmy się tamtego wieczoru po latach, gdy siedzieliśmy w ganku i wspominaliśmy Bieronia. Łucja jeszcze wtedy skrzętnie omijała Franciszka w swoich opowieściach, a ja nie pytałem, potem zresztą też pytałem niewiele, pozwoliłem jej mówić tyle, ile chce, choć jej milczenie mogło skrywać wiedzę dla mnie zasadniczą. Nie zagadnąłem też o to Urszuli, gdy wtedy przez resztę zimy i całą wiosnę regularnie spotykałem ją u nas, z każdym tygodniem coraz śmielszą w ruchach, coraz wyżej podnoszącą głowę, coraz mniej przygarbioną, coraz bardziej uwalniającą się z wielkiego zaciśnięcia, które miała w sobie od odejścia Hanny i utraty siostry, nie, pewnie od urodzenia, a może jeszcze dłużej, od wesela, nie Franciszka, tylko tamtego, na które poszedł, o czym jeszcze nie wiedziałem, w garniturze brata. Latem, gdy zdała egzaminy do technikum pielęgniarstwa w Lublinie, siadała często w wąwozie lub nad rzeką, opierała brodę o podwinięte kolana i wmyślała się w to, co wydawało jej się niemożliwe, w miniony rok, w następne miesiące i lata, w których, na co próbowałem ją przygotować, tęsknota miała ciągnąć ją w dwie różne strony: to w zapyziałą, próchniejącą w oczach bezdomność, to w obcość miasta, które jedną ręką rozdaje czułości, a drugą drwiny. Malowałem ją czasami, mazałem jej akwarelki, ale częściej siedziałem po prostu przy niej na skarpie, pod krzakami jeżyn, na wiślanej plaży. Miałem ochotę odłożyć szkicownik i dotknąć jej opalonego ramienia, bałem się jednak, że zepsuję te długie miesiące, gdy w moim pokoju pokazywałem jej albumy, rysunki, przybory malarskie, oprowadzałem ją po pałacu, gdzie rzucała okiem na obrazy

i zaraz kiwała głową w stronę wyjścia, zawsze też pilnowała się, by nie przesiedzieć u nas dłużej niż przewidzianą godzinę, i biegła doglądać gospodarstwa. Bałem się, że zerwę tę zawiązaną przez Łucję zażyłość, rozsnutą poprzez wąwóz, lasek, park, otwarte dla niej drzwi rządówki oraz czarne drzwi jej domu, który jeszcze długo miały być dla mnie zamknięte.

Łowca

Do Świerkuli śmierć się nie spieszyła, pozwoliła mu dożyć dziewięćdziesięciu dwóch lat, nie było w wiosce sędziwszego gospodarza. Na pogrzeb zjechała się z paru miast i wiosek rodzina, prawnuk poszedł zamówić nagrobek, ale wrócił zdumiony: kamieniarz chciał połowę ceny za robotę, pod warunkiem że pozwolą mu ją wykonać po swojemu. Postawił nagrobek piękny i niespotykany, z szydłowieckiego piaskowca delikatnej kremowej barwy, prostą płytę o zaokrąglonych krawędziach, z pomnikiem przedstawiającym rybaka. Proboszcz chwalił tę rzeźbę, ewangeliczną, jak mówił, mimo że ani Świerkula, ani Franciszek religijni nie byli, rybak wcale nie przypominał Jezusa ani apostoła, nie miał powłóczystych włosów i szat, tylko gumiaci i kaszkiet, a w sieci, wyścibolonej z talentem i znanstwem, wielu dopatrzyło się jednej z tych, których Świerkula przez dziesięciolecia używał do nocnego łowienia na Wiśle.

Franciszek nie zjawił się na pogrzebie, zresztą nikt się go nie spodziewał. Łucja przyszła, choć dotąd, jak Urszula, nie chadzała na wioskowe pogrzeby. Nie poszła tylko na stypę, wymówiła się szeptem, że musi przygotować się na jutro. Następnego dnia, jak zwykle od dłuższego już czasu, miały jej wypełnić pegeerowskie dzieciaki. Zaprosiła je do oficyny na pokaz filmu *Tajemniczy ogród* ze świeżo kupionego magnetowidu, umówiła ze mną na zajęcia plastyczne, a nawet po raz pierwszy w życiu wybierała się na mecz bolechowskich trampkarzy z pniowskimi. Wymyślała rozrywki, naprzykrzała się nauczycielom. Miała pełne ręce roboty. Nie będą siedzieć bezczynnie w mieszkaniach, mówiła, i słuchać kwękań.

Z Urszulą przegryźliśmy po kanapce, wypiliśmy po kieliszku wódki, wysłuchaliśmy po raz mnogi opowieści o jesiennych i zimowych zajściach w pegeerze, potem wycofaliśmy się z niskiej chałupki, w której Świerkula od dwudziestu lat mieszkał sam, i w żałobnych strojach, ja z marynarką przewieszoną przez ramię, ona boso, z butami w ręku, poszliśmy nad Wisłę, co nam obojgu wydało się godniejszym upamiętnieniem zmarłego. Nie zeszlśmy nad rzekę, jedynie grzbietem wału wróciliśmy pod nasze wzgórza. Po diabła to dla nich robi, mruknęła, gdy żegnaliśmy się na ścieżce, i kiwnęła na wieżę pałacu wysuniętą znad parku. Niech biedują na zasiłkach. Nic jej się od niej tej pegeerowskiej hołocie nie należy. Tobie też się nie należało, palnąłem. Spodziewałem się, że prychnie wzgardliwie i odejdzie bez słowa, ja wtedy ruszę za nią, zawołam: ej!, i zabawa potoczy się swoim torem, ta sama od lat, szorstka, głupia, nasza, ona jednak odparła tylko: wiem.

Świerkulę zdążyłem odwiedzić ledwie parę tygodni przed jego śmiercią. Zrobiłem mu parę szkiców pod jeden z moich pierwszych olejów, z myślą o pierwszoroczniackiej wystawie na akademii. Siedliśmy na podwórzu, pod kuchennym oknem, przy zbielalej ceracie. Obejście było maleńkie, na wyciągnięcie ręki miałem płot, nad stołem krzywił się konar starej moreli. Tu i tam spod narosłych lat wyzierały resztki dawnego gospodarstwa, splatające wieś z koleją i rzeką: używana do niedawna wędzarnia do ryb, niskie słupki z szyn, na których rozpięta była kiedyś siatka oddzielająca kąt dla świń, stosik podkładów przegradzających dawniej strumień za domem, dzięki czemu rozlewał się w sadzawkę, treliasz z rybackiej sieci przygięty pod ciężarem rozkrzewionych winogron. Świerkula siadł ze mną, sękaty i niepewny, mimo upału opięty watomaną kamizelką w spłowiałym kolorze i z niedzielną jesionką narzuconą na ramiona. Palił i patrzył przed siebie, przez sad, na łopiany za płotem i żółtą drogę. Siedział nieruchomo, zbyt stary, by się niecierpliwić, ale moje rysowanie bardziej go chyba krępowało niż zimowa wizyta policji. Stary bimbrownik i kłusownik nawykły był do przesłuchań. Rozbroiłem go butelką pieprzówki ze starych zapasów po Borkowej, wypiliśmy ją pomału w ciągu trzech wizyt pod ostudzoną gorzką herbatę, a że Świerkula ostatnio nie wychodził dalej niż do płotu, bo skarżył się na nogi, dorzuciłem garść wieści, co u Franciszka. Uniósł brwi, gdy powiedziałem, że Urszula po liceum chce zostać w Lublinie na studiach. Mądra będzie ta wieść, zaśmiał się, jak mało która. Franuś co na to? Ona chyba nie pyta go o zdanie, odparłem. A właśnie, dodałem, słyszał pan? Zamknęli dochodzenie. Świerkula skinął głową, leciutko, z przymrużonymi oczyma. Przecie wiadomo było. Marna sprawa.

Marna sprawa dopiero cichła, nie tylko w wiosce i gminie, mignęła też w gazetach i telewizji. Marne były sprawy od zeszłego roku, a właściwie dłużej, od kiedy zaczęło się zamykanie pegeerów. Nasz bolechowski trzymał się długo. Nieźle zarządzany, na żyznych glebach, był jednym z wydajniejszych w kraju i gdy ruszyła fala likwidacji, ludzie łudzili się, że się ostanie. Spółdzielnię założymy, mówili, maszyny nie są zdezelowane, na kredyt dokupimy nowe, zainwestuje się, damy sobie radę. Gromadzili się w stołówce przy piwie i papierosach, rozgorączkowani walili w stoły, huczeli, że nie pozwolą. Nie zabiorą nam, mówili, trzynastek, premii, działek, chlewików, dopłat do czynszu, obiadów, deputatu mlecznego, paszowego, węglowego i ziemniaczanego, prezentów, zabaw choinkowych i kolonii dla dzieciaków. Nie zamkną tego wszystkiego, nie zniszczą. Chodziłem wtedy, w wiosnę ostatnich siewów, po gospodarstwie. Choć jeszcze sobie radziło, było przetrącone pewnością nadchodzącego końca.

Sypały się nieodnawiane budynki, o maszyny nikt nie dbał, jawnie kradziono paliwo, robotnicy przesiadywali na rampach i palili, jednego razu ktoś porzucił przy drodze z pola zepsuty ciągnik, stał tam potem przez tydzień. Pustoszało biuro. Czego tu jeszcze szukasz, pytali, gdy włączyłem się ze szkicownikiem po placach. Czasem ktoś dodawał: dopiero teraz ma tu chłopak rysowanie. Rysuj, póki nie sprzedadzą, nie rozdadzą, nie zburzą. Zdawało mi się, że uchwyciłem to niszczenie wkradające się między rzeczy a ludzi, między ich słowa, spojrzenia, usta, na których zrzędył uśmiechy, złapałem je ołówkiem i gasnącymi barwami akwarel, skoro na tych pracach zdałem z wyróżnieniem egzaminu do akademii.

Serii prac dałem tytuł *Przed najazdem*, sam nie wiedziałem czemu, ale wyjaśnił mi to rok później Świerkula. Niegłupiość to wymyślił, mówił, gdy nalewaliśmy mu pieprzówki. Najazd, no najazd, jak w mordę strzelił. Tyle że przed takim najazdem się nie obronisz ani nie uciekniesz. U Niemca robiło się pod lufą, ale robiło. A weź powiedz członkowi: nie rób wcale, bo to już nie twoje. I weź mu nie pokaż, kto za tym stoi. Przetłumacz mu, że tak trza. No jak trza? Pomyśl no sam, cztery tysiące hektarów tłustej pszenno-buraczanej ziemi, szkółka sadownicza, obora na czterysta krów, serownia. Jakiego skurkowania trza było, żeby to oddać jednemu, a resztę rozpirzyć albo puścić w zmarnowanie.

Gdy dyrektor obwieścił, że po zbiorach bolechowski pegeer zostanie zamknięty, robotnicy nie od razu rozeszli się po domach liczyć, czy z zasiłków starczy na czynsz, jedzenie, szkolne książki i ubrania dla dzieciaków, bilety na pekaesy do miast, w których i tak nie było dla nich pracy, na szkolne wyprawki dla dzieci, leki dla dziadków, tylko skrzyknęli się do walki. Tego już nie widziałem, bo zacząłem właśnie studia, ale słyszałem, nawet od Łucji, choć wtedy jeszcze rzadko wspominała o pegeerze, że ludzie organizowali się, jeździli do gminy, nękali wójta, pisali petycje do Agencji Własności Rolnej. Potem, gdy ogłoszono, że majątek ma zostać rozparcelowany i sprzedany rolnikom indywidualnym, niektórzy robili sobie nadzieje, że na kredyt odkupią po kawałku, wydzierzawią. Na koniec gruchnęła wieść, że większość ziemi ma kupić Stec, bogaty przedsiębiorca z Pniowa, do spółki z synem, który po piętnastu latach wrócił z Ameryki. Było to, upierali się niektórzy, nielegalne, ale Stec, prócz tego, że miał pieniądze, musiał dać porządną łapówkę w agencji. Ludzie przymierzali się do strajku okupacyjnego, ale nie da się okupować pól, a budynków i maszyn Stec nie potrzebował. Na co mi, mówił, zajechane ciągniki, rozklekotane bizony, zardzewiałe garaże i magazyny, w których można wyjmować cegły ze ścian, a przez dziury w dachu leje się deszcz. Ludzie szamotali się na oślep z tym

niewidzialnym najazdem, w końcu któraś narada rozpękała się w awanturę, paru robotników pomaszzerowało do biura, wyciągnęli zza biurka dyrektora, wsadzili go na taczki, dochybotali do obory i tam unurzali w gnoju. Potem wrócili do stołówki i rozhulali radosno-wściekłą libację.

W styczniu Stec przyjechał wreszcie do Bolechowa, pierwszy raz od początku całej awantury, wcześniej oglądał tylko pola, i kto wie, czy to, że dotąd załatwiał sobie wszystko z daleka, nie rozjuszyło ludzi jeszcze bardziej. Zjawił się zresztą, mówili niektórzy, prawie po kryjomu, tuż po Nowym Roku, w trzaskające mrozem sobotnie popołudnie, i zaraz zamknął się w stołówce, wynajętej na tę okazję, ze swoimi ludźmi, urzędnikiem z agencji i dyrektorstwem pegeeru. Bawili się do późna, a o tym, co działo się pod sam koniec, zeznano policji, która zjawiła się rano, gdy dyrektor podniósł alarm. Było dobrze po północy, gdy pijany Stec oznajmił, że ma dość. Dyrektor odprowadził go do swojego domu, ale Stec przypomniał sobie, że zostawił w stołówce teczkę, a do tego jest mu niedobrze i musi się przewietrzyć na mrozie. Do stołówki nie dotarł, zaszedł za to aż na skraj wsi, nie od gospodarskiej strony, tylko drugiej, pustszej, hen za teren pegeeru, gdzie otwierała się już przestrzeń pól. Parę dni wcześniej spadł śnieg, potem chwilowa odwilż rozmoczyła zaspę w grząską białą glinę, w przeddzień imprezy mróz skuł tę glinę w lity lód. Ostatni magazyn miał z tyłu rampę, za nią szeroki podjazd zmienił się w szaroczarne lodowisko. Steca znaleziono o świcie. Leżał z pękniętą czaszką, rozległym krwiakiem, wstrząśniętym mózgiem. Obrażenia wskazywały, że uderzył się o krawędź rampy, ale zmarł z wychłodzenia, po pięciu godzinach nieprzytomności na dwunastostopniowym mrozie.

I wiesz ty, zachrypiał śmiechem Świerkula, o kim sobie wtedy łachmyty przypomnieli. Skinąłem głową, nalałem do kieliszków. Nie musiał mi mówić. Cała wieś wiedziała, kogo przesłuchiwali. Gdy Łucja zadzwoniła do mnie na stację, nie od razu, dopiero po dwóch dniach, i powiedziała drżącym głosem, że w Bolechowie zginął człowiek, może z czyjejś ręki, spytałem: kto?, a ona odpowiedziała po chwili wahania, poczułem, że oboje nie myśleliśmy wcale o zabitym. Po parudziesięciu latach, prychnął Świerkula, krwi mu na rękach szukali, karbowańcy. Winnego było im trza, no bo jak to, żeby taki cacany plan, cacane życie, a jeszcze cacańsze przyszłe, bo Stec był przecie chłop młody, pięćdziesiąt lat, i zdrowy jak koń, żeby takie cacaństwo się skończyło od wykopyrtnięcia po wypitemu na mrozie. A przecie gdyby ktoś za nim polazł, by mu w łeb dać, toby ślady zostawił. Ej, panie Świerkula, zaśmiałem się, przygrzany do odwagi przez wódkę, śladów nie było, bo ponoć przez wiatr i zmiany pogody, mróz, odwilż, mróz, nie został ani splachetek sypkiego śniegu. Wszystko skostniałe, beton i lód. A tyżeś jeden

ze śledczych?, warknął. Ślady były. Tam gdzie trza. Nad Wisłą były. Dwa ciągi, galancie, przez łąkę, przez wał, po krze. Sprawdzali przecie, mocno węszyli, jak im zeznałem, żeśmy tamtej nocy oba z Franusiem wędkowali w przerębli.

Dochodzenie umorzono, nie było świadków ani śladów zbrodni. Nocą dyrektor sądził, że Stec wietrzy się na mrozie lub został w stołówce, sam był tak pijany, że szybko zasnął, zresztą na posłaniu gościa, bo żona nie wpuściła go do łóżka. W stołówce sądzono, że śpią już obaj w jego domu. Jeśli Steca zabiła czyjaś ręka, to umkliwa, szybka, lisia. Poszedłem tam jeszcze zimą. Wszedłem od tyłu przez otwartą bramę. Pegeer był już nieczynny, wśród hał niósł się łoskot ciszy i chłodu. Rampa stała w tej ciszy, zaświadczała o jakimś ponurym łajdactwie, ale nie umiałem powiedzieć, czy to łajdactwo się na niej kończy, czy zaczyna. Nie zmusiłem się, by podejść bliżej, w gardle załaskotały mnie mdłości. Aż do odjazdu nie zmusiłem się też, by odwiedzić Urszulę. Nigdy nie spytałem jej o przesłuchanie i w ogóle nie zająknęliśmy się o sprawie Steca ani słowem, a była to tylko kropla w rzece milczenia, nad którą chowaliśmy się razem przez lata, przedtem i potem.

Bolechów długo żył tą historią. Jedni uważali, że to sprawa Franciszka, choć nikt nie miał pojęcia, co miałyby obchodzić go parcelacja pegeeru, sporo jednak szeptów gęstniało w ciemną radość, że trafił się po sąsiedzku milczący mściciel. Inni pukali się w głowę, że skoro tak, na nic się to zdało, bo ziemię zamiast Steca kupił jego syn, ponoć niezbyt rozżalony, że przypadnie tylko jemu, bo z ojcem nie żył dobrze, z kraju wyjechał właśnie dlatego, że dali sobie po czołach. Inni dodawali, że gdyby nie Stec i jego syn, łapówkę dałby kto inny, bo tu nie ludzie działają, tylko mechanizmy.

Prawda jest trądem mechanizmu, mruknąłem parę miesięcy później, gdy zbierałem się do odejścia po trzeciej wizycie u Świerkuli, ostatniej na razie, nie sądziłem, że ostatniej w ogóle. Szkiców miałem dosyć. Stary siedział sennie uśmiechnięty od wódki. Gdy chciałem nalać mu ostatnie krople z butelki do kieliszka, odmownie uniósł rękę. I widzisz, jak ony tera w tym pegeerze żyją. Połowa bieduje na kuroniówkach, druga połowa tyra na tych samych polach, ino dwa razy szybciej, bo już nie na państwowym, a Stecowym. Taka prawda. Innej prawdy nie ma. Podniosłem się z taboretu, wziąłem blok, schowałem ołówki do pudełka po karmelkach „Glorja”. Dziękuję, panie Świerkulo, powiedziałem. Uniosłem odmownie rękę, gdy chciał wstać i odprowadzić mnie do furtki. Sekret chcesz? Sekret?, spytałem zdębiały. No sekret. Chcesz? Młodyś, przyda ci się. Choć młody starego nie słucha, a jak słucha, to nie rozumie, a jak rozumie,

to zapomina. Jasne, powiedziałem, namaluję go na portrecie, w pana twarzy. Zaśmiał się. Ani łowącym trza być, ani łowionym. Po ciemnemu umieć żyć. Prawda jest trądem dla tego, kto pyta.

Zakład

Zapamiętam to, szepczę, gdy cichnie huk naszych oddechów. Kurz wzbity z desek podłogi tańczy w sypkim świetle wielkiego okna. Na materac spada karmazynowa kulka krwi z mojego ucha. Druga czerwieni się na jej wardze, zlizuję ją koniuszkiem języka. Palce mam lepkie, Julia ociera mi pot ze skroni, leżymy spleceni, słowa kapią z nas pomału. Zapamiętam to, mruczę, zapamiętam wszystko. Tak, muska mnie dłonią po policzku, ale nie mówisz tego teraz. Nie chcesz nic zapamiętać, bo jeszcze wszystko dzieje się naraz i zapamiętuje się samo. Powiesz tak dopiero za jakiś czas. Kiedy? Może wtedy, gdy Kostis rozkaże: klękajcie, udzielę wam ślubu, i wyjmie z kieszeni plastikową torebkę. Lub paręnaście miesięcy później, po walce, gdy usiądziesz nad swoimi potrzaskanymi obrazami i po raz drugi i ostatni przy mnie zapłaczesz. A pierwszy to kiedy? Gdy zadzwonisz do mnie i powiesz, że Łucja, no wiesz. Tak, mówię, a ty ostrzeżesz mnie: uważaj, przegrywasz. Wcale tak nie powiem. Ale usłyszę to w twoim głosie, będzie już wtedy trwał powolny koniec. Może, ale teraz, gdy wydaje ci się, że to mówisz, wszystko się zaczyna, dla ciebie, dla mnie. Zapamiętam to, powtarzam sennie. Na pewno, ale powiesz tak dopiero za parę lat, gdy będziemy wyprowadzać się do apartamentowca, krzątać wśród pudeł, blejtramów, kartonów z twoim sprzętem malarskim i moimi zdjęciami, między kuchenką a szafą, stołem a jednym regałem, jednym fotelem, i pomyślimy oboje: niewiele tego osadu z kilku lat prowizorki, i tak blisko przyjdzie nam to wszystko przenieść, ledwie na drugą stronę ulicy, że nie najmiemy taksówki, pomogą nam chłopaki, nawet sam Ulicki, może po to, by powiedzieć mi z dumą i wyrzutem: wiedziałem, moja galerzystko, że prędzej czy później wypoczwarzysz się od nas. Może dopiero w nowym mieszkaniu usłyszę od ciebie: zapamiętam to, bo cóż innego można powiedzieć między końcem a nowym początkiem. Tak, mówię, tyle mieliśmy do zrobienia, nim urządzimy dom, i gdy wreszcie znaleźliśmy na to czas, mieliśmy już wszystko, sukces, forszę, świat w kieszeni, tylko siebie wzajem już nie. Tak, ale nie mówisz tego teraz, jeszcze wszystko dzieje się naraz, pijane, lepkie, zaćmione. Być może, mruczę w półśnie, ale to długo nie potrwa, czas ruszy może już w ten grudniowy ranek, gdy przyniosę gazetę, krótki będzie ten nasz początek. Ona: nie długi, nie krótki, nie wiesz jeszcze. A skąd ty to wiesz? Zawsze wiedziałam więcej niż ty, mówi Julia, widziałam wielu takich kruchych zdobywców z butnym i bezbronny uśmiechem na twarzy, a ty widzisz tylko lustro moich oczu i nie wiesz, jak głęboko jest pod nim. I dlatego, mówię i w gasnącym oknie dostrzegam swoje odbicie w ten

grudniowy ranek, stoję przy sztaludze z pędzlem w dłoni, w drzewnym ciepłe piecyka, dlatego już jutro rano wymyślisz tę swoją zabawę, a ja zgodzę się na nią, i to będzie prapoczątek przegranej, mojej, twojej, naszej. Może, szepcze Julia, ale wszystko zależy od nas, dokonałeś wyboru już wcześniej, latem, po dyplomie, gdy wahałeś się, co wybrać, no i wybrałeś: miasto, wystawy, karierę, pieniądze. Wybrałem cię, chrypię przez zaciśnięte gardło, a ona znów koi mnie muśnięciem warg o ucho: tak, ale we mnie była cała reszta.

Z trzeciego piętra, z tego waszego loftu, mawia Ulicki, raczej lochu, odpowiada mu zawsze Julia, widać Wolne Tory, parędziesiąt hektarów nieużytku przy samym śródmieściu, przeklętą przestrzeń, której nikt nie chce, ani miasto, ani kolej, rozwleczoną w dal. Widać niskie bryły magazynów ścieśnione w kanciastą gmatwaninę, skrzące się czarno dachy wiat, nieczynną nastawnię, za torami pudło Dworca Głównego, iglicę Targów, żurawie nad którąś z zachodnich dzielnic Poznania, bliżej klinkierowy deseń frontonów ulicy Kolejowej i komin dawnej fabryki, choć by tam dotrzeć, trzeba przebrnąć na szagę przez rozsypane w nieskończoność torowisko linii 271 i bocznice. Pociągi są obmyte iskrami grudniowego słońca: samotny wagon bonanza, który Malik z Kostisem pomalowali w tęczę, szynobus odkupiony od pobliskich Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego na wystawę *Projekt i reszta* i wiele innych, już nie naszych: grzybiaste ciągi cystern, rude składy towarowe, pomarańczowe pocztowce wycofane z użycia. Wszystkie niby tylko stoją, roztasowane na chybił trafił po torach, nie sposób przychwycić, by kiedykolwiek podejżdżała lokomotywa i odciągała któryś z nich, lecz mimo to ich układ ciągle się zmienia. Julia co parę dni wdrapuje się po drabinie przeciwpożarowej na dach, robi zdjęcia, po wyjściu z ciemni mówi: patrz, znów się poprzestawiały, potem robi z nich nieregularne wystawy pod tytułem *Na wietrze*.

Na dziedzińcu robotnicy dźwigiem ściągają z ciężarówki rurowatą bryłę stali, toporną, z wybulwieniami spawów. Ulicki stoi z boku, w płaszczu narzuconym na ramiona, przygląda się znad okularów, jak ten niezastygły do końca kłęb ruchu, wytopiony z ciężkiej gwiazdy, zawisa w górze. Dźwigowy celuje rzeźbą między dwie podobne, wpuszczone już w beton. W kącie Ośka Osińska z Bananem przymierzają szablony do ściany squatu, przeglądają sprzęt do malowania murali. Rzeźba ląduje z brzękiem, Banan gwizdże na wiwat, ale nie słyhać tego, bo squat wybucha nagle jazgotem gitarowych sprzężeń, łomotem perkusji, przesterowany bas boruje szyby i mury. Wieczorem po okolicy będzie dudnił ostry hardcore, ym-da-ym-da-ym-da, aż w pustoszejących kamienicach przy Roboczej zadrzą szyby i posypie się tynk. W tych koncertach

pobrzmiwa huk młotów i koparek, które za jakiś czas rozłupią część stuletniego fyrtla w pobliżu torów, ZNTK, Zakładu i squatu: sąsiednie kwartały już kupił deweloper, jeszcze rok, półtora, przyjadą maszyny, w miejscu ruder powstanie osiedle. Ktokolwiek tu się sprowadzi, trafi między interwencje, akcje, performance'y, rzeźby, instalacje, rozpełzające się wokół Zakładu. Zakład wszywa się pod sparciałą skórę dzielnicy, wgryza się pod kruszejące ściany, wykwita na przystankach, rogach ulic, murach, skwerach, wyrasta spomiędzy kocich łbów. Zakład nie zapowiada zmian, pisze Ulicki w manifeście, nie przeciwstawia się im, nie schlebia, Zakład wytwarza zmiany. Fundacja Zakład i squat stoją na sąsiednich parcelach, tyle że Zakład swój teren od miasta dzierżawi, a anarchiści jak to anarchiści, zajęli, co stało puste. Ulicki mawia, że przyszłość squatu widzi niewyraźnie, ale w stanie wojennym grał w zespole Gehenna Majora i w razie czego, mówi Julia, powinien odezwać się w nim dawny punkowiec. Chadza zresztą na squatowe koncerty, gdy zaciągnie go tam ktoś z Zakładu.

Trawa na torowisku przetapia się z kadmowych żółci w ugry. Między stojące składy wsuwa się bez szmeru pociąg osobowy. Wśród cieni gęstnieje mróz. Dachy miasta wydają się bliskie w przejrzystej półciszy. Ośka z Bananem nachlapali próbne plamy na ścianie i zniknęli. Jutro wezmą liny, drabiny, sprzęt malarski, szablony i o ile odpuści mróz, zaczną rzucać na ścianę niedalekiej kamienicy dyplomowy mural. Blaknący błękit nieba wlewa się jeszcze przez okno, ale kolory na moim obrazie już zmieniają odcienie. Jeszcze pół godziny pracy, nie więcej. Trzaskanie w piecyku przypomina, że pora dołożyć do ognia. Łupanie w squacie zmienia rytm na zimnofalowe ym-da-ym-da-da, ym-da-ym-da-da. Rzeźba Ulickiego *Sekwencje 2* stoi nieruchomo. Robotnicy z ZNTK rozpasują ją z lin.

Za oknem przemyka jeszcze jeden ciemny ruch. Postać w puchowej kurtce, z torbą na ramieniu, podbiega do Ulickiego, pokazuje jakieś papiery, macha w stronę bramy. Z ulicy wtacza się laweta, na lawecie dwa stare, choć zarazem nowe, bo nieużywane polonezy, w niespotykanych już matowych kolorach, onieśmiałe swoją niedzisiejszą urodą. Malik kupił je na aukcji samochodów zatrzymanych dwadzieścia lat temu przez milicję po jakiejś aferze. Do tej pory stały zakonserwowane w garażu. Za parę tygodni staną na wielkiej wystawie, która zmieni Zakład w Kryształowy Pałac i Powszechną Wystawę Krajową w jednym, pisze Ulicki w katalogu, montownię nieziszczonych wyobrażeń przyszłości. Wystawą będzie rządził przepływ nieskończenie zmiennych wrażeń, zgiełk przeciążonego przemysłu, emisja rozstrojonych sygnałów, urwane pętle projekcji, powtarzalne marzenia. Polonezy rozbierze na części najęty

mechanik, Malik z Kostisem przebrani za roboty ze starych filmów science fiction będą koślawo składać je z powrotem. Przy wejściu Ulicki poprzybija nitami recenzje z wernisażu, na ekranach wyświetlany będzie film z poprzednich dni wystawy, wszystko będzie zapętlać się, zużyte i świeże, przeszłe i nowe. W wytłumionej sali Ośka urządzi dyskotekę ze stroboskopowych świateł i zupełnej ciszy przerywanej w nieprzewidywalnych interwałach łupnięciami hałasu, od którego kręci się w głowie. Ale wszystko to jeszcze w przygotowaniu, w Zakładzie wrze robota, polonezy dopiero staczają się z lawety. Postać w puchowej kurtce przygląda się rzeźbie, a potem muśnięta moim spojrzeniem obraca się, zerka w górę, posyła mi pocałunek. Zamienia jeszcze słowo z Ulickim, może uzgadnia szczegóły wystawy, może wyjawia, co jej się nie podoba w *Sekwencjach*, jest jedyną osobą, która ocenia prace mistrza, a jemu nawet zdarza się je poprawić. Wreszcie na pożegnanie głaszcze go po rękawie, wchodzi do Zakładu, znika mi z oczu.

Odkładam pędzel. Wypuszczam powietrze, wstrzymane w płucach może już rano, gdy siadałem do malowania, może przed chwilą, gdy ujrzałem Julię. Czuję, jak wszystko, słoiczki z pigmentami, miseczka z resztą żółtkowej emulsji, upstrzona farbami paleta, deska na sztaludze, na przekór popołudniu rozżarza się w oczekiwaniu. Otwieram piecyk, dokładam parę szczap. Gdy po drugiej stronie hali otwierają się drzwi, udaję, że nie słyszę, udaję przed nią, przed sobą, przed torowiskiem i dalekim miastem, które widzi mnie przez wielkie okno i zna drzenie, z jakim witam jej krok. Zimno!, woła. Zasnąłeś? Herbaty. Wódki. Ognia. Ciepła. Naprawdę zasnąłeś. Szepczę coś prosto w jej chłodne usta. Pokaż no, mówi, coś nabazgrał. Zaraz, mówię i wsmykuję ręce pod jej sweter. Aha, takiego ciepła. Ale pokaż. Herbatę też zaparz. Odgrzej zupę. Koniec na dzisiaj. Nie zapalaj światła, widzę dobrze. Przypatruje się desce. Dostrzega każde pociągnięcie pędzla, jakie zrobiłem od rana. Jej wzrok błądzi wśród torów, krzaków, stert podkładów, robotników przykucniętych z kanapkami w rękach, w kamizelkach błyskających czerwienią, jedyną żywą barwą na obrazie. Przybliżyła się, oddała, przekrzywia głowę. Zawsze gdy tak patrzysz, mówię, peszę się bardziej niż na dyplomie. Nie przypominam sobie, mówi, byś się wtedy peszył. Przestałem, gdy cię zobaczyłem.

Zapamiętasz to, szepcze z rozbawieniem, gdy leżymy w tej chwili nie chwili, jednej i każdej, mnogiej, i czuję, jak na koniuszku ucha, draśniętym jej zębami, zbiera mi się kolejna kuleczka krwi. Nie myślisz teraz o tym, ale dobrze zapamiętasz te cmoknięcia zachwytu. Tak, uśmiecham się, są głośniejsze niż cmoknięcia rozbawienia i wzgardy, których też nie brakuje.

Cóż to ma być?, pyta ktoś spoza akademii, nieznany mi, jak się dowiem potem, koneser abstrakcji i nowej ekspresji. Zwrócił się do Ratajczyka, nie do mnie, mimo że stoję tuż obok. Ratajczyk, który w takich razach mówi zwykle: oto dyplomant, proszę jego pytać, odpowiada z dumą: realizm, mój drogi, a gdy tamten prycha: chyba socrealizm, po profesorsku podnosi rękę i oświadcza: jedyne, czego brakowało socrealizmowi, to warsztat. Kolekcjoner kpi dalej, ale nie słucham go już, bo w tej chwili do sali wchodzi Julia. Nie znam cię jeszcze, szepczę, gdy ona zdejmuje mi językiem kroplę krwi z ucha, ale słyszałem o tobie, prawej ręce Ulickiego, współzałożycielce Zakładu. Bywałem u was na wystawach. Nie pamiętasz tego, ale bywałem, w początkach waszego istnienia. Niewiele mnie u was interesowało, najwyżej fotografie czy rzeźby, a waszą specjalnością są instalacje, wideo, performance'y, całościowe działania, większe akcje. Wiem, że przychodzisz na dyplomy, zwerbowałaś na nich sporą część Zakładu, paru artystów promujesz za granicą, ale nie spodziewałem się ciebie na mojej wystawie.

Zerkam na Julię. Przechadza się po galerii, plama barw wśród zmiętych garniturów, witana ukłonami, odpowiada na nie głośnięciami po rękawach, ciągnie za sobą falę śmiechów, przekomarzań, żartów, podlizywań. Jej wzrok muska każdy obraz, ale przy żadnym się nie zatrzymuje, nie zwalnia, wreszcie trafia na mnie. Podchodzi. Tak bardzo spodziewam się kpin, Julia nie jest znana z delikatnych ocen, że nim otwiera usta, uprzedzam ją i sam parskam śmiechem. Zdziwiona, odpowiada tym samym. Nasze spojrzenia okrążają się raz, drugi, blisko, pojaśniałe od niespodzianego roześmiania, splatają się w warkocz, mocny, aż zapiera mi dech. Tempera?, pyta bez wstępów. Zamrożono cię w piętnastym wieku i teraz obudzono? Ten pan, pokazuję kolekcjonera gawędzącego z moim promotorem, mówi, że to socrealizm. Powpisuję sobie te wasze komentarze do katalogu. Ja ci powpisuję, uśmiecha się. Następną wystawę będziesz miał u mnie. W Zakładzie? Myślałem, że kpicie z malarstwa. Z tempery? Skądże. To takie dziwo, że nieładnie byłoby kpić. Jak z ułomnego dziecka? Jak z genialnego dziecka.

Rumieniec uderza mi na twarz. Niespodziany komplement wpełza mi pod koszulę, trąca nisko, nad podbrzuszem. Czemu ja ciebie nie znam?, pyta. Gdzie byłeś przez całe studia? Czasem tam gdzie wszyscy, mówię, ale głównie w pracowni. I u siebie. Skąd jesteś? Pokazuję na obrazy. Gdzie to jest? Objaśniam jej. Co cię przyciągnęło aż tutaj na uczelnię? Wzruszam ramionami. Chciałem studiować u Ratajczyka. A może nie, dodaję po chwili wahania. Może chciałem się oddalić. Na jakiś czas. Oddalić odkąd? Wzrok ucieka mi w bok. Julia nie pyta dalej, ale czuję, jak warkocz między nami zaciska się nieubłaganym splotem. Spoglądam po ścianach

galerii, po bolechowskich portretach i pejzażach, po twarzach profesorów. Ratajczyk chce coś powiedzieć, zaczyna się oficjalna część wystawy. Julia muska mnie po rękawie marynarki, wsuwa mi wizytówkę do kieszeni. Zobaczymy się jeszcze.

Wydzwaniem do niej potem z automatu. To numer komórki, ale Julia odbiera dopiero po czterech dniach. Spotkamy się na rynku? Nie znoszę starówki, prycha. Przyjdzie czas, gdy dyplomy będzie urządzać się u nas. Prowadzi mnie do Zakładu, tłumaczy, że musi tam odnieść jakieś rzeczy, ale po drodze rozmyśla się, chwyta mnie za rękę i ciągnie na teren squatu. Po drodze omawia z anarchistami szczegóły jakiejś wystawy, bodaj fotografii Libery, potem brniemy przez krzaki. Za magazynem stoją rozklekotane leżaki i podarty kawiarniany parasol. Julia wyciąga wino i korkociąg. Po pierwszych łykach uderza mi do głowy upał, smolny oddech Wolnych Torów, jaskrawe kolory jej patchworkowej sukienki. Napięcie i zmęczenie ostatnich tygodni, gdy budziłem się o szóstej i do późnego wieczora kończyłem dyplomowe obrazy, pękają we mnie, odpadają gdzieś. Jej dłoń co chwila muska moje ramię, bez powodu i celu, ta odruchowa potrzeba dotyku onieśmiela mnie bardziej niż sześć lat różnicy wieku między nami. Na szyjce butelki zostaje kolor i smak jej szminki. Wypytuje mnie o coś leniwie, z przebłyskami zainteresowania. Działolę trzy po trzy, a gdy zaczynam opowiadać o pałacu hrabiego, oranżerii i rządcówce, kładzie palec na ustach. Gdy wreszcie zapada zmrok, późniejszy niż w Bolechowie, to nieregularne dotykanie mojej ręki zastępuje nam wzrok, słyszę tylko jej ciemny głos i szelest patchworku. Wino kołysze mnie, mieści w sobie, bełkocze mi w głowie, że to ona jest miastem, wielobarwną łuską odłupaną od jego stalowej i brukowanej duszy.

Gdy mówi, że chce zobaczyć więcej moich prac, ostrzegam ją: mieszkam na starówce. Na poddaszu. Zrobiłeś sobie Montmartre? Raczej Sandomierz, odpowiadam. Parę dni później wciskamy się bokiem do maleńkiego pokoju służącego mi za sypialnię, kuchnię i pracownię. Prowadzę ją ku oknu ścieżką między tapczanem a sztalugą, deskami czekającymi pod ścianą na zagruntowanie a stołem pełnym pędzli, farb, wytłaczanek po jajkach, wśród stosów szkiców i akwareli walających się po parkiecie. Wygrzebuję z tych stosów akwarele, żeby zobaczyła, tempery nie, te najlepsze widziała na wystawie. Gdy prosi o kawę, pokazuję bezradnie kuchenkę zastawioną garnkami po zaprawie i pytam, czy chce przynajmniej usiąść, jeśli tak, muszę uprzątnąć z tapczanu książki i ubrania, zawsze gdy siadam lub się kładę, muszę zrzucić je na podłogę. Kiwa głową, biorę się więc za ten tapczan, ale po chwili zastygam, do gardła podchodzi mi mdląca pewność, nie mam pojęcia, czego dotycząca, i obracam się, by to sprawdzić, a wtedy

napotykam jej wzrok i już wiem, że wiem. Waham się przez chwilę, która musi upłynąć między pytaniem i odpowiedzią, przed wejściem na gościnne, choć nieznane terytorium. Julia lekko przyciąga mnie do siebie. Dźwigam ją w górę, sadzam na parapecie otwartego okna. Nad dachami ulatuje w nieskończoność błękitno-zielone czerwcowe powietrze. Poprzez jej włosy dostrzegam w dole trzepak, kredowe resztki planszy do gry w klasy i szaro-czarne kłębki kotów na murku śmietnika. Jedną ręką chwytam ją za kark, a drugą, z obawy, byśmy nie wypadli, wyciągam nad głowę i zapieram się o framugę, i z rękoma rozwartymi w taką obręcz trwam do końca, zostawiam wszystko jej palcom, jej ustom, i własnym biodrom, które poruszają się najwyżej paręnaście razy, ale to wystarcza, jej także, chwilę przede mną. Do końca ufa tej obręczy, opleciona wokół mnie, z rozłomotanym sercem, zębami zaciśniętymi leciutko na moim uchu. Gdy po skroni spływa mi strużka potu, muska ją koniuszkiem języka.

Przez następne dni dławi mnie coś mocniejszego niż terpentyna, niż zaduch świeżo lanego asfaltu, niż wino w skworny wieczór. Miałem pojechać do domu, zapomniałem. Staję często przy oknie i obejmuję zgęstkę powietrza zostawioną przez jej postać. Znów mija parę dni, nim udaje mi się do niej dodzwonić. Przyjdź do Zakładu, mówi.

Gdy wchodzę na dziedziniec, aż zapiera mi dech, choć przecież bywałem tam kiedyś, sporo jeszcze minie czasu, nim oswoję się z tym przedziwnym budynkiem. Zakład to, pisze Ulicki, diament architektury modernizmu. Niewysoki, ledwie trzypiętrowy, ale wystrzelony w niebo asymetrycznym skosem dachu, półkolisty, rozbłyszczone wyjątkowymi jak na swoje czasy taflami szyb, elegancki i butny, szorstki i lekki, złożony ze wszystkiego, co najlepsze, w warszawskim Supersamie i Rotundzie PKO, katowickim Dworcu Głównym, poznańskim Okrąglaku. Był gierkowską inwestycją, miał mieścić siedziby zagranicznych przedsiębiorstw, ale budowę przerwał kryzys. Tak jak Szkieletor w Krakowie, nigdy nie został ukończony. W latach dziewięćdziesiątych utkwiał w gąszczu problemów prawnych i niszczał, aż zjawił się Ulicki z Fundacją Zakład i cudem wynajął go od miasta.

Wchodzę na górę i staję pośrodku hali na najwyższym piętrze, w oknie z widokiem na Wolne Tory. Kuchenny i sypialny kąt Julii, ze zlewem, kuchenką, materacem na podłodze z surowych desek, stołem ze sprzętem fotograficznym, regałem na papiery i książki, szafą na ubrania przytąszoną ze śmietnika lub z targu staroci w Starej Rzeźni, przypomina mi mój, tyle że nie jest wciśnięty w mysią norę, raczej przycupnięty na brzegu pustej wyspy. Co za przestrzeń, wołam. Nie wiedziałem, że wy, zakładowcy, tu mieszkacie. Na stałe tylko ja, mówi Julia. Piętro

niżej, w niedoszłych biurach, waletuje jeszcze parę osób. Ulicki przymyka oko. Ktoś przychodzi, ktoś odchodzi, jeśli znajdzie lepsze miejsce, ale bez forsy znaleźć trudno. Jesteście komuną. Och nie, nie wyobrażaj sobie za wiele, na tym piętrze mieszkam tylko ja, drzwi zamykam na klucz. Komunę masz za płotem. Ale nie zachwycaj się zbytnio. Zima to szkoła przetrwania. Mieszkam tu, bo nie stać mnie na nic innego. Razem z Ulickim jesteśmy jedynymi pracownikami Fundacji i lepiej żebyś nie wiedział, ile zarabiam. Skąd Ulicki wziął forszę na to wszystko? Jego spytaj. Ulickie tajemnice. Marzył o tym budynku. Z niego wysnuł pomysł na Zakład. Nowoczesność, która przegapiła siebie samą i trzeba podjąć ją w tamtym miejscu, od początku i nie od początku. Przyszłość, która utknęła na zakręcie i trzeba pociągnąć ją dalej. Bez historii.

A ty?, pyta nagle. Co będziesz teraz robił? Szukasz pracy?

Gapię się w powietrze drżące nad torami. Kto by mnie tam przyjął do pracy. Ratajczyk proponuje mi asystenturę. No proszę! Ale nie chcę, nie nadaję się. Na razie staram się o stypendium. Jestem bez grosza. A zanim je dostaniesz? Milczę. Przez głowę przebiegają mi myśli. O dwóch miesiącach czekania na decyzję o stypendium. O dyplomie z wyróżnieniem i dwu propozycjach wystaw, jakie zdążyłem już dostać. O ciężarze obietnic i zobowiązań, od którego, czuję, ostatnie dni uwolniły mnie, aż straciłem ważkość. O lecie, które zagarnia mnie w swoją otchłań, gdzie są lata minione i przyszłe, czerwce, lipce, osnute opalizującą zasłoną. Czuję zapach jej perfum, a głębiej leciutką, ale odurzającą nutę potu, bo stanęła właśnie obok mnie, jej ręka odnalazła moją i obie splotły się w palczasty, wilgotny warkocz.

Leżymy później, wtedy, teraz, bez czasu, na skraju tej wielkiej wyspy, w wykrojonych przez okno rombów światła. Nie pamiętam, skąd jestem. Jestem pijany od tego zapomnienia. Niedługo zajrzę do domu, szepnęło, nie ja, szepnęło samo. Chcesz jechać ze mną?, wrywa mi się niespodziane pytanie. Julia parska śmiechem. Zapraszasz mnie do rodziców na wakacje? Słodki jesteś. Jak im mnie przedstawisz? Nie mam rodziców, odpowiadam po chwili wahania. Tylko połowę. Którą? Tę, że tak powiem, twoją. Nie masz ojca? Pewnie mam. Julia unosi się na łokciu. Drobinę kurzu wirują nad podłogą. Próbuję je chwycić, ale ulatują. Marek, mówię. Jaki Marek? Rybak. Julia wybucha śmiechem. Naprawdę nie wiesz, kim jest twój ojciec? Nie pytałeś matki? Gdy byłem mały, słyszałem, jak Stefan ją pytał. Stefan? Kustosz. Dziadek. No i? I potem już nie miałem ochoty sam jej pytać. Och. Trochę za wcześnie na takie historie, nie sądzisz? Mhm. Uprzedzę twoje zaproszenie, uśmiecha się, nie pojedę z tobą. Nie zapraszałem cię, spytałem tylko.

Nowy Gieryski.

Oglądała obraz tak długo, że popołudnie zdążyło stężeć w przedwieczór. Odrysowałeś perspektywę z *Piaskarzy*, mówi. I niebo, kolory, ruch, temat, postacie. Kiedyś próbowałem go naśladować, mówię. Niedaleko stała na Wiśle pogłębiarka. Siadywałem na brzegu i czekałem na barki. Może musiałem przysiąść przy torach, nie nad wodą, by mi się to udało. Masz już tytuł? Yym. Coś wymyślę, mówi. Skatalogować to już? Przecież to dopiero pół obrazu. Ale skończysz go? Mhm. Kończ, żeby zdążył wyschnąć do czerwca. To już będzie konkretna wystawa, rozumiesz. Prawdziwa. Stajesz się znany, piszą o tobie. Nawet „Raster” cię nie wyśmiał. Zbyt wielki masz talent. Musisz teraz, właśnie teraz, naprawdę wystartować. Czyli? Zacząć sprzedawać. Nie za tysiąc złotych, jak dotąd. Zrobię ci reklamę. Znam kolekcjonerów, którzy się zachwycają. Z Berlina, z Wiednia. Obwieścimy powrót malarstwa. Nowy realizm. Sam wymyślił zręczne hasło. Nie znam dwudziestoparolatka, który by tak malował. Potrząsam głową. W Polsce nikt młody nie sprzedaje dobrze obrazów. Jeszcze nie. Zacznieś ty.

Dokładam do ognia. Siedzimy potem na materacu, otuleni kocem, pijemy grzane piwo zaprawione bolechowskim miodem. Althamer szykuje ładną akcję, mówi Julia. Noworoczną. Skrzykuje swoich sąsiadów, mieszkańców wielkiej deski, któregoś wieczoru mają pozapalać i pogasić światła, blok zmieni się w ekran z wyświetlonym 2000. A ty zleciłaś już ogłoszenie?, pytam. Tak, ukaże się jutro. Jeśli wstaniesz przede mną, a na pewno wstaniesz, kup gazety. Po jednej? Tak, tylko dla nas. Zakład dostanie całą paczkę, ale chcę je jak najszybciej zobaczyć. Swoją drogą miałaś wrócić wcześniej, póki światło, i pozować mi. Do akwarel nie będę ci już pozować. Namaluj mi temperę. Upijam łyk piwa. Może kiedyś. To nie takie proste.

Budzi nas łoskot. Podnoszę głowę. Mija dłuższa chwila, nim poznaję, że to koncert w squalu. Spomiędzy nas wysnuwa się półsenna rozmowa, bez znaczenia, wsiąka bez śladu w mrok. Dopiero rano, nachlapany cynkiem nad dachami, otwiera mi oczy. Wstaję oczadziały od długiego spania. Julia uśmiecha się jeszcze do jakichś tajemnych snów. Podchodzę boso do okna, chłodne deski parzą mnie w stopy. Kąciaki szyb okwieca mróz. Z moich ust rozkłębia się miarowo obłoczek oddechu. W stężały pejzaż torowiska wsuwa się czarny ruch, rzadki już: przyprzężony do parowozu pociąg osobowy, raz dziennie kursujący do Wolsztyna. Odprowadzam wzrokiem beczkę lokomotywy, póki nie wtapia się między bryły starej parowozowni i wieży ciśnienia rozmazane w łyskliwej mgle. Z ruder przy Roboczej żegna go płacz dziecka, urwany nagle, ściszony pewnie miękkim cisnieniem albo twardą ręką. Malowana w tęczę

bonanza milczy z zakłopotaniem. Przede mną, w nieokreślonej odległości za szybą, przez mgnienie oka trzepocze nikły kształt, nasze odbicie z wieczora zatrzymane w powietrzu, zbyt rozżarzone, by zniknąć bez śladu. Poznaję błysk swoich oczu, palce Julii zaciśnięte pajęczko na moim ramieniu. Spoza ścian, murów, płotów, z hal ZNTK dobiega pomruk maszyn. Czas obraca się pomału w niedbale nasmarowanych trybach.

Okutany, z rękoma wbitymi w kieszenie, wychodzę w szkliste powietrze. Nogi niosą mnie w stronę przeciwną niż brama, obok *Sekwencji*, za furtkę, za tęczowy wagon, szynobus, nad rzekę torów. Któryś już raz to słowo przychodzi mi do głowy. Zresztą nie ja pierwszy na to wpadłem. Za szynobusem, przy nieczynnej bocznicy, stoi platforma udająca nadrzeczną keję, z tablicą, ławką i kołem ratunkowym. W czarniawy kolejowy grunt zdążyły już wrosnąć przycumowane do niej dwie dziurawe łódki. Na tablicy napis PORT WILDA. Gdy wspiąć się na keję, po drugiej stronie torowiska można dostrzec bliźniaczą instalację, a jeśli zmrużyć oczy, także napis PORT ŁAZARZ. Rok temu, w trzydziestolecie zasypiania starego koryta Warty po drugiej stronie miasta, Malik zrobił tę instalację, by opłakać nieobecną rzekę. Opłakać. Skąd wziąłem to słowo? Malik go nie użył ani Julia w katalogu, ani nikt w recenzji. Brnę przez torowiska powleczone szronem. Nad krzakami kołują gawrony, odpryski sadzy z wolsztyńskiego parowozu. Nogi prowadzą mnie z powrotem na skruszały brzeg Wildy. Kupuję gazety. W bramie Zakładu obracam się i wgapiam w ciemną szczelinę rozwartą między brzegami. Jest słona, myślę, czuję ten smak, upija mnie.

Gdy wchodzę na górę, Julia się budzi. Parzę kawę. Patrzyłeś?, pyta. Nie, zapomniałem. Otulona w kołdrę, nachyla się nad stołem, przerzuca „Głos Wielkopolski” i lokalne wydanie „Gazety Wyborczej”. Wśród ogłoszeń fałszywe obwieszczenia o przetargu. Zakład podsztył się pod władze miejskie i kolejowe, wystawia na sprzedaż Wolne Tory i organizuje konkurs na zagospodarowanie terenu, jak określa oferta, wyłącznie dla instytucji kulturalnych, szkół artystycznych, ośrodków sztuki krytycznej i wolnej myśli. Są wszystkie potrzebne dane, daty, mapa terenu, zdjęcia. Ależ będzie awantura, Julia wybucha śmiechem. Nikt w to nie uwierzy, mówię. Uwierzy. Przeceniasz biznesmenów. Uniesiesz ciężar tej hecy? Oczywiście, mówi, nie takie nas jeszcze czekają. Przyjdiesz na konferencję prasową? Wzruszam ramionami. Jeśli chcesz.

Julia mości się w fotelu, wciąż nie do końca dobudzona, ale w oczach roziskrzona już widokiem ogłoszeń. Podaję jej kubek kawy, rozpalam w kozie. Ukrój mi skibkę chleba, mówi

głosem schryplym od snu. Po chwili dodaje tym samym tonem: Ulicki spytał mnie niedawno przy wódce po wernisażu, czy twoja obecność w Zakładzie bierze się stąd, że jesteśmy kochankami. Kochankami?, pytam. Jesteś mężatką? Julia z uśmiechem pokazuje mi środkowy palec. Ten widziałem, mówię, lepiej pokaż serdeczny. Serdeczny mam dla siebie. Nie tylko to masz dla siebie. Julia spogląda na mnie z pytaniem w oczach. Prawie nic o sobie nie wiemy, mówię. Wiesz o mnie, ile trzeba. Czegoś mi ciągle brakuje, mówię. Jesteśmy dla siebie jak obcy. Mam wrażenie, że poznaliśmy się wczoraj. Bo nie sprzedaliśmy sobie nawzajem rodzinnych sag, nie pozapraszali się do starych na obiadki? E, nie wiem, czybym tego chciał. Chyba nie. Ale żyjemy tu, no, urywam, chcę powiedzieć: nad rzeką, ale nie, nie to mam teraz na myśli, dopowiadam więc: na wyspie. Ale cóż ty właściwie chcesz wiedzieć? Kim są moi ojciec i matka? Zauważyłaś chyba, że nie są mi potrzebni. Ani ja im. By zachować symetrię, nie pytam też ciebie. Tak, mówię, ale to ty narzuciłaś tę grę. I nie tylko tę. Och, na pewno nie tylko tę, śmieje się, także w sprzedawanie twoich obrazów. Nie jestem z tobą dla interesu, mówię z irytacją. Ależ ja z tobą też nie. Julia bierze mnie za rękę. Chwytam kołdrę, nim zdąża zsunąć się na deski, opatulam ją mocno. Mnie się na tej wyspie podoba. Mogę na niej robić, co chcę i jak chcę. Nikt mi w tym nie przeszkodzi. Nawet ty. Całuje mnie w szyję. Chcę, szepcze, byśmy sobie wystarczali. Tu i teraz, jak najdłużej. Nie interesuje mnie, co robisz u siebie. Ani nawet z kim sypiasz. Póki do mnie wracasz. I póki przywozisz stamtąd obrazy.

Jemy śniadanie w milczeniu. Nagle Julia marszczy czoło w ten sam wzór, jak przed chwilą, gdy czytała anonse o sfigowanym przetargu. Posłuchaj, mówi. Boję się, że ten temat będzie wracał. Chcę cię takiego, jakiego znalazłam, a nie jakiego chcesz mi narzucić. No to musisz mnie sobie namalować, mówię. Nie umiem malować. Robię zdjęcia, sprzedaję sztukę, urządzam wystawy. Ale mam propozycję. Nie do odrzucenia. Załóżmy się. Przełykam chleb przez zaciśnięte gardło. O co? O błahostkę. Będziemy z sobą dopóty, dopóki będziemy sobie wystarczać. Żadnych opowieści o dziadkach, rodzicach, pierwszych pocałunkach, miłościach i masturbacjach, o laniu za skradzione jabłka, o duchach w szafie, tęsknocie za tatą. Żadnej historii, żadnej przeszłości. Masz jakiś uraz na tym punkcie? Już przegrywasz!, krzyknęła. Nie, nie jestem mężatką. Tyle możesz wiedzieć ponad to, co już wiesz. Informacje na mój temat nie są tajne. Nie bronię ci wypytywać o mnie przy wódce, ale jeśli dowiesz się czegoś, co ci się nie spodoba, nie przychodź z tym do mnie. Zmyślne, mówię. Ale musi dotyczyć też ciebie. Oczywiście, że dotyczy. Tyle że to nie zakład, dodaję, raczej ultimatum. Nazwij sobie, jak

chcesz, uśmiecha się. Powiedz tylko, czy ci się podoba. To pomysł na performance?, pytam. Chcesz to opisać, nakręcić o nas film? Nie, mój ulubiony, utalentowany, o pięknych oczach i delikatnych rękach głupku, wręcz przeciwnie. Nie wymyśliłam dotąd nic, co bardziej chroniłoby prywatność, i moją, i osoby, z którą jestem. Przepraszam cię, parskam śmiechem, ale to brzmi jak z kiepskiego filmu. Nawrócona prostytutka nie chce, by ukochany odkrył jej fach, coś w tym stylu. Nie odpowiadam za twoje skojarzenia, uśmiecha się Julia. Nie mam mrocznych sekretów, ty raczej też nie. Nie o to tu chodzi. Jesteśmy, zdaje się, z dość różnych światów. Nie chcę, byśmy wciągali je do naszego życia. Jeśli któremuś z nas przyjdzie na to ochota, uznaj to za znak, że sobie nie wystarczamy. To wszystko.

Waham się krótko, przez mgnienie oka. Kiwam głową. Zapamiętam to, mówię.

Akt

Pierwsza moja tempera, nie próbka, tych napaćkałem mnóstwo, nie zaliczenie, tylko prawdziwa tempera, przedstawiała Urszulę. Nie zawiozłem jej do Poznania. Najpierw musiała wyschnąć. Po pół roku sprawdziłem, czy jest już twarda, gotowa, by wstawić ją do garbusa kupionego z Łucją za wspólnie uskładane pieniądze, nie najlepszy wybór, bo żeby przewozić sprzęt i obrazy, musiałem wymontować przedni fotel. Gdy na powierzchni nie został ślad po paznokciu ani skrobnięciu nożykiem przy sygnaturze *R. Paw. 998*, wypolerowałem obraz flanelą, ale zamiast pakować, zastygłem z papierem, nożyczkami i sznurkiem w rękach, zagapiłem się. Nietknięty werniksem, pojaśniał przez te miesiące. Wiedziałem, że tak będzie, ale zdumiałem się, gdy porównałem go sobie na zdjęciu zrobionym po skończeniu pracy. Włosy rozsypane na ramionach miały kolor słomy, oczy rozbłkitniły się, zbladły żółcienie w sobótkowym wianku z nadwiślańskich kwiatów. Obrazu to jednak nie zepsuło. Niezrównane światło tempery wyjmowało Urszulę z ciemnego tła. Wyobraziłem sobie Ratajczyka, jak po swojemu marszczy czoło, słyszałem, jak mówi: no pięknie. Wyśmieją cię. Dziesięć lat pracy i będziesz malarzem. Przez chwilę widziałem obraz na wystawie dyplomowej. Nie, mruknąłem do siebie.

Powiedziałeś jej, że rezygnujesz?, spytała potem Łucja. Nie, wcale jej nie mówiłem, że zamierzam to komukolwiek pokazać. Ach. Namalowałeś to dla niej. Nie, dla siebie. Ona nie potrzebuje moich obrazów. Więc niech czeka, powiedziała. Tak. Niech czeka.

Bardziej jeszcze niż zachwyty Ratajczyka żałowałem tego, że obrazu nie zobaczy pani Weiss, do której chodziłem na kurs tempery. Po nachlapaniu stosów akwarel, zabazgraniu stu szkicowników na początku studiów mocowałem się z olejami i kląłem na daremność tej sprawy. Kleiste i mętne, ulepiono je z innej materii niż moje ręce i oczy. Ich światło biło z maźnięć rozbieloną farbą, z wypukłości impastów, nie z głębi. Może za późno zacząłem, myślałem, Stefan za długo rozwadniał mój talent w akwarelach. Snułem się po muzeach, choć nie mogły nauczyć mnie więcej niż bolechowski pałac, i nie pojmowałem, czemu to, co dotąd zdawało mi się szlachetne, w moich palcach staje się ułomne i brudne. Malowałem szybko, bez trudu, ale to też mnie męczyło, zbyt łatwo było poprawić błędy, zamazać od nowa, zapomnieć. Drażniło mnie to, co od maleńkości, gdy odrysowałem lirę z fałszywego Siemiradzkiego, wydawało mi się oczywiste: zgrzebność płótna, tłustość farb, gruby ślizg pędzla. Do diabła z olejem, myślałem. Na jakiś czas w ogóle przestałem malować.

Po zajęciach u Weissowej spodziewałem się antykwarycznej nudy, ale w ciągu paru spotkań konserwatorka o precyzyjnych i pokornych ruchach przemieniła mnie. Kopiowaliśmy ikony, malowidła gotyckie, fragmenty ołtarzy. Wszystko robiliśmy sami: przygotowaliśmy deski, przeklejaliśmy je tak, jak kazały badania oryginału, gotowaliśmy zaprawy według starych receptur, sporządzaliśmy farby z pigmentów tartych w moździerzach i własnoręcznie mieszanych spoiw. Nie używaliśmy farb w tubach, pilśni, syntetycznych pędzli. Malowaliśmy temperą, starodawną techniką, którą przed pięciuset laty wyparły oleje, prostsze i szybsze w użyciu. Doszedłem do przekonania, że piękno, które Stefan nauczył mnie widzieć w malarstwie olejnym, znalazło się w nim nie dzięki technice, ale mimo niej. Gdy spod moich rąk wychodziły oszlifowane do gładkości deski, gdy mieszałem pigment z wodą na gęstą pastę i rozrabiałem ją z żółtkową emulsją, a wreszcie, rzuciwszy na deskę szkic, leciutki, bo tempera nie kryje do końca, w przepisanej kolejności nanosiłem warstwy farby, od podmalówki po szrafowane cienkim kałankiem szczegóły, i gdy widziałem, że moja ręka nie zostawia innego śladu niż łagodny, półmatowy, lecz rozświetlony z jakiejś tajemnej głębi kolor, tyle że trzeba robić to z nieosiągalną, sądziłem najpierw, pewnością ruchów, bo jajowe spoiwo schnie szybko i nie daje czasu na zastanowienie, czułem, że wtajemniczam się w alchemię, przy której malowanie olejami jest paćkaniem się w błocie. Rzuciłem się na dawne podręczniki i instrukcje, było ich jednak niewiele, a co gorsza, technik temperowych było mnóstwo, każdy miał wypracowane własnym przemysłem składniki, proporcje, sekrety. Piętnastowieczną *Rzecz o malarstwie* Cenniniego znałem na wrywkę. Przeszedłem kurs angielskiego nad książką historyka Thompsona, niedostępną w bibliotece, pożyczoną dla mnie przez Weissową od dziekana. Ślęczałem nad albumami sztuki gotyckiej, reprodukcjami van Eycków, były to jednak tempery żywiczno-olejne, zepsute, za czystą uważałem tę żółtkową, Botticellego, Giotto. Cóż zresztą malarzowi po albumach. W wakacje po drugim roku wsiedliśmy z Łucją w garbusa i przez dwa tygodnie turkotaliśmy się po muzeach, kościołach, oglądaliśmy portrety, sceny biblijne, ołtarze. Zapatrzyłem się na nie, zaczarowany światłem bijącym spoza wieków.

Wcześniej unurzany w żółtkach oznajmiłem Weissowej, że zdam zaliczenie w zerowym terminie. Oblałem. Mój drogi, powiedziała, gorliwców muszę oceniać ostrzej, by się nie zapędzili i nie pogubili. Uparłeś się przy najsurowszej recepturze, a to, co najsurowsze, bywa najtrudniejsze. Jeśli ci spieszno, zapomnij o temperze. Zamierzasz tylko kopiować? Nie, odparłem, chcę być malarzem, nie muzealnikiem. Więc naucz się skupienia i cierpliwości.

Malowanie temperą to budowanie warstwa po warstwie. Tempera pokazuje, że nie możesz mieć wszystkiego od razu. Wydaje się lekka, a jest odporna. Kolor w niej nie blaknie, światło nie gaśnie, czystość trwa. Tempera przechowuje w sobie masę czasu, i twojego, i tego, który przyjdzie po tobie, pod warunkiem że wykonasz ją jak należy, no i że twoje obrazy nie spłoną w jakiejś pożodze, na którą może i się nie zanoszą, ale któż to właściwie może wiedzieć. Tempera to powściągliwa technika, dla tych, co lubią stałość i nie muszą krzyczeć, by powiedzieć coś ważnego. Zastanów się też, po co chcesz malować. Czy chcesz coś oddać, czy zachować. Jeśli wolisz wydawać, wyrzucać, maluj olejem. Jeśli chcesz coś upamiętnić, delikatne, ale mocne, trwalsze, niż się wydaje, maluj temperą. Popraw i przyjdź w czerwcu.

Ratajczyk, dobry malarz olejny, mocny kolorysta, skwitował to zwięźle. A maluj, jak sobie tam. Tempera. Noś wymyślił. Narobisz się, a efekt niepewny. Ale zobaczymy. Ja tu nie jestem od tego, by was zniechęcać.

Przyjeżdżałem do Bolechowa na każde wakacje. Wysiadałem z warkotliwego garbusa z huczącą głową, na drżących nogach, po dziesięciu godzinach turlania się po rozprażonych szosach. Otrząsałem się ze skwarnej czerni miasta, zmywałem z siebie cudzy wzrok, szybką wódkę, miałkie słowa, dotyk przypadkowych rąk. Kładłem się na trawie, patrzyłem w niebo, mościłem w sobie miejsce na gałązki jeżyn, kępy trawy obrastające omszały pniak w wąwozie, pylny grys alejek, węzlastą korę akacji, szpic pałacowej wieży wtopiony w ultramarynę wieczoru. Spowalniałem oddech, aż dostroił się do tchnienia parku, i dziwiłem się, że taka powolność jest możliwa. Za każdym razem od nowa uczyłem się przebierać palcami w ciszy, oddzielać jej ziarna: wrzaski kogutów w schodzącej ku Brzeźnie gospodarskiej części wsi, pokrzykiwanie chłopaków na boisku, gderanie traktorów na polach i to, co od świtu do zmroku wypełniało pustkę między tymi ziarnami: brzęczenie owadów, szelest liści, ćwirgot ptaków, cały ten miałki pył lata.

Bolechów wydawał się cichszy niż kiedyś. Bo przecież jest cichszy, prychnęła Łucja. Paru z pegeeru wyjechało do Niemiec, do Francji, do Szwecji. Przejdź się, zobaczysz. Myślisz, że czyimi dziećmi się zajmuję? Szedłem, patrzyłem. Wioska zawsze była przecięta na pół, ale teraz to cięcie raziło, bo połowa pegeerowska była pustką i rdzą. Nieremontowane bloki marniały, część domów stała zamknięta na głucho, stołówka zmieniała się w świetlicę, ale na jej drzwiach szybko zawisła kłódka, a jedno z wielkich okien było trzaśnięte rysą na pół. Nie wszedłem do pegeeru, choć nie musiałbym forsować zliszajonej bramy, wystarczyło przeleźć przez wyłamany

segment betonowego płotu, ścieżką zbieraczy złomu, którzy rozszabrowali hale i warsztaty. Młody Stec zostawił budynki na zmarnowanie, korzystał tylko z pól. Wieś stawała mi się obca, dręczyło mnie poczucie, że szukam wytchnienia w miejscu klęski. Wstydziłem się i swojego oddalenia, i tego wytchnienia, nieprawego, myślałem.

Z Łucją rozmawiałem mało, bo robiła za troje. Codzienne sprawy muzealne oddała w ręce pracowników, zatrudniała dwie osoby i przewodniczkę, bardziej pochłaniały ją inne zajęcia, na przykład z zapalem wyremontowała i przebudowała parter oficyny. Zlikwidowała pozostałości po Stefanowym niby-kinie, urządziła w nim świetlicę dla dzieciaków. Dwie inne sale przeznaczyła na czasowe wystawy. No proszę, do Bolechowa zawitała współczesność, podśmiewałem się, to chyba zwiastun końca świata, bo choć Łucja sprowadzała rzeczy dość oczywiste, Stefan zaperzyłby się na widok Gierowskiego czy Lebensteina w swoim muzeum. Podpowiadałem jej, co pokazać, co wypożyczyć, ale nie wtrącałem się, nabierała wprawy w kuratorowaniu. W porozumieniu z moim liceum zapoczątkowała w Bolechowie wakacyjne plenery plastyczne. Od czasu do czasu udostępniała park grupom folklorystycznym, teatrom aktorskim i lalkowym. Nie miałem pojęcia, gdzie je wynajdywała, pewnie w internecie, bo od kiedy wstawiła sobie do biura komputer, zachwycała się internetem, tyle że z początku każdą stronę drukowała i czytała na papierze. Poddasze oficyny, gdzie mieściły się pokoje gościnne, używane rzadko, przekształciła w maleńki pensjonat. Bolechów wypełniał się ludźmi.

Jeszcze więcej uwagi niż wystawom, plenerom, teatrom i koncertom Łucja poświęcała miejscowym dzieciakom. Przez całe lato urządziła zabawy, konkursy czytelnicze, warsztaty plastyczne, ambitne, musiałem przyznać, z ocenami, punktami, nagrodami, które sama fundowała. Z początku bałem się, że i mnie wprzęgnie do tej roboty, pokazywała mi prace i pytała o ocenę, prosiła, bym udostępnił swoje, czasem zapraszała na zajęcia jako fachowca, mimo wszystko jednak trzymała mnie odrobinę z dala. Jak kiedyś Stefan, zakreślała na pałacowym wzgórzu własne państwko, w którym zamierzała rządzić sama.

Przyjeżdżałem do Bolechowa malować tempery. U stolarza Kornackiego zamawiałem deski lipowe. Nigdy nie przyciął mi ich dokładnie według wskazówek, dlatego moje obrazy, choć umyśliłem sobie całą serię odmierzoną co do centymetra, wyobrażałem sobie, jak wiszą w galerii, równiutkie, ascezą wymiarów dorównujące abstrakcjom Gierowskiego, cudacznie różniły się od siebie. Kornacki ciął, jak mu wyszło, ale nie skarżyłem się, bo jego deski były najgładsze na świecie i bezbłędnie sklejone. Do sklepu przy placu, w którym niewiele było prócz

chleba, piwa i konserw, chodziłem po jajka do farb. Któregoś razu przeszło mi przez głowę nie tyle nawet pytanie, czy naprawdę muszę je tam kupować, ile przypomnienie czegoś dawnego, przygłuszonego gwarem. Podsunęła mi je Łucja, gdy rzuciła mimochodem, między urywkowymi opowieściami o tym, co się dzieje w wiosce, nieczęstymi, niechętnymi, a ja, co zdarzało mi się po przyjeździe, słuchałem jej jednym uchem i wychwyciłem tylko ostatnie słowa: od kiedy jeździ do pracy, nie, już wcześniej, gdy jeszcze się uczyła. Tylko kury kazała sobie zostawić.

Postać Urszuli widziałem wtopioną w krajobraz późnego dzieciństwa, sielski, ale podbiegły mrokiem, malowany jaskrawą akwarelą, do której wpadła kropla krwi. Kiedyś, myślałem, mogła powstać między nami zgęstka czegoś trwałego, brakło może paru słów, ruchu ręki, śmielszego spojrzenia, ale przecież, tłumaczyłem sobie, wszystko potoczyło się torem, którego się nie wybiera, nie w takim kocięcym wieku. Nie umiałem już spod tego, co naopowiadało mi miasto, najpierw jedno, potem drugie, wydobyć jej takiej jak wtedy, pędzącej z jednej roboty do drugiej, w zaplamionym fartuchu, z nieporządnie zaplecionymi włosami. Od dawna widywaliśmy się tylko w przelocie, jak na pogrzebie Świerkuli, ciekawsko spostrzegaliśmy szczuplejące rysy twarzy, zaokrąglanie się ramion i ud, coraz większą głębię oczu i coraz ciemniejszy w nich blask, zamienialiśmy po parę słów, w których czujnie trzymaliśmy się wspólnego bolechowskiego gruntu, coraz niklejszego, pustszego, rozstawaliśmy się na pół roku i czekaliśmy oboje, aż zgaśnie w nas to, co rozblęzło na chwilę, pośrednie między żarem i żalem. Jedyne od Łucji dowiadywałem się, jak toczy się jej życie: że po liceum pielęgniarstwie, do którego dostała się, nie wątpiłem, dzięki jej pomocy, zdała do pomaturalnej szkoły medycznej w Lublinie i wyuczyła się na fizjoterapeutkę. Chciała iść na studia, ale, mówiła, więcej nie wytargowała, a gdy Łucja spytała: z nim? Odparła: z sobą. Opiekę Łucji zachowała w pamięci, choć nigdy ani słowem jej nie podziękowała. Nie miałem pojęcia, o czym rozmawiają. W napadach nie wiedzieć skąd wyklutej zazdrości roiłem sobie, że o mnie, ale przecież o moim poznańskim życiu obie wiedziały tyle co nic. Mój fach Urszuli nie interesował, byłem pewien, a resztę zostawiałem w mieście. Łucja pytała czasem, czy spotykam się z kimś. Mhm, mówiłem. Z taką. Czasem dodawałem imię, rzadziej jeszcze: plastyczką, rzeźbiarką, z mojego roku, ładną. Łucja przyjmowała odpowiedź w milczeniu, nie pytała więcej, ale czułem, bardziej niż widziałem, bo oczy wbijałem w ścianę lub stół, jak mierzy mnie przeciągłym spojrzeniem.

Nogi poniosły mnie naokoło, znów nie przez bramę, tylko od strony wzgórza. Jak

dawniej zeskoczyłem ze skarpy, ruszyłem przez sad. Między jabłoniami coś myknęło, nie kuropatwa, trzmiel ani mysz, coś lotniejszego niż powietrze, strzępek ruchu, koloru, rozwiało się po półchwili. Gospodarstwo z oddali wydawało się nietknięte przez czas, ale gdy dotarłem przez ogród pod tylną furtkę, uderzyła mnie nie cisza, nie było cicho, warsztat kamieniarski stukotał i burczał po swojemu, ale gęstniejąca pustka. Chlewik zmienił się w składzik rupieci, obora była zamknięta na zardzewiałą kłódkę, na całym podwórzu bujniła się trawa, na pewno ścinana, w uchylonych wrotach stodoły dostrzegłem ostrze wiszącej kosy, ale wyższa niż kiedyś, zieleńsza, mniej deptana. Pod ścianami budynków mościły się kępy pominiętych w koście chwastów, szybki w oknach powlekała szarosina błona. Tylko warsztat wrzał życiem, w półotwartych drzwiach widziałem sylwetki kamieniarzy, i beżowo-czerwone pierzowisko kur w ogrodzonym kącie podwórza.

Moja ręka zawahała się przez mgnienie oka nad furtką, potem pchnęła ją, wszedłem. Z warsztatu błysnęło spojrzenie Franciszka. Siedział w taki sposób, że widział bramę, studnię, wejście do domu. Drgnąłem, nieproszony, może niechciany gość. Ukłoniłem się. Odprowadził mnie wzrokiem. Urszula musiała spoglądać przez okno, bo nim zdążyłem zapukać, stanęła w drzwiach sieni.

Nie wiedziałem, czy cię zastanę, bąknąłem. Spojrzała na siatkę z wytłaczankami, którą trzymałem w ręku, i poczułem, że głupio się usprawiedliwiam, sam nie wiedziałem z czego. W piątki zawsze jestem w domu, odparła, potem spytała z niedowierzaniem: przyszedłeś do mnie po jajka? Skinąłem głową. Mam tylko takie od kury miastowej, palnąłem, o żółtkach bledszych od tych, które niosą kokosze wiejskie lub z willi i które są dobre przez swoją czerwień do rozrabiania karnacji starców i śniadych. Tak pisał Cennini. Poczułem, że w tej chwili coś się waży, nie wiedziałem co, zląkłem się. Urszula parsknęła śmiechem. Malujesz jajkami? Starców i śniadych? Skinąłem głową. Może namaluję Świerkulę.

Z ociąganiem zgodziła się na spacer. Poszliśmy nad Wisłę zakrzaczonym szlakiem, krokiem pełnym zakłopotania. Jak on się czuje?, skinąłem w stronę gospodarstwa. Daje sobie radę, odparła z wahaniem. Ale chcę mieć na niego oko. Mieszkasz w Lublinie? Aha. Chcę wrócić tu, ale muszę znaleźć bliżej robotę. I uskładać na samochód. Po co chcesz wrócić? Milczała. Pracujesz w szpitalu? Nie tylko. Rehabilitacja, zabiegi, masaże. To nie masz lżej niż kiedyś. Wzruszyła ramionami. W prywatnych firmach da się zarobić. Wspięliśmy się na wał, ale nie poszliśmy dalej, usiedliśmy na skraju, o półkrok od siebie, jak kiedyś, gdy robiłem dziecięce

jeszcze rysunki. Rozmowa to rozchylała się, to kuliła w sobie. W długich pauzach gapiliśmy się w rozsrebrzoną Wisłę. Siedzieliśmy niespokojnie, zerkaliśmy na siebie kątem oka. Urszula nie zadała mi najdrobniejszego pytania. Pomyślałem o moim warsztacie w kącie, o temperach, które chciałem namalować, o stosie rysunków i próbnych akwarelach Świerkuli, które zdążyłem zrobić przed jego śmiercią. O jajkach miejskich i wiejskich. Namalowałbym cię, powiedziałem cicho. Zmierzyła mnie wzrokiem nie dziewczęcym, nawet nie dorosłym, lecz jeszcze dalszym, rozumniejszym. Gdy wróciliśmy, wzięła wytłaczanki, które zostawiłem na studni, przyniosła dwanaście jajek i skinęła głową.

Spytałem, kiedy ma czas. Nie wiem, odpowiedziała, lecz nie odmówiła. Zajrzałem przy następnym przyjeździe i jeszcze następnym, ze szkicownikiem pod pachą i ołówkami w pudełku po karmelkach „Glorja”, i dziwnie ciążyły mi te rzeczy, a gdy wreszcie nie odprawiła mnie, że mam przyjść jutro, bo ma furę prania z całego tygodnia i dom do wysprzątania, tylko powitała mnie bez słowa, na chwilę zniknęła w domu, wróciła przebrana, zdjęła fartuch, włożyła szary sweter, zmieniła poprzecierane spodnie na domową spódnicę i upięła staranniej włosy, a potem ruszyła przez ogród ku szczytowi wzgórza, uczułem, właściwie nawet nie tyle uczułem dopiero teraz, ile zrozumiałem to, co światało mi już przed laty, że jestem obcy, jej, im obojgu, gospodarstwu skupionemu niestrudzenie na swojej robocie, stale ważącemu siły, szanse, nadzieje. Może dlatego wstępne szkice i akwarele, robione przecież ręką wyszkoloną, o wiele zręczniejszą niż kiedykolwiek, a mimo to onieśmiałą, przedstawiały ją pokornie, znać w nich było wstyd pięknoducha. Urszula omijała mnie wzrokiem, nawet gdy mówiłem: patrz bliżej, nie na mnie, po prostu bliżej, nad moim ramieniem, wytrzymała tylko przez chwilę, oczy jej uciekały. Spytałem: czego się wstydzisz? I powstydzilem się tego pytania, bo odwinęła mi się spojrzeniem pełnym urazy. Spytałem też, czy nie mogłaby stanąć gdzieś na podwórzu, miałem na końcu języka: lub w domu, ale rozmyśliłem się, i dobrze, bo zaciekle pokręciła głową i bałem się, że ją spłoszę. Miałem wrażenie, że wracamy do siebie z daleka i zmierzamy w niepojętą stronę. Spotkaliśmy się trzy razy. Wystarczy, powiedziałem w końcu, gdy zabazgrałem parędziesiąt kartek. Teraz kolej na jajka?, spytała. Mhm, odparłem. Za jakiś czas będziesz mi potrzebna. Ale maluję u siebie w pokoju. O dziwo, nie mam tu prawdziwej pracowni. Wahała się przez chwilę. Spytałem go. O co? O chałupę w wąwozie. Stoi pusta. On nie będzie tam nic robił? E, skąd. Niby kiedy. Zresztą nie, nie spytałem. Po prostu powiem. Następnego dnia wręczyła mi klucze. Nasprzątasz się, powiedziała. Od piętnastu lat nikt tam nie wchodził. I nie ma prądu ani wody.

Przez dwa dni doprowadzałem chałupkę do użytku. Była ciasna, bez sieni, z podwórza wchodziło się wprost do izby z glinianym piecem, w której dawniej toczyło się życie, osobno była tylko spiżarnia. Na szczęście ktoś już w powojennych czasach, może Gawała, zapragnął więcej światła niż w zwykłej wiejskiej chacie i poszerzył jedno okno, inaczej byłoby tam zbyt ciemno do malowania. W środku stały dwa krzesła i stół, stara szafa, podniszczony kufer, pokryte siwizną nieruchomych lat. Zamiatalem okutany po same oczy, bo kurz żarł aż do płuc, wycierałem mokrymi szmatami, otwierałem i myłem okna. Razem z parkowym ogrodnikiem przyturkotaliśmy na wózku sztalugę i niewielką półkę, resztę przynosiłem sam, pędzle, farby, słóiczki, paletę, wiadra. Przed domem była studnia, łąpała okiem wody, ale zmętniałym, a oczyścić ją mógłby tylko Franciszek lub ktoś z wioski, pogodziłem się więc, że będę taszczył wodę z domu, razem z gotowymi podobraziami.

Umordowany sprzątaniami, długo stałem w wybluszczonym oknie. Chata znajdowała się nisko, ale spoglądała tym oknem ku północy, co obiecywało mocne światło o najlepszej porze dnia. Było to dziwne miejsce, ukryte przed wzrokiem patrzącym i z jednego, i z drugiego wzgórza. Następne dni przesiedziałem w rządcówce, w kuchni, która w takich razach przemieniała się w warsztat, i majstrowałem podobrazie. Lipowe twardele Kornacki złączył w deskę o wymiarach dziewięćdziesiąt dwa na siedemdziesiąt trzy centymetry, całość usztywnił szponami. Namoczyłem klej skórny w perełkach, podobnych do drobin bursztynu, wrzuciłem do dwóch garów wody, zagotowałem gęsty roztwór. Gdy rankiem dziobałem kciukiem ściętą powierzchnię, woda klejowa otworzyła galaretowate wnętrze. Podgrzałem ją, aż na powrót zrobiła się płynna, umoczyłem w niej czystą szczotkę do butów, miarowymi ruchami przekleiłem deskę. Do porcji w drugim garze dolałem pokostu, przez drobnooki durszlak przesiałem sproszkowaną kredę i pigment. Jeszcze ciepłą zaprawę, lejącą się biało, okrężnie nakładałem gąbkowym pędzlem. Nazajutrz rano zagruntowane podobrazie jaśniało matową bielą kredy i cynku. Było podobne do płyty marmuru, tak czyste, że choć prosiło o dotyk pędzla, zarazem chciało pozostać dziewicze, ostrzeżało, że nie tylko błędny, lecz wszelki ślad na powierzchni będzie skazą, milcząco domagało się ręki pewnej, ale delikatnej, pełnej szacunku dla niego, dla samej siebie, dla tego, co zamierza malować. Tak będzie, szeptałem, obiecuję, jeszcze chwila. Wyszlifowałem białą powierzchnię pumeksem, potem kolistymi ruchami wypolerowałem do gładkości bawełną.

Ostrożnie, zawinięte w ręczniki, zaniósłem podobrazie do chałupki, do pracowni, jak już

nazywałem ją w myślach, postawiłem na sztaludze. Przejrzałem szkice, próbne akwarele. Urszulę miałem odrysowaną w parunastu miejscach ogrodu i na stoku kamieniarskiego wzgórza na skraju wąwozu, nawet na wale, rzadko całą sylwetkę, częściej od pasa, od piersi, czasem samą głowę, raz same ręce, te ręce zresztą i tak były dobrze widoczne na każdym szkicu, od razu przychwyciły mój wzrok i nie puściły go już. Długo wmyślałem się w te studia. Brałem to ołówki, to węgiel, i punkcikami, nikłymi, by szkic nie przebiegał potem przez warstwy lekkiej farby, rozrysowywałem, co chcę namalować. Szło mi opornie. Nie umiałem wtopić Urszuli w pejzaż ogrodu, wąwozu, we wczesnowiosenne zielenie i beże, w błady błękit nieba. Zdawało mi się, że coś utraciłem, ale nie było to smutne uczucie, przeciwnie, podbiegłe chytrą radością. Zagapiałem się w okno. Od rządcówki, Łucji, pałacu oddzielał mnie wąwóz i lasek, od Franciszka jego kamienna obojętność na moje sprawy, mimo że siedziałem w jego chatce, od Poznania i akademii granica, którą zaczęła już kreślić ręka anioła dziwnych przypadków. Przypomniały mi się baśnie, których bohaterowie wchodzili w zakłute miejsca, bawili w nich niedługo, dzień, miesiąc, rok, lecz po wyjściu nie poznawali świata, a w rodzinnej wiosce pamiętali ich tylko staruszkowie, bo w rzeczywistości upłynęły dziesięciolecia. Wreszcie obraz zarysował mi się przed oczyma. Wodnistą akwarelą zaznaczyłem kontur. Nie chciało mi się kłaść imprimitury, zrobiłem od razu podmalówkę, potem położyłem pierwsze warstwy malarskie, ustawiłem światła i cienie, wypełniłem tło. Zaczynał się czerwiec, gdy naokoło, od wzgórza, tylną furtką poszedłem do Urszuli. Przyjdź jutro rano, powiedziałem.

Zostawiłem uchylone drzwi. Zjawiła się bez pukania. Mam robotę, powiedziała. Rzuć ją, potrzebujemy czasu. Nie możesz malować z tego?, wskazała na szkice. Pokręciłem głową. To prawdziwy portret. Musisz mi pozować. Inaczej nie namaluję dokładnie ubrania, twarzy, wyrazu oczu. Rozejrzała się po izbie. Jesteś tu już zupełnie u siebie. Popatrzyłem w ślad za jej wzrokiem i aż szerzej otworzyły mi się oczy. Wnętrze chałupki wydawało mi się dotąd ledwie tknięte moją ręką, czułem, że tylko przycupnąłem na skraju cudzej wysepki, ale teraz ujrzałem je naprawdę. Izba była obwieszona szkicami, poprzyczepianymi przy oknie, na piecu, wokół sztalugi, i zdjęciami, którymi pomagałem sobie przy malowaniu, dobranymi na chybił trafił, z pegeerem, gospodarstwem Świerkuli, nadrzecznymi łąkami. W kątach stały graty przytасzczone z rządcówki, kuchenny taboret, stojak na płaszcze, mniej wartościowe bibeloty, zużyte narzędzia domowe i ogrodnicze. Na ścianie wisiało zmatowiałe kryształowe lustro w dębowej ramie, które Stefan kupił w antykwariacie, ale nie zdążył oddać go do polerowania. Przy piecu stał uschnięty

krzak róży wyrzucony na śmietnik przez ogrodnika, okienną ramę zdobiły gałązki leszczyny, na parapecie wędło zeszłoroczne jabłko. Znałony tymi śladami działania nie do końca mojej ręki odsłoniłem obraz, portret z ciemnym tłem, z oczyma patrzącymi w bok, rękoma złożonymi na kolanach, włosami zaplecionymi w warkocze. Potrzebował mnóstwa pracy. Karnację ledwie zaznaczyłem, ubraniu brakowało detali, kolory były zgrzebne, nienasycone.

Siedziała na krześle przy oknie, gdy przygotowywałem farby, skupiony nad paletą czułem, że jej obecność wypełnia pracownię ciepłym prądem. Na stole tęczył się szereg słoiczków z pigmentami, żółcieniami, sjenami i umbrami, czerwienią chromową, cynobrem, ziemiami, kobaltami, bielami, czernią żelazową, błękitnymi i zielonymi ultramarynami. Wziąłem jajko, rozbiłem skorupkę o brzeg kubka, odlałem białko, żółtko przelewałem lepko na dłoni, aż odśliżyło się od resztek białka, wtedy nakłułem je czubkiem noża i delikatnie chwyciwszy w dwa palce jego cienką, ledwie wyczuwalną skórkę, zlałem płynne wnętrze do miseczki. Sypnąłem kilka kolorów do osobnych wgłębień palety, dolałem wody, poucierałem gładkie pasty. Do żółtka nalałem wody i odrobinę piwa z otwartej dzień wcześniej butelki, wymieszałem starannie. Namoczone pigmenty nakładałem nożykiem na paletę, wkapywałem do nich żółtkowo-wodno-piwną emulsję, ucierałem barwne masy, kleiste, ale nietłuste, lekkie.

Podniosłem wzrok. Wyprostuj się trochę, poleciałem, przekręć głowę ku oknu. Nie tak. Podszedłem do niej. Drżącymi rękoma, tak nieśmiało, że ledwie to czułem, miałem wrażenie, że nie dotykam jej ciała, tylko otulającą je błonę powietrza, ustawiłem plecy, ręce, głowę, czoło, podbródek. Potem miękkimi pędzlami muskałem twarz, jak kazał Cennini, mógłbym powtórzyć z pamięci jego instrukcję, podmalowawszy od spodu ziemią zieloną, przebiegałem cynobrem z bielą po wargach i rumianych policzkach, trzema odcieniami cielistego wydobywałem wypukłości, rozwiewałem przejścia od jednego w drugi, szukałem półświatła, schodziłem ku głębiom cieni w okolach oczu, czystą bielą ołowiową kładłem bliki nad łukami brwi, po wierzchu nosa, ucha, powiek, obwodziłem czernią oczy, jasnym ugrem z bielą świętojańską barwiłem włosy. Rękę miałem pewniejszą z każdą warstwą, z każdym dniem, nie mogłem przecież kłaść więcej niż dwu warstw dziennie, nim więc skończyłem, lato było w pełni. Pochłonięty pracą, nie umiałem powiedzieć, ile razy usadzałem ją przy oknie, choć pamiętała już, jak ustawić plecy, jak złożyć ręce, pod jakim kątem obrócić głowę, w który punkt za oknem skierować wzrok. Pod koniec włożyłem jej na włosy sobótkowy wianek, który znalazłem na wale, pozostałość po koncercie zaproszonej przez Łucję kapeli ludowej spod ukraińskiej granicy. Z początku Urszula

przychodziła z ociąganiem, potem chętniej. Ani razu, choć mogła, nie spojrzała na obraz, póki któregoś dnia nie oznajmiłem: no, powiedzmy, że gotowe. Zamknąłeś mnie, stwierdziła, popatrzysz na siebie, oświetloną światłem bez źródła, i na tło, którym była ściana chałupki, poczerniona, bez zdjęć, szkiców, gałęzi, wpiętych pinezek, ale łatwa do rozpoznania dzięki siatce szrafowanych starannie spękań i rys. Chyba rzeczywiście musiałem ją zamknąć, by namalować jej prawdziwy portret. Czułem też, że co prawda podczas tych spotkań mówiliśmy niewiele, ale tempera, narzucająca malarzowi własną miarę czasu, powiedziała mi o niej więcej, niż dowiedziałbym się z gawędzeń na wale. Wmyślałem się w jej włosy, do pracy zaplatane w warkocze, nie po miejsku, choć przecież mieszkała i pracowała w mieście, może po prostu po wiejsku, po dawnemu, bardziej chyba jednak, co wyjaśniła parę lat później opowieść Łucji, tkwiącą w palcach pamięcią zwyczajów wschodnich. Wmyślałem się w oczy, ciut za mocno maźnięte błękitem, w rzeczywistości bledsze niż u Franciszka, lekko powleczone stałą, może po Hannie, i przyszło mi do głowy, a kiedyś potwierdziła to mimochodem sama, że pewnie jeździ do niej pod Kielce, jak dawniej zapowiedziała, choć musiało upłynąć parę lat, nim odważyła się krzyknąć do Franciszka: albo pozwolisz mi odwiedzić matkę i siostrę, albo zostawię cię samego i więcej mnie nie zobaczysz. Wmyślałem się w usta o szerokich, bladych wargach, w gniewie zawijające się do środka, z kącikami, które przy uśmiechu ściągały się w dół, przez co wydawały się drwiące, i przyszła mi myśl, której ona nie potwierdziłaby nigdy, ale prawie upewniłem się w niej parę lat później, gdy przekazałem jej wieść, a ona poszła ośleptym krokiem nad Wisłę, przyszła mi właśnie wtedy, gdy na tym pierwszym temperowym portrecie cieniowałem usta, że może ich skłonność do zaciskania się w gniewie i drwiącego na pozór uśmiechu to przyczyny, a może skutki, na jedno wychodziło, jej samotności. Wmyślałem się w ręce cierpliwie splecione na kolanach, ceniące spokój, bo spokój oznaczał odpoczynek, w przeciwieństwie do moich, nieznających odpoczynku, bo nieznających roboty, ręce gładsze niż kiedyś, bo oddalone już od kanciastej maszynerii gospodarstwa, a przy tym, o czym przekonałem się parę lat później, gdy ujrzałem je przy zabiegach, wytrenowane i silne, z palcami o przyciętych równo paznokciach, bo przecież dotykała nimi pacjentów, oglądali je z bliska, pamiętali ich dotyk, znali ich kształt, lepiej, niż ja znałem dotąd, mimo że rysowałem je tak wiele razy.

Tempera nie była doskonała, przyznałbym rację Weissowej i Ratajczykowi, że czekają mnie jeszcze lata pracy, ale coś mi mówiło: tak, podobnie jak potem powiedziało: nie, gdy zastanawiałem się, czy zawieźć ją do Poznania. Przychodziłem do niej jeszcze do końca lata.

Z początku nie śmiałem prosić o kolejne pozowanie, aż kiedyś po deszczach ujrzałem na podłodze pracowni wałeczki ziemi układające się w odcisk jej trzewika, dowód na to, że pod moją nieobecność wkradała się i oglądała portret schnący przy ścianie. Spotykaliśmy się, ilekroć przyjeżdżała z Lublina, jesienią, zimą, w następnym roku i jeszcze następnym. Z początku pozowała mi w pracowni, zwykle spokojna, choć spod tego spokoju przebijał nerw, że czekają na nią obowiązki. Do końca studiów namalowałem jej jeszcze dwa takie obrazy i paręnaście porządnie wykończonych akwarel. Tempery odstawiałem pod ścianę pracowni, a na zimę przynosiłem do domu, akwarele chowałem do teczek. Nie zastanawiałem się, czemu nie zawożę ich do Poznania, ona nigdy nie pytała, co z nimi zrobię.

Tamtego pierwszego temperowego lata malowałem nie tylko Urszulę, ale także wszystko dokoła. Środkiem tych krążeń, choć leżała na granicy terenu, który miałem za swój, właściwie poza nią, była pracownia. Czułem, że od śmierci Stefana ziemia przesuwa mi się pod stopami i znosi mnie coraz dalej od pałacu, nie tylko do miast, najpierw do Sandomierza, potem do Poznania, ale i tu, w Bolechowie, przez rządcówkę za wąwóz, do chałupki Franciszka. Gdy skończyłem pierwszy portret Urszuli i przybiegłem do Łucji ze słowami: skończyłem, chodź, zobacz, na chwilę wstrzymała ten ruch: nie pójdę. Czemu? Za blisko. Co ty pleciesz? Za blisko czego? Przynieś mi ją, ucięła. Gdy przyniosłem, uśmiechnęła się: radzisz sobie. Chyba tak, odparłem. Teraz chcę ciebie. Milczała, więc dodałem: no dobra, nie musimy tam, jeśli nie chcesz. Namaluję cię tu, w domu. Taki zresztą mam pomysł. Sparafrazuję obraz, który masz nad łóżkiem. On już jest nieaktualny, zaśmiała się. Wiem, powiedziałem.

Kobietę przy oknie Oda Dobrowolskiego Stefan wypożyczył kiedyś z poznańskiego Narodowego. Łucja długo przesiadywała potem przed tym obrazem w pałacu. Trzynastoletni smyk, marzyłem, by zrobić kopię, rzecz niemożliwa i wtedy, i potem, nigdy nie nauczyłem się dobrze kopiować, tym bardziej jednak rozżaliło mnie, że na ten sam pomysł wpadł Stefan i obraz skopiował zamówiony malarz z Warszawy. Łucja przyjęła prezent z rezerwą, dopiero potem zrozumiałem, że ten ciemny portret kobiety tęsknie wyglądającej na świat mógł wydać jej się ironiczny, gdy przyjmowała go z rąk Stefana. Powiesiła go jednak na ścianie, musiała więc być wdzięczna, bo prezenty, w których wyczuła ironię, a trochę ich było, ignorowała.

Odmalowałem Łucję w oknie pokoju, jak swoją postać Dobrowolski, tyle że zamiast melancholii przydałem jej energii. Pracowałem w chałupce, dopiero pod koniec przytargałem do rządcówki sztalugę, taboret, stół z paletą, farbami. By zmieścić to wszystko w jej pokoju,

musiałem wynieść fotel i odsunąć łóżko. Malowałem przy oknie, bo pokój i tak zaciemniały rosnące blisko drzewa, ale przyjąłem taką perspektywę, że widz patrzył na Łucję bardziej z głębi, spod zamkniętych na głucho drzwi do pakamery. Jej postać pokazałem niespokojną, na brzeżku krzesła, z rękoma pogubionymi w pół ruchu. Pokój odmalowałem bez szczegółów, pełen raczej kształtów niż przedmiotów, niedomyślany, zdawało się, że jej nie chce, a może ona nie chce jego, woli być gdzie indziej, w parku, pałacu, urządzonej po swojemu oficynie, gdzie miała tyle zajęć. Twarz, jak Dobrowolski, mocno obróciłem, nie było widać oczu. Chwalono mnie potem za tę ich niewidoczność, ja odpowiadałem, że po prostu byłem wierny pierwowzorowi, ale tak naprawdę podczas pozowań to tempera kazała mi uchylić się od spojrzenia Łucji. Odwróciłem jej oczy, by ukryć przed nimi załomy mojego poznańskiego życia, sam nie wiem jakie, może przyszłe, których się nie domyślałem. Dzięki temperze poczułem, że jeszcze mocniej chcę, byśmy ukryli się każde w swoim półcieniu.

Trzecią temperę zacząłem malować z rozpędu po drugiej i zrobiłem z nich niemal pendant, przypilnowałem nawet Kornackiego, by przyciął mi deskę w tych samych wymiarach. Mogłem ją sprzedać na jednej z pierwszych moich dużych wystaw w krakowskim Bunkrze Sztuki, ale Julia powiesiła ją nad materacem w Zakładzie, a na pytanie, jak bardzo ją lubi, odpowiadała, że na tyle, by za kilka lat sprzedać ją dziesięć razy drożej. I tak się stało, kupił ją pierwszy prawdziwy kolekcjoner mojego malarstwa, gdy miałem już za sobą biennale w Wenecji i São Paulo, wystawy w Wiedniu, Londynie i parunastu innych miejscach Europy. Przedstawiała widok z okna, tyle że mojego, wypełniony oddechem wczesnej wiosny. Nie było już tam żadnych przedmiotów, nawet w zarysie, tylko pustka wnęki, parapetu, za oknem ścieżka i rozbielona zieleń trawy, pnie drzew, w pokoju także miejsce z boku, nie wypełnione, choć proszące o sylwetkę mieszkańca. Może właśnie jego nieobecność rozświetlała wnętrze. Temperze dałem tytuł *Autoportret*, Łucja zmieniła go na *Syn*, Julia skatalogowała ją jako *Ucieczka*.

Z okna namalowałem też, już po dyplomie, temperę o Stefanie. Nie ze Stefanem, tylko o nim, widok z jego pokoju na podwórze przed rządówką czy, poprawiłby mnie Stefan, na dziedziniec, wysypany grysem i okolony czarniawą ścianą świerków, rozbielony tym samym co na *Synu*, lecz mocniejszym światłem zniknięcia. Podpisałem ją *R. Paw. 001*, zatytułowałem *Hrabia*, rok później wystawiliśmy z Julią w Tate Modern i sprzedaliśmy za szesnaście tysięcy euro. Miałem mnóstwo naszkicowanych rzeczy po Stefanie, kapelusz i kaszkiet, płaszcz, laskę z główką w kształcie ptaka nielota, znoszone lakierki, fajkę, którą palił czasem dla fasonu,

wszystkie trafiały kolejno na obraz i kolejno je usuwałem, aż zostało to puste miejsce rozjaśnione spojrzeniami ich obu, po hrabiowsku nieśmiertelnymi.

Długo po tym, jak skłamałem Urszuli, że chcę malować Świerkulę, dotarłem wreszcie i do niego. Urszula wykraść z szuflady Franciszka klucze do Świerkulowego gospodarstwa i przez parę miesięcy niemal tam mieszkałem. Malowałem chałupę, krzywy płot, zapadające się kalenice, pyłne wnętrza stodoły, woreczki z ziołami cudem niezauważone przez myszy, rdzę na starej siekierze i kosie, płatawisko sieci, rozsychającą za domem skorupę pychówki, drugą łódź na poły zatopioną przy szczątkach pomostu nad Wisłą, wszystko we wszystkożernym ugrze, barwie ziemi upominającej się o swoje. Za serię pięciu temper i parunastu akwarel o Świerkuli wymieniłem garbusa na przestronnego forda kombi, wspólnie z Julią kupiłem mieszkanie i wykupiłem starzejącą się rządcówkę, gdy Muzeum Narodowe przestało uważać ją za część zespołu pałacowego i jeśli nawet nie zdecydowałiby się jej sprzedać, mogliby przestać płacić za jej utrzymanie i remonty.

Tak było przez kilka lat, wypełnionych ciemną, skrzącą się materią udanego życia. Karierę wywrócono mi bez pudła. Krótco po studiach moją temperę kupił niespodzianie ktoś anonimowy za czternaście tysięcy złotych. Byłem już po serii udanych wystaw, na których co prawda sprzedawałem, ale najwyżej po dwa, trzy tysiące. Wniebowzięta Julia stwierdziła, że ceny moich obrazów wystrzelą teraz w górę, i rzeczywiście, następne sprzedały się w Berlinie i Wiedniu za podobne kwoty, tyle że w euro. Przyjeżdżałem potem ze stypendiów, z biennale, targów, wernisaży, rozdygotany pochwałami, recenzjami, sumami, jakie płacono Julii za moje obrazy, zawiścią znajomych, całym tym gwałtem spełnianych marzeń, bo spełniane marzenia szybko przestaje się odczuwać jako własne, mówiłem Julii: znikam na jakiś czas, i gnałem do Bolechowa. Myliły mi się słowa „wyjeżdżam” i „wracam”. Na miejscu porzucałem samochód na podjeździe, nie odbierałem telefonów i krążyłem po wsi przez długie tygodnie, miesiące, bo wymagała tego powolność tempery, wzajemnego wmyślenia się ręki i postaci, oka i krajobrazu. Przysiadalem w miejscach wydeptanych od małego lub oddalonych ledwie o krok, jedną ścianę, drzwi zamknięte na kłódkę, jeden obrót głowy zmieniający kąt spojrzenia. Gdy zamknąłem za sobą furtkę Świerkuli, nie wróciłem tam więcej, nie wszedłem już też z pędzlami do pokoju Stefana, nie spojrzałem na dziedziniec oczyma jego dawnych lokatorów. Malowałem za to ludzi z wioski, na przykład oszroniałą Borkową, powitała mnie ze łzami, Robuś, Robuś, bywało jednak, że robiłem jakiś portret, a potem, uznawszy, że już samo tło jest wypełnione obecnością

człowieka, wymazywałem go. Wnętrza i przedmioty urobione kształtem czyichś ciał i dotykiem ich rąk czasem mówiły mi o ludziach więcej niż twarze.

Tempera za czternaście tysięcy, która puściła to w ruch, przedstawiała Franciszka. Gdy zagadnąłem Urszulę, czy on zgodzi się, bym go malował, miałem wrażenie, że nękam ją tym pytaniem od dawna, ale nie, po prostu drażyło mnie, niewypowiedziane na głos. Nie mam pojęcia, powiedziała. Spytasz? Pokręciła głową. Nie będę go o wszystko pytać za ciebie. Ale ja nawet nie wiem, jak się z nim rozmawia. Normalnie. Słyszy doskonale. Chodź.

Weszliśmy na podwórze. Światło wiosennego przedwieczoru ulatywało w górę, z kątów podpełzał mrok. Urszula zniknęła niepostrzeżenie. Kamieniarze myli się po fajrancie, jeden już wsiadał na rower. Zaśmiali się do mnie. Znali mnie, jednemu zrobiłem akwarelowy portret w prezencie dla córki. Myszkowałem wzrokiem, czekałem, aż sobie pójdą. Trwało to chwilę, może pięć minut, nie, dłużej, godzinę, nie, dwa dni, miesiąc, trwało parę lat, nim z podwórza zniknęło gargulanie Olgi, wyrzekania Hanny, potem parę kolejnych, nim ucichło pomukiwanie krowy, chrząkanie świń, szelest słomy w klatkach z królikami, zostały tylko dźwięki warsztatu, a pod nimi krzątania Urszuli przy kuchni, pralce, miednicach, wiadrach, miotłach, szmatach, doniczkach z pelargoniami, koszykach z jabłkami, śliwkami, malwach w ogrodzie i jeszcze parę, nim ten ruch też zniknął prawie zupełnie, rozbuchiwał się tylko w piątkowe wieczory i soboty, na co dzień został jedynie stuk warsztatu, a wieczorami zapadała coraz głuchsza cisza. Słyszałem ją, gdy przez te minuty, godziny, tygodnie, miesiące, obchodziłem Franciszkowe gospodarstwo, chwytalem ołówkiem, pastelami, częściej akwarelą, zgaszonymi kolorami, bo cisza ma taki właśnie kolor, butwienia i murszu, zacieku na murze, mchu na dachówkach, ale i pełnymi powietrza, bo w drodze powrotnej do ziemi wszystko się nim nasycza, bierze ostatni wdech i trwa, póki się nie utleni, chwytalem tę ciszę, bo co innego mi zostało, skoro więcej takich gospodarstw w Bolechowie nie było. Świerkulowe pożegnałem rozbłyskiem jasnych ugrów, pochowałem bezpiecznie pod powłoką tempery. Jeszcze tylko tu trwała resztką życia. Malowałem koryta, żłoby, wiadra, końską uprząż, sieczkarnię, kosę, oselki, siekiery, parnik, kankę, łopatę do chleba, konewkę, w ścianie kran z gumowym wężem do podlewania, łańcuchy mniejsze i większe, piły, pniaki po drzewach, które porosły na tyle, że zasłaniały okna i trzeba było je ściąć, antenę telewizyjną na dachu, szuflę do węgla, zapola w stodole, stertę złomu za stodołą, drabinę i bosak pod okapem, na stryszku łódź w oplotach konopnej liny, pustą psią budę. Wiele tych przedmiotów i miejsc mruczało coś do mnie, inne milczały, o jeszcze innych Urszula, gdy

spotykała mnie przy rysowaniu, mówiła: to było jej, co znaczyło: Hanny, wtedy zostawiałem je, nie tykałem ich więcej. Chodziłem po ogrodzie, sadzie, siadałem na studni, z początku skrępowany, wzrok z warsztatu jednak szybko przestał mnie śledzić, ziemia znów przesunęła się odrobinę i zamieszkałem jeszcze dalej, jedną nogą w chałupce, drugą na kamieniarskim podwórzu. Chodziłem latem, gdy nie starcza dnia na robotę, trzeba wypłacać się ze spraw i zawiązywać nowe, i zimą, gdy to, co siedzi w rzeczach lub ludziach, kuli się w oczekiwaniu i prostymi akwarelami, maźnięciami gawroniej czerni na śnieżnej bieli, maluje się tło dla układów z samym sobą. Jednak tamtego wieczoru, gdy Urszula zostawiła mnie samego, a kamieniarze przywitali się ze mną śmiechawsko, ale z szacunkiem, i odjechali, stałem tylko złąkły na podwórzu. W końcu wziąłem się w garść i stanąłem w progu warsztatu.

Franciszek nie zdziwił się moim widokiem. Gestem malarzyka uniosłem szkicownik. On gestem kazał mi się odsunąć, bo zasłoniłem mu światło, a doczyszczwał ostatnie narzędzia. Kładł je i wieszał w miejscach przypisanych im, niezmiennych od lat. Nie znałem jeszcze ich nazw, nie wiedziałem, do czego służą ubielone pyłem maszyny, z jakich skał wycięte są płyty leżące na przekładkach. Odczekałem chwilę, potem cicho otworzyłem blok, wyjąłem ołówek z pudełka po karmelkach „Glorja” i zacząłem go rysować. Spokojnie kończył robotę. Odłożył wyczyszczone dłuta, przez chwilę jeszcze uprzątał coś, odkładał, podnosił, w końcu umył ręce, spojrzał na mnie. Wyszedłem z warsztatu. Nim pozamykał drzwi, odzyskałem głos. Przyjdę jutro, chrypnąłem.

Nazajutrz była sobota, dzień roboczy, chciałem osłonić się śmiechem Franciszkowych pracowników. Nie pytałem o nic, nie musiałem, po prostu siadłem w kącie, rozłożyłem blok i zacząłem rysować. Franciszek tkwił pośród gadaniny kamieniarzy, jazgotu maszyn, stukania młotków i jarmolenia betoniarki, ja otulony tym zgiełkiem skupiłem się na nim i nie minęło pół dnia, a wtopiłem się w warsztat, stałem się jednym z nich. Gdy wychodzili na śniadanie, na papierosa, na obiad, zostawałem w środku i rysowałem stoły, narzędzia, bloki granitu, wykute w nich napisy. Wyszła mi z tego spora seria akwrel. W pracowni zacząłem pomału malować temperę. Tłem było wnętrze warsztatu, oczyszczone z przedmiotów, tylko ściany, szrafowane drobiazgowo, i sufit, bo punkt patrzenia ustawiłem nisko, w pozycji człowieka siedzącego lub dziecka. Brakowało mi jego. Minęły tygodnie, nim znów po fajrancie rzuciłem mu wyzwanie uniesieniem bloku, gdy podniósł rozbłyśnięte ciekawością oczy.

Spojrzał na szkicownik, wyjął mi z ręki. Dopiero gdy mi go oddał, obrzuciwszy każdy rysunek przelotnym, ale chwytającym wszystko spojrzeniem, pojąłem, że robimy przecież

w podobnym fachu, że jego kanciaste ręce są rękoma artysty. Przyszedłem nazajutrz, czekałem na podwórzu. Urszula wyszła nakarmić kury. Przynieś rzeczy, powiedziała. Popędziłem do chałupki, przytaszczyłem sztalugę, obraz, pędzle, farby. Franciszek wyszedł ubrany ani po roboczemu, ani po niedzielnemu, zresztą nie sądziłem, by miał jakieś świąteczne ubrania, nie potrzebował ich, nie chodził do kościoła, na wesela, pogrzeby, nie jeździł do miasta. Zacząłem tłumaczyć, gdzie ma stanąć, ale język mi się plątał, w końcu zamilkłem, a wtedy jego postać, tak jak chciałem ją mieć na obrazie, dotąd wyobrażona mgliście, zjawiała mi się przed oczyma. W pustych rękach trzymał parędziesiąt lat roboty i tylko ją, nie miał na nich tamtej śmierci, o której wtedy nic jeszcze nie wiedziałem prócz tego, że ją zadał, nie miał, bo dawno ją spłacił, może najwyżej chował w nich jeszcze tę drugą, Steca, jednak wśród żywych tylko on znał prawdę o niej, tak czy owak biel warsztatu wyczyściła jego ręce z nich obu. Spoglądał na zewnątrz, ku czerniejącemu w głębi domowi, gdzie na schodkach stały trzewiki Urszuli, a w oknie jej pelargonie, i było to spojrzenie tak szerokie, że mieściło w sobie i ją, widoczną w tych barwnych śladach, i domyślane w tle wzgórze z łąką i sadem, obszar jego cichnących gospodarskich robót. Z wnętrza kamienia patrzył na ziemię. Zazdrościłem mu milczenia. Gdy dałem mu znak, że to na razie koniec, i wróciłem do pracowni, nie zamknąłem nawet drzwi, tylko osunąłem się na kolana, ręką wparty w ścianę, i omal nie zadławiłem się płaczem.

Musiałem na dobre wsunąć się w ruch gospodarstwa, by w końcu powiedzieć Urszuli, że chcę ją namalować w jej domu. Nigdy dotąd tam nie byłem, nigdy nie pytała, czy wejść, zaczekam, odpocznę, zobaczę, jak mieszka, zjem obiad, napiję się herbaty, nie zostawiała nawet uchylonych drzwi. Ośmielił mnie do tego nerw sławy, który tu, w Bolechowie, działał wprawdzie słabiej, ale podpowiadał, że im więcej umiem, tym więcej mi wolno. Musiałem nagabnąć ją kilka razy, nim któregoś dnia zacisnęła usta, po czym wstała ze schodków, na których rysowałem ją od niechcenia, pchnęła drzwi i zniknęła w sieni. Odruchowo obejrzałem się w stronę warsztatu. Franciszka nie było, pojechał dokądś z robotą, ale musiałem upewnić się w jej niechętnym przyzwoleniu. Niepewnie wszedłem do środka. Objął mnie łagodny zaduch starego domu, umieszany z zapachów drewna, mydła, pierzyn, mleka, placka drożdżowego, ziarna, gotowanych ziemniaków, zlewki, kurzu, myszy, wapna, roboczych ubrań, malowanych olejno desek podłogi. Na chwilę przystanąłem w progu kuchni. Ujrzałem bladoniebieskie ściany, kwadratowy stół, piec z żółtych kafli, biały kredens, na ścianie poczerniały zegar tykający ciężkim wahadłem, talerze suszące się nad zlewem, wszystko omiecione, wymyte. Korytarz, prócz słomianki przed

zamkniętym pokojem, pewnie jego, pomyślałem, był pusty. Po stromych schodach sypała się z poddasza przyćmiona poświata. Dom, choć mniejszy, przypominał rządówkę, był bliźniaczo sędziwy, różnił się też jednak ogromnie, bo zamiast obrazów, bibelotów, witrażyków, gablot, rzeźb, dyplomów w ramach, kilimów, dworskich krzesel, stolika ze szklanym blatem, złożonych grzbietów przedwojennych książek, całej tej galanterii przyjemnego bytowania, miał w sobie znużoną, ale schludną prostotę wiejskiej chałupy. Skręciłem się z niepojętego podniecenia. Urszula gdzieś zniknęła. Wszedłem na górę. Stała w ciasnym korytarzyku, przy otwartych drzwiach swojego pokoju. Wpatrywała się we mnie okrągłymi oczyma. Niepewnie uniosłem szkicownik, osłonięty nim wszedłem do środka.

Stał tam pod oknem wąski tapczan przykryty kapą z szorstkiej wełny, obok krzesło ze stosikiem wyprasowanych spodni i bluzek, na małym stole bukiet późnoletnich kwiatów, na drzwiach szafy wisiał kitel, obok półka z książkami i skryptami, podłogę z desek przykrywał zblakły dywan. Na jasnożółtej ścianie rzucała się w oczy akwarela oprawiona w passe-partout. Rozmigotana zieleniami i bielą, przedstawiała Urszulę w wietrzystym sadzie, opartą splecionymi dłońmi o gruzłasty konar jabłoni, z jasnymi włosami wtopionymi między liście. Pamiętałem doskonale, kiedy ją namalowałem. Długo szukałem jej potem wśród stosów prac w chałupce, nim z żalem uznałem ją za zaginioną.

Urszula lepiej ode mnie wiedziała, po co przyszedłem. Usiadła na tapczanie, objęta sypkim światłem popołudnia. Wahała się przez półchwile, potem rozpięła koszulę, rzuciła ją na krzesło i po kolejnym króciutkim namyśle ściągnęła przez głowę znoszoną bluzkę. Jej oczy musnęły mnie, odbiegły w bok i znieruchomiały wraz z całym ciałem.

Było tak cicho, że słyszałem huk krwi w skroniach. Rozpuść włosy, szepnąłem. Gdy drżącymi palcami wyciągała wsuwkę, usiadłem na podłodze. Julii nigdy nie rysowałem nago, choć umiałbym sportretować ją z pamięci: skórę w leciuteńko oliwkowym odcieniu, niespokojną konstelację pieprzyków na plecach, delikatną asymetrię piersi. Może dlatego, że nagość wśród artystów była tania, lubiono pozować, rozbierać się do performance'ów. Nie malowałem wielu aktów, ale zdarzało mi się. Julia wyganiała mnie wtedy z domu, mówiła, że nie chce innych gołych bab w swoim pobliżu, ale z ciekawością podglądała te baby, gdy się rozebrały, zwykle studentki kręcące się przy Zakładzie, potem oceniała portrety bez zmrużenia okiem, często też zaraz rozbierała mnie i ustami lubiącymi chwytac mnie za ucho, konstelacją pieprzyków na brzuchu i sutkami o karminowym odcieniu zacierała wspomnienie tej, która mi pozowała.

Pomyślałem teraz o portretach Urszuli, których coraz więcej stało pod ścianami i leżało na półkach mojej chałupki. Dotąd nie zastanawiałem się, co z nimi pocznę. Zaczynało mi świtać, że nigdy jej nie opuszczą.

Narysowałem ją niezdarnie, półprzytomnie, ledwie zaznaczyłem krzywiznę brzucha, kropkę pępka, włosy sygnięte bokiem na jedną pierś. Skóra powleczone była brzoskwiową opalenizną, ale po wiejsku, na twarzy, rękach, w dekolcie. Sięgnąłem po pastele, zaznaczyłem nimi żywsze mgnienia barw: włosy koloru dojrzałych koszteli, ciemniejsze różowo sutki, rozpalone cynobrem rumieńce na policzkach. Przez cały czas siedziała, miałem wrażenie, że wstrzymanym oddechem, bo gdy odłożyłem kredki na dywan, przestałem mykać wzrokiem między kartką a nią i wpatrzyłem się w jej oczy, gwałtownie wytchnęła powietrze i wzięła świeży wdech. Spiesznie porwała koszulę, narzuciła ją sobie na ramiona. Dopiero teraz na mnie spojrzała. Podniosłem się ostrożnie na jedno kolano i położyłem portret na narzucie. Wyszedłem po cichu.

Rozsnuła się między nami nić sekretne porozumienia, ulotniejsza niż jawny układ z Franciszkiem, z gospodarstwem, z nią samą. Niemożliwe, by nie zdradzały nas ruchy, kroki, spojrzenia, ale może na tyle już wrosłem w gospodarstwo, że stałem się obojętny dla ptaków roznoszących plotki, niedyskretnie skrzypiących schodów, kamieniarzy turlających między sobą żarty przy robocie. Z początku robiliśmy to tylko wtedy, gdy nie było Franciszka, gdy pojechał murować coś na cmentarzu lub przy willach gospodarzy, których synowie wrócili z pieniędzmi z Niemiec czy ze Stanów, potem, gdy już oswoiła siebie i jego z moją obecnością w domu, wpuszczała mnie nawet wtedy, kiedy był na miejscu. Któregoś razu, gdy już zdjęła bluzkę, a ja przez moment zawahałem się i patrzyłem na nią wyczekująco, przygryzła wargę, po czym rozpięła spódnicę, zsunęła razem z majtkami i nie czekała na moje wskazówki, tylko położyła się na boku z ręką pod głową. Byliśmy cisio, cisio, nie skrzypnęła podłoga ani sprężyna w tapczanie. Minęło lato, zimą nastał czas Franciszkowy, wiosną zaczęliśmy od nowa. Rozmawialiśmy jeszcze mniej niż dotąd, żeby nieuważnym słowem nie zaczepić o to, co przywoziliśmy z odległych sobie miast, choć pakt bez słów i tak głosił, że wszystko, co nasze z osobna, tam zostaje. Większość szkiców i akwarel zabierałem, niektóre zostawiała sobie, nie pytała mnie o zdanie, po prostu zabierała je i chowała na górną półkę szafy.

Gdy kiedyś Franciszek wyjechał na robotę do Pniowa, skrytym świtem przyniosłem z pracowni sztalugę, paletę, słoiczki z farbami i rozstawiłem się w jej pokoju. Od tygodni

przygotowywałem temperę. Minęło paręnaście kolejnych, rozdzielanych wyjazdami Urszuli do Lublina i obecnością Franciszka, nim skończyłem. Postarzyłem jej pokój, na ścianie wydrapałem trzonkiem pędzla siatkę spękań, przybrudziłem kolor ściany, wszystko po to, by podkreślić gładkość jej skóry. Dzień zmieniłem w noc, rozjaśnioną światłem niby z okna, ale zbyt silnym na księżyc, bił nim raczej księżyc ukryty w niej, pełny, letni. Położyłem ją na tapczanie, z zamkniętymi oczyma, jedynie z czarną aksamitką na szyi. Była tak spokojna, oddychała tak lekko, że tym nocnym światłem mogła być równie dobrze pogodna materia jej snu. Wsuwałem się w ten sen, wychodziłem opity nim, żegnany muśnięciem warg w policzek. Śmiało się, nie ja, śmiało się dokoła.

Lecz któregoś dnia, po powrocie, przyjeździe, jakkolwiek to nazwać, z Poznania, parę tygodni po targach sztuki w Londynie, gdzie sprzedałem kilka temper z obejściem Świerkuli, Wisłą i ruinami pegeeru, poszedłem na kamieniarskie wzgórze, główną bramą, od dawna już nie chadzałem naokoło, poszedłem bez szkicownika i ołówków brzęczących w pudełku, z lekką głową, a ciężkim sercem, choć nie pomyślałem, że ten ciężar to nic w porównaniu z wieloma innymi ciężarami, na przykład wiślanej wody czy namokniętej grubej kurtki i butów wciągających w śliską głąb. Stałem w jej spojrzeniu, chmurnym, bo spostrzegła od razu, że to przyjsie jest inne, więc pewnie ostatnie, a ja pomyślałem, że będzie uczciwiej, takie słowo przyszło mi do głowy, uczciwiej, jeśli powiem od razu, i powiedziałem. Gdy zniknąłem, odrętwiale dokończyła piątkową krzątanie, sprzątanie, obiad, pranie, wyszła z domu i pokulała się przed siebie nieswoim krokiem. Ocknęła się nad Wisłą, w wieczornej mgle. Nie była tu od lat. Zaśmiała się na wspomnienie lisa. Powietrze i woda stapały się w miękki półmrok. Kucnęła na korzeniastym cyplu, przy pniu krzywej wierzby. Moja twarz, ścigająca ją przez całą drogę, była i tam, zamiast odbicia. Chciała jej dotknąć. Nie zamachała rękoma, nie krzyknęła, gdy jej ciało, któremu odebrałem pragnienia, gibnęło się naprzód. Rzeka, tętniąca kłamliwie ciepłem lata, otuliła ją od razu, rozpoznała, poobracała w sobie, pociągnęła między trzciny, w muł dna, ale potem rozmyśliła się, pchnęła w górę. Ręce wytrzepotały się nad powierzchnię, głowa wynurzyła się, powietrze chwyciło ją, przez chwilę mocowało się z wodą, nie, nie z wodą, woda i ono były jednym, mocowało się ze mną, to ja ciągnąłem ją w dół, lecz byłem za słaby, za lekki. Bluznęła wodą, zaczerpnęła tchu. Po korzeniach wyczołgała się na trawę. Przeszło jej przez myśl, że straciła dom.

Powiedziała mi to wszystko, nie, nie wszystko, drobną część, dopiero parę lat później,

tamtego dnia nie miałem o tym pojęcia, bo z lekką głową i ciężkim sercem, z tłukącymi się po głowie głupimi słowami, że zepsułem zabawę, przyszedłem do rządcówki, zapukałem do drzwi Łucji, potem stanąłem w jej spojrzeniu, chłodnym, bo domyśliła się od razu, z czym przychodzę, matka zwykle to wie, a samotna matka jedynaka wie szybciej niż on sam, i ta wiedza zmroziła ją, mnie z kolei zmroziło jej spojrzenie, ale zdołałem wykrztusić: żenię się.

Komunia

Łucja idzie wolno, wolniej niż zwykle, gdy pomagam jej wysiąść z samochodu i podprowadzam ją do recepcji. Wybrałem Hotel Rzymski w śródmieściu, pokój z widokiem na starówkę, ale gdy z dumą pokazuję okno, by rozbić milczenie, które załęgło się między nami przed wyjazdem, w ogóle go nie dostrzega. Postanowiliśmy, właściwie ja postanowiłem, a ona przyjęła to milcząco, że po przyjeździe do Poznania pójdziemy na spacer i obiad, ale gdy siada na łóżku i zmatowiałym wzrokiem wodzi po pokoju, mówię: odpocznij. Mogliśmy jechać autostradą, krócej by to trwało. Nie chodzi o autostradę, kręci głową. A o co? Wzrusza ramionami. Kucam i delikatnie biorę ją za rękę. Mam wrażenie, że przez jej palce przebiega leciutkie drzenie, opuszki pocierają się nawzajem, przestają jednak, gdy je ściskam. Prześpij się, mówię. Po raz pierwszy od wyjazdu, nie, dłużej, od kiedy przyniosłem jej wieść, spogląda mi głęboko w oczy. Sen nic nie da, szepcze.

Dajże już spokój, cedzę przez zęby. Myślałem, że jesteś zmęczona, a ty stroisz fochy. Odpowiada mi śmiechem tak drwiącym, że puszczam jej rękę. Daję ci tyle spokoju, ile tylko chciałeś, już od dawna. Dajesz go sobie, odpowiadam, mnie się dostaje przy okazji. No tak, ale chyba z obopólną korzyścią? Nawet nie wiesz, co potrafią wyczyniać samotne matki jedynaków. Chyba wyróżniam się na ich tle. Wyróżniasz się na tle wszystkich rodzajów matek. Jesteś niepowtarzalna, doprawdy. Kiedyś mówiłeś takie rzeczy z czułością. Kiedyś nie sądziłem, że będziesz zazdrosna. Kiedyś nie sądziłam, że przez kilka lat będziesz chować przede mną narzeczoną i pokażesz mi ją dopiero w dzień ślubu. Kiedyś nie sądziłem, że aż tak sobie cenisz prowincjonalną etykietę. Och, wydaje ci się, że zrobiłeś się wielkomięjski, bo mieszkasz w Poznaniu i jeździłeś trochę po świecie? Jeśli nawet, to naprawdę sądzisz, że mi tym zaimponujesz? Wielkomięjski, prychnąłem. Popatrz lepiej na moje obrazy. Istna wielkomięjskość. Mogłabyś zresztą bardziej się nimi interesować. Jak ona, tak? Najlepiej, gdybym ci je sprzedawała za dobre pieniądze. Spisaliście intercyzę? Zamknij się!

Wierzchem dłoni uderza mnie w policzek. Zastygam bez ruchu. Nigdy dotąd nikt mnie nie uderzył. Nim dociera do mnie, że zaciskam pięści i że nigdy dotąd nikomu nie kazałem się zamknąć, Łucja zaczyna się chwiać, złość rozplywa się w jej przezroczystej twarzy. Chyba nawet oczy jej zbladły. Chwytam ją w pasie, prowadzę do łóżka. Połóż się, rozkazuję. Nie protestuje. Ściągam narzutę, układam ją na śnieżnej pościeli. Nalewam wody do szklanki, ale potrząsa

głową. Słabym gestem pokazuje drzwi. Będę u siebie, mówię. Kto jak kto, dodaję, ale ty nie powinnaś mieć żalu o tajemnice. Mam w tobie prawdziwą mistrzynię.

Siedzę przez chwilę w pokoju i nasłuchuję, ale wspomnienie sprzeczki nosi mnie od ściany do ściany, wreszcie wyrzuca na ulicę. Włóczę się po mieście, co chwila spoglądam na telefon. Po godzinie przychodzi wiadomość, nieporadnie sklecona, z literówkami, choć kiedyś ich nie robiła. Prosi, bym zajął się sobą. Idź do swoich, pisze.

Wracam do hotelu. Nie odpowiada na pukanie. Wchodzę do pokoju. Stoi przy oknie. Chodźmy dokądś, mówię, jesteś tu dla mnie, a ja dziś jestem tu dla ciebie. Swoich będę miał jutro. Gdy dotykam jej ramienia, otrząsa się z zamyślenia. Nie wiem, czy mnie słyszała.

Słyszałam, mówi cicho.

Wychodzimy na spacer, powolny, szurliwy. Łucja nigdy dotąd nie była w Poznaniu, mimo że mieszkam tu już dziesięć lat. Na studia, ze stosem książek, pościeli i sprzętu malarskiego, przywiózł mnie Bieroń. Stancję znalazłem sam, po trzech dniach mieszkania w schronisku i chodzenia po mieście z planem w ręku. Łucja odsunęła się od tych przygotowań, potem nigdy też nie zagadnęła choć słowem, że chciałaby mnie odwiedzić. Nie pytałem o to, wyczuwałem w jej milczeniu kolczasty kłęb żalu, tęsknoty, wyrzutu, zazdrości, nie miałem ochoty go dotykać. Wyplacam się przesiadywaniami w Bolechowie, gdzie zresztą ona cieszy się moją obecnością prawie niezauważalnie. Moje sukcesy przyjmuje z życzliwym spokojem spełnionego zadania. Dotąd odmawia też, choć proponowałem jej to wiele razy, wyjazdów za granicę, do Francji, Włoch, Anglii, Hiszpanii, Szwajcarii, na moje wystawy, stypendia, targi, biennale. Może domyśla się, że proponuję jej tylko wtedy, gdy jadę bez Julii. O jej istnieniu wiedziała od dawna, czyta recenzje w czasopiśmie, w internecie, relacje z wernisaży, wzmianki o sprzedaży moich obrazów, najpierw w Zakładzie, potem we współprowadzonej przez Julię galerii w Berlinie, napotyka jej nazwisko, kuratorki wystaw i mojej marszandki, i może właśnie tak, myślę sobie, działa ten matczyzny zmysł budzący się po latach uśpienia, gdy syn jest dorosły: już nie jako wzmocniony wzrok i słuch pomagające chronić dziecko przed światem, raczej węch, którym można zwietrzyć obce, wrogie pragnienie.

Prowadzę Łucję na Rybaki, między czarne, przysiadłe kamienice, pokazuję poddasze, gdzie mieszkałem na studiach. Zna je ze zdjęć. Zadziiera głowę, rozgląda się życzliwie. Nie proponuję jej wejścia na górę. Wybucho śmiechem, gdy zaczynam mówić poznańską gwarą. Chodź, nafutrujemy się, tylko wyplacę bejmy, nie będziemy łązić o sznece z glancem, tej. Nic nie

rozumiem, mówi, ale brzmi wspaniale. Idziemy na kolację, jemy rybę z rusztu. Kieliszek wina zmiękcza jej ruchy. W półmroku restauracji bije od niej blask znalezionego zbyt późno klejnotu. Cieszymy się chwilą wytargowanego wzajem zapomnienia. Ani razu nie spogląda mi w oczy.

Gdy wieczorem wracam do Zakładu, Julia nie pyta o nic, ja nie odzywam się słowem. Rano błękitny chłód października uderza mi do głowy. Spieszymy się, by zdążyć do południa, gdy ma zjawić się weselny orszak Zakładu. Gdy na dziedzińcu rozlega się rajdowy warkot silnika, Julia jeszcze kończy się malować. Jest rozbłyśniętą plamą barw, od długiej spódnicy przez szarfę w pasie po turbanową chustę, którą owinęła sobie głowę. Przecież muszę mieć welon, mówi. Do Zakładu wpada tłum, Malik i Kostis, Banan, Ośka, parę innych osób, wszyscy na kolorowo, udają mimów lub marionetki kierowane nieporadną ręką. Chwytają nas na ręce i znoszą na dziedziniec, gdzie Ulicki, w porządnym garniturze, pręży się przy samochodzie. To jeden z polonezów z *Projektu i reszty* sprzed paru lat, uratowany cudem, bo wystawa przerodziła się w industrialno-niszczycielski performance, rozpełzła po torowiskach, aż dyrekcja kolei wystosowała oficjalny protest przeciw zakłócaniu ruchu pociągów, po Wildzie, aż trzeba było tłumaczyć policji, że łoskot dobiegający przez cztery dni z Zakładu i squatu, stroboskopowa dyskoteka i maraton punku, hardcore'u, postrocka i zimnej fali, to część przedsięwzięcia artystycznego, aż po obrzeżach zakładowego fyrtila zaczęły wybuchać awantury z mieszkańcami. Jeden polonez się ostał, nie został rozebrany, i od tamtej pory jest zakładową taksówką. Przyzwyczaiłem się, że zmienia formę, kolory, ale tym razem, gdy zakładowcy stawiają nas na bruku, jego widok zapiera mi dech. Maskę, drzwi, dach, całą karoserię pokrywają reprodukcje moich obrazów. Auto mieni się ugrami, brązami, bladymi błękitami, pokreślone jest gałęziami, sztachetami płotów. Ulicki naśladuje gest szofera otwierającego limuzynę. Wsiadaj, Fałaciku, mówi z uśmiechem.

Łucja, gdy zajeżdżamy pod hotel i sprowadzam ją na dół, na widok auta oblepionego moimi bolechowskimi malowidłami wybucha śmiechem. Nie spostrzega Julii. Dopiero gdy zatrzymujemy się przed ratuszem i Ulicki z ukłonem otwiera drzwi poloneza, jej wzrok pada na kolorową postać, która wysiada z tyłu. Przez chwilę mam nadzieję, że ten śmiech sprzed hotelu jeszcze w niej trwa.

To ty, mówi po krótkim wahaniu. Na to wygląda, parska śmiechem Julia i wspiąwszy się na palce, jedną ręką przytula ją. Łucja sztywno muska ją po plecach. Z boku podsuwa się mężczyzna w niebieskim garniturze, innym niż garnitury Ulickiego i Ratajczyka kręcących się

obok, w ogóle ulepiony z innej materii niż nasze towarzystwo. Kłania się, przedstawia się imieniem Gerard i nazwiskiem Julii. Ścisną rękę Łucji odrobinę dłużej, niż wymaga przywitanie. Wygląda na to, że jestem teściem pani syna, mówi i puszcza do mnie oko. Ach, woła Łucja zdumiona, gdy Gerard obraca się ku mnie z uśmiechem wiecznego zwycięzcy, wy się jeszcze nie znacie? Tak się złożyło, mówi Gerard beztrąsko, córka nie chwali się przede mną swoimi bliskimi. Niektórych znam z twórczości, na przykład Roberta, osobiście jednak poznaliśmy się dopiero teraz. Choć nie będzie to bliska znajomość, Julciu, nie dopuścisz do tego, hm? Łucja wtrąca: czyli nie jest pan ze środowiska? Julia rzuca pomiędzy nas granat: mój tatuś jest częścią tej siły, co pragnie dobra, przynajmniej tak głosi, a wiecznie czyni zło. Czy jak tam było. Gerard puszcza to mimo uszu. Nie, odpowiada Łucji, buduję domy. Ale kupuję sztukę. To córka nauczyła mnie ją rozumieć, dawno temu, gdy jeszcze ze mną rozmawiała. O, Łucja uśmiecha się do mnie, to trochę jak między mną a moim synem. Milczę zdumiony. Nigdy dotąd w towarzyskich szermierkach, o ile braliśmy w nich udział, czyli rzadko, Łucja nie była kąśliwa wobec mnie. Rozmowa krąży jeszcze przez chwilę, parząca bryłką żalów i pretensji przerzucana z rąk do rąk, owinięta w ślubne pozłotko. Gerard złośliwi się wobec Julii i przeciąga Łucję na swoją stronę, musiał wyczuć chłód ich przywitania. Na mnie zerka z ciekawością, ale umiarkowaną, może naprawdę uznał, że i tak bliżej się nie zapoznamy. Julia nie tyka go nawet przelotnym spojrzeniem, odcina mu się wprawdzie, ale kieruje słowa nie do niego, tylko do mnie lub Łucji, wobec której jest czarująca, zagaduje ją, muska rękaw jej zakietu. Łucja, choć zdezorientowana, odnajduje się doskonale. Patrząc na nich oboje, tak o nich myślę, oboje, Gerard nie spuszcza z niej wzroku, ona wprawdzie rzadko obdarza go spojrzeniem dłuższym niż okamgnienie, mości się jednak w jego serdecznościach, nie w komplementach, Gerard jest zbyt dobrze wychowany, ale w miłych słowach, uśmiechach. Nie mam pojęcia, gdzie jest moje miejsce w tej spiesznej potyczce, i głowię się nad tym tak mocno, że niewiele zapamiętam z ceremonii ślubu, a gdy będziemy wspominać ją z Julią, nieczęsto, niechętnie, przyjdą nam na myśl te same słowa: zepsuli nam zabawę.

Przebiegam w myśli paręnaście lat od śmierci Stefana, które przeżyłem zapatrzony i zasłuchany w siebie. Wyobrażam sobie, jak spod żałoby, szybko stygnącej, wybijało się w Łucji poczucie wolności, spóźnionej, ale jeszcze nie daremnej. Wyobrażam sobie, że korzystała z niej dyskretnie, w fałdach życia niedostępnych dla ojca, bo go już nie było, i niedomyślnych dla syna, bo zajęty był własną wolnością, a poza tym, jak to syn, chciał wierzyć, że matka po

urodzeniu go stała się istotą jałową, nie od razu pojął, kim był Marek z Kołobrzegu, co robiła na trzydniowych seminariach doktorskich, czemu kustosz Bieroń tak lubił przychodzić do nas na nalewkę i placek, nie od razu z energii, jaka od końca Stefanowej ery przepływała między rządcówką a pałacem, oficyną zmienioną w galerię i pensjonat a oranżerią zmienioną w salę koncertową, między nią a mężczyznami, których wokół nie brakowało, wychwycił najmocniej iskrzące linie napięć. Patrzę na nią, piękną kobietę po pięćdziesiątce, i nachodzi mnie wstrętna myśl, że jej kruchość i powolność, które od niedawna zauważam, zwiastuny nieokreślonego zmierzchu, są może zasłużoną karą za te lata spełnień, bo w tych spełnieniach tkwi czarny kamień nieobecności, mój brak ojca. Wezmę cię tu, na tym stole, szepczę do Julii w sali ślubów i do bólu ściskam jej palce, gdy schylamy się, by podpisać dokumenty. To ja cię wezmę, odpowiada na głos i zagląda mi w oczy. Obejmuję ją w pasie i całuję wściekle.

Gdy zasypują nas kwiaty, życzenia, ogarnia mnie ulga tak gwałtowna, że muskam się po spodniach, czy to aby nie to, ale nie, to tylko chłodne, błękitne uniesienie. Dopiero teraz, gdy Łucja i Gerard na chwilę nikną w tłumie garniturów i sukienek, spostrzegam, jak wielu przyszło ludzi, artystów, galerzystek, krytyków, osób z akademii, dziennikarzy. Wielu zjawilo się na poły zaproszonych lub wcale, Julia wprawdzie zarzekala się, że nie chce tłumów, ale to zdarzenie, dość zaskakujące, że jej ślub w ogóle, że ze mną, że tak nagle, że zjawił się Gerard, jest wydarzeniem. Tłum rozstępuje się, gdy podchodzi do mnie Łucja. Zagląda mi głęboko w oczy. Nie rób takiej poważnej miny, mówi z uśmiechem. Nie przejmuj się starą babą, która nie ufa ceremoniom, a i uczuciom nieszczególnie. Może nie w porę przypomniałam sobie, kim dla ciebie jestem. Może ufam tylko przywiązaniu. Więc właśnie tego wam życzę: przywiązania. Niech trwa jak najdłużej. Chcę coś odpowiedzieć, ale nie wiem co, dławi mnie gula niespodzianie wezbranego żalu, biorę ją więc w ramiona, kruchą, pachnącą i obcą, i przytulam, chyba pierwszy raz w życiu tak mocno, długo.

Na obiad idziemy tylko garstką, prócz nas czworga Ulicki, Ratajczyk i troje przyjaciół Julii, pozostali jadą do Zakładu przygotować wesele. Ogarnia mnie półprzytomność, ledwie docierają do mnie rozmowy i decyzje. Julia dostrzega to i roztacza nade mną opiekę. Za jakie grzechy, szepczę do niej, gdy rozmowa skręca na teren sztuki. Gerard między kęsami i łykami wina przedstawia wykład: towar, moi państwo. Kto nie rozumie, jaki związek ma to słowo ze sztuką, jest głupi. Sztuka zawsze była towarem, bo powstawała na zamówienie możnych, i w pewnym sensie ciągle tak jest, wszędzie na świecie, tylko jeszcze nie u nas, choć to na pewno

się zmieni, bo za chwilę wejdziemy do Unii Europejskiej i polska sztuka przestanie być jedynie egzotyczną ciekawostką, a zacznie być ceniona tak, jak zasługuje. O! Na twarzach profesorów widzę kpiące uśmiechy. Komuna nauczyła was, panowie, że na niczym nie można zarobić, na sztuce też, więc grzebaliście się w awangardach i tych tam różnych, no, konceptualizmach, w stanie wojennym uprawialiście mesjanizm po kruchtach. Teraz głosicie zmianę, no i pięknie, Zakład to rzecz bez precedensu, więcej warta niż Zamek Ujazdowski i Zachęta razem wzięte, szansa, by stworzyć w polskim mieście prawdziwą dzielnicę artystyczną, ale rozumiecie, sam ferment nie wystarczy, z fermentu musi wytrącić się coś trwałego, obraz, rzeźba, dzieło, które ktoś, kto ma pieniądze i dobry gust, będzie mógł sobie postawić w domu. Lub po paru latach, gdy kurs artysty pójdzie w górę, sprzedać na aukcji. Zarabiacie na swojej sztuce, bo inaczej zarobi na niej ktoś inny. Każdą wartość da się spieniężyć, czy tego chcecie, czy nie. Robert, wiesz coś o tym, prawda? Jesteś jedynym kasowym artystą Zakładu.

Nie jestem artystą Zakładu, odpowiadam z wahaniem. Tylko tam mieszkam i mam przyjaciół. A nawet żonę, wtrąca Julia. I nie obchodzi mnie, ciągnę, za ile ktoś sprzeda mój obraz na aukcji. Nie mam na to wpływu i nie dostaję z tego ani grosza. Jakżeż nie, obłudniku, śmieje się Gerard, przecież po każdej takiej aukcji twoje ceny w galeriach też szybują w górę. Mój drogi panie, wtrąca się Ratajczyk. Artystą kasowym. Noś pan wymyślił. Skoro tak, to tylko się cieszyć. Jeszcze dziesięć lat temu by go wyśmiano za takie malarstwo, mimo że wartość artystyczną miałyby taką samą. Nie malowało się u nas prawie wcale, a już na pewno nie tak. Skoro jego obrazy się podobają, to znaczy, że są potrzebne. Co niemodne, z jakichś powodów stało się modne, ale ten chłopak maluje, jak chce, a nie jak oczekują ludzie. Talent, ciężka praca i dobry traf. Z tego składa się sukces. A pan niech nie przelicza go na forszę, bo forsa to pochodna sukcesu, a nie istota. Jasne, wtrąca Gerard. Ale sukces wszędzie wygląda podobnie. Moje osiedla i biurowce nie różnią się zbytnio od dobrych obrazów, też są znakiem, jak pan wymienił, talentu, ciężkiej pracy i dobrego trafu. I tego, że są potrzebne. Wszędzie też liczy się dobry start, impuls na początek. W moim języku, którego panowie nie lubicie, nazywa się to inwestycją. A żeby zainwestować, trzeba dostać kredyt. Trzeba włożyć kapitał, by dało się zarabiać na sobie, prawda, Julio?

Julia ciska mu w twarz takie spojrzenie, że rozmowa zamiera na chwilę. Gerard wybucha śmiechem. Mój drogi, odzywa się Ulicki, w tej wymianie to raczej wy dostajecie coś od nas, nie odwrotnie. Pytacie o cenę, a że cenicie tylko to, co kosztowne, podajemy ją wam, no i kupujecie.

Jesteśmy sobie wzajem potrzebni, ale przyznaj, że gdyby nie my, tkwilibyście w pustych willach i biurach z niezaspokojonymi kompleksami. A wy gdzie byście tkwili, pyta Gerard, gdyby nie moje pieniądze? W squatach? I mazalibyście graffiti na ulicach? Być może, mówi Ulicki, wtedy kupowałbyś kawałki tynku z naszymi mazajami. Gerard grozi palcem Ulickiemu. Artystyczna Wilda to nasze wspólne dzieło, nie zapominaj o tym. Mieszkania na moim osiedlu sprzedałbym i bez was. Ale po gorszej cenie, mówi Ulicki. To Zakład przyciąga ludzi. Jeszcze parę lat temu to był fyrtel slumsów, teraz wygląda jak kawałek Berlina. Nie wystarczy stawiać bloki, by stworzyć dzielnicę. Nie wystarczą dobre chęci, odpiera Gerard, by stworzyć Zakład. A co będzie, jeśli kupię wasz grunt? Ufam ci, wzdycha Ulicki, że nas nie wyrzucisz. Zresztą wiesz, jaki miasto stawia warunek: kupiłbyś teren, ale musiałbyś zostawić Zakład. Nie ufaj miastu, mówi Gerard, ani nikomu, kto kupi wasz teren. Choćbym miał to być ja. Zresztą i tak różnie wyobrażamy sobie, jak powinna wyglądać dzielnica artystyczna. Nie podobają mi się awantury i skandale. Nie chcę protestów, policji, pielgrzymek polityków. Stawiasz nam warunki?, pyta Ulicki. Jakim prawem, do diabła? Prawem mecenasa, mój drogi, odpowiada Gerard, ale jego słowa zagłusza huknięcie Julii w stół: zamknijcie się! To jest mój ślub, do cholery! Idźcie się kłócić gdzie indziej!

Cisza, jaka nagle zapada, wydaje się jeszcze głośniejsza niż ten krzyk. Mam wrażenie, że to wszystko jest złośliwym figlem spletanym nie wiedzieć komu i po co. Łucjo, Gerard pyta miękko, a pani jak się odnajduje w tej poplątanej awanturze? Nie muszę się odnajdywać, bo mnie nie dotyczy, mówi Łucja. Jestem wiejską kustoszką. I nauczycielką. Jedno i drugie z przypadku. To, czym opiekuję się w muzeum, już skończyło swoje przygody i jest bezcenne, bo nie na sprzedaż. Ci, których uczę, jeszcze przygód nie zaczęli, więc też są bezcenni. Na końcu i na początku zupełnie nie ma się o co martwić.

Po obiedzie Gerard kłania się na pożegnanie. Pan nie jedzie z nami?, pyta Łucja. Nie, dość już napsułem krwi córce. Cieszę się, że cię poznałem, Robert. Pilnie śledzę twoją karierę. Nie krępuj się z niej korzystać. Myślę, że zobaczymy się jeszcze. Łucjo, jestem panią zachwycony. Muszę kiedyś zobaczyć to wasze królestewko. Jeśli będę w pobliżu, zajadę do Bolechowa i obejdę go z albumem Roberta w rękę, bo niedługo wydajesz pierwszy album, prawda? I z panią jako przewodniczką. O ile Julia nie zagrozi za to Robertowi rozwodem. Zakład to nie miejsce dla mnie. Nie jestem też pewien, czy dla pani, ale o tym już musi się pani przekonać sama. Miłego wesela.

Gdy docieramy na miejsce i wysiadamy na dziedzińcu, Łucja rozgląda się z grymasem

bólu, uderzona tętnem Zakładu bijącym sobotnio pomiędzy kamienic, ze squatu, z legalnych i półlegalnych knajp, klubów, sal koncertowych pozagnieżdżanych w zakątkach dzielnicy. W indygowie niebo pokreślone dźwigami wgrzają się pomału bloki Gerarda, osiedle, jak mówił, także dla artystów, z przeszklonymi loftami na pracownię, lokalami na galerię. Zakład zyskał już taką renomę, że ściąga artystów, nie tylko z Poznania, ale i z innych miast, zaczyna też rozrabiać. Przed wystawami zdarzają się protesty z różańcami, raz katolicki poseł sprowadził telewizję i próbował zniszczyć rzeźbę, antyreligijną, krzyczał. Dwie prace Ulicki musiał zdjąć po dyskretnych telefonach z ratusza, inspirowanych dyskretnymi telefonami od wielkich firm i fabryk, szturchniętych chudym palcem sztuki krytycznej.

Łucja jest jeszcze bardziej oszołomiona miastem niż ja, gdy przyjechałem na studia, dlatego poświęcam jej więcej uwagi niż własnemu ślubowi, na szczęście pomaga mi w tym Julia, otula ją uprzejmością, i dobrze, niechby chociaż na ten jeden wieczór. Prowadzi ją na górę, do loftu, oznajmił Ulicki, raczej lochu, prycha Julia w odpowiedzi, ale niech się pani nie przejmuje, Łucjo, poprawia ją Łucja, mów mi po imieniu, Julia uśmiecha się, wspina na palce i całuje ją w policzek, nie przejmuj się, mówi, jest tam co prawda zgrzebnie i zimno, ale to loch tymczasowy. Nie zmienia to jednak pewnej konieczności, zwraca się do mnie i przystaje przed progiem. Schylam się, dźwigam ją do góry, sprężoną, pachnącą i moją, dziwne słowo, moją, i przenoszę przez próg. Łucja rozgląda się. Na ścianach hali wiszą moje prace, kilka temper, paręnaście wykończonych akwarel, rysunki. Nie widziałam ani jednej z nich, szepcze. A po cóż miałbym przywozić je do domu?, wzruszam ramionami. Na szczęście, wtrąca Julia, sprzedaję Roberta już tylko w galeriach, nie przyprowadzam tu więcej kolekcjonerów. Dziwili się, że po obrazy za grube tysiące euro muszą przychodzić do takiej nory.

Rozmowę zagłuszają wiwaty, okrzyki, śmiechy. Pod ścianami stoją stare fotele, leżą poduchy, koce, maty, w przyciemnionym świetle błyszczą butelki wina i wódki, w powietrzu unosi się leciutki zapach marihuany. Z kąta zastawionego sprzętem muzycznym bucha chwilowa fala bitów i sprzężeń. Ośka i Malik robią próbę przed koncertem. Malik zapowiada, że jeśli zagrają jakieś piosenki, a nie tylko klawiszowo-gitarowe transy, bo na weselu muszą być piosenki, będą o miłości lub malarstwie. Siedzam Łucję w fotelu. Chwytam butelkę wina, piję, aż brakuje mi tchu. Nie pij tyle, rzuca Kostis z boku, przed komunią lepiej być na czczo. Stwórzcie lepiej, wołam, dźwiękowy hologram Gerarda i innych nieobecnych. Ogromny łyk uderzy dopiero za chwilę, ale już teraz szumi mi w głowie wino daremnej gadaniny wypite przy kolacji, wino

października spijane od rana z błękitnego powietrza, wino ślubnego dnia, który przegrodził moje życie, nie wiem jaką linią, jak ostrą i głęboką. Szukam wzrokiem Julii, ale ona z łopotem spódnicy wiruje pośrodku hali, tańczy flamenco do kanciastej melodii rzeźbionej przez Malika na gitarze. Zdążyłem już zapomnieć, co krzyknąłem przed chwilą, ale gdy schylam się nad Łucją, przypomina mi o tym chłodnym spojrzeniem. Skoro mowa o nieobecnych, mówi cicho, kogoś jeszcze tu brakuje, nie sądzisz?

Zupełnie nikogo, pryham i dołączam do Julii. Pierwszy taniec!, woła Malik. Zagrajcie coś wolnego, mówię. O miłości? O malarstwie. Malik, świetny muzyk, zaczyna grać piosenkę Johna Cale'a o Magritcie. Słowa huczą mi w głowie. *Somebody's coming that hates us, better watch the art*. Przypomnę je sobie kiedyś. Tak, mruczy Julia owinięta wokół mnie, za jakiś czas, nie długi, nie krótki. Ale wszystko przestało dziać się naraz, mówię, nie jesteśmy już jednym, inaczej nie próbowalibyśmy się w tym utwierdzić. Grunt wyznaczony, pola zakreślone, niedługo zacznie się walka. Nie mówisz tego, szepcze między pocałunkami, to tylko myśl z ciemnej głębi, niepotrzebna i niebezpieczna. Prawdziwa, mówię. Niech będzie, całuje mnie dalej, ale nie mów tego jeszcze przez chwilę, przez ten wieczór.

Przed północą Łucja prosi, bym odwiózł ją do hotelu. Toście sobie ładnie, pokazuje na halę. Podchodzi Julia, chce się pożegnać. Zostawiam was na chwilę, mówię, niech sekretom stanie się zadość. Zanurzam się w muzykę, spoza jej rozmigotanej ściany przyglądam się, jak mówią coś do siebie, wymieniają niedomyślane dla mnie słowa, gesty, których nie rozumiem. Ściskają się długo, mocno.

Chcesz jutro pójść dokądś?, pytam Łucję, gdy taksówka zatrzymuje się przed hotelem. Nie, wołę wracać. Po chwili dodaje: zaprosiłam was. Nie musisz mnie zapraszać, pryham, a ona co na to? Że przyjedziecie. Kiwam głową bez słowa.

Gdy wracam, muzyka cichnie, tylko Ośka poplumkuje jeszcze na klawiszach. Kostis, który tymczasem odział się w coś na kształt sutanny, woła mnie i Julię. Z kręconymi włosami spiętymi w kucyk, kudłatą brodą i oliwkową skórą wygląda jak młody pop, zwłaszcza że jest Grekiem, krewnym artystów, którzy trzydzieści lat temu działali w legendarnej galerii Wielka 19. Klękajcie, rozkazuje ze śmiechem, udzielę wam prawdziwego ślubu. Daj spokój, opędzam się, żadnych dragów. To nie dragi, mówi, to komunia. Julia chwyta mnie za rękę i ciągnie na podłogę. Kostis z kieszeni sutanny wyczarowuje plastikową torebkę i smukłymi palcami podobnymi do pałeczek cielistej perkusji, nie, do palców wprawnego marionetkarza, wydłubuje

z niej dwa maleńkie kwadratowe kartoniki. W półświecie z trudem dostrzegam na nich rysunek człowieczka na rowerze. Kostis gestem nakazuje otworzyć usta. Nie bój się, mówi Julia, zaopiekują się nami. Nic nam nie grozi. To tylko zabawa. Zaślubiam prawdę z fikcją, mówi Kostis, marzenie ze spełnieniem. Dobrze, że nie sprzedają tego w aptekach, bobyśmy z tym naszym artystycznym badziewiem poszli z torbami. A wy, jak już obudzicie się w nowym mieszkaniu, na czułym łonie liberalizmu gospodarczego i bogobojnych władz miejskich, pamiętajcie o nas. Pomalujcie ściany na tęczowo, a ty, Robert, zostań malarzem psychodelicznym. Nadchodzi ktoś, kto nas nienawidzi, odpowiadam słowami piosenki. Kostis rysuje mi na czole jakiś znak. Masz problem z rzeczywistością: za mocno w nią wierzysz. No, powiedz „aaa”.

Kładzie mi kartonik na języku. Opuszkami muska moją wargę i puszcza do mnie oko, potem częstuje Julię. Kartonik jest bez smaku. Ostrożnie przesuwam go między zęby. Zmykamy, mówi Kostis. Panowie i panie, bierzcie wódkę, przenosimy się na dół. Państwo młodzi zaczynają noc poślubną.

Gdy zostajemy sami, wypluwam kartonik na podłogę. Co ty robisz?, woła Julia. Nie przeszkadzaj sobie, mówię. Siadamy na naszym materacu, moszczę jej legowisko z poduszek i koców. Biorę ją za rękę. Jestem pijany, ale to ten rodzaj upicia, który wzmacnia, to nic, że złudliwie, smak, zapach, myśl, odgradza przed światem i wewnątrz tej przegrody wszystko wyjaśnia, we wszystkim upewnia. Można w nim wytrwać do świtu. Noc poślubna, mówi Julia. Dziwne, nie? Dziwne. Po cośmy to właściwie zrobili? To nie był twój pomysł? Mój? Myślałem, że twój. Oświadczyłeś mi się. Chyba przez sen. Chodź do mnie, powtarza kilka razy, nawet gdy już moje palce suwają po jej brzuchu, a jej zęby muskają koniuszek mego ucha.

Terapia

Naprawdę wyplułeś?

Zarumieniłem się, dzieciak po latach opowiadający matce, jak pierwszy raz za szkołą próbował zaciągnąć się papierosem. Dzieciaki, zaśmiała się. Często tak ćpają? Nie, chyba nie. Przynajmniej nie zapraszają mnie więcej. A ona?

Przez głowę przebiegło mi wspomnienie Julii skulonej w moich ramionach, z oczyma pełnymi otchłannego urzeczenia. Szeptała coś, hipnotycznie zbierała palcami moje nasienie z piersi i szyi, podawała mi je do ust, słodkie od alkoholu. Mogłem się z nią porozumieć tylko dotykiem. Myślałem, że nie da się już być bliżej, a zarazem dalej od siebie.

Słuchaj, po co właściwie o tym rozmawiamy? Ściągnęłaś mnie z drugiego końca świata, by przy kolacji pogawędzić o moim ślubie sprzed półtora roku?

Łucja milczała. Palce lewej ręki nieustannie miała w ruchu, zaciskała je i rozluźniała, bębniła nimi po stole, chwyciła i puszczała kubek po herbacie. Siedzieliśmy tak już godzinę, co od dawna nam się nie zdarzało. Rozgadałem się o wyjeździe, ale gdy jej wypytywania rozbiegły się na chybił trafił po najróżniejszych sprawach, uznałem, że to odwracanie uwagi. Nie mogłem uwierzyć, że ledwie dwie doby temu byłem w Sierra Nevada. W płucach miałem jeszcze śnieżne powietrze gór, pod powiekami chłodne słońce. Spod niepokoju, jaki kłębił się we mnie przez paręnaście godzin lotu z San Francisco przez Nowy Jork, Londyn, Warszawę, ledwie sześć godzin w Poznaniu, z których cztery przespałem, a przez dwie pozostałe słuchałem jednym uchem, jak Julia opowiada, nie, woła, niemal śpiewa, że odebrała właśnie klucze do mieszkania i lokalu na galerię, którą nazwała Roboczą, wreszcie spytała, nie, krzyknęła, jak to możliwe, że nie kwapię się zobaczyć ani jednego, ani drugiego, na co warknąłem, że owszem, kwapię się, ale wcześniej czeka mnie ważniejsza sprawa, a gdy spytała, jaka, odpowiedziałem: nie wiem, teraz więc spod tego „nie wiem” przebiła się złość. Ten niepokój kazał mi wymeldować się nagle z Mount Washoe, domu pracy twórczej, gdzie siedziałem na stypendium z pięcioma osobami ze Stanów, Irlandii i Litwy, rysowałem trochę, piliśmy grzaną whisky, a po roztopach zamierzaliśmy wydłubać w zboczu płaskorzeźbę podobną do tych z płaskowyżu Nazca. Noel, rzeźbiarz z Portland, autor projektu, na odjezdne wręczył mi karteczkę z nazwą jakiegoś miasteczka. Pustynia Mojave, powiedział. Niedaleko stąd. Szkoda, że odjeżdżasz. Wpadnij następnym razem. Może gdzieś mnie znajdziesz. Gdy spytałem go o numer telefonu, zaśmiał się.

Przez ciebie wróciłem miesiąc przed terminem, miałem teraz ochotę krzyknąć do Łucji.

Dobrze wyglądasz, powiedziała. A ty źle, burknąłem. Nie ściągnęłam cię tu. Ach tak? Nigdy dotąd nie dzwoniłaś do mnie co drugi dzień, i to tylko po to, by chlipać do słuchawki. Pierwszy raz w życiu słyszałem, jak płaczesz. Co się dzieje?

Sięgnęła do koszyczka na kredensie, położyła na stole dwa opakowania leków. Zawieź to kolegom i żonie, jeśli za mało wierzą w rzeczywistość. Przeczytałem ulotkę. Masz po tym halucynacje? Okropne. Co za kozak przepisał ci coś takiego? Neurolog z Sandomierza, czy to ma znaczenie, jeden lek, drugi, trzeci, choroba jest ważna, nie lek, w lekach można wybierać, przebierać, choroba i tak zostanie, rozumiesz. Żałuję, że przyjechałeś, nie chciałam tego, po prostu dzwoniłam do ciebie po tych koszarach i nie wiedziałam, co robić. Ale przeczytałam w internecie, że można tego paskudztwa nie brać. Jeszcze nie teraz. Można poczekać. Robiłaś badania? Tak. Odpłatnie, żeby nie czekać. Rezonans magnetyczny, trzy różne tomografie.

Zapaliła papierosa. Patrzyłem na nią, odwróconą ku oknu, zżerał mnie wstyd. Daremnie szukałem w myślach chwili, dnia, pory roku, kiedy po raz pierwszy rzucił mi się w oczy jej szurający chód, drżenie ręki, wypełniane coraz mniejszymi literkami dokumenty i rachunki. Sądziłem, że jest przemęczona, że się starzeje. Raz bąknąłem żartem, że powinna kąpać się w Wiśle, to ją rozluźni, na co odparła, że w naszym następstwie pokoleń dopiero mnie przypadło prawo do rozluźniania się. Przebiegło mi przez głowę liche usprawiedliwienie, że przynajmniej na portretach ukazywałem ją zdrową: nie ukrywałem zmarszczek, srebrzystych włosów, ściągających się w dół kącików ust, tej rzeźbiarskiej pracy, którą ziemia upodabnia nas do siebie, jednak prostowałem jej plecy, rozciągałem mięśnie, bezwiednie zacierałem widoczną, choć nie dla mnie, może też nie dla niej, pracę choroby. Nie musisz się wstydzić, powiedziała cicho, to ja się wstydzę.

Do późna ślęczałem nad wynikami badań, ulotkami leków, broszurkami z poradni, książką, którą polecił jej lekarz, czytałem porady w internecie. Następnego dnia umówiłem ją do kolejnych dwóch lekarzy, potem siłą wsadzałem do samochodu. Bez słowa odsuwałem jej rękę, gdy wyciągała portmonetkę i chciała płacić za wizyty. Nie odzywałem się, gdy złościła się o drobiazgi, że zbyt szybko jadę, że zapomniała zamknąć dom, że nie umalowała się czy nie uczesała jak trzeba, gdy odwracała się i nuciła pod nosem, obrażona dziewczynka. Nim minął tydzień, całkiem przestaliśmy ze sobą rozmawiać. Wyobrażałem sobie, że tak trzeba, że stanęliśmy do walki i skupiamy się na tym, jak wygrać, a to wymaga chłodnego milczenia, póki

któregoś ranka nie krzyknęła, że skoro tak zachowuję się na początku jej choroby, pod koniec pewnie zamknę ją na strychu. Wybiegłem z domu, włóczyłem się po wzgórzu. Długo porządkowałem myśli, te o walce, ułożyłem sobie w głowie tabelkę z diagnozami i radami lekarzy. Dużo pić, dużo solić, nie jadać twardo, nie pić kawy wieczorami, palić można, to akurat dziwne, zażywać ruchu, uczyć się oddychać, uczyć się wstawać tak, by się nie przewracać, uczyć się chodzić tak, by się nie przewracać, uczyć się ubierać mimo drżenia rąk i sztywniejących mięśni, uczyć się rozmawiać mimo cichnącego głosu, uważać na siebie, oczywiście pracować, nie udawać, że nic się nie dzieje, ale pracować najdłużej jak się da, powiedział jeden z lekarzy, jak się da, to jest sedno, rzuciła przez zęby po wyjściu z gabinetu, a jak się nie da, to co wtedy? To samo, mruknąłem, możesz z tym dożyć późnej starości, musisz po prostu brać leki, badać się i robić całą resztę. Katalogowałem sobie w myślach tę walkę, chłodno, o walce nie da się myśleć ciepło, ćwiczyć, to najważniejsze, brać leki i ćwiczyć. Póki śmierć nas nie rozłączy, szeptało mi w głowie. Kiedyś zobaczyłem ją stojącą w oknie, tak przezroczystą, że przeszła mnie myśl: umarła. Nie żyje. Stoi martwa. Na to się nie umiera, powiedziała cicho. Zbliżyłem się i lekko, samymi dłońmi, objąłem ją i trzymałem tak, póki nie odchyliła głowy i nie oparła mi jej o ramię.

Przyduszony i ogłupiały, któregoś ranka nagłym zrywem pojechałem do Poznania, po farby, tłumaczyłem sobie. Gnałem na oślep. Samochód zostawiłem o dwie ulice od Zakładu, przemknąłem się, by nie spotkać nikogo znajomego. Julii nie było. Mówiłam ci ostatnio, że będę w Berlinie, czemu nie zapowiedziałeś, że przyjeżdżasz?, spytała, gdy zadzwoniłem z Zakładu. Jej imię na ekranie telefonu zmieniło się w niezrozumiałe hasło. Nasza hala była niby nietknięta, ale chyba już nie przez nas zajęta, miałem wrażenie, że widzę i słyszę mieszkające w niej duchy, rozpoznałem w nich nas sprzed kilku lat, chciałem je ostrzec, nie wiedziałem przed czym, nie wiedziałem jak. Na przeprowadzkę jeszcze za wcześnie, dodała, w mieszkaniu na razie nic niezrobione, ale skoro już tam jesteś, nie obraziłabym się, gdybyś rozejrzał się za wykończeniowcami, może zadzwoń do tych, których polecił mi ojczulek? Numer znajdziesz na mojej półce, w żółtej teczce z projektem, a w ogóle może na projekt też byś rzucił okiem, po raz pierwszy, zdaje się? Oglądałem go kiedyś, na początku, mruknąłem. Masz na myśli tamte twoje pierwsze bazgroły? To było sto lat temu, a poza tym, kochany, one były ładne, ale do niczego, mówiłam ci, nie nadajesz się do projektowania wnętrz. Obejrzyj mój projekt, przynajmniej oceń, czy odpowiada ci pracownia, a najlepiej idź z nim na miejsce i zobacz wszystko sam, nie będę przecież z Berlina kierować urządzaniem domu. Po co ty tam w ogóle pojechałeś? Tam, czyli do

Bolechowa, Julia rzadko wymawiała tę nazwę. Do gardła podpełzł mi gniew, niedobry, pęknięty, taki, który nie dodaje siły, tylko wystawia na pewną przegraną. Łucja, wychrypiąłem. Co? Muszę. Będę musiał. Spędzać tam więcej czasu. Chcesz powiedzieć: jeszcze więcej, ale to nic nowego, siedzisz tam już prawie bez przerwy. Ona jest. Jest. Hm?, spytała po chwili z nieoczekiwaną łagodnością, tak przejmującą, że ujrzałem przed sobą uniesione brwi, oczy rozblęszczone troską, rękę gładzącą mnie po ramieniu. Jest chora, mruknąłem. Milczała przez chwilę, potem spytała tym samym głosem, którym zawsze umiała mnie ukoić: na co? Powiedziałem jej, a potem nagły szloch zgiął mnie wpół. Cisio, cisio, szepnęła, gdy trochę się uspokoiłem. Chcesz, żebym przyjechała do ciebie? Rozejrzałem się dokoła. Duchy wciąż krzątały się po hali, wymieszkaniej, z biegiem lat wziętej w posiadanie głosami, śmiechem, dotykiem rąk, stóp, kolanami gwałtownie wpartymi w materac, zapachami wina, kawy, potu, perfum, zaprawy malarskiej, kroplami, które czasem zostawały w pościeli, czasem spadały na deski podłogi. Uważajcie, szepnąłem do nich. Hm?, usłyszałem w telefonie. Nie, mruknąłem, nie przyjeżdżaj.

Nie zajrzałem do żółtej teczki. Wymknąłem się z Zakładu, zaciągnąłem się marcowym chłodem. Poszedłem pod apartamentowce. Inaczej niż większość nowych osiedli, nie były mdląco kremowe, pyszniły się soczystą minią. Stały ukosem, oddzielone od ulicy trójkątnymi placami, z pogardą dla skąpstwa w gospodarowaniu przestrzenią, i wrzynały się łamaną linią w niebo, nie, wciągały je w siebie, wchłaniały w błękitne tafle okien. Ze swoją świeżością, elegancją projektu i nieskazitelnością wykonania miały w sobie coś ostatecznego. Wśród lokali na parterze, przeznaczonych na sklepy i usługi, Gerard przewidział, jak to określił, parytet dla prywatnych instytucji kulturalnych. Przyszła galeria Julii, tak jak nasze mieszkanie w penthousie, patrzyła prosto na Zakład, który stał po drugiej stronie ulicy, pomniejszony przez nowe sąsiedztwo, strudzony paroletnim wysiłkiem dźwigania okolicy z zapuszczenia, troskliwie otulony knajpkami, klubami, pajęczyną rzeźb, instalacji, murali, z przyczajonym w pogotowiu squatem. W głębi ulicy nad bramą zakładów kolejowych białął transparent.

Właśnie stamtąd nadszedł nagle Ulicki, gdy snułem się po bruku i z zadartą głową ogarniałem wzrokiem łatanie sąsiedztwo: zapleśniałe robotnicze kamienice, luksusowe osiedle i fantazyjne otoczenie Zakładu. Chciałem machnąć tylko na powitanie i udać, że się spieszę, nie miałem ochoty na rozmowy, ale on, choć podszedł spiesznie, nie myślał o grzecznościach. No, sapnął, w porę się wyprowadzacie. Oby i nam nie przyszło się pakować. Co ty opowiadasz?

Miasto nas sprzedało. Gerardowi? Nie. I to mnie martwi. Przelicytowała go większa firma, nazywa się Gunn, z RPA. Ponoć chcą kupić całe Wolne Tory, o ile kiedyś, za sto lat, miasto dogada się z kolejną. Mają projekt całej dzielnicy. Skoro tak, powiedziałem niepewnie, na razie nie będą budować, tylko negocjować resztę. Zresztą umowa, że Zakład ma zostać, ich chyba też dotyczy? Mój drogi, sapnął znowu, połączone siły skorumpowanych władz miejskich i wielkiego biznesu mogą równać walcem góry. Nie ufam nikomu. Co się dzieje w ZNTK?, spytałem. To samo co od lat. Protest. Załoga od trzech miesięcy nie dostaje pensji. Zamawiałeś coś u nich?, spytałem go. Coś ty, produkcja prawie stoi. Energetyka grozi, że wyłączy im prąd. Zresztą mam gdzieś rzeźby. Obmyślamy akcję. Jeśli dojdzie do strajku, przyłączymy się. Co u ciebie, spytał nagle, jak było w Szwajcarii? Nie byłem w Szwajcarii, odparłem, ale on już mnie nie słuchał, szedł w stronę Zakładu.

Gdy wstałem rano, miasto przykrywała gruba warstwa śniegu, pewnie ostatniego w tym roku. Kupiłem zapas pigmentów, nowe pędzle, odjechałem w tę kruchą biel.

Łucję zastałem w pałacu, skupioną na pracy. Przejrzałem jeszcze raz broszury, zrobiłem listę, poszedłem do Kornackiego, zamówiłem ławeczkę do wanny, różne uchwyty do łazienki, poręcze do wejściowych schodków. W domu zwinąłem dywany, dywaniki, chodniczki, wycieraczki, wyniosłem na strych. Po co te przygotowania?, spytała po powrocie, jeszcze chodzę, i to nieźle. Właśnie po to, byś chodziła nieźle jak najdłużej. Posłuchaj, podniosłem głos, bo widziałem, że znów zaczyna rozsypywać się w miątką mieszaninę rozpacz i złości, wszędzie piszą, że musisz ćwiczyć. Potrzebna ci rehabilitacja. Jak, potoczyła ręką dokoła, mam ćwiczyć w tej graciarni? Wywalimy wszystko z jednego pokoju, odparłem, nawet wiem którego. Chciałem mówić dalej, ale ręka z papierosem ucięła mój głos w pół zdania. Ani się waż, powiedziała z furią, aż na stół prysnęła kropelka śliny. No dobrze, już dobrze, więc z mojego. Ani się waż, powtórzyła. Rozłożyłem ręce. Nie wiedziałem, że aż tak kochasz ten dom. Cóż ja pocznę, załkała po chwili milczenia, na tym odludziu? Uspokój się, powiedziałem, opłacę ci rehabilitację, co tylko będziesz chciała. Wynajmę kogoś, żeby do ciebie dojeżdżał. Nie, zaraz, chwyciłem ją za rękę. Posłuchaj. Do miasta i tak musisz jeździć, ale wiem, gdzie zrobimy salkę do ćwiczeń, takich codziennych. W mojej chałupce. Nie ma mowy, prychnęła, nie pójdę tam. Pójdiesz. Mam dość twoich fochów. A niby gdzie będziesz malował? Nie zasłaniaj się moim malowaniem. I posłuchaj, podniosłem głos, bo widziałem, że ręka z papierosem zaczyna kolejne cięcie, na razie nikt nie musi do ciebie dojeżdżać. Jest ktoś tu, na miejscu.

Nie od razu oderwała szklisty wzrok od okna i spojrzała mi w oczy. Noś wymyślił. Spadła ci z nieba, powiedziałem. Dyplomowana pielęgniarka, rehabilitantka, fizjoterapeutka, masażystka. Wstydzę się, powiedziała. Niby czego? Wstydzę się za ciebie. Zaniemówiłem na chwilę. O to, że nie zaprosiłem jej na ślub? Skinęła głową. Przecież i tak by nie przyjechała. Nie bądź dzieckiem, prychnęła. Myślałam, że jesteście jak, zawahała się, szukała słowa, jak rodzeństwo. Dawne dzieje, mruknąłem. Czyżby? A widziałeś się z nią od tamtej pory? Może wcale nie dawne, skoro boisz się spojrzeć jej w oczy? Nie boję się. Więc powiedz jej to. Niby co? Nie wiem. To, co trzeba w takiej sytuacji. Zdawało mi się, wycodziłem, że rozmawiamy o pielęgniarce dla ciebie, a ty mi dajesz burę. Świadczy my sobie to, powiedziała, co jesteśmy sobie wzajem winni, jako matka i syn.

Wstałem od stołu bez słowa, wyszedłem w chłodny wieczór. Zimą widywałem czasem w prześwitach między drzewami masywne kombi wjeżdżające od strony wsi na kamieniarskie wzgórze. Usłyszałem kiedyś przypadkiem, nie od Łucji, nie zająknęłyby się o tym, tylko w sklepie, że Urszula mieszka znów w Bolechowie, dojeżdża do szpitala w Sandomierzu i paru prywatnych firm medycznych w Opatowie czy Puławach. Poszedłem do pracowni. W izbie stał zatęchły chłód, od jesieni nierozbity ani jednym napaleniem w piecu. Portretów Urszuli nie było, przed wyjazdem do Stanów wyniosłem je do rządcówki i poupychałem u siebie w pokoju, potem zmieniłem zdanie, uprzątnąłem pakamerę i tam ukryłem całą kolekcję, klucz dobrze schowałem. Chałupka była niska, ale przy ścianie zmieściłaby się drabinka. Parkowy ogrodnik musiałby doprowadzić prąd i wstawić grzejnik. Miejsca na podłodze było dość i na materac, i na chodzenie. Nie musiałbym nawet wynosić sztalugi i stołu z paletą, jednak nie wyobrażałem już sobie malowania w tym miejscu. Wyszedłem z chałupki i długo włóczyłem się po wzgórzach. Z trudem zmusiłem nogi, by skręciły w stronę gospodarstwa. Znów czułem się jak krzywdziciel, jak intruz. To poczucie wzbierało we mnie tak mocno, aż przepukliło się w gniew, a ten przyspieszył mój krok przez bramę na podwórze, obok warsztatu, obok wiaty, gdzie stał Franciszkowy żuk i kombi, w którego bagażniku dostrzegłem przez okno karton z ciężarkami, nadmuchiwaną piłkę, składany stół do masażu i inne sprzęty. W oknach na dole, kuchennym i drugim, pewnie jego, paliło się światło. Okno na poddaszu było ciemne, ten widok ścisnął mnie w gardle, ale gniew, nie wiedzieć przeciw komu zwrócony, doprowadził mnie do drzwi i kazał zapukać mocno, pewnie. Skrzypnęły po chwili. W szczelinie ujrzałem jej oko. Patrzyła przez sekundę, chciała zamknąć bez słowa. Łucja, chrypnąłem, potrzebuje pomocy. Twojej, fachowej.

Ja nic od ciebie nie chcę.

Zaczekaj, powiedziała bez wahania. Zatrzasnęła drzwi. Po chwili wyszła, przebrana na domowo, ale czysto, schludnie. Szliśmy w milczeniu. Czekałem, aż spyta o cokolwiek, ale nie odezwała się. Do rządcówki wszedłem pierwszy, nie oglądałem się na Urszulę, która, gdy dotarliśmy ścieżką do dziedzińca, zaczęła zostawać w tyle. Zapukałem do Łucji, uchyliłem drzwi. Urszula ukloniła się bez słowa. Chodź, dziecko, powiedziała Łucja drżąc, a gdy dziecko podeszło, chwyciła je pod rękę i wprowadziła do pokoju. Patrzyłem, jak bez słów, niezręcznymi półgestami, próbują przełamać trudną do nazwania barierę, aż w końcu Łucja spostrzegła, że wciąż stoję w progu, i powiedziała: wyjdź.

Walka

Numer do ekipy Gerarda leżał w teczce do czerwca, póki Julia z dwumiesięcznym opóźnieniem nie wróciła z Berlina, gdzie sprzedała kolekcjonerom z Niemiec i Austrii dwie moje tempery, bolechowską i z pejzażem Wolnych Torów, a ja nie przyjechałem na jej rozwścieczone wezwanie po tym, jak skończyłem montować w chałupce zamówione drabinki i obwiozłem Łucję po poradniach, gdzie powtórzyliśmy rezonans magnetyczny mózgu, testy neuropsychologiczne i zrobiliśmy tomografię emisyjną pojedynczego fotonu z obrazowaniem transportera dopaminy, udało nam się nawet zgodnie parsknąć śmiechem, gdy uczyliśmy się tej nazwy na pamięć, potem już umielibyśmy objaśnić ją solidnym wykładem, chorzy i ich wspólnicy, bo jak inaczej ich nazwać, szybko stają się ekspertami od swojej choroby, między tymi zajęciami natomiast z początku nie robiłem nic, patrzyłem tylko, jak wypoczwarza się wiosna, wreszcie zacząłem rysować, zabazgrałem dwa bloki gwałtownymi szkicami, i wtedy któregoś wieczoru zadzwoniła Julia, spytała niewinnie, co ostatnio porabiam, a gdy bąknąłem, że rysuję, wpadła w furję. Gdy ochłonałem z rozżartej sprzeczki, poczułem, że poprzez złość, jej i moją, poprzez oddalenie, nie to zwykle między Bolechowem a Poznaniem, tylko rozpięte rozciągliwie między różnymi miejscami, Mount Washoe a Poznaniem, Poznaniem a Berlinem, Bolechowem a Zakładem, także między kątami naszej hali z widokiem na tory, przebija się pragnienie, nietypowe, bo świeże, tak nie pragnie się po sześciu latach razem, tłący się coraz słabiej żar rozdmuchuje się czułością, cudną i daremną, i jest to może najuczciwsza gra, jaką nam dano, a jednak uczułem pragnienie, to ono kazało mi nazajutrz po telefonie Julii zerwać się o świcie, ucałować zdumioną Łucję w policzek i siedem godzin później stanąć w drzwiach penthouse'u, z lekkim sercem i głową ciężką od winy, że nasz nowy dom widzę na oczy dopiero drugi raz w życiu. Julię słyszałem już na korytarzu. Krążyła po mieszkaniu, rozjuszona puma, krzyczała do telefonu. Ściany swoją pustką i surową białością przywodziły na myśl galerię gotową do wystawy. Wielkie okno w pracowni wychodziło na tę samą stronę co nasza hala w Zakładzie, z widokiem na torowiska, zarówno czynne, lśniące stalowo wstęgowisko szyn i pajęczynę trakcji, jak i nieczynne Wolne Tory, dalej na odymione kamienice dolnego Łazarza i Dworzec Główny hen po prawej, tyle że z wysokości pięciu pięter więcej ta panorama zyskała szerokość i głębię, i tło w postaci zachodniego Poznania, a Zakład, zamiast mieścić mnie w sobie, kulił się po drugiej stronie ulicy. Dziwnie się na niego stąd patrzyło, przez chwilę miałem wrażenie, że opuściłem swoje ciało

i unoszę się w eterze niedokończenia, tymczasowej pustki, nieodgadnionej przyszłości, eterze wcale nie cichym, lecz wypełnionym warkotem wiertarek, szlifierek, chrobotem kielni, stukotem młotków, bo w apartamentowcach dudniła wykończeniowa robota.

Niechby ich wszystkich szlag, warknęła Julia tuż za moim ramieniem, tak szorstko, że mimo woli aż parsknąłem śmiechem. Ciebie też, ciągnęła, za twoje lenistwo. Ceny mieszkań od ubiegłego roku wzrosły o połowę, a ludzie kupują jak leci, z obłędem w oczach, nawet na osiedlach, pod które nie wykopano jeszcze fundamentów. Hydraulicy, płytkarze, podłogarze, suficiarze, ścianiarze, drzwiarze, schodziarze, łazienkarze, kuchniarze, pokojarze masowo emigrują do Anglii, a ci nieliczni, co zostali, dyktują warunki i strzelają focha. Jeśli tak dalej pójdzie, nie urządzimy mieszkania i Roboczej do zimy. Jak to się nazywało? Dyktatura proletariatu?

Ich spytaj, wskazałem za okno. Transparent nad bramą ZNTK ostrzegał o strajku. Po dziedzińcu wałęsały się grupki robotników. Dzień pracy kończył się, niedawno chyba też skończyło się jakieś zajście, od ludzi w drelichach i kraciastych koszulach biła pokłębiona złość. Co tam się działo?, spytałem. Dziś mieli dostać zaległe pensje za kwiecień, wyjaśniła Julia. Nie dostali, więc na dwie godziny wstrzymali pracę. Zwołali masówkę. Prezes wyszedł, ale nic nie obiecał. Ponoć szykują strajk generalny. Prywatyzacja po polsku, mruknąłem. Po co produkować, skoro można zamknąć i zaorać. Widziałem to już przed laty w pegeerze. Swoją drogą Ulicki gadał mi ostatnio, że się przyłączymy. Przyłączą, poprawiła mnie Julia. Złudzenie wspólnej sprawy. Nie żywię go już. Przez ostatnie dziesięć lat zrobiłam dla Zakładu wszystko, co miałam zrobić. A dla nich?, pokazałem na robotników. Julia wybuchła szczerym śmiechem. Ależ skąd ta myśl, skąd ten język, skąd ten pomysł? A cóż ty zrobiłeś dla prostego człowieka, mój kochany obłudniku? Malowałem ich. Ach. I dzieliłeś się z nimi zyskiem? Chyba w tajemnicy przede mną, bo nic o tym nie wiem. Czy jednak wolałeś kupić sobie mieszkanie w penthousie? Wzruszyłem ramionami. Przez lata łączono mnie z Ulickim, tylko dlatego, że u niego mieszkałem, mimo że twórczość Zakładu to na mój gust interwencyjny komiks, a nie sztuka. Nigdy ani słowem nie wypierałem się tych związków. Chyba więc też zrobiłem, co mogłem. Ale teraz mówisz o Zakładzie, wtrąciła Julia, a oni? Może narysuj ich teraz. Idź do nich. Pokręciłem głową. Teraz jest czas walki, nie sztuki.

Pragnienie zgasło we mnie, zdławił je niepokój bijący zza okna, od grupki robotników i robotnic rozchodzących się pomału z rękoma w kieszeniach, od Zakładu, który sprężył się

w sobie niepewny, ale też z wnętrza, z pustego mieszkania i mojej własnej głowy, gdzie długo jeszcze tłuło się echo sprzeczki. Następnego dnia Julia zwołała zakładowców do pomocy i w trzy godziny przenieśliśmy nasze rzeczy, wwieźliśmy windą na górę i usypaliśmy na środku mieszkania. W wymuskanym otoczeniu przypominały stertę rupieci zebranych na cele dobroczynne. Za miesiąc, dwa dostaniecie to wszystko, powiedziała Julia squatersom, którzy pomagali nam nosić, i wskazała kuchenkę, lodówkę i zapyziałe meble. Obrazy niech na razie wiszą w hali, powiedziała do Ulickiego. Ściany są jeszcze niegotowe, na razie nie ma sensu ich tu znosić, bo będą stały w kącie. Zjechałem z Ulickim na dół. Chciałbym coś dla was zrobić, bąknąłem. Jasne, odparł zdziwiony. Możesz narysować szablony. Chodź, pokażę ci.

Lato, upalne, obrzmiałe, wciągało nas w siebie. Jeździliśmy z Julią po supermarketach budowlanych, wykończeniowych, meblowych, kupowaliśmy sprzęty kuchenne, płytki, deski podłogowe, spaliśmy kątem na materacu z Zakładu, w mieszkaniu zmienionym w mały plac budowy, od świtu do nocy ganiałliśmy między ekipą rządzącą tym placem a drugą, która urządziła galerię. Zastanawiałem się, na ile jesteśmy podobni, krzątliwe mrówki, do ludzi, którzy migali nam, pochłonięci takimi samymi zajęciami, w oknach apartamentowców, o twarzach zmęczonych, ale spełnionych, o ruchach rozlatanych od pośpiechu i podniecenia. Zapamiętam to wszystko, mówiłem do siebie, to nieporównane uniesienie, w jakie wprawia stwarzanie domu, bo choć mieszkałem już w tylu miejscach, dotąd zawsze tylko urządziłem przestrzeń przez kogoś mi użyczoną, a nie wykreśloną i wyciętą ze świata własnymi rękoma. Gdy monterzy wieczorami kończyli robotę, bywało, że nie dojadaliśmy z Julią szybkiej pizzy z kartonu, nie dopijaliśmy zimnego piwa, tylko na przekór znużeniu jedna i ta sama iskra w oczach, resztką żaru rozdmuchana nie czułością, tylko radością nowego początku, kazała nam chwycić się za ramiona, za szyję, wsunąć spocone ręce między nogi, zszarpać robocze łachy, osunąć się na podłogę i smakować słońską skórę. Rozcierwienione zachodnie niebo wlewało się przez wielkie okna pracowni i dalej przez puste futryny w głąb mieszkania, obejmowało nas, lizało leniwie i czuliśmy, że przez chwilę będziemy jeszcze mieć w nim gościń.

Paręnaście dni po naszej przeprowadzce ZNTK ogłosiły strajk generalny. Poszedłem tam z rana, przyczałem się niedaleko bramy. Przy krawężnikach czały się furgonetki ekip telewizyjnych, poznańskiej kablówki, lokalnej TVP, nawet „Jedynki”. Na chwilę wszedłem na dziedziniec. Spod ściany z łuszczącym się napisem WITAMY W ZAKŁADZIE. ŻYCZYMY PRZYJEMNEJ I BEZPIECZNEJ PRACY śledziły mnie chmurne spojrzenia robotników. Pod

biurem gromadził się tłum, tężał gwar, chrapliwy, powykrzywiany mocną poznańską gwarą. Spomiędzy poczerniałych drelichów mignęły stojące na sztorc, uchwyty do góry, taczki z nabazgranym kredą hasłem DLA ZARZĄDU. Przy bramie kręciły się też grupki anarchistów z małymi plecakami, trzymanymi tak, by nie rzucały się w oczy. Gdzieniedzie rozbłyskiwały ogniska gorzkich wiwatów. Emerytowany robotnik, ponoć weteran poznańskiego Czerwca, zachęcał, by wywieźć szefów za bramę. Nieprzyjemnym prądem niosła się wieść, że zarządu nie ma dziś w zakładzie. Potem gruchnęła kolejna, że nadjeżdża prezydent miasta. Wycofałem się na ulicę. Wkrótce nadjechała limuzyna. Pomału przejechała pod uniesionym szlabanem, wsuwała się w tłum, ten rozstępował się, gniewny, ale widać było, że ten gniew, każdy gniew, kurczy się w zetknięciu z majestatem władzy, bo władza zawsze przemocą daje złudę nadziei. Widziałem krótko ostrzyżoną głowę prezydenta, dolatywały mnie strzępki jego przemowy, że chciałby pomóc, ale nie ma jak, będzie rozmawiał z właścicielami spółki, ale musi zobaczyć plan naprawczy dla zakładów, na razie zwróci się do zarządu lokali komunalnych o cierpliwość w ściąganiu zaległych czynszów od robotników. Nie byłem ciekaw, co mówi, ale gdybym nawet był, i tak nie podszedłbym bliżej, bo z odległej o trzysta metrów bramy Zakładu, naszego Zakładu, wychodził właśnie barwny korowód. Na czele szedł Ulicki w ni to policyjnej, ni wojskowej czapce, za nim Kostis w sutannie, którą pamiętałem ze ślubu, tyle że narzucił na nią fioletowy ornat, a na głowę włożył piuskę, dalej zakładowcy w garniturach i garsonkach z lumpeksu, ciemnych okularach, z pękatymi teczkami w rękach. Posuwali się cudacznym krokiem, zarazem marszowym i pijacko kulawym, pogrzebowym i festynowym, chytrym i ośleptym. Niektórzy gadali od tyłu, inni śpiewali patriotyczne pieśni na melodie ulicznych przyspiewek. Nad głowami bujały się transparenty o rozmaitej treści, od komunikatywnego protestu przeciw przekupnej władzy i bezdusznemu biznesowi po zupełne nonsensy, i dwie tablice z odmalowanymi od szablonu twarzami Jezusów w cierniowych koronach, jedną robotniczą, z wąsami, krzywą grzywką, czołem pokreślonym zmęczeniem, smutkiem i gniewem, drugą politykierską, nalaną smalcem zadowolenia i buty. Przez chwilę przeszył mnie lęk, czy ktoś z tłumu na ulicy i fabrycznym dziedzińcu, choćby dziennikarze, których kręciło się trochę, a niektórzy mnie znali, nie dojrzy w tych malunkach mojej kreski. Poczuję się zdrajcą, nie wiedziałem czyim. Co paręnaście metrów korowód odprawiał stacje drogi krzyżowej, ledwie parę gestów, potem ruszał dalej, ku bramie ZNTK, za którą, widziałem, narastała konsternacja. Grupa anarchistów wyciągnęła z plecaków czarne flagi, wbiegła na plac, skandowała hasła, te

same co nad korowodem, tyle że nie utopione w karnawałowym absurdzie.

Na placu zafalowało. Prezydent przepychany przez ochroniarzy zniknął w limuzynie. Anarchiści próbowali stanąć w jednym szeregu z robotnikami, krzyczeli coś w ich obronie, ale ci rozstępowali się zdezorientowani. Limuzyna zaczęła wypełzać z dziedzińca, w bramie jednak zatrzymał ją krzyżowy korowód, otoczył z obu stron, czyjaś ręka gruchnęła w dach, potem w luźnym szyku Zakład wtańczył się na fabryczny dziedziniec. Z ulicy zaczęli wbiegać dziennikarze z kamerami, aparatami, dyktafonami. Korowód Zakładu szalał po dziedzińcu, akcja zmieniała formy, kształty, przeobrażała się z ukrzyżowania w sąd, z sądu w licytację, w kibicowską ustawkę, bo wśród transparentów były też parodie godła Lecha Poznań, z ustawki w wybory, z wyborów w mszę, w koncert chóru, wszystko rozbuchane, poczarne, pełne przemocy, wszystko o władzy i poniżeniu tych, co muszą jej ulegać. Nie wiem, jak długo to trwało. Ocknąłem się, gdy prezydencka limuzyna z piskiem opon wycofała się wreszcie na ulicę i został po niej tylko nikiący ryk silnika. Jej odjazd musiał wyrwać z tłumu niewidoczny hamulec, bo nagle coś szarpnęło się w nim, wzburzyło, już nie podług choreografii Ulickiego, parodysty społecznych obrzędów, tylko z energią daremnie nagromadzonego gniewu. Tablice i transparenty huknęły na ziemię, kraciaste koszule i drelichy otoczyły dwójkę czy trójkę zakładowców, czyjaś pięść pracowała mechanicznym ruchem tłoka. Anarchiści próbowali rozdzielić bójkę. Korowód rozpierzchł się panicznie. Chrapliwe głosy wrzeszczały coś wrogo. Wbiegłem na plac, ale nie zrobiłem nawet pięciu kroków, gdy ktoś pchnął mnie barkiem z boku z taką siłą, że musiał to być atak. Z trudem złapałem równowagę. Spomiędzy kamienic dobiegał dźwięk policyjnych syren. Spadajcie stąd, usłyszałem wołanie Ulickiego, ja się tym zajmę. Popędził w tłum, ratował swoich świętowników. Pod butami robotników łomotali moi Jezusowie. O tępiąty wykułałem się na ulicę, nogi same doniosły mnie do osiedla.

Migawka z akcji Ulickiego przemknęła przez wiadomości telewizyjne, oglądaliśmy je wieczorem w Zakładzie. Nikt nie został zatrzymany, Ulicki wytłumaczył się jakoś, anarchiści zdołali się wymknąć, nie pozwolili się sprowokować policji, ale klęski nie dało się ukryć. Gazety pisały o chybionym happeningu, o ostatecznym rozbracie sztuki ze społeczeństwem. Julia nie wiedziała, że to ja zrobiłem szablon. Pytała, o co chodziło z tymi dwoma Jezusami. Wyjaśniłem, że miało odbyć się podwójne ukrzyżowanie, jedno prawdziwe, robotnika, drugie udawane. Zresztą nie wiem, mruknąłem, bzdury jakieś, ich pytaj.

Brnęliśmy ku sercu upalnego lata, patrzyliśmy z okien na strajkujące zakłady i umilkły po

kompromitacji Zakład. W połowie lipca poszła wieść, że część udziałów w ZNTK wykupiła prywatna firma kolejowa, że mają zostać wypłacone pensje, że wreszcie ma ruszyć produkcja. Pięciusetosobowa załoga była nieufna, zmęczona, wroga. Nie zbliżałem się więcej do bramy. Któregoś dnia, bladym świtem, zbudziło mnie skrzeczenie megafonu. Wybiegłem na taras. Ulicę zastawiły policyjne furgonetki. W pierwszej chwili myślałem, że z jakiejś przyczyny chodzi o Zakład, ale nie, czarny kordon gromadził się pod sąsiednią bramą squatu. Squatersi wybiegali z kwater, gromadzili się pod bramą, cudem zdążyli ją zamknąć. Co się dzieje?, zawołała Julia. Policja eksmituje squat! Wciągnąłem spodnie, nie zdążyłem nawet zawiązać butów, wypadłem z mieszkania, nie czekałem na windę, schodami pogałem w dół.

Słyszałem już wcześniej, że od chwili wykupienia działek z Zakładem i squatem czas anarchistów na tym terenie się kończy, prawnik firmy Gunn żądał, by się wynieśli, squatersi próbowali negocjacji, relacjonowali je krok po kroku na swojej stronie internetowej. Bronili się, że przez ostatnie lata zorganizowali kilkaset koncertów, spektakli, spotkań i konferencji, urządzili bibliotekę, wegański bar, warsztat rowerowy, klub filmowy, że obok Zakładu i squatu Rozbrat są największym niezależnym ośrodkiem kulturalnym w Poznaniu, odwoływali się do władz miasta, które ponoć z myślą o nich także miało zawrzeć specjalną klauzulę w umowie z Gunnem, czy może samo zobowiązało się, że znajdzie dla nich inny teren, squatersi jednak nie chcieli się wyprowadzać, podobnie jak Ulicki, trwali z nim w upartym sojuszu. Nikt nie wyobrażał sobie, by Zakład i squat mogły się rozdzielić ani zmienić miejsce, istnieć gdzie indziej niż tu, w niczym zakątku między przeszłością i przyszłością, w kulawej przestrzeni podniesionej z ruiny. Nie miałem pojęcia, czy najazd jest nielegalny, squatersi byli pewni, że nie, wykrzykiwali do policjantów, że nie mają prawa ich wyrzucać, słyszałem też komendy, jakie wydawali sobie nawzajem: bierny opór! Nie atakować ich! Nie cofać się! Mamy prawo tu być! Gdy biegłem przez ulicę, trzymali się jeszcze, ale po chwili oba skrzydła bramy z trzaskiem poleciały na boki i policjanci wdarli się do środka. W ich ekwipunku coś mignęło stalowoczarno. Zmroziło mnie: to były pistolety maszynowe. Anarchiści próbowali trwać w biernym oporze, ale gdy szpaler tarcz napierał na nich, komuś puściły nerwy, poleciał kamień, huknął jakiś kij i wtedy na dobre poszły w ruch pałki, tarcze, pięści. Czarni zaczęli młócić wściekle jedną, dwie, trzy osoby, może więcej, które upadły na przerośniętą trawą dziedziniec. Znow jakiś kij załomotał o tarczę, poleciały wyrwane spieszenie brukowce. Oszołomiony wbiegłem przez bramę.

Dopiero wtedy pojąłem, co robię, gdzie jestem, i strach wmurował mnie, przez długą

chwile nie mogłem ruszyć się z obrzeża placu. Z magazynu, gdzie mieściły się kwatery squatu, dobiegały wrzaski, łoskot wściekłej młócki, brzęk roztrzaskiwanego szkła, łamanych mebli, wywracanych regałów. Na ulicy megafon skrzeczał wciąż niezrozumiale, przebijał się poprzez krzyki anarchistów, szarpliwą szamotaninę, milczenie policjantów, bo pojąłem, że milczą zupełnie, nie wydają dźwięku, pancerne roboty. Patrzyłem, jak wloką squatersów po bruku do swoich furgonetek, za ręce, nogi, włosy, ale nie byłem w stanie ani uciec, ani dołączyć się, zresztą po co, nikt nie myślał już o oporze, wszyscy byli obezwładnieni, bronili się przed pałkami lub się rozpierzchli. Spod szybki najbliższego hełmu łypnęły na mnie oczy, mignęła mi w oczach uniesiona pałka, zachybotał się pistolet maszynowy, i przeszła mnie myśl, że muszę chronić ręce, to ona wyrwała mnie z miejsca i pognała ośleple za magazyny, obok rampy, gdzie sześć lat temu piłem z Julią wino, leżaki i parasol ciągle tam stały, i dalej przez krzaki, obalone płoty, między pustymi ruinami, na torowisko.

To Julia wezwała pogotowie. Gdy ośmieliłem się wychynąć spomiędzy wagonów i przekraść z powrotem przez bocznicę i krzaki na teren squatu, z rękoma w próżnym odruchu skulonymi w pięści, razem z Oską opatrywała squatersa, któremu policyjna pałka złamała nos. Pielęgniarze wtaczali do karetki kogoś na noszach. Po placu kręcili się głównie zakładowcy, większość anarchistów policja skuta kajdankami i wywiozła na komisariat. Ci, co zdążyli się ukryć i umknęli pałkom, opowiadali o zajściu dziennikarzom, którzy przybyli tymczasem, tym razem spóźnieni, pomyślałem gorzko. Z wnętrza squatu dobiegały wściekłe krzyki Ulickiego. Julia na mój widok odskoczyła do tyłu. Żyję, powiedziałem. Myślałam, że cię pobili, zabrali. Gdzie byłeś? Moje ręce, które chyba czuły się winne, ukryły się za plecami. Nic mi nie jest. Głowa sama obracała mi się naokoło, nie mogłem skupić na niczym wzroku, odruchowo wypatrywałem zagrożenia. Squaters siedział oparty o rampę z rozkołysanym błędnie spojrzeniem i jednym okiem nabiegłym krwią. Pielęgniarze odsunęli Julię i Oskę, badali mu odruchy, pytali, czy wie, gdzie jest. Squaters milczał. Co ty opowiadasz?, Julia spytała mnie identycznym tonem jak oni, pielęgniarskim, potrząsnęła za rękę. Dopiero wtedy usłyszałem swój głos. Gadał nieprzytomnie, niewstrzymanie, nie wiedziałem o czym.

Do wieczora wynieśliśmy ze squatu wszystko, co przetrwało atak: szafki, kuchenki, fotele, kartony z książkami i narzędziami, butle gazowe, materace, przenieśliśmy do Zakładu i wstawiliśmy do naszej dawnej hali. Musieliśmy nosić przez boczną furtkę, bramę wjazdową zapieczętował prawnik Gunna, który przyjechał po południu w eskorcie ochroniarzy. Anarchiści

spisywali, co połamały pałki lub pogruchotały buty, Ulicki odbierał od nich te listy i głośno obmyślał pozew przeciwko policji o bezprawną napaść. Julia przyniosła aparat i poszli z Malikiem zrobić dokumentację fotograficzną. Niektórzy zrywali się na całonocną manifestację pod komisariatem. Ze ścian spoglądały na nas moje obrazy, których, choć ściany w penthousie były już otynkowane i gładkie, dotąd nie miałem czasu przenieść, trzy tempery i kilkanaście akwarel nasyconych łagodnym światłem bolechowskich przedpołudni. Wszystko działo się nierealnie, gdzieś obok, ale zarażało nas, nasze ruchy i słowa przeszywał prąd, uwagę mieliśmy wyostrzoną, nie czuliśmy zmęczenia, ciała sprężone były w oczekiwaniu, nie ufały temu, że przecież wszystko już się zdarzyło. To szok, myślałem, jesteśmy jeszcze w szoku. Nikt nie myślał o śnieniu, nawet gdy dzień przekreślił się na drugą stronę i osunął w niespokojną noc. Może dlatego byliśmy czujni, nikt się nie zdziwił, nie zawahał, nie krzyknął, tylko zerwaliśmy się spod ścian, materaców, spłowiałych foteli, niemal bez słowa, gdy na dziedzińcu Zakładu wrzasnęła komenda, brzęknęły roztrzaskiwane równocześnie szyby w dwóch, trzech, czterech oknach na parterze, trzasnęły wywalone wejściowe drzwi i na schodach załomotały ciężkie buty. Nie mają prawa tu wejść!, usłyszałem głos Ulickiego. Drzwi hali bez ostrzeżenia wpadły z hukiem do środka, a za nimi czarne kurtki, podwinięte do kostek dżinsy, glany, łyse łby.

Potem myślałem sobie, i tak ustaliliśmy między sobą, gdyśmy do rana siedzieli wśród zniszczeń i przepowiadaliśmy sobie po wielekroć absolutnie każdą chwilę tej nocy, że chyba z początku nie mieli zamiaru nas bić. Przygotowali się, by trudno nam było potem zeznawać, okręcili twarze szalikami, niektórzy też nakryli głowy kapturami, ale z kijami bejsbolowymi nie rzucili się na nas, tylko rozbiegli się po hali, wściekłe, bystre zwierzęta, między materace, gdzie squatersi w śpiworach dzielili się sztachnięciami marihuany, między stosy książek z anarchistycznej biblioteki, rowery z warsztatu pogięte uderzeniami policyjnych pałek, pudła ze sprzętem fotograficznym ze zdemolowanej ciemni, między komputer a projektor, na których wyświetlano w squacie przeglądy antyglobalistycznych filmów, między kuchenki gazowe, między Włodka Malika, który brzdąkał cicho na niepodłączonej gitarze, Ulickiego, który siedział w zarwanym fotelu, w okularach, z laptopem na kolanach, i robił notatki do pozwu, kruchą dziewczynę w dredach oglądającą moje tempery, widziałem ją pierwszy raz, rozbiegli się między trzepoczące się coraz słabiej duchy mnie i Julii sprzed paru lat i zaczęli grzmocić w każdą rzecz, sprzęt, pudło, mebel, nawet w ściany. Na chwilę wszystko, ich porykiwania zza szalików, krzyki dziewczyn, przekleństwa chłopaków, zagłuszył brzęk szyb wielkiego okna,

które przez sześć lat dawało mi światło do malowania i widok na Wolne Tory, a teraz pod uderzeniami kijów wybuchło na zewnątrz, w parny mrok. Tkwiłem w kącie, z głową wciśniętą między podkulone kolana, w głowie błysnęła mi tylko ulga, że to nie nas przyszli bić, aż wreszcie ujrzałem, jak kije, roztrzaskawszy wszystko, co było w najbliższym zasięgu, zaczynają młócić po moich obrazach. Tempery jedna po drugiej spadały ze ścian, strzelały drzazgami z gruchotanych desek, czyjeś ręce rozszarpały papier akwarel. Nim zdążyłem poczuć cokolwiek, pomyśleć, przez zasłonę splecionych rąk ujrzałem, jak w wyważonych drzwiach stanęła Julia. W ręce miała aparat. Dopiero teraz przypomniałem sobie, że kwadrans, godzinę, rok wcześniej poszła do squatu dokumentować skutki nalotu policji. Po półchwili wahania uniosła aparat i z reflekssem sportowej czy wojennej reporterki zaczęła robić zdjęcia. Jeden ze skinheadów ryknął i z szalikiem odsuniętym z twarzy rzucił się w jej stronę. Zerwałem się z wrzaskiem, skoczyłem naprzód, trzymałem coś w ręce, machnąłem tym rozpaczliwie, byle tylko dosięgnąć. To był kabel. Gdy skinhead odwracał się wściekle ku mnie, boleśnie chłośnięty przez szyję i głowę, Julia podbiegła na krok, stanęła naprzeciw, zastygła na sekundę i strzeliła mu fleszem prosto w twarz. Łokieć skinheada grzmotnął mnie w skroń. Upadłem na podłogę. Zasłoniłem głowę, zdążyłem podkulić kolana, by ochronić zębra, bo widziałem, że glan z metalowym czubkiem bierze zamach, lecz nagle skinhead odpadł w bok, trzaśnięty w głowę rozskrzydlonym czarno przedmiotem, wielką książką, może kanciastym ptakiem. Mignęła mi wykrzywiona twarz w okularach. To nie była książka. Ulicki rąbnął skinheada otwartym laptopem.

Wstań!, krzyknął. Zerwałem się. Na drugim końcu hali Malik chwycił swoją gitarę za gryf, wziął zamach i powalił najbliższego skinheada grzmotnięciem w krzyż. Po chwili pałka innego walnęła go w brzuch i upadł pod ścianę. Dziewczyna, która w chwili ataku oglądała moje obrazy, wrzeszczała przeraźliwie, gdy napastnik w kapturze chwycił ją za związane w kuc dredy, jednym ruchem okręcił je sobie wokół nadgarstka i zaczął ciągnąć ją, trzepotliwy worek, do okna szczerzącego się rozbitymi szybami. Chłopaki rzucili się na niego, łomotali czym popadło, kulili się pod ciosami pałek, które spadały na nich z boku, wreszcie tamten rozmyślił się czy zmęczył, bo puścił dziewczynę w pół kroku i pobiegł do wyjścia. Może była to komenda odwrotu, bo pozostali popędzili za nim. Gdy wybiegali, błysnęło coś świetliście, oderwało się od nich i potoczyło do środka. Nim czerwony dym flary wybuchnął na dobre i wypełnił halę, zdążyłem wypatrzeć Julię. Przykucnięta w kącie, robiła zdjęcie za zdjęciem.

Łuna

Dotąd żadne ręce tego nie robiły, nie z tym ciałem, nie w tamtym miejscu. Trzy razy w tygodniu, tak poukładawszy sobie godziny dyżurów i zabiegów w mieście, by móc dotrzeć przed wieczorem do Bolechowa i zachować jeszcze resztkę sił, zostawiała kombi na podwórzu, obmiała dom, chwilę krzątała się przy obiedzie, wołała go bez słowa, trzaskała tylko łyżką o brzeg garnka, w którym omaściła parujące ziemniaki, potem myła ręce, podobne do gładkich, ale mocnych stworzeń, wracała do samochodu, wyciągała wielki pokrowiec, niosła go do chałupki, w której on przeszło trzydzieści lat temu pijał wódkę z mistrzem Gawałą, a potem przeznaczył ją na dom dla którejś córki, może dla niej, lecz porzucił wraz z nadzieją na stworzenie zgodnej rodziny i nie miał pojęcia, że po latach urzędę tam, o rzut kamieniem od jego domu, pracownię, a jeszcze później salkę gimnastyczną. Włączała grzejniki elektryczne i nim izba się nagrzała porządnie, bo chorzy bardzo marzną, rozstawiała stół do masażu, lekką konstrukcję z jasnego drewna, wracała po ręczniki, fartuch, butlę oliwki, zostawiała je w chałupce, szła do rządcówki. Przychodziła punktualnie. Łucja czekała w płaskich butach bez sznurowadeł, prostej spódnicy lub domowych spodniach, latem też w narzutce na zgarbionych ramionach, jesienią w swetrze i puchowej kurtce, zimą nie, zimą Urszula przenosiła stół i rozstawiała go w jej pokoju, od wiosny do jesieni natomiast pukała tylko do drzwi, po czym obie szły ścieżką do chałupki.

Dotąd żadne ręce nie masowały Łucji, ułożonej na stole, z jedną stroną ciała zakrytą przed chłodem, nie obiegały tak zręcznie jej pleców, karku, szyi, ramion, rąk, ud, łydek, stóp, nie wgłaskiwały się posuwicie i koliście w skórę tracącą miękkość i blask, do brzoskwini upodabniał ją już tylko białawy meszek, nie wbijały się z taką siłą w mięśnie, nie rozcierały i nie ugniatały tych drobnych i smukłych, ale boleśnie sztywniejących splotów. Żadnym ręką nie była tak posłuszna jak wtedy, gdy potem wstawiała ze stołu, ścierała ze skóry resztę oliwki, przebierała się w strój gimnastyczny i poddawała się im od nowa. Kładła się na materacu, który przytwierdziłem do podłogi, a tę podbiłem wełną mineralną i nakryłem grubą wykładziną, i miarowymi wymachami rąk, nóg, obrotami i skrętami tułowia, które, gdybym patrzył z góry, skojarzyłyby mi się z ruchami dziwnego, leżącego tańca, rozciągała całe ciało. Podnosiła się stopniowo i taniec rozwijał się, na klęczkach, na siedząco, na krześle, z piłkami, taśmą, szarfą, woreczkami, rozbujany rytmicznie, w końcu stawała podparta o krzesło, kijki, drabinki, aż ze

statycznych ćwiczeń wykluwał się prawdziwy ruch, nogi unosiły się wysoko i chodziły po kolorowych nalepkach na podłodze, to szybciej, to wolniej, to wprost, to slalomem, to dłuższym krokiem, to krótszym. Dotąd żadne ręce nie prowadziły jej tak spokojnie i stanowczo zarazem, na niczyje klaśnięcie czy delikatne chwycenie za łokieć nie reagowała tak pokornie przystąpieniem, ruszeniem, skrętem, zmianą tempa. Ale może dotąd żadne ręce nie dotykały jej z taką uwagą i troską, z takim wyczuleniem na to, co w niej najmocniejsze i najsłabsze, najtwardsze i najmiększe, zdrowe i chore, z taką znajomością jej mięśni, stawów, skóry, z taką pamięcią mimowolnych oporów i wzdrygnięć.

Nigdy tego nie oglądałem, nie czułem się dopuszczony. Mogłem zajrzeć przez okno, ale byłoby mi głupio, czasem tylko, gdy włączyłem się po zmroku i zahaczyłem wzrokiem o chałupkę rozświetloną od środka, mignęły mi dwie sylwetki, krucha i mocna, siwa i złota, czasem dostrzegłem skrawek ruchu, ale nie podglądałem, szedłem swoją drogą. Byłem jedynie woźnym, po wszystkim zachodziłem upewnić się, czy światła są pogaszone, a grzejniki wyłączone, zbierałem i układałem przybory, zmiatałem podłogę. Na ścianie wisało trochę moich zdjęć, którymi kiedyś pomagałem sobie w malowaniu, drobnych szkiców i akwarel. Chciałem to wszystko ściągnąć i wynieść z całym sprzętem malarskim do rządówki, ale Łucja kazała mi zostawić. Z Urszulą się nie witałem. Gdy miała przyjść, krążyłem po wzgórzach albo tkwiłem w swoim pokoju. Przy urządzeniu chałupki musiałem radzić się jej w różnych sprawach, porozumiewałem się z nią wtedy krótkimi pytaniami, ona odpowiadała mi jeszcze krócej. Zrób tak. Połóż tam. Jeszcze to. A to tutaj. Nie padało więcej słów między nami.

Łucja nie od razu zgodziła się na reżim gimnastyki, masaży, fizjoterapii, z trudem dała się przekonać, że nie tylko spowolni on postępy choroby, ale i wyprzedzi te, co dopiero mają nadejść. Po cóż mi logopeda, po co ćwiczyć mówienie, oddychanie, jeszcze żyję, dycham, gadam, nie rób ze mnie kaleki, złościła się głosem, który, zdawało mi się, pomału zaczynał słabnąć, matowieć, gubić melodię. Coś ci się myli, odburkiwałem, nie robię z ciebie kaleki, przeciwnie, próbuję cię przed kalectwem obronić, a gdy udało jej się wyprowadzić mnie z równowagi, dodawałem okrutnie: tak długo, jak się da. Broń się sam, krzyczała, nic mi nie jest! Nic, rozumiesz? Nic. Niech będzie, mówiłem, świetnie, jesteś zdrowa. Wyobraź sobie, że mamy taką zabawę. Nie psuj mi jej. Czasem dodawałem prostacko: słono za nią płacę. Ach, twoje płacenie, twoje pieniądze, weź je sobie. Nie, ja ci je oddaję, złościłem się, inwestowałaś trzydzieści lat w tę opiekę, dość nonszalancko, ale jednak, teraz znaj moją wdzięczność. Byleś mi

w genach tego paskudztwa nie przekazała, bo inaczej niż rękoma na życie nie zarobię. Po takich słowach wychodziłem z hukiem, potem długo gryzłem je i żułem, gorzkie pestki. Rano spotykaliśmy się przy śniadaniu jak gdyby nigdy nic. Łucja nauczyła się ćwiczyć przy radiu, włączała sobie „Dwójkę”, Mozarty i Brahmsy wyciszały ją i rozweselały, gdy więc po przebudzeniu zza pakamery dobiegało mnie perukarskie rzępolenie, oddychałem z ulgą. Robiłem głęboki wdech i czułem, że można zacząć dzień.

Puchły szare koperty z wynikami badań. Leczenie trwało dopiero drugi rok, objawy cofnęły się odrobinę, drzenie ręki zmalało, sztywność mięśni też trochę, oboje wiedzieliśmy jednak, że im dłużej organizm dobrze odpowiada na leki, tym pewniejsza jest diagnoza, tym pewniej też trzeba się spodziewać, i nie pomyliliśmy się, że kombinacje lewodopy, ergotamin i atropin będą działać coraz słabiej, pojawią się efekty uboczne, rozkręci się spirala większych dawek, leków na leki, leków przeciw lekom przeciw chorobie, która i tak postępuje na przekór lekom. Saszetki rozpuszczane w wodzie kilka razy dziennie stały się w jej rękach tym, czym dotąd filiżanka kawy i papieros. Udało się nam na dłuższy czas, płaskowyż czasu, którego skraj ginął w mglistej paruletniej oddali, utrzymać rozejm z chorobą, jak nazywałem to w myślach. Dbaliśmy o dietę, tak nauczyłem się myśleć, my, bawiło mnie to słowo, choć przychodziło mimowolnie, inaczej niż młodym ojcom, których nie znałem wielu, artyści nie palą się do ojcostwa, zdarzało mi się jednak słyszeć, jak ktoś z wyuczoną dumą mówi o żonie: rodzimy za miesiąc, rodziliśmy razem, myśmy z Łucją też chorowali razem, ale nie czułem z tego powodu dumy, tylko rozdrażnienie, rozbłyskujące czasem kłótniami, i strach przed tym, co przyjdzie potem, który wkamienił mi się w brzuch i pulsował czarno. Te właśnie rozbłyski i strach tłumiliśmy rutyną, odmierzaniem leków, ćwiczeń, masaży, wizyt u lekarzy, turnusów rehabilitacyjnych, dbałością o dietę, ostrożnym dawkowaniem białka, by nie tłumić działania lewodopy, obfitym dawkowaniem owoców, warzyw i błonnika, by polepszyć trawienie, chytrym dawkowaniem herbaty i kawy, nawet papierosów, które próbowałem wybić jej z głowy, daremnie, Łucja wyśmiewała mnie, że nie znam się ani na jej chorobie, ani na paleniu.

Krzątałem się obok i żyliśmy w jednym domu niby po staremu, jednak zżyci na nowo, na cudzych warunkach. Nabierałem czujności. Nie nazwałbym tego troskliwością, Łucja nie pozwalała mi na nią, wszystko musiało wyglądać na rutynę, nie na opiekę. Od troski jest tylko krok do litości, powiedziała kiedyś, tego bym nie zniosła, bądź łaskaw zachować ją dla mnie na ostatnią chwilę, a najlepiej dla siebie, gdy już mnie nie będzie. Dlatego stałem się tylko czujny,

przyglądałem się z boku, czy jej nic nie brakuje, a ona, po początkowym okresie, gdy złościła się, że robię z niej kalekę, bo wyposażam salkę do ćwiczeń, montuję różne uchwyty w domu i przekonuję, by kupowała sobie sukienki bez suwaków z tyłu, bluzki bez drobnych guziczków, buty bez obcasów i sznurowadeł, zaczęła mnie słuchać, przywykła do tych rad i zmian, włączyła je, z początku nieznośne, do rutyny, z którą można żyć, gdy stanie się przezroczysta.

Do pracy chodziła, a jakże. Przetrwaliśmy czas, gdy Narodowe nie miało pomysłu na pałac i zaniedbało go, nie dostrzegło, że z muzeum przepoczwarza się w ośrodek edukacji plastycznej, pozbyło się rządcówki, co myśmy przywitani z ulgą, bez wahania ją wykupiłem, za grosze, zważywszy, czym była, choć i drogo, zważywszy jej stan. Za fundusze unijne, w których nabrała świetnej orientacji, Łucja zamierzała wyremontować pałac i oranżerię, czyli, rozżarzyło się we mnie pałace wspomnienie, zrobić to, o czym tuż przed śmiercią roił Stefan. Chciała odbudować drobiazgi, które dawniej zdobiły park, ale nie przetrwały najazdu oficera trupiej główki i jego gości, a potem tych, co pogonili ich na zachód, ławeczki, figurki, posążki. Wszystko miała skatalogowane w swoim widmowym doktoracie, o którym nie zapomniała, choć nie zamierzała też go kończyć, bawiło ją, że poświęciła parę lat na coś, co wtedy wydawało się jej udręką, a teraz było ściągawką przydatną w pracy. I gdy mykałem po obrzeżach jej widzenia, pod byle pretekstem, pytałem o coś niby znudzony, zwracałem jej głowę, ale dzięki temu ciągle na nią baczyłem, podglądałem i podsłuchiwałem, jak krząta się po majątku, omawia coś ze współpracownikami, dyskutuje z dyrektorami innych muzeów, szefami z Warszawy, wydzwania dokądś, ślęczy nad papierami i e-mailami, coraz nikszej, coraz cieńszym ołówkiem wyjęta z tła, malowana coraz bardziej wodnistą akwarelą, coraz bledszym kolorem, ale i napędzana coraz większym żarem, nie do końca zdrowym, znać w nim było chorobowe wahania ciśnienia i snu, trawienia i nastroju, i czającą się stale, tłumioną jedynie lepiej albo gorzej rozpacz, zdawało mi się, że jest nie duszą bolechowskiego muzeum, ale częścią jego ciała, sercem i mózgiem zarazem, równie kruchą jak ono, bo też zbudowaną ze starzejącej się materii, i że skrytą mądrością ciała, nie pozorną jasnością duszy, umie oszacować postęp tego starzenia i obliczyć, co jeszcze zrobić, by stawić mu opór.

Z podobnego oddalenia, raptem o parę kroków, o przypadkowe spotkanie, o zawołanie w razie potrzeby, obserwowałem, jak radzi sobie z zajęciami plastycznymi. Po wielu próbach udało mi się zmusić ją, by ćwiczyła ręczne pisanie, przy okazji tych samych kłótni sprawiłem jej lepszą klawiaturę do komputera i telefon z dużymi przyciskami, ale wiedzieliśmy oboje, że

rysować już nie będzie. Nigdy nie była w rysunku mistrzynią, ale wyuczyła się go na tyle, by uczyć dzieci, a te zdolniejsze oddawać w lepsze ręce. Nie dostrzegłem, bo wtedy jeszcze nie śniło mi się, że jest chora, jak podczas tych lekcji rysowania i paćkania akwarelek jej ręce pomalutku wycofują się, chowają z tyłu, tracą śmiałość, jak wstydzi się sama zademonstrować dzieciakom to, czego od nich wymaga, nachyla się tylko nad prackami, palcem wskazuje, co źle albo dobrze zrobili, czasem chwyta ich za rękę i tym nieporadnym gestem usiłuje pokazać, jak prowadzić ołówek, kreślić figury, cieniować. Gdy to zauważyłem, zacząłem niby tylko krążyć w pobliżu, zjawiać się czasem, zwykle na jej wezwanie, aż stopniowo wszedłem w te lekcje na dobre. W wakacje zjawiały się dwa świeże roczniki: plener z sandomierskiego plastyka i bolechowska grupka knypiąt mażących dopiero domki i chmurki. Nauczycielka w szkole wybierała z takich mazań najlepsze i przynosiła do oceny, a Łucja wybierała z nich jeszcze mniejszą garstkę domków i chmurek, w której przeblyskiwał talent. Kiedyś zdarzyło się, że w tygodniowym ciągu, bo tak wszystko poumawiałem, by mieć za jednym zamachem z głowy, gościłem redaktorkę kolejnego albumu z moim malarstwem, doktorantkę piszącą o mnie pracę oraz ekipę TVP Kultura, która kręciła o mnie film dokumentalny, choć opierałem się, że nie mam biografii i żaden ze mnie temat na dokument, i właśnie kamery, choć nie były rzadkością, o Bolechowie powstało już kilka filmów, w pałacu i parku kręcono też kiedyś kostiumowe melodramaty, tym razem sprawiły, że nie przyszło troje czy czworo dzieci, tylko cały nieproszony tłumek. Przeszły z nogi na nogę, wytrzeszczały spod grzywek błyszczące oczy, szeptały: to on, ten malarz, mówiłem ci, przecież go znasz, to on, mówiłam ci, że jest stąd. Łucja patrzyła po nich rozedrgana po źle przespanej nocy, przyduszona parnotą letniego ranka, bezradna. Dzieciaki nie zwracały na nią uwagi, nie słuchały objaśnień. Gdy potem prowadziłem ją do domu, pod rękę, bo aż tak była słaba, powiedziałem: już pora, teraz są moi. Zwalniam cię z tego etatu. Wiem, że go lubisz, ale zajmij się pałacem, nikt nie zrobi tych remontów i rekonstrukcji lepiej niż ty, a rysowania ich już nie nauczysz. Wybuchła płaczem, mocnym, krótkim.

Dzieciaków zresztą przybyło, bo Bolechów wrócił do życia. Jedną połowę co prawda zajmowało betonowe gruzowisko pegeeru łypiące wybitymi oknami, otulane litościwie coraz wyższą gęstwiną krzaków i drzew, ale część gospodarska, dzięki pieniądзом unijnym oraz przywożonym przez tych, co wracali ze Szwecji, Niemiec, Włoch, Francji, rozrosła się pstrokatymi domkami, rozłożystymi maszynami w stodołach przerobionych na garaże, pękatymi autami na brukowanych różowo podjazdach, trawnikami i altankami w miejscu dawnych

kwiatowych ogródków i przydomowych sadów. Po bokach, byle nie za blisko, chowały się rezydencje miastowych: ceglane chałupki odkupione od dzieci zmarłych gospodarzy, które ani myślały wracać na wieś, oddzielone od sąsiadów szpalerami jałowców, świerków, i nowe, zakłopotane swoim podmiejskim raczej niż wiejskim wyglądem, domki dla lalek, o dużych oknach i tarasach wychodzących na pola. Na ulicach wioski, spod ceglano-żelaznych ogrodzeń, co zajęły miejsce płotów, znikły ławki, gdzie kiedyś przesiadywały chłopcy w kaszkietach i chustkowe babiny. Starych wieśniaków spotykałem jeszcze, choć po wsi chodziłem rzadko, witali mnie wesoło, pałacowego malarzyka, wiedzieli też z pogłosek, z telewizji, z aury bijącej od pałacu, od wieży niezmiennie wychylonej znad parku, że choć ledwie przekroczyłem trzydziestkę, staję się jednym z tych, których obrazy wiszą na ścianach muzeum, jestem sławny i ponoć bogaty, choć tego bogactwa wcale nie widać, nie jest więc pewne, przy tym dziwny, skoro nie kwapię się ruszyć z rodzinnej wsi, ale i swojski, skoro mazałem ich przez długie lata. Tym gorliwiej dopytywali się, czemu nie noszę szkicownika ani pudełka po karmelkach „Glorja”, na co odpowiadałem kawałkiem prawdy, że pomagam Łucji i na nic nie mam czasu. Dziwny byłem też dla tych, co pielgrzymowali do Bolechowa, młodszych malarzy, naśladowców, porwanych, mówiono, nową falą realizmu, chcących zobaczyć na własne oczy, jak mieszkam i pracuję, sprawdzić, czy prawdę piszą recenzje wystaw, artykuły w czasopiśmie, wstępy do wywiadów, nielicznych i niechętnych, bo nazywano mnie w nich odnowicielem realizmu, nadzieją malarstwa figuratywnego, kronikarzem znikającego świata, portrecistą ginącej wsi, pejzażystą nostalgii, nowym Fałatem, nowym Gierymskim, nowym Bajem, i wszyscy autorzy tych wstępów, wywiadów, recenzji, i ci, co przyjeżdżali do Bolechowa zobaczyć krainę mojego malarstwa, nie chcieli słuchać, gdy mówiłem, że w malarstwie interesuje mnie tylko blade światło października rozsnute wśród trawy, ciepło nagrzanego muru, uchwytność żółtego lub szarego wiatru, odsłonięty zimą szkielet prostych rzeczy, chłód gościnnej ziemi, puste i łagodnie przychylone niebo, bliskość Wisły, tego ospałego, kapryśnego zwierzęcia, szorstka czułość ludzi, wszystko to, co wykołysało mnie w świat, ale nie dało mi żadnych tytułów i praw.

Zresztą i tak był to tylko kawałek prawdy, bo pomału przestawałem malować. Po walkach z robotnikami, policją i skinheadami przyjechałem przetrącony. Poukrywałem sprzęt po szafach, w pakamerze, gdzie stały zgromadzone portrety Urszuli, zamknąłem się w domu, rzadko wychodziłem z pokoju, nasłuchiwałem nocami. Nie czułem, bym się bał, raczej że coś mnie brudno uwiera, odłamek łajdactwa mieszczańskiego w sobie te trzy bitwy i większego od nich

wszystkich. Zająłem się Łucją, nie odbierałem telefonów, nie odpisywałem na e-maile. Julia wyjechała do Berlina i też nie dawała znaku życia, porażona tą samą zarazą. Jesienią wezwano nas na przesłuchania. Zapakowałem parę zaległych, gorszych obrazów, by pustymi rękoma nie narazić się na jej pretensje, że nie maluję, i pojechałem. Skinheadów zatrzymano wszystkich, głównie dzięki zdjęciom Julii. Ulicki szukał poszlak na ich współpracę z policją, ale nie znalazł. Nie udało się oskarżyć antyterrorystów, którzy zdemolowali squat. Co prawda pięcioro anarchistów miało obrażenia, od zwichniętych nadgarstków poprzez złamane żebra po wstrząśnienia mózgu, ale wszyscy byli wcześniej znani policji, mieli teczki za posiadanie marihuany czy stawianie czynnego oporu podczas podobnych zajęć i powinni być szczęśliwi, że udało im się uniknąć oskarżenia.

Zakład nie był jeszcze tym, czym miał się stać niebawem, czyli własnym cieniem, ale gdy zatrzymałem samochód przy apartamentowcach i zamiast na górę nogi poniosły mnie na drugą stronę Roboczej, jeszcze brukowanej, choć niedługo miało się to zmienić, czułem, że oglądam rozciągnięty w czasie koniec. Na parterze błyszczały szyby wstawione w miejsce wybitych, ale wielkie okno w naszej hali ziało pustką, tym żałośniejszą, że do połowy pozabijane było deskami, a wyżej połatane płachtami folii i płataniną taśm. Ścisnęło mnie w gardle mocno, dławiąco. Wiedziałem, że nie wejść tam już, na nasze piętro, nigdy. Za płotem stał martwo budynek squatu z bramą zamkniętą na łańcuch i kłódkę. Jeszcze długo miał tak stać, Gunn nie kwapił się, by cokolwiek budować, wszczęta na ich wnioski eksmisja była, mówił Ulicki, pokazem sprzymierzonych kryminalnych sił biznesu i państwa. Uciekłem na osiedle. Coś mnie ścigało, obejrzałem się, nic nie zobaczyłem, ale wiedziałem, że to wstyd. W apartamentowcu nie opuścił mnie, wjechał za mną na górę, wkradł się w nieskazitelną przestrzeń mieszkania. Chyba prześladował też Julię, gdy z chrząknięciem zakłopotania, co zdarzało jej się rzadko, spytała, czy zgodzę się wystąpić w sesji. W jakiej sesji?, spytałem, wgapiony przez okno w bryłę Zakładu w gęstniejącym zmierzchu. Zdjęciowej, dla „Vivy”, zaśmiała się zimno. „Wysokie Obcasy” też ustawiają się w kolejce. Najwybitniejszy malarz swojego pokolenia i najobrotniejsza marszandka. Właśnie, po polsku nie ma na to wspólnego słowa, będą chyba pisać o nas po angielsku: *successful*. Dwie cenione galerie sztuki współczesnej, obrazy kupowane przez bogatych kolekcjonerów, penthouse w supernowoczesnym apartamentowcu. Młodość, piękno, miłość, sława, sukces, pełen blichtr. No, powiedzmy, że w moim wypadku młodość jest już dyskusyjna, ale reszta się zgadza. Chcą sesji tu, w naszym mieszkaniu. Przecież jest

niewykończone, mruknąłem zamyślony, słuchałem jej jednym uchem. Zaraz, co ty pleciesz? Jaka sesja, jaka „Viva”? Zgodziłaś się? Julia nie odpowiedziała. Bardzo proszę, warknąłem, ale nie tu, tylko w naszym poprzednim domu, na tle rozwalonego okna. Tak właśnie myślałam, odparła spokojnie, że tak odpowiesz. Każ im się odwalić, powiedziałem. Lub zaproś do sądu, tam udzielię im wywiadu. Westchnęła. Sam im to powiedz. Tobie wolno, jesteś artystą. Ja powiedziałam, że w tej chwili nie, dziękujemy, ale za jakiś czas owszem. Jesteś cyniczna. Od dawna mi to mówisz, a ja od dawna powtarzam, że się mylisz. Wyznaczam tylko granicę między tym, co moje i nasze, a resztą. Sekret w tym, by robić to umiejętnie. Żaden cynizm, raczej sztuka życia. Zresztą wierz mi albo nie, mnie też teraz nie sesje w głowie. Fundacja ma kłopot. Wycofał się jeden ze stałych darczyńców. Kto? Bank Zachodni, odparła, odchrząknąwszy znowu. Nie wiadomo, co dalej z finansowaniem Zakładu. Ulicki jest kuty na cztery nogi, mruknąłem bez przekonania, poradzi sobie. Ano widzisz, jak sobie radzi. Nie odpowiedziałem.

Wstyd mnie nie opuszczał, Julii też, tłukł się po pustawym mieszkaniu i krępował ruchy, nie pozwalał nam się do końca urządzić, choć wymagało to dokupienia ledwie paru drobiazgów. W listopadzie Zakład zwołał naradę przed Marszem Równości. Poszliśmy, ale oboje czuliśmy wstrętą ulgę, że akurat w tym czasie będziemy w Szwajcarii na targach. Ach, uśmiechnął się Ulicki, gdy mu o tym powiedzieliśmy. Prezydent miasta obłudnie powołał się na szarpaniny z bandytami w poprzednim roku i tym razem zakazał Marszu. Proponował inne trasy, niż chcieli organizatorzy. Ci upierali się, by manifestować na Półwiejskiej, ludnym, choć bezdusznym deptaku w śródmieściu. Wojewoda podtrzymał zakaz. Malik z Kostisem wybierali się na nielegalny Marsz z ponurą zaciętością. Przeczuli, co się zdarzy. Czytaliśmy potem z Julią relacje w internecie, bez słowa oglądaliśmy zdjęcia: czarni policjanci w hełmach otaczający kordonem parudziesięciu manifestantów, którzy siedzieli zbitą grupką na deptaku, wrywający ich za ręce, za kurtki, ciągnący do więźniarek, Kostis wleczony po asfalcie, Ośka zasłaniająca się plecakiem przed pałką, Ulicki szalejący z małą kamerą i dyrygujący okrzykami: ZO-MO! ZO-MO! GE-STA-PO! GE-STA-PO!, z tyłu zadowolona grupa skinheadów krzycząca: pedały do gazu! Gdy wróciliśmy parę dni po Marszu, w Zakładzie panował nastrój ni to obłązonego, ni to już poddanego i rozbrojonego fortu. Ulicki z pomocą Fundacji Helsińskiej pisał skargi na policję i na decyzję wojewody, udzielał wywiadów, wybierał się na manifestacje poparcia, naprędce organizował w Zakładzie konferencję o łamaniu praw obywatela, w gazetach bił na alarm, że Poznań staje się miastem policyjnym. Kręciłem się przy tych inicjatywach, podpisywałem listy,

udzieliłem wywiadu o zajściach z lipca, ale nie czułem się z tym dobrze, wstyd nie odstępował mnie na krok, a gdy usłyszałem, jak ktoś z zakładowców mruknął, że podpinam się pod ich działania, poczułem, że mój czas w Zakładzie się kończy. Szukałem w sobie poczucia, że walczę wraz z nimi we wspólnej sprawie, ale pojąłem, że nigdy tak nie było, że tylko ciąg przypadków wmanewrował mnie w niekończącą się wojnę, poczucie jej bezsensu było we mnie silniejsze niż więź z tymi, co w nią wierzą. Mogę pomóc finansowo, mówiłem Julii. Nie będę się bił z policją i faszystami, bo boję się o ręce. Nie będę biegał po sądach ze skargami, bo są tacy, co mają do tego więcej umiejętności, wiedzy i energii. Nie będę świecił w telewizji jako twarz Zakładu, bo nigdy nią nie byłem, a nie chcę, by ktoś myślał, że pomagam tym sobie, nie im.

Ustaliliśmy, jaki procent z naszych zarobków będziemy wpłacać na konto Fundacji.

Krążyłem po mieszkaniu, po pracowni nietkniętej plamką farby, wśród swoich prac na ścianach, które przypominały żalobnie o naszej dawnej hali, i na próżno szukałem radości, która trzepotała w tym białym wnętrzu ledwie parę miesięcy wcześniej, ledwie przez chwilę. Szarpałem się nie tyle nawet z różnymi sprawami, ile z niemożnością ustalenia, czy mam do nich obowiązek lub prawo: Zakładem, galerią Julii, swoim udziałem w różnych idiotyzmach, a raczej odmawianiem udziału. Proponowano mi reżyserowanie filmów, robienie scenografii dla teatrów, kuratorowanie wystawom, jurorowanie w konkursach, startowanie w konkursach, występy w reklamach, prowadzenie wykładów, pisanie felietonów. Z czasem przestałem odbierać telefony. Ilekroć wyświetlał się numer zapowiadający kolejne zawracanie głowy, wręczałem aparat Julii i kręciłem głową, ona odbierała i ze słodyczą w głosie tłumaczyła, że spełnienie propozycji jest absolutnie niemożliwe. Nie umiem nic z tych rzeczy, mówiłem potem, choć zapewniała mnie: nie musisz się tłumaczyć, doskonale wiesz, czego od ciebie chcę, byś malował, nic więcej. Tak, wiem, ciągnąłem rozdrażniony, ale nie mogę tutaj, teraz, w zamęcie. Więc wyjedź tam, któż ci broni, ja na pewno nie, odpowiadała, i pomału traciłem rozeznanie, czy w tych słowach i obojętnym tonie pobrzmiewa szczere zrozumienie, czy skryty wyrzut. Ilekroć wydało mi się, że to drugie, miałem ochotę odwinąć się: jeśli chcesz wiedzieć, czy raczej przypomnieć sobie, to tam, cóż za wspaniałe słowo, tam, mam też chorą matkę, nie ciekawi cię, jak się czuje?, ale nigdy tego nie zrobiłem, bo nie wiedziałem, czy do tego też mam prawo, czy nie zabrania mi tego nasz idiotyczny zakład, który od sześciu lat budził we mnie idiotyczny lęk, choć był też inny zakład, niepisany, z Łucją, Bolechowem, nawet z Urszulą, niewypowiedziana obietnica, że nie wszystko stamtąd sprzedam, nawet jej, swojej żonie, za odrobinę zrozumienia.

Długo się tak miotalem, przez jesień i zimę, chciałem wreszcie wrosnąć w mieszkanie, od nowa wrosnąć w nasze małżeństwo. Co dzień mieszałem pigmenty z żółtkiem i siadałem ze stosem szkiców przed sztalugą, nie malowałem nic, ale uparłem się. Wieczorami stawałem przed Julią i wyciągałem do niej puste ręce, podwójny znak, że nie umiem nic stworzyć i że może potrzebuję do tego właśnie jej, ale swoje ręce napełnialiśmy coraz rzadziej, jej zęby rzadko chwytały koniuszek mojego ucha. Któregoś ranka stanąłem przed nią i nim zdążyła westchnąć: rany, nie teraz, biegnę do pracy, powiedziałem: jadę. Skinęła głową. Kiedy wrócisz? Wzruszyłem ramionami. Będę malował. Najwyższa pora. Musnęła mnie ustami.

Dom stał pusty, Łucję jakiś czas wcześniej udało mi się wysłać żmudnymi namowami przez telefon do sanatorium w Ulesiu. Zadrżałem z zimna. Nie musiałem rozpalać w piecu, w starych kaflowcach od paru lat grzały spirale elektryczne. Prócz tego i udogodnień dla Łucji od niepamiętnych czasów nie zrobiłem w rządcówce nic, ale myśl o remoncie odesłałem jak najprędzej tam, skąd przyjechałem, zabroniłem jej wstępu. Siedziałem sam dzień, dwa, trzy i prawie nie wychodziłem, tyle co do sklepu po chleb. Rozwleczone od horyzontu po horyzont zima nie dawała nadziei. Czułem, że znów uciekłem, jeszcze dalej, tchórzliwiej. Gdy kiedyś o świcie przez gałęzie przestrzeliło się słońce, siłą wywlokłem się z domu. Odruchowo wziąłem szkicownik, nie wiedziałem po co. Słabnący mróz z chrzęstem pękał pod butami, osypywał się z gałęzi na czoło, na policzki, roztopiał się bez śladu w przejrzystości dnia, ze świerka na świerk przefrunęła sójka, pękata i ospała miseczka kolorów, coś we mnie opierało się jednak przed tym dziecinnym szyfrem, nie chciało uwierzyć, że jest wyjście z mroku. Zapamiętałem ten ranek, przyznałem potem, że się nie myliło.

Zabrnąłem ośleple na kamieniarskie wzgórze, dawnym szlakiem chwil, o których nie wiedziałem, że były szczęśliwe. Schylony wzrok prowadził mnie tuż nad ziemią, przez gęstwinę żółtych traw, i gdy dotarłem na skraj sadu, nie ostrzegł, że nie jestem sam, raczej wyczułem to, niż zobaczyłem. Stanąłem, podniosłem głowę. W ogrodzie, zza schludnych pałub, przyciętych na zimę krzewów róż, pustych grządek czekających na obsianie nagietkami i niezapominajkami, pod czarną ścianą domu zobaczyłem ławkę, a na ławce jego. Siedział z twarzą odchylną w bok, ku słońcu wytaczającemu się pomału zza drzew. Zamrugalem. Przez chwilę zdało mi się, że widzę jednego z bolechowskich staruszków w kaszkiecie, ale w tym miejscu nigdy dotąd nie było ławki ani staruszka, on nie był staruszkim, nie wiedziałem, że się nim stał, teraz jednak ujrzałem to w bladych, nieogolonych policzkach człowieka, który dźwiga się z długiej zimowej choroby,

anginy, grypy, zapalenia płuc i tęsknota za słońcem bierze w nim górę nad osłabieniem, w półprzymkniętych oczach, w rozluźnionych ustach kogoś, kto sądzi, że nikt na niego nie patrzy, kogo chwilowo nie nęka żadna zła myśl lub kto już nie żyje.

Gdy po półchwili zaskoczenia myknąłem zza pleców szkicownikiem, dawnym gestem panicyka, który szybko nauczył się, że każdego można rozbroić niepojętym sekretem talentu, czułem, że oszukuję. Dzień dobry, wypaliłem, co nie zdarzało mi się często, zwykle witałem się z nim tylko skinieniem głowy, i ciągnąłem: dawnośmy się, no. Ciepło. Zima się kończy. Ławka nowa, widzę. Może choć jeden rysunek. Na przełamanie. Palce mam marne jak nigdy. Nie słuchał mnie, kiwnął tylko głową, zrobił mi miejsce. Bazgrałem ołówkiem wydłubanym z kieszeni, a on, choć zawsze pozował obojętnie i cierpliwie, łypał na mnie z ukosa. Ręka mi drżała, zdradziła mnie, zresztą, pomyślałem znacznie później, gdy spotkaliśmy się w blasku łuny, w jego wypadku zdradzała mnie zawsze, nie powiedziała mi dotąd o nim nic ważnego. Zdradziła mnie też chyba przed nim, bo gdy zamknąłem blok, niespodzianie zajrzał mi w twarz. Szukał czegoś we mnie. Był inny niż zawsze, kobalt w oczach miał zblakły. Spróbował dźwignąć się z ławki, stęknął, brakło mu siły, uniósł rękę, szukał czegoś w powietrzu, myślałem, że laski, ale to niemożliwe, on i laska, nadstawiłem więc przedramię, wsparł się na nim i wstał. Ścisnął ją odrobinę dłużej, niż wymagała pomoc.

Gdy odszedł pomału przez zimowy ogród, posiedziałem tam jeszcze, głowiłem się, nie wiedziałem nad czym. Coś, może to spotkanie, może pustka ziębiąca w domu, może tuman niemocy i klęski, ciągnęło mnie do Urszuli. Gdy ją spotkałem, właściwie ona mnie, siedzącego na pniaku przy drodze przez las, szła ze sklepu. Zdarzało się to rzadko, od kiedy jeździła samochodem, zakupy zwykle przywoziła z miasta. Spojrzała nieufnie i z niepokojem, po chwili jednak jakiś pogodny rozbłysk między nami, może dziecinada dawnych schadzek malarzyka i kamieniarzówny, rozjaśnił jej twarz uśmiechem. Gdzie masz blok?, spytała. Zgubiłem. Nie szukasz? Pokręciłem głową. Czekam, aż sam mnie znajdzie. Zapadło milczenie, mocne, krótkie. Chcesz się przejść?

Poszliśmy w świetle wczesnomarcowego przedwieczoru, nawet nie oddaleni o krok, jak zwykle bywało po dłuższych zimach między nami, przeciwnie, dziwnie swobodni. Słowa, z początku grudki zmarzniętej jeszcze ziemi, miały w sobie ulgę, ciemną, jaką daje poczucie, że to, co utracone, jest naprawdę utracone, czułem też jednak, że odzyskujemy coś, czegośmy nigdy dotąd nie mieli. Chorował ostatnio?, zagadnąłem. Zaczął, przytaknęła, gdy przestał pracować. Aż

przystanąłem, na chwilę zaparło mi dech. Co takiego? Jest emerytem? Od kiedy? Od początku zimy. Ach. Nic dziwnego, że nie zauważyłem. Próbowałem sobie przypomnieć, czy w ostatnich miesiącach choćby półmyślą spostrzegłem, że zamiast grzmotu betoniarki i maszyn z kamieniarskiego wzgórza dobiega cisza. Coś mu jest? Nie. Jeszcze nie, dodała po chwili. Starość. Starość, powtórzyłem. Obracałem to słowo w głowie, odrzuciłem je, poleciało ku pałacowemu wzgórzu, odbiło się od rządcówki, trąciło chałupkę przerobioną na salę rehabilitacyjną, doleciało do ławki, gdzie próbowałem go narysować, i trafiło mnie. On nie jest stary, powiedziałem z drzeniem, nie wiem skąd wziętym, z jakiej rozpaczki, nie może być. Chciałem powiedzieć coś jeszcze, bezradnie, ale głos nie mógł mi przebrnąć przez gardło. Urszula milczała. Co z warsztatem?, wykrztusiłem w końcu. Chłopy wykupują. Założyli spółkę. Gdzie będą robić, u was? Nie, u Stacha. Znasz go. Skinąłem głową. Stach Gliński był najstarszym pracownikiem Franciszka. Kończą właśnie urządzać nowy warsztat, wiosną chcą przenieść maszyny i ruszyć z robotą. Czemu nie zrobili tego do tej pory? Jego pytaj, westchnęła. Postanowił nagle, jak dawniej Gawała. Może taka tradycja w tym fachu. I cóż on będzie teraz robił, łowił ryby? Nie łowi od dawna. Więc? Nic. Zimę przesiedział w kuchni. Nie chodzi nigdzie. Czasami zakrzątnie się w ogrodzie. Postawił sobie ławkę. Widziałem go tam, szepnąłem. Wiem, szepnęła. Ruch ustał wreszcie, pomyślałem znacznie później, po opowieści Łucji. I ruch, i bezruch, który przychodzi po nim, wydawały mi się bezcelowe.

A ty, wyrwała mnie z zamyślenia, stęskniony? Przez chwilę nie wiedziałem, kogo ma na myśli. Gdyby nawet, uśmiechnąłem się, wraca pojutrze. Będzie niezadowolona. Nie lubi sanatoriów. Mało co lubi, powiedziała półgębkiem. Zerknęliśmy na siebie, ona z błyskiem w oku, którego dawno nie widziałem, może nigdy, i parsknęliśmy śmiechem. Ciebie na pewno, powiedziałem. Dobrze ci płaci za zabiegi? Mhm. Wytargować ci podwyżkę? Daj spokój, nie robię tego dla forsy. A dlaczego? Z wdzięczności? Nie ma wdzięczności, odparła. Są układy. Czasem ktoś tobie, czasem ty komuś. Póki się ich dotrzymuje, da się żyć.

Włóczyliśmy się długo, godzinę, dwie, do nocy, do rana, do następnej soboty, powrotu Łucji, do jej przyjścia na kolejne zabiegi. Nie nosiłem szkicownika, pudełko po karmelkach „Glorja” kurzyło się na półce w pokoju, i jak kiedyś te rzeczy nas przybliżały, teraz czułem, że zbliża nas ich brak. Byłem bezbronny, może nieszkodliwy, może tak o mnie myślała, może dlatego zapomniała o tamtym ostatnim razie, gdy przyniosłem jej wieść, a ona zabrnęła nad Wisłę. I może dlatego tak otwarcie i czysto, śmiałem się w duchu z tego słowa, czysto,

przyglądałem się jej, niby niezmienionej, bo przecież widywałem ją stale, choćby w przelocie, jednak baczniej nie przyglądałem się jej od dawna i dopiero teraz widziałem, że jej miejskie życie, praca, sprawy, których stamtąd nie przywoziła i nie miałem o nich pojęcia, obrysowały ją mocniejszym niż dotąd konturem. W końcu dotknęliśmy się tymi rozmowami, rozebraliśmy, ale już nie do aktu. Któregoś razu zapadło milczenie, przez chwilę zdawało się, że bezpieczny teren się skończył, że doszliśmy do skrajności i znów grozi nam krok, z którego nie da się cofnąć tam, skąd się przyszło, i ona wtedy powiedziała niespodziewanie: byś się kiedyś pochwalił. Niby czym? Żoną, odparła.

Zaniemówiłem. Nie bądź taki tajemniczy. Przecież wiem, kim jest. Trudno nie wiedzieć. Uśmiechnąłem się blado. Skoro wiesz, to wiesz, o czym tu mówić. Lepiej sama się pochwal. Uniosła dłoń z wyprostowanym serdecznym palcem, pustym. E tam, zdejmujesz do roboty i do zabiegów. Głupi, prychnęła niby po staremu, ale coś przemknęło jej po twarzy, cień cienia. Rany, szepnąłem, jednak? Ty?, dodałem parszywie. Ja, zaśmiała się. Nawet ja miałam coś wspólnego z małżeństwem. Ale od bocznej strony. Kto to był?, wydukałem. Lekarz, mruknęła. Czterdzieści lat, chirurg z doktoratem, dwa gabinety, żona prawniczka, dwójka dzieci, porsche, wakacje na Malediwach. Rany. Długo z nim byłaś? Byłaś? Długo? Dziwne słowa. Raczej ile razy. Podobał ci się? Skinęła głową. Ale przecież nie o to chodziło. A o co? Lekarz, powtórzyła, chirurg z doktoratem, dwa gabinety, żona prawniczka, dwójka dzieci, porsche, wakacje na Malediwach. Chciałam spróbować, jak to jest. Posmakować. I jak smakowało? Spojrzała mi w oczy jak nigdy dotąd, śmiało. Trochę słodko, trochę słono. Jak u wszystkich. Kiedyś nawet przywiózł mnie do domu. Cud, że udało mu się dokąś wszystkich wyprawić, nawet służącą. Bo miał służącą. No i?, szepnąłem. No i to był ostatni raz.

Własna śmiałość na chwilę odebrała nam mowę. Słuchaj, odchrząknęła wreszcie. Bo to się jakoś dziwnie wlecze między nami. To wszystko nie jest dla mnie, no, najważniejsze. Co? No to, z kim, ile razy, jak często, jak wcześniej. To tylko, no. Zabawa, podpowiedziałem. Jaka tam zabawa. Raczej wymiana. Póki jest się w niej uczciwym, da się żyć. Widzisz kogoś znajomego, kłaniasz się, mówisz dzień dobry. Czasem idziesz na kawę. Czasem do łóżka. Dobrze, jeśli cię potem pocałuje, zamiast głądzić, jak mu było źle z żoną czy dziewczyną. Lub ciągle jest. Faceci, prychnęła. Mogę żyć bez nich. Bez was. Nikt mi nic nie odbierze. Dlatego ci to wszystko mówię. Zresztą nie wiem, czemu ci mówię. Może dlatego, że pewnie nie spotkam nikogo więcej, komu bym mogła to powiedzieć. A Łucji? Uśmiechnęła się tylko. Ty pewnie masz z tym łatwiej,

dodała po chwili, ja trudniej. Bo jestem kobietą. I to taką. Niby jaką?, bąknąłem. Taką. Popatrzyła mi w oczy w milczeniu. I tyle. Jestem przez to dla ciebie kimś innym, lepszym, gorszym? Chyba zwariowałaś, wykrztusiłem. Kim jestem, by mówić, kto gorszy, a kto lepszy? Nie znam takich słów. Nie umiem powiedzieć, kim dla mnie jesteś. Nigdy tego nie wiedziałem. Może to dobrze, może źle, tego też nie wiem. Prócz tego, że mnie malowałaś, powiedziała. Prócz tego, że cię malowałem.

No dobra, szturchnęła mnie znowu, ale zaczęliśmy od ciebie. Co u was? Kupiłeś już sobie dom za te swoje obrazy? Nie, mam dość domów. Namieszkałem się już w tym rupieciu, skinąłem na rządcówkę. Kupiłem mieszkanie. Duże, jasne, nowe, z pracownią. No i jak ci w nim? Sam nie wiem. Chyba za późno to wszystko. Milczała przez chwilę. A reszta? Jaka reszta? Żona, porsche, wakacje na Malediwach? Moje porsche widziałaś. Bagażowe. Wakacje? Nie byliśmy dotąd na wakacjach. Ani razu. Jeździmy czasem na moje stypendia, rezydencje. Ale razem rzadko się udaje. Gdy się prowadzi dwie galerie, nie ma czasu na wakacje. Prowadzisz galerie? Nie, pokręciłem głową, ona. A dzieci? Otworzyłem usta, nie miałem pojęcia, co powiedzieć. Gdy się prowadzi galerie, spytała, nie ma na to czasu? Można tak powiedzieć, odparłem. W uproszczeniu.

Umilkliśmy. Wieczór osłonił nas przed sobą litościwie. Gdyby nie on, nie padłoby żadne z tych słów, a teraz nie wypełniałaby nas ulga pomieszana ze wstydem i czymś jeszcze, na co nie miałem nazwy. Pożegnaliśmy się muśnięciem palcami o palce. Wstydu było chyba mniej niż reszty, bo jednak spotykaliśmy się dalej, od niechcenia. Na przedwiośniu przez parę dni przysłuchiwałem się, jak na pakach żuków i wynajętego stara zakład kamieniarski po sześćdziesięciu latach opuszcza Gawałowe wzgórze. Franciszka nie widziałem, starałem się nie widzieć, prześladowało mnie wspomnienie tamtego ranka na ławce, jego twarzy podobnej do bryły granitu, mocowałem się też z zamknięciem warsztatu, jego wywożenie kojarzyło mi się z pogrzebem, w tej niechęci było jednak coś jeszcze, tak czy owak nie miałem ochoty go spotkać, z Urszulą włączyliśmy się więc po wzgórzach, wąwozie, nawet po wale, ale nie tam. Czułem, że brnę w nieznaną mi dotąd sprawy, których malowanie nie udźwignie, może po prostu dorosłe, myślałem sobie, może dlatego nic mi nie wychodzi spod palców, że dotąd zajmowały się tylko zabawą, a prawdziwej roboty jeszcze nie umiały. Uciekałem do Poznania, ale na próżno, wpadałem tam między podupadający Zakład, który Ulicki z wściekłą pasją przeobrażał w ośrodek protestu przeciw bezprawiu władz miasta, gęstniejącemu faszyzmowi, brutalności policji, mafijnym działaniom deweloperów i banków, nie urządzał już wystaw, tylko wiece,

manifestacje, konferencje i dyskusje o prawach obywateli, lokatorów, mniejszości, a moją wieżę, śnieżnobiałe mieszkanie, gdzie stygło życie.

Dokulałem się do lata, uśniony nierównym dygotem. Łucja, przepracowana, zmęczona upałami, duchotą, zapominała o lekach, co rusz wpadała w złość. Urszula nie odzywała się o tym ani słowem, choć widziałem, że i ją trafiają odpryski tych humorów. Któregoś wieczoru, gdy po masażu wracała do domu, a ja rozdrażniony pokręciłem głową bez słowa, powiedziała: chodź, pokażę ci coś. Poszedłem za nią na podwórze. Onieśmielony i bezradny stanąłem przed zamkniętymi na głucho wrotami warsztatu. Mimo zmierzchu widziałem, że pokryła je już błona opuszczenia. Urszula zawołała mnie ściszym głosem zza uchylonych drzwi obórki. Wszedłem i zrozumiałem, czemu lało się stamtąd światło wieczoru. Zadarłem głowę ku miejscu, gdzie dawniej był dach. Nie został rozebrany celowo, przynajmniej nie od razu, stare belki musiały pęknąć kiedyś i zapaść się do środka, potem je rozebrano. Budynek zmienił się w obszerną kwadratową studnię o pobielonych murach, nakrytą niebem. Nie było też klepiska: skopane, spulchnione, sypnięte czarną ogrodniczą ziemią, torfem, piaskiem, białymi bryłkami nawozu, przy ścianach okolone gęstą plastikową siatką, służyło jako grunt dla małej, ale bujnej uprawy. Konopie wzbijały się po pierś, puchate od kwiatostanów. Toś sobie ładnie, szepnąłem. On wie o tym? Urszula wzruszyła ramionami. Wie, że coś uprawiam, chyba nawet wie, że palę, czuje przecież zapach w domu. Ale wątpię, czy wie, do czego to służy. Zresztą co by go to obchodziło. Moja uprawa, moja sprawa.

Przyniosła pudełko po zapalkach pełne ususzonych pączków. Zapali?, spytałem. Nie wiem, odparła, to twoja matka. Gdy przyszliśmy do rządówki, Łucja podniosła wzrok znad papierów, zdziwiona naszym niespodzianym powrotem. Urszula wypchnęła mnie delikatnie z kuchni. Wszedłem w rozświerszczony wieczór, na niecierpliwą chwilę, szybko wróciłem. Łucja zaciągała się właśnie, spojrzała na mnie przez słodkawy dym. Rozluźnia mięśnie, uspokaja, wygładza, mówiła później, gdy już zostaliśmy sami. Co wygładza? Wszystko, począwszy od zmarszczek, parsknęła śmiechem i przesunęła sennie dłonią po twarzy. Choć to, co mam, ponoć też wygładza zmarszczki. Tak właśnie powiedziała: to, nigdy nie nazywała swojej choroby po imieniu. Gdy wszedłem do kuchni, Urszula podała mi lufkę i zapalniczkę. Marihuana była łagodna, zaciągnąłem się mocno, długo, podałem Łucji. Urszula pokazała jej, jak przytrzymać dym w płucach. Próbowałem wyobrazić sobie, że to ja namawiam ją do zapalenia, ale na próżno, i w gardle prócz dymu zapiekły mnie zazdrość i żal, co prawda podszyte ulgą,

w tamtym czasie szukałem ulgi we wszystkim, czułem jednak, że oddalam się od nich obu bardziej niż o te dwa, trzy zaciągnięcia, które ominęły mnie, gdy czekałem przed domem. Wyobraziłem sobie kolejną serię obrzędów, do której nie mam przystępu, myliłem się jednak: przed wyjściem Urszula wręczyła mi pudełko i lufkę. Byłe nie za często, powiedziała. Żaden to lek, ale będzie wam lżej. Może.

Może przez palenie, a może przez bezsenność, kolejny odprysk choroby, między mną i Łucją stopniowo usnuł się zwyczaj dotąd u nas nieznan. Łucja nigdy nie spała najlepiej, sen miała kruchy, teraz wybudzała się regularnie, męcząco, a synowskie trzecie oko i ucho, wyrobione późno, ale nie na darmo, budziły mnie razem z nią. Co noc otwierałem oczy w ślepy mrok i nasłuchiwałem. Dostroilem się tak mocno, że budziłem się pierwszy, dopiero po chwili zza pakamery dolatywały nikłe szelesty. Z początku nie mówiły mi nic ponad to, że Łucja nie śpi, z czasem jednak nauczyłem się rozpoznawać z nich, co robi. Najpierw wierciła się, przewracała z boku na bok, kopała kołdrę, potem ten szurgot ucichał i rozlegało się skrzypnięcie parkietu, brzęk kredensu, zgrzyt odsuwanego krzesła, latem szcęk otwieranego okna. Wyobrażałem sobie, jak wstaje, posłuszna instrukcjom lekarzy, Urszuli i poradników, etapami: siada na łóżku, opuszcza nogi na podłogę, podnosi się wsparta o krzesło, stoi przez chwilę, narzuca na siebie podomkę, po czym ostrożnymi krokami rusza na bezsenny obchód pokoju. Przed powrotem do łóżka wychodziła do łazienki, czasem dwa razy, a jeśli nie spała długo, nawet trzy. Bywało, że z tych wyjść nie wracała od razu do siebie, tylko szła do kuchni. Leżałem wtedy cicho, udawałem, że śpię, ale gdy wybudzenia weszły mi w nawyk, poczułem, że jakoś nas łączą, i sam zacząłem wstawać, z początku też chyłkiem, do łazienki, udawałem, że nie widzę światła w kuchni, aż kiedyś na palcach stanąłem w progu i ujrzałem, jak siedzi przy stole z papierosem w dłoni i patrzy w ciemne okno. Siadłem naprzeciwko. Spojrzeliśmy na siebie z niewiedzą w oczach. No i co?, spytała. To nie pomoże ci zasnąć, pokazałem na papierosa. Nie znasz się na paleniu. Roześmialiśmy się blado z utartej odzywki. Przyniosłem pudełeczko, nabiłem lufkę, podałem jej, zapaliłem. Przytrzymała dym w płucach tak długo, że nim go wypuściła, zdążyłem się zaciągnąć, wydech zrobiliśmy równocześnie. Ponownie popatrzyliśmy po sobie, okłębiali siwością piżamowcy w kuchennej konspiracji, i wybuchliśmy śmiechem, innym niż przed chwilą, głębszym.

Nie powiedzieliśmy nic więcej, otepiali z rozespania, dym ukołysał nas z powrotem, ale coś z tego ciemnego śmiechu zostało, w kuchni, w nas. Gdy którejś nocy nie wyszła z pokoju,

nasłuchiwałem chwilę pod jej drzwiami, zapukałem, a gdy odpowiedziała cichym: aha, wszedłem do środka. Stała przy oknie, w świetle księżyca. Przeszłowałem z nogi na nogę, wreszcie usiadłem w fotelu. Trwaliśmy bez ruchu. Zbudził mnie jej dotyk. Wracaj spać, szepnęła. Następnym razem coś kazało mi wziąć ze sobą szkicownik. Siadłem jak poprzednio. Skinęła na lampkę. Zapaliłem. To nie wystarczy ci do rysowania, powiedziała. Nie znasz się na rysowaniu, odparłem. Ale podejdz. Nie pomogłem jej, gdy zdejmowała podomkę, siadała na brzeжку łóżka, kładła się, opierała głowę na poduszce. Narysowałem ją spokojną, z otwartymi oczyma. Rękę miałem ospałą, rano wyrzuciłem szkic, nie spojrzawszy na niego.

Z pojedynczych słów, rwanych zdań, podgadywań, mykających podczas tych nocnych godzin, z wydychanych czasem, nie zawsze, snujów dymu, zaczęły splatać się rozmowy. Nie o lekach, bólach mięśni, drzeniu ręki, ćwiczeniach, remoncie pałacu, rozsypującym się domu, rysunkach dzieci, albumach z moim malarstwem, także nie o Poznaniu, moim mieszkaniu i rozbracie z Zakładem, o tych rzeczach nie chciałem rozmawiać, ale o Julii tak, zdarzało się nam, po paru latach mojego małżeństwa jej imię wreszcie zaczęło rozbrzmiewać w naszym domu. Łucja pytała o nią, podobnie jak Urszula, zmówiły się, myślałem sobie, powzięły plan, że wydobędą coś ode mnie, myślałem głupio, bo były to jednak pytania obojętne, miałkie, zresztą jakie miały być, skoro po paru latach małżeństwa nie przywoziłem do domu nawet najdrobniejszych jego odprysków, tak czy owak nastąpiła zmiana, będąca z kolei odpryskiem jeszcze większej, rozmów nie o tym, co działo się teraz i miało się dziać, ale o rzeczach, które działy się dawniej, tyle że utkwiły między byciem a niebyciem, bo nie padało o nich dotąd między nami ani słowo. Któregoś razu paliliśmy w jej pokoju, od niechcenia szkicowałem jej głowę na poduszce, i gdy marihuana umościła nas już w swojej przestrzeni bez kształtu, gdzie słowa uwalniają się od ciężaru, a pamięć od winy, powiedziałem, bez imienia, bo choroba nie była jedyną mieszkanką naszego domu, która go nie miała: ciekawe, co by powiedział, gdyby nas tak zobaczył. Zapaliłby, myślisz? Skądże, odpowiedziała pomału. Był zbyt. Przytomny. Przez całe. Życie. Na moje przekleństwo. I twoje szczęście. Nieczęsto go wspominasz, niechętnie. Mrugnęła twierdząco oczyma. Nie widziałem nawet jego zdjęć. Zostawiłaś sobie jakieś? Po co. Ci one. I tak. Wszystko dokoła. Jest jego. Fotografiją. Oprawioną. W ramki. A my? Myśmy. Z niej. Dawno uciekli. I błąkami się, mruknąłem. Tylko ty. Się błąkasz. Ale z twojej winy, drażyłem ospale. Czyżbyś chciał, podniosła na mnie odrobinę przetrzeźwiałą wzrok, spytać mnie. Skąd się wzięłeś? Uśmiechnęła się słabo. Rysik ołówka złamał mi się o papier. Nie zdążyłem

nawet otworzyć ust, nim szepnęła: z radości. Może trudno ci. W to uwierzyć. Ale niczego mi tak. W życiu nie brakowało. Nawet matki. Więc kradłam ją. A ciebie puściłam samopas. Byś szukał jej sobie, gdzie chcesz. Drżącymi rękoma nabijałem fajeczkę, chciałem upalić się jak najszybciej, najmocniej, byle jej nie słyszeć. A jeśli chcesz. Wiedzieć więcej. To pogadamy jeszcze. Za jakiś czas, hm? Póki co nie umieram. Chyba nawet jeszcze. Do tych rozmów nie dorosłam. A tym bardziej ty.

Upaliłem się tak, że chyba rzeczywiście przestałbym ją słyszeć, ale ona umilkła, a ja zasnąłem. Zbudziłem się o świcie. Łucja spała. Pudełeczko było puste. Wiele godzin później mozolnie, słowo po słowie, odgrzebywałem w pamięci tę rozmowę i omal nie wrzasnąłem, bo zląkłem się, że dobrnę do słowa, które mogło w niej paść, niechący, przez sen, i miałyby dla mnie wagę zasadniczą. Wiedziony jednak tą trwożną pokusą, nie przestałem jej wypytywać, ciągnąłem nas coraz dalej w głąb, w nasze dawne sprawy, Stefanowe, pałacowe, rodzinne, w to, co było i nie było, w dymny tuman pamięci, zmyśleń, nieziszczonych pragnień. Stopniowo wyciągnąłem nawet te rozmowy z mroku nocy, z kuchni pachnącej dymem, z pościeli Łucji pachnącej potem i snem, z jej pokoju pachnącego jaśminem, gardenią, pieprzem, żelazkiem, kremem, talkiem, podomką, miętowym szamponem i czymś jeszcze, może chorobą, może starością błękitnie żyłkowanej skóry, na ganek, w żywicę letnich wieczorów, w pajęczynę jesiennych popołudni. Rysowałem ją też, ale odrętwiale, z zamkniętymi oczyma, związanymi rękoma, czułem, że i oczy, i ręce muszą dopiero przepowiedzieć sobie to wszystko, co słyszę, może przeżyć jeszcze raz życie, które odsłaniało się w jej opowieściach, stare życie, wywiedzione z dziejów bolechowskiego wzgórza, czułem, że dotąd tego wzgórza nie znałem, tylko w przeblyskach odsłaniały się przede mną jego warstwy, skała, kamień, gleba, kości, pył, krew, trawa, marmur, płótno. Mijały miesiące, a ja nie miałem pojęcia, kiedy znów wezmę pędzel do ręki.

Mijały miesiące, a choroba pomału wciągała nas coraz głębiej w siebie, mocowaliśmy się z nią. Znów musiałem się namęczyć, by posłać Łucję do sanatorium. Wróciła wypoczęta i znużona zarazem. Żadnych nowych przyjaźni, nowych romansów?, przygadałem jej. Tak teraz ze sobą rozmawialiśmy, śmielej, lecz wcale nie cieplej. Jeśli nasze nocne i wieczorne gawędy złączyły nas nową przyjaźnią, to skrytą, śmialiśmy się więcej, ale bez czulenia się. Romanse, prychnęła. Mam wrażenie, że pacjentów w sanatoriach prowokuje się do nich, oczywiście w celach leczniczych, na równi z ćwiczeniami, spacerami z kijkami, idiotycznymi zabawami

i grami, i niestety, modlitwami i mszami. Okropieństwo. Myślałem, że to pomaga, razem nie łatwiej? Razem czuje się tylko, odparła, wspólnotę w bólu. Przez to ból nie staje się lżejszy? Przeciwnie, większy. Dostrzegasz, że jest większy niż wy wszyscy razem wzięci. Jest między wami, dokoła, w każdym tkwi kawałek jego cielska. Przerasta was. Jest prawdziwszy niż wy. To ci metafizyka, bąknąłem. Wypraszam sobie, warknęła. To jest rzeczywiste. I ponure. Nie pojedę tam już. Nie namawiaj mnie więcej. Dobrze już, dobrze, mruknąłem, jak sobie chcesz. Rodzinne przekleństwo jedynactwa i samotnictwa. Czasem mam go dość.

Pamięć tej sprzeczki uwierała mnie, ją chyba też, bo przez parę dni nie odzywaliśmy się do siebie. Gdy którejś nocy wstałem, usłyszawszy, że snuje się po pokoju, i zapukałem wreszcie do jej drzwi, nie wiedziałem sam, czy idę z pretensją, czy z wyrzutem sumienia. Ona też nie wiedziała, ale oboje byliśmy pewni, że jej słowa, bo to ona odezwała się pierwsza, to ciąg dalszy tamtej rozmowy. Opowiedzieć ci coś?, spytała. Jasne, mruknąłem bez zdziwienia, bez ciekawości. Zapalisz? Pokręciła głową. To zbyt długa i dziwna historia na palenie. Też mi nowość. W twoim życiu nie było innych. To nie będzie o mnie. O nikim z nas. A o kim? Posłuchaj. Domyślisz się, choć może nie od razu.

Pamiętał, zaczęła cicho, jak urodził się po raz drugi, w ciemnej ziemiance, w zaduchu ziemniaków, gangreny i krwi. Z ryku dalekich, ogromnych przestworzy wykluwał się skowyt, zlepiony z gorączkową szamotaniną. Wszystko wokół to zbijało się w gąszcz, to rozbiegało na boki, a gdy ścichał grzmot, wygrzebywało się spod piachu. Zasłuchałem się w niespotykane dotąd w jej ustach słowa. To jakaś legenda?, wtrąciłem. O kim? Bądź cierpliwy, dowiesz się. Urodził się, gdy któregoś razu przestrzeń rozwarła się z hukiem do góry i w bok, do środka buchnął mróz, ludzką płataninę rozwlekło po ziemi, maznęło krzykiem po śniegu. Płakało, nie on, płakało dokoła. Ręka matki zakryła mu oczy. Czyli twoja? Przestań wreszcie. Przerwij mi jeszcze raz, a kończę opowiadać. Gdy trochę podrośł, noce przestały być nocami, zapadał tylko półmrok rozświetlony świecą, a jeśli ojciec uchylił słomianą matę zaciągniętą na okno, czasem kogucią łuną zza lasu.

Nim skończyła, wstał świt, może niejeden. Opowieść przeciągnęła nas, zaprawionych w bezsenności, na drugą stronę nocy, wyrzuciła na żyłkowany blado brzeżek dnia. Ocknąłem się w ciszy. Siedziałem znieruchomiąły. Toś mi ładnie, mruknąłem. Urszula ci to wszystko opowiedziała? Musiałyście sporo przy tym wypalić, wysiliłem się na żart, choć nie było mi do śmiechu. Urszula mało z tego wie. Prawie nic. Zmarszczyłem brwi. Zmyśliłaś to wszystko?

Powinnaś pisać powieści. On sam by sobie pozazdrościł. Chciałby mieć takie życie. Nie wiesz, co mówisz, odparła. No dobra, bez żartów, co to za gawęda? Ot taka, o nim, wzruszyła ramionami. Od kogo ją znasz? Od niego. Rozumiem, że opowiedział ci ją na migi? Kiedy, do diabła? Nie klnij przy mnie. Nie dowiesz się. Ach, podniosłem głos, a już myślałem, że ktoś podmienił mi matkę. Stare, kochane tajemnice. No dobra, mógł ją spisać, choć wątpię, czy umie. Nie umie. Umiał, ale zapomniał. Kamieniarz analfabeta, mruknąłem. Jak wykuwał napisy na nagrobkach? Dla niego to nie były napisy, raczej płaskorzeźby. Mówić też nie potrafi, zawołałem drżącym głosem. Mówić można na różne sposoby, odparła. Ale po co mi to opowiedziałaś? Dla umilenia wieczoru? Wzruszyła ramionami. Powinieneś wiedzieć. Bo? Bo tak. Każdy powinien. Zrób z tym, co chcesz. Idź już, chcę spać.

Dźwignąłem się z fotela. Rozejrzałem się po pokoju, szukałem upewnienia, że jednak nie śniłem. Nie, na pewno nie, wypełniała mnie wstrętne, ziarnista przytomność nieprzespanej nocy. Meble, ozdoby, obrazy nabierały konturów i barw, wrogich. Omijałem wzrokiem łóżko. Wreszcie spojrzałem na nią z trudem. Na jej twarzy, bledszej niż pościel, niż drwiące światło świtu, masce z bibuły rozpiętej na kruchych kościach, skrywającej chorobę jeszcze gorszą niż ta, zaraźliwą, błysnął uśmiech. Kąciki ust, w których perliła się ślina, uniosły się o ułamek ruchu. Ręce nie drgnęły na kołdrze. Przed wyjściem mruknąłem tylko: złodziejko, na co ona, gdyby słyszała, szepnęłaby może: chłopczyku, spowici każde w swoją trwogę.

Gdy parę wieczorów później Urszula przyprowadziła Łucję z masażu, siedziałem koło klombu przed domem. Bez słowa odprowadziłem je wzrokiem, a gdy po chwili wyszła sama, niepewnie skinęła mi na pożegnanie i ruszyła do domu, podbiegłem i spytałem bez wstępów: on wie, co tu robisz? Że właśnie u nas? Nie, ostrożnie pokręciła głową. Po co miałabym. Ani to jego sprawa, ani go nie interesuje. Wie, że pracuję u kogoś we wsi, nic więcej. Czemu mnie o to pytasz? Powiedz mu. Że przychodzisz tu. Do Łucji. Że jest chora. Po kiego mam mu to mówić? Nie wiem. Powinien wiedzieć. Skoro tak uważasz, wzruszyła ramionami, sam mu to powiedz. Boisz się go? Zawahałem się. Nie, powiedziałem. Już nie.

Nie mam pojęcia, czy wtedy naprawdę przestałem się go bać, zwlekałem trzy dni i nie zdążyłem tego sprawdzić. Na następne zabiegi Urszula po raz pierwszy przysłała spóźniona. Słyszałem, jak wchodzi do domu, ale ledwie zdążyła przywitać się z Łucją, niespodzianie zapukała w moje drzwi. Nim zdążyłem się odezwać, zajrzała i rzuciła półgłosem: chodź z nami, może się przydasz. Coś mu jest. Co takiego?, wykrztusiłem. Nie wiem. Szaleje. Nie mogłam dać

sobie z nim rady.

Gdy szliśmy ścieżką, znad Gawałowego wzgórza była cisza głębsza niż kiedykolwiek dotąd, w ciemności jesiennego wieczoru dobrze słyszałem jej ryk. Grzejniki w chałupce były włączone, stół rozstawiony, obok czekały ręczniki, oliwka. Łucja nie słyszała naszej krótkiej rozmowy, zerkła więc, zdziwiona moją obecnością, ale nie spytała o nic. Zawahała się przed rozebraniem. Odwróciłem się do okna, a gdy już położyła się na stole, siadłem w kącie, na wprost drzwi. Wsłuchałem się w mlaskanie Urszulowych rąk, na obrzeżu mojego widzenia migły jej upięte włosy. Minął kwadrans, nie, dłużej, masaż już się kończył, nim poczuliśmy to, Łucja ostatnia, węch miała stępiony przez chorobę, za to my z Urszulą równocześnie. Nie padło ani słowo, spojrzeliśmy tylko po sobie ze zrozumieniem i rzuciliśmy się do drzwi.

Łuna przepalała się przez przeredzony październikiem las, błyskała zza dachów. Urszula wyprzedziła mnie, śmignęła między drzewami i znikła, tylko przez chwilę widziałem jej sylwetkę w rozwianym fartuchu. Trzaskliwy łopot pożaru nie zagłuszył za to jej krzyku, słyszałem, jak ciągnie się za nią, bez słów, pełen wściekłości, rozpacz i zawodu, tak właśnie pomyślałem potem, był w nim wielki, straszny zawód. Gdy wbiegłem na podwórze, ogarnęła mnie ulga: płonął tylko jeden róg domu, jedna izba. Jego pokój. Urszula szaleńczymi obrotami korby wyciągnęła wiadro ze studni, zanurzyła w nim fartuch, zarzuciła go sobie na głowę, na ramiona, wbiegła do domu przez otwarte drzwi. Przemknęło mi przez myśl, że robi to niepotrzebnie, wrzasnąłem, że na pewno go tam nie ma, ale wiedziała to już, gdy po chwili wyłoniła się z powrotem i zszarpała z siebie dymiącą płachtę fartucha. Podbiegłem do podwórzowego kranu z przytroczonym długim wężem, który podczas letnich susz Urszula przeciągała za płot do ogrodu i podlewała nim kwiaty. Odkręciłem, pociągnąłem wąż w stronę roztraskanego okna, z którego buchały płomienie. Dzwon po straż!, wołałem, ale ona zgięta wpół dławiła się kaszlem. Na podwórze, w powódź rudego blasku, wmykały się sylwetki, zaroilo się od biegań, okrzyków. Ludzie z wioski pędzili na pomoc. Oglądałem się na Urszulę, nie patrzyłem, gdzie leje, wreszcie ktoś wyrwał mi wąż z ręki. Rzuciłem się do niej, chwyciłem ją, ale potrząsnęła głową na znak, że nic jej nie jest, zrobiła też jakiś gest, którego nie zrozumiałem, potoczyłem wzrokiem w ślad za nim i wtedy mimolotem, w kącie podwórza, przy kurniku, ujrzałem sylwetkę inną niż ta, od których robiło się już rojno, wkamienioną w mrok. Coś krzyknąłem, może pokazałem. Urszula obróciła się prędko. Wyrwała mi się z rąk i rzuciła się na niego, samotne, zranione zwierzę. Nie zdołałem jej zatrzymać, on nie cofnął się ani o krok,

zakotłowało się wściekle, ujrzałem jego rękę, jak bierze zamach. Urszula odpadła w bok, uderzona w głowę, zatoczyła się. W półchwili znalazłem się przy nich. Nie stawiał oporu, nie osłonił się, może zużył już ten ostatni cios, do którego przyznał sobie prawo, może trzymał go na taką godzinę przez pół życia, od kiedy wyszedł z obozu, świadom, że niesie w sobie łunę, że jeszcze kiedyś ją ujrzy, i gdy trzasnąłem go w twarz, zatoczył się bezwładnie, zrobił krok w tył, by złapać równowagę, nie zdołał, upadł na ziemię. Na plecach uczułem rękę Urszuli, próbowała mnie powstrzymać, gdy schylałem się nad nim okrakiem, trzymała za rękę, gdy szarpałem go za koszulę, i puściła dopiero wtedy, a ja dopiero wtedy zwolniłem chwyt i odstąpiłem chwiejnie do tyłu, gdy Franciszek ogarnął nas spojrzeniem rozbłyszczanym od ognia i uśmiechnął się, potem nieporadnie poruszył uśmiechniętymi ustami, może na próbę, i powiedział topornym, zapomnianym głosem, bez intonacji i rytmu, słowami kanciastymi, nieociosanymi grudami kamienia, wyraźnie i pewnie, choć zarazem cicho, prosto w moje ucho, Urszula na pewno nie usłyszała ich poprzez wycie syreny ochotniczej straży, która właśnie wtarabaniała się przez bramę na podwórze: ale wyście ładni. Tylko uważajcie, jak wam się co urodzi, by z ogonkiem nie było.

Wystawa

Czas zatrzymał się jednak na trochę, trudno powiedzieć, czy na długo, przecież gdy stoi, nie sposób go zmierzyć, kiedyś ustalimy to, ale jeszcze nie teraz, bo znów wszystko dzieje się naraz, choć tylko ja wiem, że zatrzymał się po prostu przed końcem, to ta chwila, gdy się chwyta wszystko mocniej, jaśniej, pełniej, oczyma znów patrzącymi prosto w oczy, rękoma, które przypomniły sobie, jak trzymać pędzel, językiem od nowa smakującym słoność potu, krwi, śluzu. Ja też to wiem, szepcze mi Julia do ucha, poznaję po żarze, który stamtąd przywiozłeś, podbiegłym rozpaczą, że to ten końcowy czas, który właśnie dlatego musi być inny, czy raczej ten inny czas, który właśnie dlatego jest pewnie ostatni. Co rano siadam przy sztaludze, rozbijam jajka, odcedzam żółtka, sypię pigment, mieszam farby. Trzy, może cztery miesiące wystarczą, by namalować temperę, dużą, metr trzydzieści na metr pięćdziesiąt, na desce zamówionej u miejscowego stolarza, z poznańskiego Dębca. Dawno już nie miałem ciebie w takim świetle, mówię z uśmiechem, zza twoich nagich ramion widzę tylko niebo, akt kończy się na piersiach, zostań jeszcze przez chwilę nieruchomo, skoro to jedyna twoja tempera, chcę ją namalować pięknie. Zatrzymuję cię w śnieżnobiałej pracowni, tu lepiej obwodzi się kontur, cieniuje oczy, usta, czerń włosów niż w sypialni, może dzięki oknu, przypomina mi tamto dawne, w hali, w naszym lofcie, mawiał Ulicki, raczej w lochu, mruczy Julia, daj już spokój z sentymentami, rozbiegany jesteś między tym, co było, a tym, co nadchodzi, nieuniknione i nieproszone, no dobrze, przerywam jej, może więc dzięki temu, że w pracowni zostają ślady, zapachy, krople, widok, gest, spojrzenie, niezmyte. Więc zostań, skończę tylko ten obraz, specjalnie dla ciebie, nie na sprzedaż, zostawię ci go, nie mówię tego jeszcze w tej chwili, ale za jakiś czas powiem ci: tamte sprzedaj, wszystkie, co do jednego, razem, nie chcę ich więcej oglądać, ten jest twój, z sygnaturą *R. Paw. 007*, zostaw go sobie, niech najwyżej trafi do albumu pod tytułem *Córka Gerarda*, zgódź się na taki, i z opisem „kolekcja najprywatniejsza z możliwych”.

Jestem pełen Julii, znowu, widzę ją, słyszę, smakuję, wącham. Mieszkanie pełne jest mnie, mieści mnie, czuje, gada ze mną, pachnie klejem skórnym i gipsem, nie krępuje mi już ruchów, tylko uwalnia je, otwiera mnie na miasto. Zakątek Wildy przy Wolnych Torach pełen jest ciszy i oczekiwania przed końcem. Budynek Zakładu stoi pusty, Ulicki przekształcił go z siedziby Fundacji w wielkie, dziejące się w czasie dzieło sztuki, metawystawę, jak pisze w katalogu wydrukowanym na starych dokumentach z zamierających ZNTK, poświęconą

chwilowemu, podkreśla, zwycięstwu sprzymierzonej przemocy: państwa, które sprzedaje się biznesowi, dla spokoju toleruje faszystowski instynkt motłochu, a w chwili zagrożenia sięga po pałki. Powyjmował wymienione na parterze szyby i wstawił z powrotem te rozbite przez skinheadów, odsłonił nasze roztrzaskane okno na górze, odtworzył wygląd pomieszczeń z chwili ataku. Spytał, czy użyję mu szczątków moich obrazów, które odzyskałem od policji, wykorzystanych jako dowody w procesie, i wyniosłem w skrzynkach do piwnicy, by wywieźć je kiedyś do Bolechowa i spalić. Ze ściśniętym gardłem wręczyłem mu je teraz, a on podobno, nie widziałem tego, nie pójdę tam nigdy, poukładał je w hali jak tamtej nocy. Zdemolowany Zakład ma trwać bezterminowo. Przyszłe zniszczenia, które na pewno się pojawią, bo przez rozbite okna prędzej czy później wkradną się bezdomni i ptaki, staną się częścią dzieła, a zburzenie budynku, które Ulicki też przewiduje, nie wierzy, że Gunn dotrzyma słowa i zachowa tę wyniosłą konstrukcję, chce zmienić w happening, jak pisze w katalogu, o klęsce architektury racjonalnej i gustownej w starciu z miernotą i ohydą współczesnej, chce filmować je z wielu kamer, z których jedną zgodziliśmy się zainstalować w naszym mieszkaniu, i transmitować w internecie. Na razie Zakład trwale złączył siły z anarchistami i szuka nowych miejsc do squatowania. Julia zdradziła mi, choć dziwię się, że ktoś ją, zdrajczynię sprawy, do takiej tajemnicy dopuścił, że szykują się na jakąś kamienicę w samym sercu starówki. Na elewacji, tak by dało się je odczytać z ogródków kawiarnianych na rynku, Ulicki zamierza wywiesić hasło, które w latach osiemdziesiątych posłużyło jako tytuł jednej z wystaw Gruppy w Wielkiej 19: „Twoim bohaterem, hołoto, jest nuda przynosząca nieszczęście”.

Pomagam mu w tym, czasem coś narysuję, namaluję, zrobię szablon, dołożyłem swoje do katalogu. Ulicki podpytuje, jak mi idzie w życiu, czy maluję. To dwa różne pytania, odpowiadam, w życiu mi nie idzie, ale maluję. Piękną temperę. Przyszedł do nas, rozważał, gdzie kamerę umieścić, rozglądał się po mieszkaniu z szyderczym uśmieszkiem, dogryzał, ale na pożegnanie wyściskał nas, a potem na zaproszenie Julii zjawił się z winem. Był zgnębiony, ale zgnębienie przydaje mu energii. Upiliśmy się po przyjacielsku. Jesteśmy pacholkami w feudalnym zamku, mamrotał, gdy stanęliśmy w oknie. Czapkujemy dworzanom i wydaje nam się, że w wieży ciągle mieszka jakiś pan. A pana nie ma. Zostali tylko dworzanie. Chcemy być jak oni. Wydaje się nam, że jak co do czego, to nas ochronią. Guzik prawda. Nikt nas nie ochroni. Puścić z dymem ten zamek! Śmignął pustą butelką w stronę Zakładu, nie doleciała, rozprysnęła się w ciemności o bruk.

Czas zatrzymał się, ruch zamarł. Na chwilę. Bywa, że w kurtce narzuconej na ramiona wychodzę na taras i czekam, aż mróz zetnie mi w głowie robaczące się myśli. Pomarańczowa poświata miejskich latarni, chluśnięta od dołu na nocne niebo, przepala się w lunę. Ilekroć to widzę, odruchowo wycieram ręce w spodnie. Przyglądam się Julii z bliska, pędzlem wmyślam się w srebrzyste błyski w jej włosach, skrzętnie maskowane czernią, pajęczynki w kącikach ust i oczu, czoło kreślone coraz mocniejszymi poziomymi liniami, oczy rozjaśniane coraz głębszym blaskiem nieufności i wyższości, typowym dla ludzi umiejących określić, co w ich życiu jest zwycięstwem, a co porażką. Czy możliwe, byśmy rozmawiali jeszcze mniej niż dotąd? Ale to dobre milczenie, takiego trzeba, by dokończyć portret. Daj mi jeszcze trochę czasu, szepczę. Julia jest cierpliwa. Maluj spokojnie, mówi, wygraliśmy już wszystko, co było do wygrania. Niekiedy, ledwie ucichnie huk naszych oddechów, z uśmiechem wyciera palce, lepkie od naszej wilgoci, o moją pierś, udo lub wargi, pozwala mi ją zlizać, podnosi się otulona kocem i staje w oknie, otwarta na noc, która dla niej wciąż pełna jest płynnego żaru, wytapia z niego wszystko, czego sobie zażyczy, a dla mnie, mówię to rękoma, które kładę jej wtedy na ramionach lub biodrach, jest nocą luny.

Dom spłonął tylko częściowo, ale żeby nadał się jeszcze do zamieszkania, potrzebna byłaby gruntowna odbudowa. Franciszek zeznał, że go podpalił, ale Urszula przysięgła, że ojca nie było wtedy w domu. Psychiatra stwierdził u niego ciężką depresję, śladów podpalenia nie znaleziono, oględziny wykazały spięcie w instalacji elektrycznej. Nie widziałem go ani razu, wychodziłem ze skóry, by nasze ścieżki nie zbliżyły się na odległość spojrzenia, rzutu kamieniem, mojej nienawiści. Urszula zamieszkała u nas, w pokoju Stefana. Nieśmiałość, z jaką tam wchodziła pierwszy raz w życiu, była jeszcze większa niż jej zgroza po pożarze. Utulona przez Łucję, osunęła się w płacz. Patrzyłem na nie z odrazą. Gdy na osobności Łucja chciała naradzić się ze mną, co z Franciszkiem, wrzasnąłem: przywiązać mu bryłę marmuru łańcuchem do nóg i do Wisły, tam jego miejsce! Łucja odczekała, aż się wywściekam. Chciałem dać mu pokój na poddaszu oficyny, powiedziała. Targnął mną śmiech. Po diabła mu szukać mieszkania, chciałem spytać, nie spytałem, głos nie przedarł mi się przez żużel w gardle, przecież tu, w rządówce, jest najwłaściwszy pokój, nawet łóżko, co prawda zajęte, ale ugościsz go przecież, jakżeby nie? Ale on chce w chałupce, dokończyła. Zwariowałaś, wykrztusiłem. Nie zauważył jeszcze, że masz tam salkę do ćwiczeń? Przecież to jego chata, odparła. Nie ma mowy! Uspokój się, ucięła. Idzie zima, do marca i tak nie będę tam ćwiczyć. I do marca ma się stamtąd wynieść,

burknąłem. Bo? Bo go podpale.

Łucja stanęła przede mną, siłą swojego spojrzenia podniosła mi głowę, bo siedziałem ze wzrokiem wbitym w stół, powiedziała: wstań. Wstałem. Nie mogłem znieść jej bliskości, chwiejnie odstałem pod okno, wparłem się rękoma o parapet. Co tam się zdarzyło?, spytała cicho. Spodziewałem się tego pytania, choć i tak cierpliwie, przez trzy długie dni znosiła moje nieopanowane szlochy i wrzaski, łomotania drzwiami, wybuchy wściekłego śmiechu, myślała pewnie, że jestem w szoku, ale i tak wiedziałem, że prędzej czy później wrócimy ścieżką do tamtej chwili, gdy ujrzałem ją, nikłą, białą sylwetkę, wyciętą w czarno-pomarańczowym blasku pożaru, ciemniejszym jeszcze niż mrok naokoło. Wyłoniła się znikąd na skraju podwórza i nie spojrzała nawet na płonący dom, tylko poprzez rozbiegany tłum od razu spostrzegła nas troje zastygłych przy kurniku, prząsny *tableau vivant* ustawiony szyderczą ręką: Franciszek na ziemi wyszczerzony w uśmiechu, Urszula ciągnąca mnie za kurtkę, ale obrócona ku wjeżdżającym strażakom, pośrodku ja z twarzą pełną trwogi zupełnie innej niż ta, jaką mógł wywołać pożar, chyba że ginąłby w nim cały świat. Przyskoczyłem do niej, wrzeszczałem: odejdz! Wynos się stąd! Precz! Patrzyła na mnie teraz tak samo poruszona jak wtedy. Powiedz mi, powtórzyła.

Powiedziałem. Prosto w jej nieruchome, chłodne oczy. Oszalałeś, odparła po półchwili ciszy. Coś znów zaczęło osuwać się we mnie, zatrzymała to, powtórzyła dwukrotnie, z takim samym brakiem zaskoczenia czy oburzenia w głosie: oszalałeś. Oszalałeś.

To wyście poszaleli. Nie odezwę się do ciebie więcej. Póki ty mi nie powiesz. Jeszcze nie umieram, powiedziała, zdążymy. Nigdzie nie zamierzam zdążyć, prychnąłem. Przeszukam dom, wybebeszę wszystkie twoje szuflady. Dowiem się. Zresztą przecież mamy dwudziesty pierwszy wiek, zacznę od tego bandyty. Złapię go, wyrwę mu garść kłaków, zamówię test DNA. Może wystarczy, przerwała, jeśli spytasz Urszulę o jego grupę krwi. Od tego zacznij śledztwo. Jeśli chcesz, podsunę ci jeszcze parę tropów. Dziękuję, prychnąłem i wycelowałem w nią palec. Wypomniałaś mi kiedyś jakiś dług. Słyszałem, pamiętam. Zmarszczyła brwi. Dług? Stefan pożyczył mi pieniądze na warsztat. Nie wiedziałaś? Do dziś się nie wypłacił. Dawno puściłam w niepamięć. Zaśmiałem się pusto. Ladacznico, wycodziłem. Dzieciaku, odparowała. Chcesz mi przeszukać szuflady? Nigdy dotąd tego nie zrobiłeś? Proszę, zrób teraz, przy mnie. Ale będzie to ostatni dzień twojego mieszkania ze mną. Parsknąłem śmiechem. Mojego z tobą? Nie odwrotnie? Myślałem, że to ty stajesz się zależna ode mnie, nie ja od ciebie. Czas nie płynie wstecz, moja droga. Wynos się, chłosnęła mnie, choć głos odrobinę jej zadrżał. Wynos się stąd natychmiast.

To nie jest twój dom, tylko mój, i będzie do mojego końca, choćbyś go wykupił za wszystkie pieniądze świata. Dzieciaku, powtórzyła. Czy naprawdę ci się zdaje, że cały świat ukrywa przed tobą, kto jest twoim ojcem? Że musisz poruszyć niebo i ziemię, by się tego dowiedzieć? Dowiedziałbyś się bez trudu, ale się boisz, boisz się tak bardzo, że nawet mnie nigdy dotąd o to nie spytałeś. Przecież tylko ja to przed tobą ukrywam. Nie chcesz pytać nikogo innego. Chcesz to usłyszeć ode mnie. A ja ci jeszcze teraz nie powiem. Wiem, tak się nie robi, tak się nie godzi, wiem. Chcesz mi powiedzieć, że jestem złą matką? Słyszałam to milion razy od wszystkich naokoło. Proszę, idź do niego, pytaj, skoro zaczął z tobą rozmawiać. Wyrwij mu garść kłaków, zrób test. Ale potem nie przychodź do mnie z tą wiedzą. Nie przychodź już wcale.

Za oknem zaburczał najeżdżający samochód. Jest przecież jeszcze coś, wykrztusiłem. Wyciągnąłem rękę w stronę pakamery, ale zawahałem się, dodałem tylko rozpaczliwie: ktoś. Samochód zatrzymał się na dziedzińcu. Szurnął grys, trzasnęły drzwiczki. I cóż?, Łucja uniosła brwi. Mówiłem ci, krztusiłem się dalej, mówiłem przecież, co mi wybełkotał. I cóż, powtórzyła, chcesz mi w związku z tym powiedzieć? To jakiś test prawdy? Czekasz na znak? W sieni tupnęły buty. Może ty sam mi go daj?

Szczęk kolejnych drzwi, z sieni do korytarza, kuchnia jak zawsze otwarta, już żadnej bariery, sekundy zwłoki, przebiegi zdarzeń wygięły się i spotkały w progu. Nim oczy Urszuli zdążyły objąć nas, pojąć wszystko, o ile mogły coś pojąć, o ile było co pojąć, szamotałem się potem w tej dziecinnej niewiedzy, tasowałem w głowie tysiączne „o ile”, „a jeśli” i czułem, że nie zdołam przedrzeć się poprzez strach i wstręt do granicy tych szamotań, za którą są tylko otwarte pytania, może po tej pyskówce z Łucją przestałem wierzyć w pytania, wolałem już dziecinną niewiedzę, nim więc spostrzegła, że jest przyczyną i przedmiotem mojego strachu i wstrętu, obróciłem się do okna, by jej nie widzieć. Wbiłem wzrok w chłodny krąg dziedzińca. Rodzina. Splunąłem tym słowem. Mieszkajcie tu sobie, jak chcecie, z kim chcecie.

Jeszcze tego dnia spakowałem się do wyjazdu. Nie odezwałem się słowem do Urszuli, choć mijałem ją co chwila w korytarzu, w kuchni, w sieni, gdy krzątała się przy kolacji, przy Łucji, gdy nieśmiało przygotowywała się do snu, spłoszona, zawstydzona, przybita, urażona tym przyływym wrogości. Udało mi się nie spotkać jej rano. Gdy tylko zostawiłem Bolechów za sobą, zatrzymałem samochód na szosie i zawiąłem z ulgą.

Portret skończony. Julia na tle bieli cynkowej, może nieba, może ściany pracowni, podkreślającej oliwkowość skóry, kasztan oczu, śliwkowość sutków, sypnięte łobuzersko

pieprzyki. Policzki rozbłyśnięte jeszcze rumieńcem, ale oczy patrzą w bok, dały już, co miały dać. Nie mogę uwierzyć, parska śmiechem, że poświęciłeś tyle czasu i pracy tylko dla mnie. Mam to wystawić? Wzruszam ramionami. Jest twój. Zrób z nim, co chcesz. Ale jeśli wystawisz i ogłosisz, że nie jest na sprzedaż, liczą się z tym, że ktoś włamie się do galerii. Ach, skromnisiu, dobrze wiesz, że to twój najlepszy portret. Nie wiem, odpowiadam z wahaniem przez ściśnięte gardło, i ty też tego nie wiesz. Jak to nie? A któż ma wiedzieć lepiej niż ja? Chodź, wyciągam do niej rękę, a gdy podchodzi, chwytam ją lekko za kark. Zaglądam w jej oczy pełne dobroci i drwiny. A w twoich, mówi ona bez słów, widzę smutek. Inny niż dotąd, ostateczny. Powiedz wreszcie. Ale błagam, niech to będzie coś mniej błahego niż zdrada.

Mam dla ciebie coś wyjątkowego, mówię prosto w jej usta, chłodne, z językiem ledwie wysmyknętym spomiędzy zębów. Mhm? Coś namalowałem. Domyśliłam się. Przywieź. Coś słabszego? Ocenię. Pewnie się nada. Przesuwam opuszkami po jej kręgosłupie. Nie mogę przywieźć. Więc po co mi to mówisz? Znów szukam języka, znajduję, muskam po raz ostatni. Bo musisz to zobaczyć. Gdzie? Tam. Czemu tam? Przekonasz się. Julia ujmuje moją twarz w dłonie. Przegrasz zakład, szepcze. Dorośnijmy wreszcie, mówię. Każdy dorasta do czegoś innego, całuje mnie samymi wargami, ale niech będzie. Zobaczymy, postanowimy. Ja już wiem, co postanowisz, mówię. Godzę się na to. Wiem, co zrobiłem i zrobię. Tobie, sobie, innym. Po prostu jeszcze raz bądźmy sobie potrzebni.

Rano pojechałem do Bolechowa. Przez parę miesięcy nieobecności zapomniałem, że pałac miał być wyremontowany. Sale były świeżo wymalowane, z nagimi jeszcze ścianami. Wszedłem do biura, skinąłem Łucji na powitanie. Gdzie obrazy? Część w oficynie, odparła podejrzliwie, część w oranżerii. Jutro wieszamy. Powieście pojutrze. Uniosła brwi. A to czemu, jaśnie panie? Daj mi dwa dni. Zobaczysz.

W domu odczekałem, aż wróci z pałacu, aż ustanie tam praca i wszyscy się rozjadą. O której wraca Urszula?, spytałem. Nie mam pojęcia, odparła, zadzwoń, spytaj. Co się dzieje? Posłuchaj. Zaniosę coś teraz do pałacu, do mniejszej sali. Zamknę ją. Zasłonię okna. Jutro pracujcie sobie jak co dzień, ale proszę, niech nikt nie próbuje tam wejść. Przywiozę kogoś. Obrazy powiesicie później. To ważne. Łucja patrzyła mi w oczy. Dziwię się, powiedziała cicho, że po czterech miesiącach bez znaku życia przyjeżdżasz do domu, wydajesz mi rozkazy i oznajmiasz, co jest dla ciebie ważne. Wyuczonym od niej ruchem ręki uciąłem jej głos. Nie praw mi kazań. Nie utrudniaj. Każde z nas ma swoje gierki, pozwól mi rozegrać swoją.

Wyszedłem z kuchni, zamknąłem za sobą drzwi. Otworzyłem pakamerę. Mimo zimy ze środka wionął dziecięcy, letni zapach starego drewna, kurzu, spoconych rąk i zakazanych spraw. Deski stały schludnie oparte o ścianę, porozdzielane przekładkami. Wyjmowałem je z drzeniem. Powietrze rządcówki spisało się, było suche jak należy, wilgoć nie tknęła obrazów nawet koniuszkiem języka. Podnosiłem je do oczu, zdmuchiwałem kurz, wnosiłem do pokoju. Sześć temper, kilkadziesiąt akwarel w pękatych portfolioach, skrzyneczka pełna szkiców. Urszula wypełniła pokój mnogą, minioną obecnością. Na widok jej oczu, włosów, piersi, ramion targnął mną szloch bez dźwięku, bez słów, straciłem dech. Osunąłem się pod ścianę, ścisnąłem kolanami głowę. Chciałem, by Bolechów wypełnił się skowytami, ale nie mogłem wydobyć głosu. W ciszy słyszałem jej onieśmielony półgłos, szelest spódnicy, skrzywienie sprężyn tapczanu, skrobienie ołówka po papierze, młaśnięcia pędzla o paletę i dobiegające zza okna na poddaszu, poprzez świergot ptaków i liści, stukotanie Franciszkowego warsztatu. Coś załomotało do drzwi, raz, drugi, trzeci. Co się dzieje?, usłyszałem przestraszony głos Łucji. Czemu krzyczysz? Zamknąłem usta. Odkaszlnąłem. Gardło miałem zdarte od wrzasku.

Odczekałem bez słowa, bez ruchu, aż poszła do siebie. Poowijałem tempere szmatami, poprzemknąłem do pałacu, potem akwarele, rysunki. Nie kryłem się, Łucja jednak nie zwracała na mnie uwagi, nie wyszła więcej z pokoju. W pustej sali porozwieszałem prace na hakach, ile się zmieściło, resztę akwarel i szkice zostawiłem w teczkach. Do późnej nocy podłączałem oświetlenie, robiłem próby, póki wszystko nie działało jak na prawdziwej wystawie. Wreszcie stanąłem w progu, ogarnąłem wzrokiem neogotyckie sklepienia, okna z maswerkami, ściany w pachnącym jeszcze kolorze ciemnej perły. Czekałem, nie wiem na co, na podszept, na myknięcie ruchu w kącie oka. W głowie dudniły mi opowieści Stefana, ale dobiegały nie stąd, ze smukłego wnętrza pałacu, raczej z oranżeryjnej piwnicy. Czuję, że wyruszą w podróż, z której nie ma powrotu. Już dawno w nią wyruszyłeś, zaśmiałem się w głos. Zgasłem światło, zamknąłem salę na klucz.

Przemknąłem się do samochodu, by nie spotkać Urszuli. Do miasta dotarłem w środku nocy, spałem do siódmej popękany snem. Wstaliśmy z Julią i ruszyłem z nią z powrotem. Nie wytrzymałmy napiętego milczenia, w drodze sypnęły się rozmowy, błahe, nie na temat, jednak nazwa Bolechów, gdy zaczęła pojawiać się na drogowskazach, ucięła je nożem. Julia rozglądała się z półuśmiechem. Parkowe wzgórze, kościana bryła szarości i iglastej zieleni, wznosiło się na ołowiowym tle wschodniego nieba. Bez słowa wjechałem przez bramę. Park rozchylił się przed

nami z zakłopotaniem. Nie skręciłem do rządcówki, mignęła tylko między drzewami. Zatrzymałem samochód przed oficyną, na wysypanym grysem placu, gdzie zawsze parkowali goście. Gdy wysiedliśmy, Julia zaciągnęła się parkową rzeźkością, durzącą, przesytną błękitnym ściegiem mrozu. Z twarzą sfinksa patrzyła po alejkach, po kremowych ścianach oficyny, lustrzanej sylwecie oranżerii, pałacu otulonym rusztowaniami. Nie było śniegu, tylko chłodna suchość dnia odartego ze złudzeń, ziemia naga, cierpliwa. Gdy zwróciła wzrok na mnie, gestem zaprosiłem ją do pałacu.

Wszedłem pierwszy i upewniłem się szybko, czy drzwi biura są zamknięte. Łucja i jej pracownicy byli w środku, słyszałem stukanie klawiszy, dzwonienie telefonu. Ruszyliśmy korytarzem w głąb, przez jedną salę, drugą, trzecią, po lśniących, świeżo wycyklinowanych i lakierowanych parkietach, między ścianami i wnękami pełnymi tylko zapachu świeżej farby, wreszcie stanęliśmy przed zamkniętymi drzwiami o rzeźbionych płycinach. Julia, widziałem to, była oszołomiona. Jesteś wspaniałą, szepnęła bez ironii. Przekręciłem klucz, skinieniem głowy zaprosiłem ją do środka, a gdy zrobiła krok przez otwarte drzwi, zapaliłem światło i zatrzymałem się w progu.

Zerknąwszy na mnie raz jeszcze z nieufną ostrożnością, Julia obrzuciła salę szybkim spojrzeniem, potem stanęła przy pierwszym obrazie. Przebiegła po nim szeroko otwartymi oczyma, zerknęła w prawy dolny róg, gdzie była sygnatura, pomału ruszyła dalej. Mijała kolejne tempery, akwarele, przy każdej przystawała na chwilę, to dłuższą, to krótszą, oglądała raz pobieżnie, raz dokładniej, czytała sygnatury. Ledwie zauważalnie kręciła głową. Omal nie potknęła się o skrzynkę ze szkicami. Wyłuskiwała je na chybił trafił, rzucała okiem, wsuwała z powrotem. Nie widziałem jej tak zdumionej od mojej wystawy dyplomowej.

Kto to jest?, zagadnęła półszepem, raczej siebie niż mnie, gdy wróciła z obchodu, ze wzrokiem błędzącym wciąż bezradnie po obrazach. Wygląda na to, że moja siostra, odparłem cicho. Julia patrzyła na mnie przez chwilę, potem wybuchła śmiechem tak niewstrzymanym, że i mnie kąciki ust podbiegły w górę. Córka rybaka? Kamieniarza. Wątpię. Niepodobna. Nie wątpię jednak, że był to cudowny, spełniony romans. Nie sprowokujesz mnie, mruknąłem, ale ona machnięciem ręki zbyła tę odpowiedź razem z całą dotychczasową rozmową. Ukrywałeś przede mną tyle prac?, spytała pomału. Przez tyle lat? Zapomniałeś, że wiąże nas umowa? Zaczerpnąłem tchu. Nie sprzedawałem ich na boku, do diabła. Myślisz, że zrobiłbym ci coś takiego? Pozwól, przerwała, że sama ocenię, co mi zrobięś.

Jeszcze jeden powolny obrót na obcasie, z rękoma splecionymi ciasno na piersiach i ciemnym blaskiem w oczach. Wiesz, że to twoje najlepsze prace? Jeszcze raz spokojny, cichy ton. Najlepsze obrazy, jakie dotąd namalowałeś? Przynajmniej jakie znam? Skinąłem. Jesteś wspaniała, powtórzyła. Pokręciła głową. I co ja mam teraz z tym zrobić? Zorganizuj mi wystawę. Tutaj? Już ją sobie zorganizowałeś. Nie, nie tutaj. Ale w kraju. U nas, w Roboczej? Znow skinąłem. Potem je sprzedaj. Ale nie osobno. Wszystkie razem, w komplecie: tempery, akwarele, rysunki. Ile za to chcesz? Wzruszyłem ramionami. Pół miliona. Uniosła brwi. W kraju nikt za tyle nie kupi. Milczała przez chwilę, coś rozważała, wahała się, aż przez jej usta przemknął półuśmiech, inny niż wszystkie grymasy, miny, emocje, jakie dotąd znałem z jej twarzy, i krew uderzyła mi do głowy, bo nim zdążyły paść następne słowa, domyśliłem się, że to zemsta, nie, nie zemsta, ale punkt na jej korzyść, rewanż w grze, w zakładzie, wyjście na zero, na wzajemne zniszczenie. Nawet on, dodała. Nawet kto? Gerard. Gerard? Czemu o nim wspominasz? To nie jest mój największy kolekcjoner. Ani najbogatszy. Uśmiechnęła się z rozbawieniem. Ma już kamieniarza, może chciałby też jego córkę. Gerard ma kamieniarza? Skąd? Z aukcji? Od kogo kupił? Nic o tym nie wiem. Nie, mój drogi. Nie z aukcji. Kupił z Zakładu. Siedem lat temu. Żar znow uderzył mi z serca do głowy. Anonimowy kupiec, wykrztusiłem. Julia skinęła głową. Twój pierwszy dobrze sprzedany obraz. Niespotykanie dobrze. Zważywszy, jak później potoczyła się twoja kariera, a nawet, zaśmiała się, losy sztuki polskiej, wielki powrót malarstwa, figuracji, moda na temperę, był to historyczny zakup. Wiesz przecież, że w chwilach zastoju, gdy coś się wyczerpuje i wszyscy zastanawiają się, co teraz będzie się malować, rzeźbić, kogo typować na gwiazdę następnego pokolenia, czasem niewiele trzeba. Ferment, głośna wystawa, głośny zakup. Ty zmieniłeś jeszcze więcej: przed tobą w Polsce w ogóle nie było dobrych zakupów. Przed nami. Przed nim.

Przesadzasz, burknąłem. Nie kupiłby on, kupiłby kto inny. Nie wtedy, to rok później. Dobra sztuka obroni się sama. Julia zaśmiała się chłodno. Nie tracisz rezonu. Więc proszę, sprzedaj sam tę swoją, hm, siostrę, za pół miliona. Ogłoś w branży, że kończysz współpracę ze mną. Zobaczysz, jak na tym wyjdiesz. Od kiedy jesteś tak zbratana z tatusiem? Wzruszyła ramionami. Nie jestem z nim zbratana. Powiedzmy, że był to jego prezent ślubny dla mnie. On zna się na sztuce. I nie żałuje forsy. Nie znosimy się, mamy swoje powody, o których nie musisz wiedzieć, ale to w końcu mój ojciec. Chciał ci pomóc wystartować. Parę kolejnych dobrych zakupów to też jego zasługa: temu podpowiedział, tamtego namówił. Nie ma w tym nic

demonicznego, po prostu pomógł ci, na ile mógł, resztę zrobił łut szczęścia. I ja. Zakład, powiedziałem cicho, sam nie wiedziałem, co mam na myśli, ona już wiedziała, bo skinęła głową: Zakład też finansował. Tu go bronić nie będę. Wspierał Ulickiego, póki było mu to potrzebne. Wspólnymi siłami przez dziesięć lat zmienili penerski fyrtel w dzielnicę artystyczną, z galeriami, kawiarniami, nawet księgarniami i kinem studyjnym, z mieszkającą na modnym osiedlu gromadką pisarzy, aktorów i artystów. Takich jak ty. Gdyby Gunn nie przelicytował go w zakupach sąsiednich działek, może byłoby jeszcze piękniej. Obok czekają przecież Wolne Tory, kto wie, co mogłoby tam powstać, gdyby miasto dogadało się wreszcie z koleją. Ale mój tatuś i tak od dawna rozmijał się w poglądach z Fundacją Zakład. Ulicki to rewolucjonista, nie biznesmen. Szlag go trafia, że Zakład poległ, a jeszcze bardziej dlatego, że swoją rewolucją przyczynił się do wzrostu cen nieruchomości w okolicy. I jak widać, uśmiechnęła się smutno, związek i biznes to też kiepska para. Wiedza zawsze jest lepsza od niewiedzy, mruknąłem. Naprawdę? Przebiegła wzrokiem po obrazach. Nie powiedziałabym.

W głębi pałacu trzasnęły drzwi biura. Stukot obcasów, ostrożny, omylny, niósł się ku nam. Oczekiwałem, że gdy Łucja wyłoni się zza rogu, ujrzę gest rodem z melodramatów, jakie kiedyś kręcono w pałacu, ale nie, jednak wciąż jej nie znałem. Podeszła zgarbiona, trącona chorobą, ale jej głos brzmiał mocno, jak wtedy, gdy oprowadzała tutaj niezliczone wycieczki: spodziewałam się. Zerknęła w głąb sali, ale nie była ciekawa, co tam powiesiłem. Tylko w interesach przyjechałaś?, spytała Julię. Tylko w interesach mnie przywiózł. Pierwszy raz, Łucja przebiegła wzrokiem po naszych twarzach, i ostatni? Julia uniosła brwi. Takie masz życzenie? Nie, wręcz przeciwnie. Ale taki mam domysł. Nie mylisz się, odparła Julia i zwróciła się do mnie: pokażesz mamie obrazy? Zaczekam w samochodzie.

Robinson

Gdy umilkł ryk odrzutowca i na chwilę zamarł wiatr, zaczerpnąłem klimatyzowanego powietrza i wyszedłem. Szarozółty skwar buchnął mi pyłem w oczy. Od drogi doleciało mnie wołanie: Josh! Hej, Josh! Pospiesznie okrążyłem stanowiska do tankowania i wsiałem do auta. Dobiegł po chwili, załomotał w szybę. Zdjął drucziane okulary, ocierał czoło pod nisko zsuniętą bandaną. Kątem oka widziałem, że sprzedawca staje w pleksiglasowych drzwiach stacji z prawą ręką schowaną za plecami. Szukasz, pytasz, sapnął okularnik, słyszałem. Pokręciłem głową. Pomogę ci, dodał. Z wahaniem skinąłem głową. Wsiadł, na tylną kanapę wrzucił niewielki plecak. Nazwałem cię Josh, zaśmiał się, bo nie wiem, jak masz na imię. A ty jak masz?, spytałem. Josh, odparł zdziwiony.

Wyjechałem na szosę, szarobiałą krechę asfaltu wysmażoną po dnie rozległej kotliny. Josh przyłożył palce do szyby, muskał nimi ugrowy grunt bez trawy, opylone kępy krzewów, rosochate gałęzie juk, powykręcane ku zblakłemu niebu. Z odrętwiałej przestrzeni wyłaniały się krągłe kłęby solanek, turlały się po dojazdowych uliczkach, zderzały ze słupami, szyldami barów i moteli. Był to jedyny w polu widzenia ruch prócz samochodów, te zresztą szybko poznikały w tyle wraz z rozrzuconymi rzadko niskimi domkami o czerwonych dachach i ścianach koloru pustyni, ogrodzonych płotami, sosnami i świerkami sadzonymi dla ochłody, kwadratami nawadnianych trawników. Drogowskazy kierowały w biblijną pustkę.

To nie to miasteczko, odezwał się. I nie Noel, tylko Noah. Ale spóźniłeś się. Miał tu swój ośrodek, montował różne cuda, na imię miał Noah, był stary, zmarł trzy, cztery lata temu. Nikogo nie szukam, odparłem, a ty coś za jeden? Nikt. Jestem stąd. Stąd, powtórzył. W następnym mieście dał znak, gdzie skręcić. Powiódł nas asfalt z płataniną splekań podobną do szlaków mrówek na leśnej drodze, może rzeczywiście żłobiło go jakieś życie, pewnie mogło, skoro istniało na tak nieprzychylniej ziemi i w powietrzu dokoła. Josh doprowadził mnie bez pudła, wysiedliśmy przy parceli odrobinę mniej porośniętej krzaczkami. Rozrzuconych było na niej kilkadziesiąt fantazyjnych instalacji, dziurawe chatki z kawałków desek i blach, mury telewizorów, rzeźby z opon i krat samochodowych chłodnic, hangary z falistej blachy, wszystko misterne, zbudowane chytrą i cierpliwą pracą, gorące pod palcami. Czarnoskóry gospodarz muzeum przyjrzał mi się. Znam cię, powiedział, pamiętam z Nowego Jorku, z Museum of Modern Art, miałaś wystawę. Dwa, może trzy lata temu. Pokręciłem głową. Josh rozglądał się

bez zaciekawienia. Wyjąłem aparat, zrobiłem bez przekonania dwa, trzy zdjęcia, ale ręka sama mi opadła, rozleniwiona. Ej, zawołałem, Josh, to nie tu. Gospodarz opowiadał o autorze prac. Montował je z tego, potoczył ręką dokoła, co odrzuciła cywilizacja. Zaczął w latach sześćdziesiątych od rupieci pozostałych po wielkich zamieszkach rasowych. Za dużo ich widziałem, odparłem. Rzeźbiarzy, zamieszek czy rupieci? I jednych, i drugich, i trzecich. Mamy jeszcze inne rzeczy, ciekawe, powiedział, kapsuły do życia na pustyni, minikuchnie, łazienki stylizowane na lata pięćdziesiąte, echo lęków atomowych, dawnych, przyszłych. To nie moje lęki, wzruszyłem ramionami. Będziesz tu malował?, spytał. Nie maluję, odparłem, mylisz mnie z kimś.

Gdy odjechaliśmy, Josh machnął w stronę wzgórzystego horyzontu: pokażę ci coś lepszego. Kierowany jego ręką, skręciłem w drogę gruntową. Opony łomotały po szorstkim gruncie, kamyki pryskały spod kół, żółtawy tuman pyłu buchał zza samochodu i osnuwał pnie rosnących coraz gęściej juk, to niższych i pękających, to wysokich na dwa piętra, pokracznych bylin o kłębiastych paluchach. Jechaliśmy długo. Droga skończyła się, nie, nie skończyła, wsiąknęła w kamieniste podłoże. Zatrzymałem wóz. Nie chcę zniszczyć opon, powiedziałem. Josh skinął głową. Masz wodę? Wyciągnęliśmy z bagażnika półgalonowy zbiornik, wpełniliśmy do plecaka. Ruszyliśmy pod górę. Słońce mieliśmy za plecami, zniżało się już za wzgórze po drugiej stronie doliny, nasze długie cienie pełzły po kamieniach. Oglądałem się co chwila. Z oddali miasteczko było rozsypaną mozaiką dachów upstrzoną kłębkami iglaków. Muzeum Purifoya mignęło samotnym błyskiem odbitym od chromu. Juki sterczące z jałowego gruntu miały w sobie coś łobuzerskiego. Zbrylony piach chrupał pod butami. Gdy dotarliśmy na szczyt, słońce przygwoździło nas. Zachłannie piliśmy wodę. Na co czekamy?, spytałem. Wznawiają wieczorem, powiedział Josh.

Zdrzemnęliśmy się, oparci o głaz. Zbudził mnie ostatni błysk słońca. Podniosłem się ciężko, zszedłem kawałek niżej do najbliższej juki. Spomiędzy sztyletowatych liści wychylały się przywiedle pęki kwiatostanów, z nich wybulwiały się parchate owoce. Pień był włochaty i szorstki. Podobnie musiało się dotykać mamutów czy innych prehistorycznych stworzeń. One nie rosną aż tak długo, rzucił Josh. A ty?, spytałem. Jesteś jeszcze młodym egzemplarzem, co? Aha. Mam dopiero jakieś trzysta lat. Teraz cicho!, uniósł palec. Nadlatuje. Zza gór, które wznosiły się niskimi, garbatymi pasmami, nadciągał świstliwy ryk. Po chwili ujrzeliśmy go. Nadlatywał ukosem w naszą stronę, rozrznął ściemniałe wschodnie niebo z szybkością, która na

tak niskim pułapie wydawała się niemożliwa. Nagle strzelił z niego do tyłu trójkątny biały opar i rozległ się łoskot, od którego ogłuchłem na chwilę. Josh szczyrzył się uszczęśliwiony. Nim doszedłem do siebie, myśliwca już nie było, wszył się za wzgórze.

Czasem nagrywam te grzmoty, powiedział Josh. Rozchylił plecak i pokazał mi przez sekundę płaskie kwadratowe urządzenie z monochromatycznym ekranikiem. Wydało mi się, że gdy grzebał w środku, obok mignęła mi skórzana kabura, a w niej złotawoczarna rękojeść pistoletu. Nad tymi górami przekraczając barierę dźwięku, dodał. I to jedyny dźwięk, jaki słyhać w tej okolicy. Skąd ich tyle tutaj?, spytałem. A dasz radę maszerować przez trzy godziny? Pokażę ci. Skinąłem głową i ruszyliśmy przez wzgórze. W dolinach zbierał się już cień, kaktusy i juki wypękały się z niego skłębieniami i zygzakami jeszcze gęstszej czerni. Niebo odlatywało ku górze, uwalniało ziemię od swojego ciężaru. Noc była bezksiężycowa, ale pogodna, sypnęła gwiazdami liczniejszymi i jaśniejszymi, niż widziałem gdziekolwiek indziej. Ich światła nie starczało jednak, potykaliśmy się. Na trzecim czy czwartym łańcuchu wzgórz nogi ugięły się pode mną. Josh podał mi rękę, dźwignął mnie, podeszliśmy jeszcze kawałek, na wierzchołek. Hen przed nami, w odległości, której nie dało się określić, migotały w mroku słabiutkie światła. Bagdad, powiedział Josh. Dalej nie zejdziemy, poniżej szczytu jest płot. Za następnymi wzgórzami, o cały dzień marszu, za daleko, nawet gdybyśmy się przedarli przez zasieki, jest Kabul. Bagdad?, Kabul?, spytałem. Poligony do bombardowań. Sztuczne miasteczka, wioski, obozy. Tak się nazywają. Ukształtowanie terenu, warunki atmosferyczne, pogoda, światło, wszystko jak w oryginale. Byłeś tam?, spytałem. Milczał przez chwilę. W mroku gwiazd byliśmy tylko kształtami bez twarzy. Wiesz ty, szepnął, jak się czuje nocny wartownik w takim miejscu? Wydaje ci się, że nie ma większej samotności na świecie? Och, stary. Wystarczy, że założysz okulary noktowizyjne. Pustynia żyje nocą. Zatoczył ręką szeroki krąg. Naokoło widzisz mrowie oczu, a wszystkie one, pary zielonych punkcików, patrzą na ciebie.

W drodze powrotnej odpoczywałem co paręset metrów, dyszałem szorstko: ryyych-rach, ryyych-rach, ryyych-rach. Josh przystawał nade mną, czekał cierpliwie. Chciałem położyć się spać na grzbiecie wzgórz, ale powiedział, że lepiej, by rano nas nie wypatrzyli. Gdy dotarliśmy na miejsce, samochód majaczył w szarówce świtu. Osunąłem się na tylną kanapę, oparłem głowę o szybę. Dowiozę nas do motelu, powiedział. Szurgot opon po kamieniach uścił mnie momentalnie.

Gdy się zbudziłem, słońce wlewało się do pokoju, powietrze zdążyło już nabrać mocy.

Wyszedłem w skwar, fotografowałem ospale zagajnik juk za motelem. Josh przyszedł z zapasem jedzenia, wody, kawą w wielkich styropianowych kubkach. Dokąd?, spytał. Dokąd?, odbiłem pytanie. Pojechaliśmy na północny wschód. Drzewa, kaktusy, agawy skończyły się wkrótce. Josh zęgnął je muśnięciem palców o szybę. Wsuwaliśmy się w próżnię, z której niekiedy wylaniały się drogowskazy, rzadziej miniaturowe miasteczka o kremowych ścianach i białych płotach, w barwach pustyni, jeszcze rzadziej oazy, spłachetki zieleni pełne starych drzew i pasących się krów. Szosa o karbowanych poboczach rozpinąca się łagodnymi łukami w nieskończoność. Horyzont, choć wzgórzysty, był tak niski i daleki, że niebo, niemające na czym się wesprzeć, wisiało tuż nad głową, gładkie i nieme. Nie jest błękitne, myślałem, gdy zmieniliśmy się z Joshem za kierownicą, sięgnąłem po aparat i półwychylony przez okno, smagany żarem wiatru, robiłem zdjęcia. Grunt też stracił wszelką barwę, nawet ugru, mimo że chyba sam był ugre, nie miałem pojęcia, z czego zbudowane są otaczające nas skały, przez chwilę zastanawiałem się nad tym mętnie, lecz potem, przewinąwszy mi się parokrotnie przez głowę, nazwa „ugier” straciła sens, odłupała się od koloru, od krajobrazu, spadła na pobocze i zniknęła za pędzącym samochodem. Nie było więcej barw, niebo było tylko niebem, a ziemia ziemią, nie, to też nieprawda, najwyżej szosa była szosą, reszta po prostu była. Dałem znak Joshowi, by zatrzymał wóz. Stanęliśmy na poboczu. Josh podał mi wodę. Pod bandaną miał krótko ostrzyżone włosy, pod koszulką khaki krągliły się mięśnie. Przyglądał mi się poprzez błysk okularów. Cisza była tak dławiąca, że szurałem czubkiem buta po kamieniach, by usłyszeć cokolwiek. Tylko dźwięki mogły podtrzymać wyżej ciężące niebo. Nie ma nas, myślałem, gdy pojechaliśmy dalej, nie da się zachować życia w tej próżni, najwyżej odruchy, przetykanie śliny, pot ściekający po mostku, pieczenie zapyłonych oczu, oddech, oddech. Przecinaliśmy gęstą atmosferę, obcą, nie byliśmy już ludźmi, bo choć mknie się naprzód, jazda przez pustynię prędzej czy później traci cel, trzeba się wysilić, by o nim pamiętać, albo pozwolić mu zniknąć. Przejechaliśmy nad akweduktem, prostym kanałem wybetonowanym na biało. W wyżynnym terenie mijaliśmy rozległe połacie sosnowego lasu, bez poszycia i trawy, gęstwiny krętych szarych pni, wyrastających wprost z suchej ziemi.

Zapadał przedwieczór, nie pierwszy, nie drugi ani trzeci, było ich więcej, nie liczyłem, gdy Josh wypatrzył sobie tylko znany drogowskaz i dał znak, bym skręcił w drogę pokrytą już tylko resztkami asfaltu, które zresztą po krótkim czasie też dały się wchłonąć ziemi. Turkotaliśmy między okrzaczonymi garbami wzgórz, przez doliny pełne cienia, ale nie

wytnienia, aż w końcu na jeden ze stoków wysypała się grupka ciemnych kształtów. Drewniane budynki, od szop i latryn po kościół, stodoły i szkołę, tkwiły bez życia, niektóre dzielnie, inne już krzywo, pod szarymi dachami łykały w zmierzchu czarnymi kwadratami okien o małych kwaterach. Gdy się zbliżyliśmy, spośród krzaków i traw, nie drzew, drzew nie było, wyrastały wozy, bryczki, zardzewiałe skorupy samochodów, zachowujące jeszcze miękkość i fantazję przedwojennych kształtów. Kołysz się, wahadło, kołysz, zanucił Josh. Wysiedliśmy na skraju. Miasteczko, przecięte łagodną gruntową ulicą, nie było bezлюдne, między budynkami kręcili się ludzie, nie mieszkańcy, turyści w czapczkach, z plecakami, z aparatami w ręku. Domy były otwarte, wejścia do środka wzbraniały jednak siatki rozpięte w futrynach. Przez okna widać było kompletnie wyposażone wnętrza, sypialnie z komodami i szkieletami sprężynowych łóżek, w kuchniach kredensy pełne talerzy i kubków, piece, szafy, rozłożyste wanny, krzesła o smukłych oparciach, maszyny do szycia, bujane fotele, w sieniach miotły i wiadra, w szkole książki na stołach, globus tuż za szybą, w saloonie stoły do bilardu i ruletki, na ladach butelki, w sklepie zastawione półki, puszki po karmelkach i kawie, beczki po melasie i mące, stajnie z uprzężami, warsztaty pełne narzędzi, wszystko nie nowsze niż sprzed kilkadziesiątu lat, grubo pobielone kurzem, odłożone tylko na chwilę i niewzięte więcej do ręki, porzucone może wskutek katastrofy, zarazy, pomyślałem i ręka aż cofnęła mi się od drzwi, gdy zaglądałem do jednego z domów. Żadna tam zaraza, zawołał Josh, który snuł się niedaleko po ulicy, życzliwy i znudzony. Gorączka złota. Gdy minęła, miasto umarło. To wszystko jest nieprawdziwe, powiedziałem. Muzeum. Wszystko poukładane, poustawiane dla widzów. Życie, odparł Josh, nie zawsze pakuje się schludnie przed odejściem.

Skręcałem za róg, jeden, drugi, z uliczki w uliczkę, zaglądałem w przepaść uwięzłego czasu za ciemniejszymi oknami, suwałem dłonią po ścianach z grubych desek, wytrawionych upałem i mrozem pustyni. Zgubiłem się na chwilę. Odnalazłem się na skraju, przy ścieżce prowadzącej do nieczynnej kopalni. Niedaleko stała letnia tancbuda, z zadaszeniem i podium dla orkiestry. Wywijiała tam jakaś para, w ciszy słychać było rytmiczne szuranie i tupot butów po deskach. Podeszedłem bliżej. Poznałem Josha. Tańczył z jakąś dziewczyną, młodziutką, w jasnej sukience, wyciągniętej chyba z komody w którymś z okolicznych domów. Ona pyta, zawołał Josh, czy może jechać z nami! Nie mogłem dostrzec jej twarzy, przy każdym kroku odwracała się ode mnie, włosy spadały jej na policzki. Ona nie istnieje, powiedziałem, nie nabierzesz mnie. Chodź. Gdy dotarłem do samochodu, obróciłem się. Dziewczyna oddalała się w stronę

półciężarówce po przeciwnej stronie miasta, ktoś siedział tam w środku, czekał na nią. Gdy wyjmowałem z kieszeni kluczyki, zahaczyły o szew, szarpnąłem, niechcący wyciągnąłem całą kieszeń na lewą stronę i wypadł mi telefon. Nosiłem go siłą ślepego przyzwyczajenia, bateria dawno się rozładowała, teraz nie zdążyłem go schwycić, trzasnął o kamień. Podniosłem go. Ekran był rozbity. Zastanawiałem się przez chwilę, czy rysy układają się podobnie do spękań asfaltu na szosach, czy może do krzywizny gałęzi juk. Wrzuciłem go przez okno do wnętrza samochodu.

Krążyliśmy po bocznych drogach, płaczących się kręto między wzgórzami, wiodących nijak i po nic, każda z nich jednak, zdawało mi się, brała w posiadanie mniej więcej taki sam teren, czasem też docieraliśmy po nich do samotnych chat, tak schylonych lub zapadłych, że chyba samo pustynne niebo wpychało je w ziemię. Mieliśmy kiedyś ustawę, wyjaśnił Josh: dostawałeś sto sześćdziesiąt akrów ziemi, pod warunkiem że zbudowałeś siedlisko. Dom, chatę, cokolwiek. Niektóre były zamieszkane, stały przy nich poobijane półciężarówce i rosły chude drzewa. Na jednym z takich podwórzy pasł się koń, zadbany, gładki siwek. Koło domu wrastała w ziemię archaiczna przyczepa kempingowa bez kół, obok tablica WYPRZEDAŻ GARAŻOWA. Masz jakąś forszę?, spytał Josh. Z wahaniem sięgnąłem pod fotel, wyjąłem portfel. Mignęła w nim karta kredytowa. Josh zaśmiał się. Wysiedliśmy. Josh pomału okrążył dom. Gdy się zbliżył, zawołał głośno. Podeszedłem do siwka. Stał zadowolony w cieniu wysokiej wiaty, czegoś w rodzaju otwartej stodoły. Był ochwacony, ale leczono go, miał tarnikowane kopyto i przybitą podkowę korekcyjną. Skubał sztywną trawę, porastającą spory teren naokoło domu dzięki parunastu rozstawionym przypadkowo zraszaczom. Kable i węże wiodły do szopy za domem, z której, słyszałem z daleka, dobiegało burczenie generatora. Skrzynia starego forda bronco zastawiona była kanistrami na benzynę. Josh wyszedł po chwili. W oknie mignął ruch, ktoś przyglądał się, jak podchodzimy i wyciągamy z garażu zakurzone, ale sprawne koła. Kluczami przyniesionymi z samochodu przykręciliśmy je do przyczepy. Śruby były pordzewiałe, smarowaliśmy je długo, a gdy podjechaliśmy tyłem i przyprzęgliśmy przyczepę, ruszyła ze zgrzytliwym oporem. Na szosę odprowadzało nas jej szurgotanie, spojrzenia zza okna i spokojne ruchy ogonem spasionego siwka.

Rankiem, nie następnym, nie drugim ani trzecim, którymś kolejnym, nie liczyłem ich, spomiędzy wzgórz, z ogromnej oddali, na pustyni wszystko jest dalekie, wzrok tylko łudząco zmniejsza odległości, nie dawałem się jednak oszukać tej złudzie i domyśliłem się, że jednak

z ogromnej oddali, błysnęło drugie niebo odbite w bezkresnej niecce. Migotało błękitem, a gdy znad horyzontu wypełzały zwaliska chmur, zaciągało się barwą cementu zmieszanego z mlekiem. Tkwiło w okolicy niewysokich gór, sypniętych po wierzchu spłachetkami śniegu. Im bardziej się zbliżaliśmy, o ciężale, z rozchybotaną przyczepą na holu, tym wyraźniej, choć obojętnie, mówiło, że jest jeziorem. Nie miało plaż, oaz na brzegu, tylko pas zblakłych traw naokoło. Gdy zjechaliśmy z drogi i dotelepaliliśmy się z oporem do skraju równiny, a potem wysiedliśmy i zsunęliśmy się po kamienistym stoku nad brzeg, prócz pyłnej woni pustynnych krzaków uderzył mnie w nos zapach soli, czysty, morski. Nad wodą unosiły się chmury drobnych much, wyrojone z przybrzeżnej mielizny. Czesaly powietrze, upalne, choć nasycone solną nadjeziorną świeżością, a gdy zbliżaliśmy się do nich, rozstępowały się przed nami bez zainteresowania. Pod butami chrzęściły brązowe rozsypiska z tysięcy i milionów maleńkich karbowanych rurek. Josh schylił się, zaczerpnął garść, pokazał mi z bliska. Były to wyschnięte poczwarki. W płytkim jeziorze brodziły nieprzebrane stada mew i innych ptaków, niewielkich, o wydłużonych nóżkach i dziobach. Daleko, choć nie na tyle, by nie dopłynąć tam wpraw, z wody marszczonej słonym wiatrem sterczały porowate skały, grube paluchy, pięści, kolana, łby, ulepione bądź przezarte prażącym działaniem czasu.

Jeziro zmieniało barwy, ale swoich nie miało, było tylko błoną, w której przeglądała się suchość pustyni, dalekich gór i nieba. Obeszliśmy je w trzy dni. W ostatni ranek Josh niósł mnie na plecach, zawiąawszy mi na głowie bandanę sztywną od potu. Do niecki jeziora nie spływała ani jedna rzeka, nie wpadał żaden strumień. Jedyńm ruchem, pozornym, były fale wzniecane jałowym wiatrem, umykające kłębowiska much i trzepoczyska ptaków. Nic się tu nie zaczynało, jedynie trwało, a koniec był daleki. Kołysz się, kołysz, wahadło, nucił Josh. Jezioro bezodpływowe. Parędziesiąt tysięcy lat temu, a może parę milionów, kto by to spamiętał, zaśmiał się, pustynia nie była pustynią, w tych dolinach ciągnęły się sznury jezior. Wyschną niedługo, wystarczy zaczekać. Nie mogę aż tak długo, bełkotałem od udaru. Położył mnie w przyczepie, maścią wygrzebaną z plecaka smarował mi pieklistą twarz. Bredziłem, wypełniony piachem gorączki. Josh poił mnie, moczył chustę w wodzie z jeziora, kładł mi na czole. Przyglądał mi się często, bez uśmiechu. W huku nieba słyszałem jego głos: na pustyni możesz znaleźć całkowitą wolność albo śmierć. Zwykle to na jedno wychodzi. Co wybierasz? Zdawało mi się, że zrobił ruch głową w stronę otwartych drzwi, przez które sypał się do przyczepy pył ogłuchłych manowców, a gdy mrugnąłem oczyma, raz, drugi, może dałem mu znak, nie wiem jaki,

wygrzebał z plecaka kanciasty przedmiot i z cichym stukiem położył na stoliku. Bolno, szepnąłem. Uniósł brwi. Nazajutrz, może po dwóch, trzech dniach, dodałem: jeszcze coś. Nachylił się, słuchał. Można też, wymamrotałem, wrócić. Po śladach. A gdy się skończą, iść dalej.

Gdy minęły mi dreszcze i zdołałem dźwignąć się z wąskiego turystycznego tapczanu, Josh powiózł nas dalej, nie na główną szosę, tylko podrzędną drożyną, wąskim pasem lichego asfaltu, w głąb pustyni. Nie okrążyliśmy już jeziora, nie obejrzałem się, gdy chowało się za grzbiety. Jechaliśmy pomału, z początku kręto, potem droga wystrzeliła prosto w niedosiężną dal, zamkniętą pasmem gór, te jednak oddalały się, mimo że jechaliśmy wiele godzin w tym samym kierunku, z tym samym nachyleniem, co wydało mi się zaprzeczeniem jazdy, bo nie da się i nie ma sensu podążać stale w jednym kierunku. Silnik przegrzewał się na jednostajnie wyżyłowanych obrotach. Josh zerkał na wskaźnik temperatury. Co rusz zatrzymywaliśmy się, wlewaliśmy do chłodnicy nasze zapasy wody do picia i odczekiwaliśmy w ciężkim skwarze, aż silnik ostygnie. Trzeba było kupić coś większego, mówił, półciężarówkę. Dotarliśmy na przełęcz. Droga skręcała lekkim łukiem, prostowała się i spadała w równie nieskończoną dal, głęboką, która musiała już być depresją. Zjeżdżaliśmy na niskim biegu, niewiele szybciej, niż gramoliliśmy się pod górę. Nieokreślona poświata rozmyta w oddali, raz po raz wysuwająca się zza rozległych parchatych stoków, nabierała twardości, błyszczała coraz bielej i jaśniej, aż ukazała się w pełni jako płaskie dno doliny. Na jakiś czas wturlaliśmy się w wąwóz rozkwitły fantazyjnymi barwami nierównomiernie utleniających się skał, potem znów w oczy uderzyła nas biel, niejednolita, pełna plam i zacieków, ale mocna, ostateczna. Białe było nawet niebo, może dno odbijało się w nim, tak czy owak wszystko, czułem, dążyło do tej bieli i kończyło się w niej.

Zatrzymaliśmy wóz na bezdrożu, niżej nie dało się zjechać, potem schodziliśmy jeszcze długo. Odruchowo wziąłem aparat, nie wiedzieć po co, i tak nie używałem go od wielu dni. Chrzęst rzadkich traw, porostów i kolczastych kłaczy pod butami nie różnił się od chróbotu zbrylonej ziemi. Powietrze zmieniło się w maź, tym gęstszą, im bardziej zbliżaliśmy się do dna, gmatwało się w sobie w całkowitej ciszy. Wreszcie zstąpiliśmy w biel. Przy brzegu była równa, na oko miała w sobie dziewiczą puchatość świeżego śniegu, pod stopami jednak chrupała szorstko. Schylałem się, nabierałem ją w garść, rozsypywała się w palcach na kryształki, twarde w dotyku, słone w smaku. Z płaszczyzny dna pomału wyłoniły się bruzdy, biel łamała się na nieregularne sześciokąty o krawędziach grubych na trzy palce, wypuczała się spękanymi płytami

i czapami podobnymi do tafli lodu i zasp. Skroś przecinały ją rozmaite zygzaki, biegnące znikąd donikąd bez widomej przyczyny. Przystanęliśmy w miejscu nieróżniącym się od innych. Dno jeziora, powiedział Josh. Sporo poniżej poziomu morza. Dwa lata temu po wielkich burzach przez jakiś czas stała tu woda. Rozejrzałem się. Kawałek dalej, może o sto jardów, może o pół mili, sterczał trzonowy ząb skały zapomniany przez erozję i wietrzenie. Ruszyłem ku niemu. Szedłem długo. Od naszej strony pokryty grubą skorupą soli, od przeciwnej nagi, miał wysokość człowieka. Na jego obnażonej skalnej powierzchni coś wyróżniało się niejasno. Przyjrzałem się bacznie. Była to krzywa linia, poprzerywana, pozakręcana pod różnymi kątami, ale regularnością rysunku i stałą głębokością zdradzająca, że nie wyłobilo jej milionletnie działanie czasu, tylko przemyślna ludzka ręka. Nie sposób było dopatrzeć się, co przedstawiał petroglif. Może scenę rodzajową, może totemiczny wizerunek, może drogowskaz dla tych, co przekraczali słońą dolinę, może planszę niepojętej gry, może wszystko razem. Popatrzyłem pod nogi, na mozaikę solnych płyt, rozciągniętą we wszystkie strony. Zdjąłem aparat z ramienia, ściągnąłem zaślepkę z obiektywu, zdmuchnąłem błonkę pyłu. Za moimi plecami kroki Josha najpierw skrzypiały miarowo, nagle przyspieszyły gniewnie, kątem oka dostrzegłem jego rękę, nie zdążyłem się zasłonić, nim wyszarpnął mi aparat. Ej!, warknąłem. Popatrzył na mnie zmrużonymi oczyma, wziął zamach, wypracowany, godny bejsbolisty, i miotnął aparatem w bezkres. Czarny kształt szybował długo, majtał paskiem, wreszcie zniżył lot, konający owad, i bezgłośnie grzmotnął o sól. Spostrzegłem, że Josh nie ma na nosie okularów. Stał, czekał na coś, może na to, co działo się za jego plecami, co także ujrzałem dopiero teraz i pokazałem mu palcem, a on obrócił się w ślad za nim, choć przez chwilę sądził, że chcę naiwnie wyprowadzić go w pole.

Od zachodu, a może od wschodu, upał odebrał mi poczucie kierunku, zrywał się wiatr, na razie daleki, czułem jednak, że nie ma w nim ani ziarna chłodu, tylko przemieszczanie się mas skwaru, a w miarę jak nabierał mocy, sól wzbijała się z płaszczyzny dna w górę, powietrze nasycalo się nią, pylistą, nieważką. Ogromny i gruby dysk chmur nadpłynął znad gór, sunął nisko, niewiele wyżej niż ich wierzchołki, a pył zdązał ku niemu, splatał się w wibrujące warkocze, w strzępiaste kurtyny, wstępował, to słowo tłuło mi się po głowie, wstępował, nie dało się inaczej nazwać tego majestatycznego ruchu, niebo zszarpywało najbardziej ulotną warstwę ziemi i wciągało ją w siebie, kradło ją, może osłaniało tym coś, co nie mogło zostać ujrzone, a może przeciwnie, ta kradzież miała pozostać w ukryciu, a myśmy podpatrzyli ją i teraz czekała nas kara. Josh machnął na głaz, raz, drugi, rozkazująco. Wycofałem się, oparłem plecami

o ścianę z petroglifem, a wtedy on, choć stał odwrócony, a w narastającej burzy nie mógł słyszeć moich kroków, opuścił rękę i pomału ruszył naprzód, pod wiatr. Niedługo później, gdy kulilem się za głazem ze skamieniałą od soli bandaną okręconą wokół twarzy, wiedziałem, że oddziela mnie już od niego przestrzeń nieprzebytej bieli, słyszałem jej ryk.

Bolechów

W głąb, windą na najwyższe piętro, przez pancerne drzwi przeciwwłamaniowe, które kiedyś, po wizycie Ulickiego, trąceni winem i marihuaną, pomalowaliśmy w psychodeliczne wzory z wyciętych naprędce szablonów, w czyste wnętrze, które zdążyło się wymieszać, ale nie zestarzeć, w korytarz zasypyany przez dachowy świetlik migotliwą miękkością jesieni. Klucz, cudem niezgubiony, tkwił w kieszeni na jednym kółku z pękiem tych bolechowskich. Kuchnia pełna nieskazitelnych płaszczyzn i barw tak dyskretnych, że prawie niewidocznych, trafiających nie tyle do oczu, ile do wewnętrznego pragnienia elegancji. Szybki w szafkach leciutko rżnięte w lilie, kuchnia elektryczna z czarną płytą, obły i lśniący chromem ekspres do kawy. W zlewie filiżanka z błonką osadu, nie do końca zaschnięta, i talerzyk ze szczyptą okruszków po rogaliku. Na ścianie nad blatem, stołu nie ma, tylko dwa krzesła i wąski blat, a nad nim fotografia torowisk łyskająca smolistym kontrastem, pstryknięta z dachu, nagroda w konkursie sprzed lat. I nic więcej, prócz niej nagie ściany, kuchnia miała być przestrzenią, gdzie myśli mogą się oczyścić, a oczy odpocząć od kolorów, form, zdarzeń.

Pracownia zamarła, zmieniona w gabinet. Sztalugi złożone pod ścianą, stół ze szklaną paletą nietknięty, ale zamiast słoiczków z pigmentami, stojaków na pędzle i szpachle, wytłaczanek po jajkach stoi tam niedomknięty laptop i panoramiczny monitor komputera stacjonarnego, obok piętrzą się papiery, notatki, próbne wydruki katalogów, listy, rachunki. Na ścianach za to wciąż znajome szkice, płachty akwarel, roboczych zdjęć, na nich mury, bruki, bramy, załomy wieżowców, łuski odłupane od chropawej skóry miasta. Regały zastawione książkami, albumami, rocznikami czasopism, coraz liczniejszymi, ale nietkniętymi, prosto od wydawnictw, z prenumerat, wernisaży, i pokrytymi kurzem. Na krzesła ciśnięta w pośpiechu spódnica, na podłodze dwa nowe telefony o rozbitych wyświetlaczach. Za oknem, na tarasie, kamera wycelowana czarnym ryjkiem w dół, na drugą stronę ulicy.

Korytarz i jeden pokój zamienione w magazyn obrazów, wiszą od podłogi po sufit na powbijanych krzywo hakach i gwoździach, stoją poopierane o ściany, niektóre nie do końca wyschnięte, zwłaszcza tempery, bo są i takie, figuratywne portrety i pejzaże inspirowane twórczością pewnego zaginionego malarza. Więcej jednak olejów, akryli, abstrakcyjnych, popartowych, komiksowych, stylizacji na barok, na romantyzm, na koloryzm, wyczerpujący przegląd młodej sztuki. Całe to niezbudzone wciąż bogactwo, nierzucone jeszcze do galerii,

niezakłęte trudnymi opisami w katalogach, niezapaćkane recenzjami, nieprzeliczone na pieniądze, nieotraskane po świecie, kończy się przed progiem sypialni. Tam w schludnie odmierzonych miejscach wisi tylko kilka prac, najcenniejszych, prywatnych, nie na sprzedaż, prezentów dla nieocenionej galerzystki, marszandki, kuratorki, szcudrej i bezwzględnej bogini: Tarasewicz, Sasnal, Uklański. Naprzeciw okna biała tempera, dyskretny akt, usta bez uśmiechu, na głowie barwny zawój, rumieniec przygaszony nostalgią za tym, co jeszcze trwa, lecz niechybnie zmierza do końca. Łóżko przykryte indiańskim kocem, słonym stawem bez snów, spod niego błyska błękitny jedwab pościeli. Toaletka zastawiona baterią buteleczek, flakoników, słoiczków, wielobarwną i nieprzeliczoną, stoją też wszędzie obok, na komodzie, nawet na balkonowym taborecie, służącym dawniej za stolicek na wino. W powietrzu kłęb zapachów umieszczony z kamfory, piżma, imbiru, skóry o oliwkowym odcieniu, tylko tutaj tak mocny i trwały, nieprzytłumiony wonią farb, drewna i płótna. W półotwartej szafie stopy pudeł z butami i rozczęzione narkotycznie wieszaki, pełne spódnic, szalów, swetrów, szytych lub dzierganych na miarę, o miękkości pustynnego pyłu, kwiatostanów juki.

Szukasz kogoś?, spytała, nie od razu, drugiego dnia, może trzeciego, gdy krążyłem z rozpostartymi rękoma z pokoju do pokoju i rozpoznawałem je od nowa, kot o nastroszonych wibrysach, wmyślający się w swojską, lecz na poły zapomnianą przestrzeń, zdumioną takim najściem po latach. Nie przyszło mi to do głowy, odpowiedziałem, ale może tak, a nuż ktoś tu się zadomowił. Przecież to twoje mieszkanie, za kogo mnie masz?, prychnęła, ale bez gniewu, raczej ze smutkiem. Z taką samą łagodnością wręczyła mi, nie od razu, trzeciego dnia, może czwartego, gdy skończyłem już te wędrówki i stałem na tarasie wgapiiony w lunę października, pękata teczkę. Przejrzyj sobie, powiedziała. To pierwszy i, odchrząknęła, ostatni raz, gdy zajmowałam się twoimi kłopotami prawnymi. Byłaś moją agentką, mruknąłem. Tak, ale od malowania, nie od procesów i ugód.

Otworzyłem teczkę, przebiegłem wzrokiem po listach, zawiadomieniach, wezwaniach, wydrukach e-maili. Kładłem je chybotliwie na szerokiej poręczy, wystarczyłoby najlżejsze muśnięcie wiatru, a dokumentacja procesu o bezprawne wykorzystanie wizerunku spłynęłaby w dół, pod drzwi galerii Roboczej. Wzięła w końcu te pieniądze, stwierdziłem, nie spytałem. Przelew wracał parokrotnie, westchnęła Julia, pisałam listy, bez odpowiedzi, ale uparłam się i w końcu nie wrócił. Może poproś je, by następnym razem ustaliły zawczasu między sobą, czego chcą. To był autorski pomysł Łucji, powiedziałem. Nie mam pojęcia czyj, odparła Julia, nie

pytałam, nie interesuje mnie to. Ale tak, to ona kontaktowała się ze mną. Pieniądze wpłaciłam twojej, no, siostrze. Nie poruszył mnie dźwięk tego słowa, zabrzmiało głucho. Z jakiego tytułu? Odszkodowanie? Zapłata za pozowanie. Najdroższe w dziejach. Pewnie odbudowała za to dom, mruknąłem. Nie obchodzi mnie, co zrobiła, odparła Julia.

Staliśmy tak długo, ja z papierami szeleszczącymi oschle w palcach, ona z cygaretką w ręku. Od dawna popalasz?, spytałem. Od dwóch lat. Byłeś na policji? Po co? Jak to po co, przecież zgłosiłam zaginięcie. Wzruszyłem ramionami. Skoro przekroczyłem granicę, pewnie wiedzą, że wróciłem. Policja wie tylko to, co chce wiedzieć, nie pamiętasz już? Machnęła ręką w ślad za słowem „policja” i spojrzeniem kamery Ulickiego. Zakład stał w pożegnalnej łunie jesiennego wieczoru i pysznił się swoim upadkiem. Wszystkie jednak znaki zniszczenia, wybite okna, rozsieczone ogrodzenie, pogięta brama, trawa wyrastająca ze spękań dziedzińca, skejterskie maziaje na stalowych kręgach *Sekwencji*, gdzieś zielone rozsypiska butelek i puszek po piwie, nie umniejszały urody budynku, przeciwnie, uwznioślały ją, rzutowały w nią wstecz przecucie kresu, mówiły o daremności działań racjonalnych i odważnych, choćby i chybionych, w kraju, który zapamiętał się w bezrozumie, a lekcje przemocy odbierał nie jako naukę, tylko trening. Nie musiał go porzucać, mruknąłem bez przekonania, znalazłby forszę na dalszą działalność. Może i tak. Ale zmienił taktykę i szykuje nowe działania. Bandyci wynajmowani przez banki zaczynają wyrzucać lokatorów starych czynszówek. Ulicki chce ich bronić. Ich nie obronił, wskazałem na bramę ZNTK, które, widziałem to bez zaglądania do gazet i internetu, nie zdołały się podźwignąć, pogrążyły się w rozpadzie jak Zakład, podobno miały zostać ostatecznie zamknięte. Dlatego zmienił taktykę, powiedziała Julia. Teraz jest czas walki, mówi, nie sztuki. O tym, że pół roku temu spadł samolot prezydencki, chyba słyszałeś, widziałeś te czarne msze w Warszawie? Nadciąga długa i ciemna zima, ktokolwiek będzie wygrywał wybory. Zadzwon do Ulickiego, kiedy już kupisz sobie telefon. Dopytywał się. Wiedział, że wrócisz. Ja sam nie wiedziałem, mruknąłem. Wszyscy wiedzieli, uśmiechnęła się, prócz ciebie.

Mieszkanie oswajało się pod moim dotykiem, pomału zaczynało mieścić mnie w sobie na nowo, milkło zakłopotane szemranie, które z początku rozlegało się naokoło przy każdym moim kroku, pod każdym moim spojrzeniem. Przepowiadałem sobie na głos nazwę i historię każdej rzeczy, aż wyuczyłem się ich. Sypialnia nadal nie przyznawała się do mnie. Pierwszej nocy położyłem się spać na kanapie i nawet nie zamknąłem oczu, nic by to nie dało, nie ścichł jeszcze we mnie łoskot oszołomionego serca, Julia jednak nie zmrużyła ich także, słyszałem, jak się

szamocze, wreszcie w środku nocy wstała, stanęła nade mną, nic nie powiedziała, ale gdy w poświacie torowisk i garbatego księżycy ujrzałem jej oczy, wygrzebałem się spod koca i poszedłem za nią do sypialni. Kładłem się potem spać na brzeжку łóżka, ale tam szemranie trwało, wonne wnętrze cofało się w siebie. Któregoś wieczoru zamarudziłem, stałem w oknie i mocowałem się z tą zmianą, aż usłyszałem, jak podchodzi, otulona kocem. Popatrzyliśmy na siebie w milczeniu, ona po obrzeżach mojej twarzy, skroniach, policzkach, włosach, czegoś tam szukała, ja po jej rękach, ramionach, szyi, otulonych kocem piersiach. Pomyślałem sobie, że zerwaliśmy pakt dający nam do siebie wzajem prawo, pakt bez przysięg wierności, zbyt ważny, by miał dotyczyć tylko powierzchni skóry i błon śluzowych, nie pamiętałem jednak, kiedy to zrobiliśmy. Pomyślałem, że pewnie nawiązała już taki pakt z kimś innym, i w gardle stanęła mi gruda, nie zazdrości, lecz żalu. Pomyślałem też, że jej milcząca troska pewnie coś znaczy, jednak nie wiedziałem co. Nagle Julia wyciągnęła rękę i te miejsca, którym przed chwilą się przyglądała, zaczęła omiatać palcami, ściągała ze mnie niewidoczną pajęczynę, może obierała z ziaren niezmytego dotąd pyłu. Dotknęliśmy się po raz pierwszy od mojego powrotu. Ruchy mieliśmy niepewne, badawcze. Nie zdołaliśmy nawet zbytnio zwilgotnieć, chyba dopiero wtedy, gdy podała mi ustami do ust moje nasienie, a potem wysmykiwałem palcami lepkie strużki rozstrzelone po jej włosach. Następnego ranka przez uchylone okno wionął oddech jesieni, posłaniec szronu i mgły. Jadę, powiedziałem cicho. Julia z wahaniem skinęła głową. Chciałem coś dodać, ale pocałowała mnie spieszenie. Na wargach miała tę mgłę.

Gdy usłyszałem podwójny chrzęst kroków na grysowej ścieżce, strach podszedł mi do gardła. Na chwilę przed wyjściem zza węgła zwolniły, pewnie na widok mojego samochodu, i wtedy wziąłem się w garść. Nadeszły z pałacu. Łucja trzymała Urszulę pod ramię, drugą rękę opierała na lasce z główką w kształcie ptaka niełota. Miałem nadzieję, że nie zobaczę w niej trzech minionych lat, jednak zobaczyłem. Choroba drążyła ją wytrwale, przygięła i skrzywiła jej plecy, ściągnęła twarz, wykościła sylwetkę, po chwili usłyszałem też, że jeszcze mocniej przyciszyła i powlekła matowością jej głos. Przypadkiem?, spytała bez wstępów, ale wcześniej, obiegłszy moją twarz podobnie umkliwym wzrokiem jak Julia, wyswobodziła rękę i objęła mnie mocno, długo, i ta długość wystarczyła za powitanie. Otworzyłem usta, chciałem rozbełkotać się, płaczliwie i w zdumieniu, nie wiem o czym, może o tym, jak z bieli, która zdążyła już opaść wokół mnie, ale byłem nią oskorupały, prehistoryczne zwierzę w solnej powłoce, wyłoniła się ciemna postać, nachylona mówiła coś do mnie, poznałem język czarnych mundurów, bardziej

może rękojeść rewolweru sterczącą z kabury, przeciwsłoneczne okulary i hełm niż słowa, tych nie mogłem się dosłyszeć, machnąłem tylko ręką ku brzegowi solniska, gdzie, zdawało mi się, stał mój samochód, i wychrypiałem swoje imię: Josh. Może o tym, jak w szpitalu, niedużym budynku otoczonym sosnami i szorstką, nawadnianą trawą, z oknami wychodzącymi na pustynię, dwa dni później oprzytomniałem po udarze i chwiejny jeszcze od gorączki, wypełniony gulą niepojętych mdłości, szukałem sobie zajęcia i ucieczki od lekarzy w zielonych kitlach, aż doszurałem do świetlicy dla chorych, gdzie prócz telewizora stał komputer, i siadłem przed nim bezwładnie, a potem mozolnie doszukałem się w sobie źródła tych mdłości i niemrawymi palcami wpisałem w internetowej wyszukiwarce adres strony muzeum w Bolechowie. Może o tym, jak przeczytałem tam, i z początku nie pojmowałem ani słowa, że w połowie października tego roku, czyli którego, głowiłem się, odbędzie się uroczysta prezentacja książki, monografii historycznej o dziejach bolechowskich hrabiów, koneserów sztuki, i przygodach ich zbiorów, zwłaszcza tej największej, gdy zdołały przetrwać nienaruszone całą wojnę. Prezentacji miał towarzyszyć benefis autorki, od dwudziestu jeden lat kustoszki bolechowskiego muzeum. Nie wykrztusiłem jednak ani słowa, bo Urszula, gdy już ośmieliłem się zwrócić na nią wzrok, walnęła mnie na odlew pytaniem: gdzieś był?

Gdy następnego dnia wszedłem, intruz, złodziej, na palcach, do pokoju Stefana, nie, do jej pokoju, odważyłem się sięgnąć po album z wystawy i przeszeleściłem się przez jej portrety, zadławiony szlochem niepojętej straty, próbowałem się pocieszyć, że upamiętniłem ją taką, jaka była dawniej i jaka miała już nie wrócić. Tam, przed domem, odpowiedziałem jej wzruszeniem ramion. Urszula przyglądała się mojej wytrawionej słońcem skórze, spłóviałym włosom, oczom nienawykłym jeszcze do nasyczonego wilgocią powietrza. Przyjechałem na benefis, bąknąłem. Ta monografia to twoja zasługa?, spytałem Urszulę. Łucja westchnęła, ale nim zdążyła się odezwać, Urszula odparła: jaka tam zasługa. Ledwie rok namawiania. Zasługi mają inni. To nie ja znalazłam wydawnictwo i forszę na publikację. Gdzieś był?

Dom nie spytał o to ani nie kulił się przede mną jak poznańskie mieszkanie, nie zraniła go moja nieobecność, a ja nie snułem się po pokojach, nie musiałem, przez trzydzieści pięć lat powiedzieliśmy sobie wszystko, myślałem sobie, zbyt dobrze się znamy, ale nie, jednak nie o to szło, raczej o to, że już kto inny w nim mieszkał. Mijaliśmy się z Urszulą w korytarzu, w ganku, przed domem, słyszałem, jak krząta się po łazience, jadaliśmy razem i piliśmy kawę przy stole kuchennym, i ona tak jak dom wiedziała o mnie wszystko, nie, nie wszystko, jednej rzeczy nie

wiedziała na pewno, pewnie nie wiedziała nawet, że istnieje taka rzecz, ale poza tym znała mnie na wylot, bo ten, kto zadaje przemoc, odsłania się cały. O domu myślałem bez żalu, o sobie z obojętnością, o niej z misternymi usprawiedliwieniami i pocieszeniami, a o tym wszystkim razem z solnym odrętwieniem. Nie martw się, to już długo nie potrwa, powiedziała, nie od razu, drugiego dnia, może trzeciego. Odparłem ze szczerym zdziwieniem: chcesz się wyprowadzić? Mieszkaj tu sobie, to już nie mój dom. Oszalałeś. Bardziej twój niż mój, ciągnąłem, a na pewno nie nasz. Wzruszyła ramionami. Ja swój dom mam, odparła, nie zamierzam go zmieniać. Odbudowany? Prawie. Przyjdź, zobacz. Potrząsnąłem głową.

Urszula zaśmiała się i ten śmiech, drwiący, ale życzliwy, wystarczył za odpowiedź, bo kwitował wszystko po równo, mój rozpaczliwy wyjazd, odwet Łucji, którego dokumentację przejrzałem u Julii, także to, czego nie mogłem sobie wyobrazić, ból Urszuli po ujawnieniu portretów, a nawet jej własną biblioteczkę dotyczącą mojej osoby, zwłaszcza tamten album, który przecież, tłumaczyłem sobie, nie powinien leżeć na jej półce. Kupiła go, może dostała, tak czy owak nie wyrzuciła, spoczywał tam, w pokoju Stefana, nie, w jej pokoju, kamień w postumencie, na którym stał zbłąkany, marny bóg. Gdzieś wśród czasopism, wycinków, artykułów musiała też mieć te, w których gromko wyśmiano wystawę w galerii Roboczej. Już podczas przygotowań, trzymany przez nas z Julią w tajemnicy, co wydawało się łatwe, bo długo nie odzywaliśmy się do siebie, wieść o parudziesięciu nieznanym pracach najdroższego polskiego malarza młodego pokolenia wypłynęła którąś wraz ze zdjęciami, zrobionymi licho, pospiesznie, w galerii lub po drodze, nie udało się ustalić przez kogo, i poszła nie tylko na kolumny kulturalne w gazetach i tygodnikach, ale też między plotki o rozwodach gwiazd. Julia prychnęła gorzko, że każdy idiotyzm o sekretnej kochance, którą malowałem przez lata w swojej wiejskiej samotni, podbija liczbę widzów wystawy o tysiąc, a cenę kolekcji o dziesięć tysięcy. Z godnością tak wielką, że nawet ja, choć znałem jej klasę, byłem zdumiony, otwierała wernisaż i witała tłumy, bez zmrużenia okiem chwaliła portrety. Wystawa objechała kilka miast, biła rekordy frekwencji godne van Gogha. Branżowi krytycy ani słowem nie tknęli techniki i wartości artystycznej prac. Bezbronni w swojej ignorancji i głupocie, drwiła Julia, to jednak, że nie mogli zbesztać mnie za warsztat, tylko rozjątrzyło ich złość. Nie mogli mi wybaczyć, że moje prace przedarły się przez granicę oddzielającą to, co uważali za swoje, od tego, co popularne. Podglądactwo, ekshibicjonizm, pisali, to szczególnie rozśmieszało Julię. Zdawało mi się, prychała, że to przeciwstawne perwersje, odczytywała mi na głos te zarzuty, folgowanie emocjom, przesadny

liryzm, cofnięcie sztuki polskiej o sto lat, nachalna symbolika, modelka upozowana na nimfę, driadę, boginię natury, klasycyzm, romantyzm, realizm, prerafaelityzm, tempera, przestarzałość, piękno, no tak, niech będzie, ale piękno to rzecz gustu, a piękno moich portretów było, pisali co mądrzejsi, podszyte daremnością październikowego dnia, pełne barw, emocji i wrażeń rozjarzonych ostatni raz przed zgaśnięciem, najgorsze jednak, pisali co przemądrzalsi, że było to też malarstwo bez szyfru, tłumaczące się samo, obywające się, kto to słyszał, bez interpretacji. Straciliby pracę, gnoje, gdyby każdy tak malował, szydziła Julia. Wiozłem potem ze sobą jej słowa, choć teraz nie wiedziałem, czy słyszałem je jeszcze na żywo, przed wyjazdem, czy już tylko przez telefon, gdy jeszcze odbierałem telefony, lub czytałem w e-mailach, a na pewno dopiero później dowiedziałem się, że znalazła kupca na całą kolekcję, pamiętam, jak mówiła: pojedzie za tobą, kupiona do Stanów, nie, nie za pół miliona, półmilionowców było kilku, sprzedałam za sześćset czterdzieści tysięcy. Wiedziała, bo zawarłem instrukcje w umowie kończącej naszą współpracę, że wszystkie portrety mają ukazać się w albumie, a potem zniknąć z galerii, z kraju, z moich oczu.

Przez kilka dni pozostałych do benefisu wychodziłem w jesień, jakiej nie widziałem od trzech lat, płachtę barw kpiącą z ludzkiego malarstwa, rozłopotaną w łagodnym jeszcze wietrze, rzešką lunę bijącą z parku w przygaszone niebo. Byłem opustoszały, a jesień przesączała się w tę pustkę, wytrącało się tam z niej oczekiwanie, nie miałem pojęcia, czego dotyczące, bo nie miałem pojęcia o niczym, choć zarazem wiedziałem wszystko, bo w jakimś punkcie, czułem to, może właśnie w powrocie do jesiennego domu, wszystko i nic są jednym. Czułem się wykluty z niepojętej i niedokończonej opowieści, nie ważniejszy od stert liści, które rozkopywałem na obrzeżach parkowych ścieżek. Łucja przyglądała mi się uważniej niż kiedykolwiek, ale wiedziałem, że o nic nie spyta, bo moim wyjazdem nie sprzeciwiłem się jej, raczej spełniłem jej wolę, bym wziął odpowiedzialność za każdy swój gest. Bąknąłem, że mi głupio, że ją porzuciłem, ale skwitowała to potarganiem mi włosów i bliźniaczym śmiechem jak Urszula.

Któregoś dnia robiłem porządek w pokoju, może, by uciszyć to mrowiące się jesienne oczekiwanie, wynosiłem resztki mojego warsztatu do pakamery, od trzech i pół roku prawie pustej, a gdy szedłem umorusany do łazienki, wpadłem na Urszulę i chwyciłem ją niechcący za ramię. Dotknęliśmy się po raz pierwszy od mojego powrotu. Wyciągnęła rękę, omiotła mi twarz i włosy z pajęczyn i kurzu. Coś robił?, spytała. Zwinąłem pracownię. Uniosła brwi. Szkoda. E, machnąłem ręką, kto by żałował. Myślałem, że jeszcze mnie namalujesz. Zastygłem, wgapiiony

w jej oczy, i chyba zobaczyłem w nich odbicie swojej miny, bo nagle zaśmialiśmy się zgodnie. Na co jeszcze zbierasz forszę?, szturchnąłem ją. Na nowy samochód? Głupi, prychnęła. Ależ ja mówię poważnie. Gdybyś chciała, chętnie dam ci kontakt do domu aukcyjnego. Bardzo dziękuję. Skoro tak mówisz, będę pamiętać. Nie będziesz, przerwałem jej, bo już nie maluję. Bo nie chcesz? Wzruszyłem ramionami. Nie umiem. Zapomniałem. Szkoda, powtórzyła.

Lecz gdy później wyszedłem z domu, miałem pod pachą pudełko po karmelkach „Glorja” i stary szkicownik. Szybko zapełniłem resztę pustych kart i bazgrałem na odwrocie, zdrewniałą ręką i okiem ośleplym jeszcze od solnej bieli, nie Urszulę, wstydziłbym się, nawet parkowe pomniczki były dla mnie za trudne, rysowałem tylko gałęzie drzew, pień akacji przed oficyną, kępy bukszpanu, krzywizny ławek. Październikowy dzień żarzył się dokoła w mgielnej ciszy, tak głuchej, że skrobanie ołówka niosło się chyba po krańce parku, podobnie szelest odwracanych kartek, jednak gdy czasem zastygłem bez ruchu i wmyślałem się w nią, napominała mnie łagodnie, że nic podobnego, moja tajemna moc nie sięga już daleko i nie sprawia cudów, jestem tylko rysownikiem, nawet nie malarzykiem, już nie paniczykiem, już nie mężem ani kochankiem, może nie bratem, jeszcze nie synem, już nie rozbitkiem, tylko powrotnikiem, i że na razie użyczy mi odrobinę czasu, ale wkrótce będę musiał wypełnić ją postanowieniami, bazgrałem więc coraz pokorniej i gorliwiej. Dzień po uroczystości skinąłem Urszuli głowę, poszliśmy nad wąwóz, za kępy jeżyn, i ustawiłem ją pod wielkim dębem, najdalszym stróżem parku. Rysowałem ją raz po raz, drżącą ręką i okiem ośleplym od barw liści, a przez następne dni, przed moim wyjazdem do Poznania, tak właśnie nazywałem to w myśli, choć po tylu latach wciąż nie wiedziałem, która podróż jest dla mnie wyjazdem, a która powrotem, tyle że teraz ta niewiedza po raz pierwszy przyniosła mi ulgę, przez następne dni zatem malowałem z tych szkiców akwarelę. Przyspieszyłem kres jesieni, ściemniłem kolory, wzrok Urszuli skierowałem w dół, twarz przygasiłem smutkiem, nie wiem czemu, bo nie smuciła się wcale, jej pozowanie było przysługą dla mnie, zrozumiałem to wtedy, może więc odmalowałem na jej twarzy tylko własny smutek, nie jej, ale czyjkolwiek był, nadałem mu formę światła, nie cienia. Nim wręczyłem Urszuli gotową pracę, obciąłem nożyczkami dolną część, tuż pod końcówką warkocza wypuszczoną na klapę roboczego płaszcza, nie chciałem, by widziała swoją postać niżej, sam zresztą też nie chciałem, bo brzuch wyszedł mi zanadto zaokrąglony, choć przez cały pobyt w Bolechowie nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że jednak taki był, że nie zaokrąglił go i nie wypełnił kolorem tylko kapryśny ruch mojej ręki.

Ale wcześniej jesień zrobiła swoje, z ciszy wyklął się tłum, jakiego bolechowski park, choć ludniejszy niż dawniej, nie widział od trzydziestolecia kustoszowania Stefana. Książki przyjechały z rana, prosto z drukarni, Łucja zagryzała wargę z niepokoju, czy dotrą na czas, ale dotarły, wynieśliśmy z Urszulą dziesięć ciężkich pak, Łucja nie chciała ich otworzyć, Urszula chwyciła więc nóż, który Glińska, żona kamieniarza, wysmienita ponoć piekarka, przyniosła do krojenia drożdżowców i szarlotek, rozpruła szary papier i wyłuskała granatowy tom. Na okładce, porządnie zaprojektowanej, widniał pastelowy portret hrabiego, zgarbiona postać ze srebrnym wąsem wysmuklonym poza końce warg, ściągniętymi w dół kącikami oczu, z pajęczyną palców oplecioną na główce laski, z kanelami pałacowej kolumnienki przy ramieniu, prosty, ale staranny rysunek, najlepszy, jaki wyszedł spod ręki Stefana. Nad tytułem imię Łucji i jej nazwisko. Moje nazwisko. Urszula nie zajrzała do środka, nie zważyła książki w ręce, nie zaciągnęła się odurzającym zapachem farby drukarskiej, tylko bez słowa wręczyła tom Łucji. Łucja wzięła go do ręki i popatrzyła na nas bezradnie. W oku zalśniła jej maleńka perła. Nie mogłem wydobyć słowa. Coś powiedziało mi, że ta chwila należy też do mnie, ale nie mogłem znieść twardej grudy, która urosła mi w gardle, zatoczyłem się w stronę drzwi, a nim wyszedłem zaczerpnąć gwałtownego tchu, dostrzegłem kątem oka, jak Urszula obejmuje Łucję, ujrzałem głośnięcie jej palców po siwych włosach.

Musiałem jednak przełknąć tę grudę, ukryć ją przed wzrokiem nadchodzących gości, nauczycielek miejscowych i przyjezdnych, także moich z sandomierskiego liceum, dyrektorki szkoły, dawnych uczniów Łucji, z których, dowiedziałem się, część wyrosła na plastyków, ich rodziców, redaktorek z wydawnictwa, dziennikarzy, nielicznych, tylko z radiowej „Dwójki” i okolicznych gazet, delegacji z Narodowego z Bieroniem na czele, Robercie, skłonił się nisko i uścisnął mi dłoń, gruda stężała mi wtedy jeszcze bardziej i tym mocniej musiałem się wysilić, by ją zdławić, zwłaszcza że nadchodzili mieszkańcy wioski, na czele Borkowa, sędziwa, ale krąglutka i mocna, Robuś, Robuś, wyściskała mnie i wraz z cmoknięciami pozostawiła mi na policzkach łzy, co myśmy tu bez ciebie, co myśmy, za nią gospodarze i dawni robotnicy z pegeeru, których malowałem, nawet proboszcz, choć na gruzach Stefanowego sojuszu pałacu z Kościołem Łucja nigdy nie wzniosła nowego, dbała najwyżej o poprawną neutralność. Wystrojony w garnitur stałem, upadły, śmieszny bóg, na szczycie schodów, między kolumnienkami, i próbowałem przełknąć tę grudę, bo choć żaden mechanizm, którego byłbym częścią, nie kazał mi już ukrywać wzruszenia, miałem wrażenie, że jesienny dzień obmyślił tę

uroczystość nie tylko ze smakiem, zadbał o wino, na wieczór zaplanował koncert kwartetu smyczkowego w oranżerii, ale i z chytrą. Uchodziłem za gospodarza, choć nim nie byłem, witałem gości, choć nie był to mój pałac, poświęciłem kilka lat, by go stracić, i udało mi się. Wreszcie wycofałem się do środka i ujrzałem Łucję, która stała o lasce pośrodku korytarza, godna i dumna, przyjmowała uściśnięcia dłoni, ukłony, ucałowania w policzki i w rękę. Pojąłem, że jestem tylko kamerdynerem, i uczułem taką ulgę, że wypilem duszkiem trzy kieliszki wina, a gdy zaczęła się uroczystość i Łucja wsparta na ramieniu Bieronia zajęła honorowe miejsce na muzealnym fotelu, kupionym przed laty przez Stefana, zaśmiałem się w głos, aż wszyscy zwrócili na mnie wzrok, bo Bieroń w pierwszym zdaniu swojej przemowy obwieścił, że okazją do benefisu jest nie tylko wydanie książki Łucji, ale też jej przejście na zasłużoną emeryturę, zaśmiałem się, choć nikomu prócz mnie nie było przy tej wieści do śmiechu, zaśmiałem się, bo w następnych słowach dodał, że zasłużona kustoszka zasługuje na godnego następcę, a potem zrobił pauzę i spojrzał na mnie wymownie.

Nie patrzcie na mnie, krzychało we mnie wino, nie kiwnąłem palcem ani przy tej uroczystości, ani przy wydaniu książki, ani przy niczym innym przez dwadzieścia jeden lat kustoszowania Łucji, ani poprzednich Stefana, wyrosłem w pałacu, ale nie byłem jego częścią, wytrąciłem się tylko, zgęstka wrażeń i barw, z jego czcigodnej i zatechłej atmosfery, na dobre i na złe, na wzniosłe i głupie, malowałem jedynie niekończący się pejzaż własnego sieroctwa i daremnych uczuć, czasem jasnych, czasem ciemnych, zawsze nie wiedzieć do kogo i po co skierowanych. Gdy Bieroń skończył i wybrzmiały oklaski, a Łucja otarła kolejną perłę z oka, sądziłem, że teraz to mnie przyjdzie zabrać głos, i sięgnąłem ukradkiem po kolejny kieliszek, wychyliłem, ale nie, Łucja wstała z fotela, lecz z tego, co mówiła, nie słyszałem ani słowa, bo nim zdążyła otworzyć usta, w głębi pałacu szcęknięły drzwi i zastukały kroki, ukradkiem, kroki fornala po pańskim parkiecie, choć zarazem ciężkie i mocne, podkute czymś nieznanym nikomu z zebranych. Zdążył, bo zaczekała, aż wejdzie do środka. Jej matowy głos, drżący od wzruszenia, wybrzmiał dopiero wtedy, gdy przystanął w progu, szybkim spojrzeniem ogarnął kasetony, żyrandole, okna z maswerkami, przez które sypała się do sali rdza października, obrazy na ścianach, mnie, Łucję, Urszulę i witany szmerem wioskowej grupy gości, usiadł na najbliższym wolnym krześle.

Miał na sobie czarny garnitur, nowiutki, kupiony pewnie na tę okazję, bo przecież nie na policyjne przesłuchania ani wizyty u lekarzy, dotąd tylko dwa razy w życiu był tak ubrany, na

dwóch weselach, własnym i króla Lula. Nie widziałem go od pożaru. Był stary, ale jego twarz przyznawała się do tego ze spokojem i pogodą. Jeśli rzeczywiście cierpiał wtedy, przed trzema laty, na depresję, wyrwał ją z siebie lub przynajmniej zdusił do niepoznania. Siedział z rękoma spoczywającymi na kolanach, ciemny punkt, w którym od kilkudziesięciu lat zaginały się niepojęte przebiegi zdarzeń. Nie mogłem oderwać od niego wzroku. Jedyne kątem oka widziałem Urszulę. Jej twarz była nieprzenikniona, Urszula nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. Jeśli wiedziała, że przyjdzie, nie zdradziła się z tym ani przedtem, ani teraz.

Ktoś lekko szturchnął mnie w bok. W sali było cicho, wszyscy patrzyli na mnie, Łucja wyczekująco, z nikłym uśmiechem. Zrozumiałem, że przyszła moja kolej. Wypiłem kieliszek. Wszedłem na środek. Nie patrzyłem na nikogo. Rozkołysany wzrok mętnił mi się wśród liści suwających po szybach. Powiedziałem: kiedyś, mały szkrab, wszedłem do pokoju, gdy Łucja szykowała się do pracy. Malowała się przy trzech lustrach, obstawiona szminkami, pudrami, tuszami. Zagapiłem się na nią i spytałem: po co to wszystko? Aż tak chcesz się podobać? Ona na to: szukam twarzy, jaką miałam, zanim powstał świat. Kiedyś, młody chłopak, zadrzałem z zimna, bo jej wzrok, choć matczyzny, nie dawał mi ciepła, i krzyknąłem: czemuś taka okrutna?! Ona na to: chcę, byś kochał tę, jaką byłam, zanim powstał świat. Wiecie, że sporo się w życiu napaćkałem farbami, wierzcie mi więc, są tylko trzy kolory: szary, zielony i biały. Kto urodził się w szarym, muzealnym, bibliotecznym, archiwalnym, tęskni za zielonym, bo roi sobie, że to kolor prawdziwego życia. Ale niech no tylko spróbuje zrobić ten krok! Jeśli nawet przeżyje, przedziutko wróci w szarość i do końca życia będzie ciurgotał swoje archiwalne bzdury, gromadził, klasyfikował, opisywał, zakładał szkoły, uczył rysunku, pisał monografie. Kto urodził się w zieleni, będzie potem zawsze niósł ją w sobie, pleśniejącą ranę, chłoność chaosu, i zarażał innych. Co to ja jeszcze? Aha, że jest też biel. No jest, ale o niej nic nie wiem. Szukałem w niej siebie takiego, jaki byłem, nim powstał świat, ale nie dotarłem do sedna. Za każdą zasłoną, złuszczoną, zdrapaną, kolejną, a co na końcu, wszyscy wiemy. To nie koniec jest ciekawy, tylko początek. Łucja, mądrzejsza od nas wszystkich, znalazła równowagę. Jedną nogą żyła w szarości, drugą w zieleni. Nauczyła się odważać sobie wszystkiego tyle, by nie widzieć, ile traci. No i popatrz, zwróciłem się do niej, nie pojechałaś do Francji ani donikąd indziej. Czemu? Czemu tu tkwisz od czasów sprzed początku? Ty wiesz. Ja też wiem, choć nie mogę tego pojąć, mimo że tyle farb wpaćkałem tu, w Bolechowie. Nie powiem, że jesteś najlepszą matką na świecie, choć szanowni goście na to czekają. Jaką jesteś kustoszką, wiemy: wszyscyśmy myśleli, że Stefan był

niezastąpiony, a tyś go przewyższyła. Nie władzą, tylko mądrością. Bo jednakowo wyraźnie widziałaś i szarą mgłę, i zieloną ranę. A ja do dziś się miotam.

Głos pękł mi nagle, odkaszlnąłem, chciałem mówić dalej, wgapiiony wciąż w okno, ale nie dało się już. Gdybym nawet nie dostrzegł w kącie z tyłu czarnej plamy ruchu, usłyszałbym ciche szurnięcie krzesła po parkiecie i pomału, lecz zdecydowanie oddalające się kroki. Gdy wychodziłem, ujrzałem siebie w lustrzanych oczach Łucji, w ciepłych dłoniach Urszuli. Jego nie widziałem już w perspektywie korytarza, trzasnęły zamykane drzwi. Kulałem się, uśniony pijanym dygotem. Wybiegłem na ganek. Park wionął we mnie szkłiscie, zatrzymał na chwilę. Ciemny garnitur oddalał się alejką. Nie goniłem go, choć mógłbym dopędzić go bez trudu, po prostu szedłem za nim, a on nie oglądał się za siebie. Minęliśmy rozświetloną oranżerię, gdzie rysowały się czarne sylwetki muzyków, uśpioną oficynę, rządówkę śledzącą nas ciemnymi oknami, a gdy zstąpiliśmy w rudą wilgoć wąwozu, chałupkę, gdzie Urszula na nowo urządziła salkę, z ocieplonymi ścianami, centralnym ogrzewaniem, stołem do masażu i elektronicznymi urządzeniami do ćwiczeń chodu. Zza budynków gospodarskich wyłonił się dom. Tylko kamienna podmurówka została ta sama, na niej pyszniły się świeżutkie ściany z klinkierowej cegły i ceramiczny dwuspadowy dach, bez okna na poddaszu. Podwórze jeszcze nie do końca odetchnęło po budowie. Gdyby wszedł do środka i zamknął drzwi za sobą, zatrzymałbym się i zawrócił, choć, załaskotała mnie myśl, miałem prawo wejść z nim, bo nie tylko on zbudował ten dom, ale i ja, swoimi pieniędzmi, nie, właśnie nie, na widok tego domu mogłem wreszcie przestać o nich myśleć i wyzwolić się z głupiego poczucia winy, nie pieniędzmi, tylko własnymi rękoma, pędzłami w tych rękach i własnym zachwytem, i własnym kłamstwem. On jednak szedł dalej, tam, gdzie kiedyś była furtka, do ogrodu na tyłach. Nie, ogrodu też nie było, kwiatowe rabaty nie zostały jeszcze urządzone na nowo po budowie, była tylko omieciona przestrzeń z widokiem na wzgórze ze starym sadem, skarpą i łąką, i ławka, nie ta sama co dawniej, tamta na pewno spłonęła w pożarze, stała jednak w tym samym miejscu, a gdy wyszedłem zza węgła, na jej brzeжку siedział ten sam człowiek, wparty rękoma o deski, czekał na wieczór, na ciszę, na zimę, może na śmierć, może na mnie.

Usiadłem obok niego. Franciszek, powiedziałem, a potem powtórzyłem, nie wiem po co, chciałem chyba nadrobić, może wynagrodzić mu te lata, gdy jego imienia nie wymawiało się w naszym domu. Spojrzał na mnie, zaciekawiony tym spóźnionym zawołaniem. Przeszło mi przez myśl, że weszliśmy w jakiś sojusz, może nie najważniejszy, jaki mu dano, ale uświęcony

nadchodzącym zmierzchem. Zawsze umiałeś gadać?, wyrwało mi się. Pomału skinął głową. Masz rację, mruknąłem, po co gadać, skoro można milczeć. Naprawdę jej to wszystko opowiedziałeś? Tym razem pozostał nieporuszony, zapatrzył się tylko we wzgórze, wreszcie otworzył usta i powiedział tym samym rdzawym głosem co wtedy, w ogniu: nie pamiętam. Kochałeś ją?, spytałem przez ściśnięte gardło. Obrócił się ku mnie, musnął wzrokiem moje oczy. Wiedziałem, że słyszy to pytanie pierwszy raz w życiu i pewnie ostatni. Trwał długą chwilę bez ruchu, bez mrugnięcia, nie drgnęły mu usta. Pokiwałem głową. Do gardła podpełzało mi następne pytanie, miało siłę i ohydę mdłości, dławiłem je, na próżno, aż musiałem zaczerpnąć chłodnego tchu, i zamiast niego wykrztusiłem jedno słowo, nie wiedzieć skąd wzięte: zabójco, na co on chrypnął bez wahania: zdrajco, obaj bez gniewu ani drwiny, każdy spowity we własne łajdactwo, w swoją czułość.

Pierwowzorem Bolechowa i jego dziejów jest Opinogóra, miejscowość mojego urodzenia, czuję się jednak zobowiązany podkreślić, że postacie Stefana, Łucji i Roberta, podobnie jak wszystkie inne w tej powieści, są zupełnie fikcyjne i nie mają nic wspólnego z rzeczywistymi osobami, które kiedykolwiek pracowały w opinogórskim Muzeum Romantyzmu.

W książce znalazło się wiele nawiązań do literatury, muzyki i sztuk plastycznych. Ich odnajdywanie pozostawię przyjemności czytelnika, wspomnę tylko, że pomysł instalacji z samochodami polonez zapożyczyłem z wystawy Rafała Bujnowskiego *Maj 2066*.

Kto jest ciekaw, jak mogły wyglądać portrety Urszuli, niech zajrzy do albumu *Andrew Wyeth: The Helga Pictures* (New York 1987).

Dziękuję pani profesor Danucie Stępień za konsultacje malarskie.

M.P.